

CZARNA SERIA

Lena
Oskarsson

PLAC DLA DZIEWCZYNEK

Lena
Oskarsson
PLAC DLA DZIEWCZYNEK

Przełożył
Zygfryd Radzki

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2012

Tytuł oryginału

Flickornas torg

Redakcja

Mirosław Grabowski

Korekta

Ewa Jastrun

Projekt okładki

Agata Jaworska

Zdjęcia na okładce

Girl on Bike

Aleshyn_Andrei/Shutterstock

Detail of photographer isolated on white background

Gualtiero Boffi/Shutterstock

Dark, mysterious image of fog over reeds with silhouetted trees

Littleny/Shutterstock

DTP

Marcin Labus

Copyright © Lena Oskarsson, 2011

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2012

Wydanie I

ISBN 978-83-7554-443-5

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433
51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

www.czarnaowca.pl
Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

1



Oh-oh-oh-oh-oooh-oh-oh-oooh-oh-oh-oh-oh. Caught in a Bad Romance – śpiewa Lady Gaga. Jest niedzielne popołudnie. Kilka minut po dwunastej. Frida Andersson jedzie na rowerze, szybko, z uchylonymi ustami, z aparatem na zębach. Ma czternaście lat, nastroszone żelem włosy. Stożkowate piersi pod kusą koszulką. Na ramieniu sztuczny tatuaż na wpół rozmyty od potu. Spalone słońcem patykowate nogi. Skąpe szorty z modnie postrzępioną dziurą w miejscu guzika. Czarne stringi wplątane między zęby suwaka.

Zwalnia na ostrym zakolu ścieżki. Uspokajając oddech, zauważa pierwsze oznaki zbliżającej się jesieni; las jest bardziej czarny niż jezioro. Wysuszony, ale zwarty, z obfitym poszyciem. Początek sierpnia zawsze jej przypomina o końcu wakacji, już bliżej niż dalej. Dla wszystkich innych do jesieni jeszcze daleko, cieszą się, trwa właśnie kolejne szwedzkie lato stulecia, tak codziennie zapewniają telewizyjni meteorolodzy. Należy zasłaniać głowę, spacerować o świcie lub tylko wieczorami, pić dużo niegazowanej wody i unikać wysiłku fizycznego. Ale ona jest zbyt młoda, żeby oglądać prognozę pogody, i zbyt stara, żeby słuchać matki, dlatego kiedy wszyscy kryją się w domach, wyprawia się na wycieczkę. Byle gdzie, ważne, że daleko od domu, jak najdalej od rodzinnego gniazda.

Sunie teraz pomiędzy pniami. Aż dziw, że w tak gęstym lesie zdołano wybudować te wszystkie domki. Może dlatego są niewielkie, z licznymi miniprzybudówkami i szopami ustawionymi wzdłuż żwirowej drogi w kształcie podkowy, obejmującej od południa taflę wody. Na samym dole, tam gdzie utwardzony żwirem dukt przestaje opadać w kierunku jeziora, a zaczyna podchodzić ku północnemu brzegowi, można zobaczyć ogołoconą rękami drwali połąć. Stał na niej kiedyś szpital położniczy, ale spalił się ponad dwadzieścia lat temu i został po nim tylko ten skrawek dzikiej zieleni, zwany na wyrost placem Dzieci z Bullerbyn. Odkąd

ciężarne przestały tu przyjeżdżać, po każdej zimie droga wydawała się mieszkańcom węższa i coraz bardziej dzika.

Frida ponownie naciska na pedały, przyspiesza, mrużąc oczy od nadmiaru dźwięków. Lubi, gdy muzyka jest głośna, maksymalnie podciągnięta, mocniejsza niż wszystko, silniejsza niż głupie myśli. Najlepiej, jak nie pozwala jej płakać, krzyczeć i ciągle zadawać tych dziecinnych pytań: Dlaczego?! Dlaczego właśnie ją to spotkało?!

Głos piosenkarki wlewa się przez potężne słuchawki, łomocze w głowie, wciska się w ciało, wyginając je na wszystkie strony. Każde zdanie, które ma dla Fridy Lady Gaga, jest jak transfuzja. To jej osobista kroplówka, morfina, kokaina.

Baby you're sick. You and me could write a Bad Romance. Oh-oh-oh-oh-oooh-oh!!! Powstrzymuje płacz. Szybko, z furią i prawie bez zmęczenia pokonuje ponad pół kilometra równej asfaltowej drogi numer 40, zjeżdża w jej dziką, zwirową odnogę, kilka minut ostrego naciskania na pedały i posuwa się teraz wzdłuż eleganckiego metalowego ogrodzenia okalającego zwalisty budynek domu starców. I już zaraz nie będzie żadnych zabudowań, jeszcze tylko coraz rzadsze gospodarstwa, rozrzucone wzdłuż szutrowej ścieżki ostro wspinającej się na wzgórze.

Z każdą chwilą wyraźniej widzi dwa ostatnie domy, ten starszy i większy, przechylony w stronę pobliskiego garbu ziemi, i drugi, w piaskowym kolorze, niewielki, niby drewnutnia, ale w lepszym stanie niż sąsiednia nieruchomość, świeżo pomalowany, z przystrzyżonym po angielsku trawnikiem i starannie wytyczonymi grządkami niskich niebieskich kwiatków przypominających leśne runo.

W pierwszym mieszka od zeszłej jesieni ten dziwny facet ze Sztokholmu, w sąsiednim – sparaliżowana po udarze Agnes Hermansson, którą opiekuje się jakaś Polka.

I want your ugly. I want your disease. I want your everything. Rytm ze słuchawek buszuje w skroniach, wykrzywia usta, zatyka gardło, porusza ramionami, kołysze pupę na siodełku. Frida nie widzi nikogo. Przed nią tylko puste pola poszatkowane ścieżkami; na horyzoncie ciemna plama lasu drga w gorącym powietrzu. I ta cisza, jakby nie było nie tylko ludzi, ale i ptaków, węży, przemieszczających się błyskawicznie hord polnych myszy. Tylko ona i jej jedyna przyjaciółka Lady Gaga. Dlatego nie czuje skrępowania, wstydu czy strachu. Jest pewna, że żadne obce ucho nie

wchłania jej sekretów, choćby je wykrzykiwała do utraty tchu. Żadne nieznane oko nie wypatruje szlaku jej wędrówki. Jeszcze chwila, moment i wreszcie będzie mogła się rozpląkać. Bez świadków, głośno, aż do wymiotów.

Niech no tylko minie ten ostatni dom. No, do przodu! Jeszcze tylko trochę! Kilkadziesiąt metrów. Ale zamiast przyspieszyć, hamuje. Niespodziewanie dla samej siebie, gwałtownie i właściwie bez żadnego powodu, wbrew swoim zwyczajom, bo nigdy, przejeżdżając przez osadę, nie przestaje szybko pedałowac. A jednak tego dnia zatrzymuje się tuż przed potężnym, przechylonym domem i czubkami butów opiera się o ziemię.

Widzi dokładnie mężczyznę, nowego mieszkańca. Podobno się tu urodził, a potem zwiął, gdzie pieprz rośnie, ale kto to wie. Pamięta, że kiedy przyniosła ze szkoły wiadomość o tym przybyszu, matka jakoś dziwnie na nią spojrzała. Sama Frida nie spotkała go nigdy wcześniej, ani w sklepie, ani na stacji benzynowej, gdzie można kupić najlepsze na świecie kawowe lody i żelki truskawkowe.

Jens, syn sprzedawcy, opowiadał w szkole, że ten odludek jest podobno cholernie znanym fotografem, a mimo to codziennie kupuje u nich papierosy, bułeczki cynamonowe, foliowane po trzy, kawę w najmniejszych opakowaniach i najgorszy na świecie, kwaśny jak cholera sok jabłkowy, który trzeba było przecenić, bo nikt go nie chciał tknąć. Bierze zwykle tanie rzeczy i zawsze czeka na resztę, chociaż już po jego kartach kredytowych i ubraniach widać, że śmierdzi kasą na kilometr.

Jakaś dziewczyna z klasy dodała, że nieznajomy ma trzy mieszkania w Sztokholmie, loft w Berlinie, barkę w Holandii i potężnego jeepa, którym przemieszcza się po całej Afryce. Czy to możliwe, żeby ktoś taki był ich sąsiadem? Szybko wpisali w wyszukiwarkę dane, ale nic nie znaleźli. Larsów Olssonów było jak psów, lecz żadnego znanego fotografa. Nikogo z ich stron. Byli inżynierowie, dentyści, notariusze, właściciele pubów, stolarze, nawet wizażysta zwłok, ale wszyscy anonimowi i chyba nie bogacze, a już na pewno ani jeden z nich nie mieszkał w Berlinie czy Amsterdamie.

A więc ta lokalna sławna osobistość to jedna wielka zmyła, potężna zmyła dla ciemnego ludu znad jeziora Skiresjön, który kupi wszelką bujdę bez zmrżenia oka. Zgodzili się jednak, że przybysz musi mieć jakiś sekret,

skoro rzucił wszystko i przeniósł się nad jezioro, gdzie ludzie żyją jak ryby. Bez rozgłosu i wielkiego szczęścia.

Frida przesuwa okulary słoneczne na głowę, by ciemne szkła nie przekłamywały widoku. Obserwuje mężczyznę zza przymkniętych powiek.

Odkrywa, że jest młodszy, niżby to wynikało z opowieści kolegów. Ma młodzieżową fryzurę, rodzaj irokeza na wygolonej z boku czaszce. Wydaje się potężny, zajmuje prawie całą przestrzeń dwuskrzydłowego kuchennego okna. Tkwi w nim bez koszuli, ciemne włoski wyraźnie odznaczają się na opalonym, śniadym torsie, wyćwiczonym, z dokładnie zarysowaną rzeźbą mięśni.

Frida patrzy nieznanomemu prosto w twarz, bez wstydu i natarczywie, z całą siłą, jakby chciała go zahipnotyzować.

On również nie spuszcza z niej oczu, poruszając przy tym ręką. To dla niej dziwny ruch, rytmiczny i mocny. Po sekundzie nabiera pewności, że facet sięgnął do rozporka i będzie w nim gmerał. Zupełnie jak w tych filmach, z których uczyła się pieprzenia.

Ale już za moment widzi, że on trzyma w ręku coś metalicznego. Chyba nóż... No tak, zastała go przy robieniu śniadania, pociesza się. Nie wszyscy są tu wieśniakami wstającymi przed wschodem słońca. Nagle zauważa, że facet się nachyla w stronę parapetu, dziwnie, niezgrabnie, jakby chciał wyskoczyć, ale z jakiegoś powodu ciągle tkwi w oknie.

Nie może się zdecydować, stary tchórz, bogaty pierdziel, no, czego się boisz? Przecież chcesz, żebym cię ugryzła. Widzę, że aż się ślinisz na samą myśl o moich małych ząbkach w drucianym koszyczku ortodontycznym – rozmyśla i już nawet nie maskuje złośliwego uśmiešku.

Frida Andersson nadal nie wie zbyt dużo o mężczyznach. Jedyne tyle, że to jakiś inny gatunek, z którym właściwie nigdy nie zamieszkiwała na jednym terytorium. Mogła tylko te mniej lub bardziej dorodne okazy obserwować z daleka, podpatrywać z ciekawością, ale bez większej ekscytacji czy euforii. Jednak od pewnego czasu zauważyła, że wzbudza ich zainteresowanie, przyciąga spojrzenia. Szybko się zorientowała, że męski wzrok działa jak dotyk: obmacuje.

Na samym początku pociły jej się od tego dłonie i odczuwała dziwną treść, jak przed klasówką w szkole, ale potem rozbuchane emocje się wyciszyły, a ich miejsce zajął dziwny smutek i tęsknota za ojcem. Wiele by dała, żeby chociaż raz pojechał z nią na wycieczkę. Mogliby się wyprawić

nawet całkiem niedaleko, tylko kilkanaście minut jazdy samochodem, do miejsca, gdzie urodziła się Astrid Lindgren, ta, która wymyśliła Pippi Langstrumpf, a gdzie teraz jest wielki park rozrywki, przyciągający turystów z czterech stron świata.

Matka nigdy z nią tam nie pojechała. Mówiła, że ją mdli od samego widoku tego nadmiaru rodzinnego szczęścia. Rozkrzyczanych bachorów, żon z maślanymi oczami i facetów – konsumentów kiepskich dezodorantów.

„O nie, droga córko, my jesteśmy lepsze od tego całego stada poszukiwaczy zaginionej arki dzieciństwa. Pojedziemy aż do Sztokholmu i kupimy sobie kolejne za ciasne dżinsy. Będziemy miały jeszcze jeden powód, żeby nie jeść kolacji”.

Czy jej ojciec też używał tanich kosmetyków? Frida знаła tylko jego imię – Mikael, wiedziała, że miał brązowe, lekko kręcone włosy i pochodził z północnej Szwecji. Przy innej okazji babce się wymknęło, że już jako nastolatek uciekł z domu, trochę włóczył się po kraju i hipisował, aż w końcu pewnej wiosny utopił się w porcie w Ystad. Sekcja zwłok wykazała, że był pod wpływem narkotyków. Nie miał nawet dwudziestu pięciu lat, gdy zginął.

Matka rzadko i niechętnie o nim wspominała.

„To nie był żaden tam związek – mówiła. – Trochę seksu, dużo śmiechu, a na koniec płacz, bo jak zobaczył, że rośnie mi brzuch, to spakował plecak i tyle go widziałam. Ale chyba nie będziemy przez to rozpaczały, prawda? W niczym nam to nie przeszkadza, że byłyśmy tylko przystankiem na drodze jakiegoś niedojrzałego emocjonalnie gnojka”.

Frida zawsze przytakiwała, dopóki nie urosły jej piersi i nie zaczęła mówić tylko: „Nie!”, „Nie!!”, „Nie!!!”. Nie wierzyła matce ani jej nie ufała. Po prostu przestała ją lubić i wiele by dała, żeby już się wyprowadzić z domu. Ale na razie przez kilka najbliższych lat musi z nią mieszkać i tolerować to, że kiedy się kąpie, ona przeszukuje jej pokój. Szybko i sprawnie jak policyjny owczarek.

Całe szczęście, że w przypadku Fridy, podobnie jak i innych nastolatków, działała zasada: „Im mniej możesz mieć tajemnic, tym więcej ich masz”. To, co zakazane, lubi się mnożyć. Dorastając, Frida coraz bardziej nabierała pewności, że historia jej ojca mogła wyglądać całkiem inaczej. Jeżeli mężczyzna przestaje cię kochać, łatwo mu przyklepić

etykietkę łajdaka. Mikael stał się zły, bo odszedł. Tak, to go zgubiło i pozbawiło dostępu do córki.

W rzeczywistości wcale nie musiał być lumpem, przybłądą, ćpunem i kimś, bez kogo świat łatwo się obywa. Być może był całkiem zabawny, robił śmieszne miny, miał cudowne, szorstkie dłonie, potrafił opowiadać o inteligencji szczurów, a jedyną jego wadą było to, że nie mógł żyć zbyt blisko matki Fridy. Musiał odejść. I w tym właśnie Frida była do niego podobna. W pobliżu matki czuła, że brakuje jej powietrza. Dusi się. Jakby pępowina, która je łączyła, stała się pętlą.

Może ten mężczyzna w oknie jest choć trochę podobny do ojca? – marzy czternastolatka. Gdyby Mikael żył, chyba byłby w jego wieku. Chociaż szacowanie wieku starców, czyli ludzi powyżej dwudziestki, zawsze przychodziło małej Andersson z dużym trudem.

Ściska ramę roweru i bacznie obserwuje, jak mężczyzna pospiesznie i niezgrabnie poprawia włosy. To wyraźnie nerwowy gest, musi być podekscytowany jej postojem vis-à-vis kuchennego okna. Tak odczytuje jego zachowanie.

On patrzy na nią coraz natarczywiej. Jego wzrok przypomina Fridzie trucht drapieżnika dookoła ofiary. Widziała to na Animal Planet. Coraz mniejsze kręgi, coraz bliżej, coraz bardziej niebezpiecznie. Ale nie peszy to Fridy, która nie ucieka wzrokiem, tylko się rozluźnia, jakby to ona była agresorem, a on źle rozpoznał ofiarę, nie wyczuł niebezpieczeństwa. Jakby już połknął haczyk, zgodził się wypełnić przeznaczenie.

Jedną rękę na pewno schował pod stołem, jest niewidoczna, a druga... Co on ma w dłoni...? – zastanawia się Frida. Czy to rzeczywiście nóż, jak myślała na początku... jakiś taki inny... Nie jest pewna, wszystko przez upał. Rozgrzane powietrze faluje, deformuje ludzi i przedmioty, nie wiadomo, co jest jawą, a co pustynną fatamorganą.

Dziwnie się kręci... – zauważa. Chce walić konia przy kuchennym stole? Może pragnie czegoś więcej, może szybko sobie zaplanował, że wbije jej nóż w brzuch i otworzy ją w swojej sypialni jak śniętą rybę. A ona jest tak małą płotką, że nie znajdzie w niej ani grama ikry, tylko czyste, błyszczące flaczki. Mniam, mniam... – Frida mlaska w myślach i niemalże parska śmiechem, a zaraz potem odczuwa dziwny koktajl emocji: strachu i radości. Czuje się z tym świetnie. Mieszanka tych intensywnych, skrajnych stanów jest zdecydowanie lepsza niż to paskudne uzalanie się nad

sobą. Już wcale nie chce jej się płakać, ma gdzieś nawet depresję matki i jej tandetne sposoby poprawiania nastroju.

– Jestem tylko ja! Lady Frida Andersson! Total fanka Lady Gagi. I tylko tu i teraz toczy się moje własne życie. Realne i mocne życie. O niebo fajniejsze niż te wszystkie filmy o kretyńskich nastolatkach i przystojnych wampirach z innej klasy. Nieznajomy świntuchu, jestem do pana usług... – deklaruje cicho. Chyba zbyt cicho, żeby ją usłyszał, ale kto go wie.

Przez jakiś czas – tylko w marzeniach – Frida zabawia się z tym dziwnym panem z okna w kotka i myszkę, a kiedy jej krótkowzroczne oczy przystosowują się do odległości, rozpoznaje, że to, co on ma w dłoni, wcale nie jest ostrzem, tylko aparatem fotograficznym. I zaraz czuje coś w rodzaju ulgi: najwyżej zrobi jej kilka fotek. Przecież nie może wzgardzić widokiem azjatyckiej pupki wiercącej się na lepkiem od upału siodełku?

Obserwując fotografa, nabiera na coś ochoty, chociaż z drugiej strony ma w sobie ten lęk, który nakazuje jej mocno trzymać się kierownicy i być gotową do ucieczki, ale w końcu nic sobie z tego nie robi, całkiem swobodnie zsiada z roweru i przez moment udaje, że poprawia łańcuch.

Jest pewna – ma ją w centrum obiektywu. Zaczyna kołysać biodrami, niespiesznie, ruchem wahadłowym. Odczuwa nieznaną, skondensowaną przyjemność. Potężną, intensywną, nieporównywalną z innymi zabawami solo. Dotąd na nikły procent tej przyjemności musiała długo czekać, oglądając porno w Internecie, ale tym razem zadowolenie jest natychmiastowe. Może dlatego, że po raz pierwszy dzieli to doznanie z realnym mężczyzną. On jest kilkanaście metrów dalej, ale to nie ma żadnego znaczenia. Również to, że go nie zna, że widzi go pierwszy raz w życiu, i to dopiero od kilku minut.

Cholera, czy to miłość od pierwszego wejrzenia? Boże, Lady Gago, spraw, żeby on czuł to samo! *Help me! Please, help me! Now! Right now, help me!* – chaotycznie rozmyśla fragmentami zapamiętanymi z piosenek. Już dawno zauważyła, że kiedy obywa się bez szwedzkiego, przestaje być taka dramatycznie smutna, a robi się popowa i cholernie odważna. Ale nie aż tak, żeby porzucić rower i wejść do domu tego faceta.

Chciałaby jednak, żeby jej życie wreszcie przestało być nędzną imitacją wirtualnych szaleństw. Pragnie, żeby coś się wydarzyło, niechby potem nawet skończyło się płaczem, jak na przykład miłość Mikaela i matki.

Man, look at me, just like I am! – intonuje kilkakrotnie, jakby się modliła albo powtarzała mantrę. Wargi poruszają się coraz szybciej, gubią sylaby, końcówki wyrazów, aż język drętwieje i Frida może już tylko gwizdać. Robi to często. Zwłaszcza kiedy jest bardzo smutna, ale teraz to co innego. Teraz jest szczęśliwa. Naprawdę ma dobry humor. Czy to, co czuję, to euforia? – śmieje się prawie na głos. Pomimo to, niespodziewanie nawet dla siebie samej, wskakuje na rower i odjeżdża. Jeszcze tylko na moment wykręca szyję i łapie jego spojrzenie. Jest taki cholernie stary – stwierdza – jest taki nieziemsko brzydko-piękny i chyba stać go na różne cholernie cudowne i niebezpieczne pomysły.

Wie jedno: była dla niego na tyle ważna, że zrobił jej masę zdjęć. A to dopiero początek. Tak jej podpowiada siódmy zmysł, ta pieprzona intuicja, w którą by nie wierzyła, gdyby nie fakt, że nigdy jej nie zawiodła.

Jedzie dalej, podskakując na garbach z piachu. Jest już na wąskim wyboistym dukcie, który zygzakiem tnie przeredzony przez zeszłoroczną nawałnicę las i dociera do tak gęstego drzewostanu, że wydaje się, jakby natrafił na mur. To tu Frida zatrzymuje się i zsiada z roweru. Zmęczona, kuca, by szybciej wyrównać oddech, i właśnie wtedy jej nastrój wywraca się na drugą stronę. W jednej chwili. Jak gdyby wewnątrz siebie, gdzieś w sercu, miała przycisk zmieniający wszystko z jasnego na mroczne. Z wielkiej radości na głęboki smutek. W ułamku sekundy wracają ponure myśli i ciemne uczucia. Znowu jest nieszczęśliwa, samotna i wie, że niczym nie zlikwiduje trądziku na czole, bo wypróbowała już wszystkie leki i domowe sposoby ściągnięte z Internetu. Oprócz krost jest jeszcze mnóstwo problemów, które sprawiają, że chce jej się już tylko wyć. Przez moment próbuje wziąć się w garść, nie tonąć w rozpacz, prostuje się, chodzi bezładnie w tę i z powrotem. Wydaje się, że o czymś intensywnie rozmyśla, bo od czasu do czasu niespodziewanie robi gwałtowny gest lub czubkiem buta kopie wystający z pobocza kamień. Przystaje i tkwi całkiem nieruchomo, a jej kończyny tak doskonale przywierają do tułowia, jakby na przegubach miała kajdanki. Zaczyna płakać.

Szlocha na głos, a temu, kto ją teraz obserwuje, przychodzi na myśl, że to nie płacz, ale wycie wilczka. Ślicznego, zagubionego zwierzątka. Po cóż ma żyć, skoro jest nieszczęśliwe? Jak można mu pomóc? Czy życie jest coś warte, jeżeli ofiaruje nam tylko cierpienie...?

Gałęzie sięgają podglądaczowi dobrze ponad głowę, mała nie może go wypatrzeć, mimo że skrył się tylko kilka metrów od niej. Nawet czuje jej zapach, ciężkie perfumy z łatwością rozchodzą się w suchym powietrzu. Słyszy płacz... ach, jakże mu się podoba ten korowód jęków i szlochów! Jest w nim zarazem coś dziecięcego i dziewczęcego. Wstrzymuje oddech, by lepiej słyszeć, a wtedy przyjemność, jaką odczuwa, potęguje się i objawia wzwozem.

Mała – niestety – uspokaja się. Wyciera oczy i powoli wraca do roweru, podnosi go z ziemi, wskakuje na siodełko. Jeszcze nie rusza, nieruchomieje, jakby nagle zdała sobie sprawę z czyjejś obecności. Ale to tylko złudzenie, nic nie odkryła, poprawia tylko włosy i wyciąga materiał stringów z suwaka w szortach, na koniec – zamyślona drapie się w ramię.

Wtedy on nie wytrzymuje: pociera dłoń o dłoń. Lateksowe rękawiczki wydają cichy odgłos. Czuje się gotowy, bardzo gotowy, ale musi się powstrzymać. Trzeba działać według planu, spontaniczność może go zgubić, wie o tym. Dlatego poczeka, aż mała odjedzie, i wróci do domu, zaledwie na moment, tyle by posiedzieć przed wyjściem. To zawsze przynosi szczęście, tak mówiła matka. A on jej słucha. Nawet teraz, kiedy już nie żyje od dobrych paru lat. Strach przed duchem zmarłej matki jest równie silny jak ten dawny przed matką żyjącą, chodzącą, bijącą i głodzącą. Nie ma wątpliwości: tak silna kobieta nie rozpada się w trumnie. Nadal patrzy na syna, z tym swoim krzywym uśmiechem, grymasem, który obnaża szare dziąsła. Obserwuje go, jest tego pewien. Dlatego nie wolno mu spartaczyć roboty. Matka musi być z niego dumna.

Ponownie pociera dłoń o dłoń. Guma piszczy jak rozdeptywana mysz, której wczoraj również nie dał żadnych szans.

Wrócił do domu po serii ćwiczeń w lesie. Noga zdecydowanie mniej bolała, niż kiedy wstawał z łóżka. Rozciągnął ścięgna, wymasował kolana. Zauważył, że nic już nie pozostało z chłodniejszych godzin poranka. Powietrze zdążyło się nagrzać, a mgła nad jeziorem wygląda jak para nad kipiącym garnkiem.

Spojrzał w lustro w przedpokoju i od razu zauważył, że twarz mu się zaokrągliła. Matka byłaby zadowolona; lubiła powtarzać, że wygląda jak zabiedzony szcurek. Chyba nowy rytm dnia bardziej mu służy niż wieczne podróże, zmiany czasu i stres: czy zdjęcia będą dobre. Nuda... nie lubił jej, ale go relaksowała; gdyby jeszcze potrafił się pozbyć tego wewnętrznego

napięcia, ucisku w mostku – byłoby całkiem przyzwoicie. Mógłby się tu nawet zestarzeć. Zrobił kilka min do lustra i poszedł do kuchni.

Teraz nazywa się znowu Lars Olsson, po latach powrócił do prawdziwego nazwiska. Całe zawodowe życie pracował pod pseudonimem, wyrobił sobie markę, był znanym fotografem prasowym. Zasłynął zdjęciami dzieci: głodujących, dźwigających kałasznikowy, leżących na ulicy, w rowie, w szpitalu polowym, bez nogi, z otwartym brzuchem lub z wyrwą zamiast oczu. Ale wystarczyło to jedno, które przyniosło mu wiele międzynarodowych nagród, z World Press na czele. To słynne zdjęcie zrobił zresztą całkiem przypadkowo, według zasady, jaką wyniósł ze szkoły fotografowania, że trzeba po prostu non stop naciskać migawkę – to, co najlepsze, nigdy przecież nie da się zaplanować.

I tak też się stało. Od niechcienia uwiecznił coś, co najpierw poruszyło sumienia intelektualistów, którzy nazwali ten obraz „współczesną Pietą”, „dziećmi Hioba”, „worem Kaina”. Nie wiadomo kiedy zdjęcie stało się modnym gadżetem, współczesnym totemem, poprelikwią aktywistów, antyglobalistów, pacyfistów, lewaków i wszystkich mniej lub bardziej spełnionych undergroundowych artystów, którzy umieszczają tę fotografię, gdziekolwiek się da: na znaczkach do klap, naszywkach, koszulkach, brezentowych torbach i plecakach. Reprodukcję można kupić w największych sklepach internetowych. Jako magnes na lodówkę albo plakat w ramce. Wybieraj, na co masz ochotę. Demonstruj, jak chcesz. Praca znakomicie wpisuje się w trendy filozofię: *Make peace, not war*. Każde pokolenie z euforią czystej duszy odkrywa ją na nowo. Kiedy gdzieś na świecie wybucha konflikt zbrojny, natychmiast jest powielana. Z powodzeniem konkuruje z koszulkami z twarzą Che Guevary, wczesnej Madonny, wizerunkami marihuany czy szalonym uśmiechem Jacka Nicholsona z filmu Kubricka *Lśnienie*.

Przychody Larsa nie maleją. To pozwala mu dobrze żyć i nawet się nudzić. Oczywiście nie jest aniołem, zdarzało mu się w wywiadach deklarować, że zyski przekazuje dla organizacji charytatywnych zajmujących się pomocą dla uchodźców. Ale teraz, w nowym życiu, nie udziela wywiadów. Anonimowość powinna go ochronić. Taki powziął plan na najbliższe lata. Ma nadzieję, że znowu wybuchnie jakaś głupia wojenka, najlepiej jak najbliżej przekarmionej fast foodami i gadżetami Europy, a wtedy jego tantiemy z kultowego zdjęcia wzrosną.

On sam nie ma w domu ani jednej odbitki, tylko reprodukcję w laptopie, na pierwszej stronie swojego Bookpressu. Foliowy worek na śmieci szczelnie wypełniony głowami cywilów. Żydów czy Arabów, Serbów, kto to wie. Przy pierwszym wejrzeniu ma się wrażenie, że fotograf wszedł z aparatem do czarnego worka pełnego rybich flaków. Dopiero dłuższy ogląd sprawia, że całość układa się w inny kształt, ludzki i jednocześnie nieludzki.

W wywiadach często go pytano o to zdjęcie. Zwykł wówczas kłamać, że zwymiotował zaraz po naciśnięciu migawki. Gównem prawda, szybko poleciał do wozu i przerzucił je do komputera, nie mogło się zmarnować. Ale nie przypuszczał, że wyjdzie aż tak dobrze. Zaglądając do wnętrza pakunku porzuconego na skraju drogi, nie zarejestrował, że oczy w byle jak odciętych głowach są otwarte. Były idealne. Sprawiały wrażenie „kapitalnie martwych, a zarazem czułych i obserwujących”, jak się wyraził jeden z krytyków.

Dopiero po roku czy dwóch to zdjęcie zaczęło coś Larsowi przypominać. Jakiś epizod z własnego życia. Taki, który chce się skasować, tylko jak, u diabła, dorwać się do klawisza **DEL**...

Po kolejnej wyprawie do Afryki Środkowej, gdzie, ogólnie mówiąc, spotkało go wiele złych rzeczy, postanowił, że nie będzie już fotografował wojny. Jednak dokumentowanie pokoju i pstrykanie ślicznych obrazków w ogóle go nie interesowało.

Przez pierwsze miesiące po tej decyzji redakcje dzienników nie chciały go tak łatwo puścić, nękały coraz to nowymi zamówieniami, w końcu jedynym rozwiązaniem wydało mu się to najbardziej radykalne: rezygnacja z posługiwania się pseudonimem, powrót do prawdziwego nazwiska, likwidacja starych komórek i skrzynek mailowych, a w końcu wyprowadzka ze sztokholmskiego loftu do rodzinnego domu niedaleko jeziora Skiresjön. Tu się urodził ponad trzydzieści pięć lat temu w nieistniejącym już, bo spalonym, szpitalu położniczym, zaledwie kwadrans drogi od Vimmerby, gdzie przyszła na świat Astrid Lindgren, autorka książek, które on zawsze uważał za dziewczynskie i głupie. Coś w rodzaju retro prozaku dla dzieci, głodnych, poniewieranych przez rodzeństwo i niewidocznych dla rodziców. Utopijna wizja szczęśliwego dzieciństwa, którego on sam nie zaznał.

Pobliskie Vimmerby wyznaczało niewidzialną granicę. Tam była szwedzka eksportowa rajska kraina, nostalgiczne domki z białymi okiennicami, szczebiot dzieci z Bullerbyn: „Ach, jak dzisiaj pięknie kurzy!”, namiot w lesie i słodka lemoniada. Tu, w okolicach jeziora Skiresjön, nikt nie mógł się niczym pochwalić oprócz wielkich bąbli po komarach i cięgach od rodziców. Kurz szczypał w oczy, lemoniada była gorzka i bolał od niej brzuch, a namiot w lesie zawsze się zapadał. Farba z okiennic łuszczyła się ze starości, dzieciaki zaś dorastały szybciej, niż wskazywałyaby na to metryka. To też była Szwecja, ale nie ta eksportowa. Jednak kto jej zakosztował, nie chciał zbyt wiele od życia. Ten brak ambicji niektórym dawał szczęście.

Turyści udający się na południe do Malmö czy Ystad drogą numer 40, przyspieszając na prostej, nawet nie zauważali słabo oznakowanego zjazdu do tutejszej osady, a ci, którzy wracali na północ do Sztokholmu, nigdy nie wypuszczali się dalej niż do pierwszego ronda za Vimmerby, tam gdzie rodzinna restauracja Nybergów zapraszała na ryby z okolicznych jezior, choć od kilku lat i tak przegrywała z lokalnym McDonalodem. Tak więc osada nad jeziorem Skiresjön była dobrze odizolowana od świata. I to właśnie podobało się Larsowi w rodzinnych stronach.

W ciągu zaledwie kilku tygodni po powrocie odpoczął i zregenerował siły, ale wiedział, że musi znaleźć inne przyjemności. Życie bez adrenaliny stresowało bardziej niż codzienna dawka niebezpiecznych wrażeń. Miał pieniądze, sukces zawodowy, kolekcję szalonych romansów, ale nie wiedział, czym zapełnić drugą połowę życia. Do tej pory jego jedyną frajdą było uganianie się za okaleczonymi, zabitymi czy porzuconymi dziećmi z HIV. Co miałyby teraz robić tutaj, pośród lasów i komarów? Na co miałyby apetyt? Nie wiedział. Na razie musiał polubić samotne śniadania, które celebrował aż do południa.

W dniu morderstwa nie było inaczej. Przynajmniej przez pierwsze godziny po przebudzeniu.

Nastawił ekspres przelewowy i słuchając kapania, przeglądał internetowe wydanie lokalnej gazety z Jönköping. Na pierwszej stronie widniała fotografia Markusa J., trzydziestodwuletniego ojca rodziny, który zmarł wczoraj w sąsiedniej osadzie na udar mózgu, podlewając ogródek za domem. A przecież władze apelowały do obywateli o oszczędne gospodarowanie wodą. Upomnienie wyróżniono tłustym drukiem

i upstrzono wykrzyknikami. Znak, że lato przestało być przyjemnością, a stało się zabawą na polu minowym.

Obok zamieszczono mniejsze zdjęcie dwóch synów Markusa J., dla zachowania anonimowości twarze chłopców były zamazane. Zostali sportretowani przy obficie obsypanej kwieciem rabatce, którą zapewne troskliwie opiekował się ich tatuś. Jedna z sierot miała zbyt duże kąpielówki i była zapewne leworęczna, bo właśnie w tej dłoni dzierżyła za oponeń wielką plastikową koparkę.

Kawa była już w szklanym dzbanku. więc przelał ją do małego kubka z masywnego białego porcelitu. Potem niespiesznie zaczął pić smolistą arabikę z brązowym cukrem, gapiąc się na drogę. Rzadko kiedy ktoś tędy przejeżdżał, bo dom stał w bezpośrednim sąsiedztwie wyjątkowo gęstego drzewostanu, na niewielkim wzniesieniu, niegdyś nazywanym w jego rodzinie po prostu górką. Nawet mały wóz dostawczy, którego chrapliwy silnik budził go co poniedziałek, od jakiegoś czasu dowoził produkty do sklepu Björna i Lisy Handssonów okrężną, ale wygodniejszą drogą po drugiej stronie jeziora Skiresjön.

Nagle coś się zmieniło. W kadrze kuchennego okna, zamiast fragmentu zwirowej drogi obramowanej nagimi pniami sosen, zobaczył nastolatkę. Ślicznotkę w skąpych złotych majtkach, przesadnie wiercącą się na rowerowym siodełku.

Oczarowała go jej uroda. Chińska, tajska, japońska. Od razu się domyślił, czyją musi być córką. To krew z krwi i kość z kości Anchee. Jego Anchee. Nadal tak o niej myślał, chociaż ona dawno mu tego zabroniła. A oto jej córka we własnej osobie. Jaka piękna... krucha... delikatna... taka egzotyczna.

Kiedy stąd wyjeżdżał, miała się dopiero narodzić. Przez całą ciążę Anchee siedziała w swym panińskim pokoju na piętrze, tuż nad gabinetem ojca. Kilka razy Lars wszedł po rynnie i zajrzał do środka: zawsze wtedy spała, czy było to wczesne popołudnie, czy wieczór. Jej twarz zwrócona do okna, unieruchomiona przez sen, wydawała się jeszcze bardziej krucha.

To wtedy po raz pierwszy nazwał swoje pożądanie. W kobietach lubił naprawdę tylko ich bezbronność. Niekiedy trzeba było ją wywołać, bywało to trudne. Lubily udawać, że są silne i niezależne. Ale on znał sposoby, żeby przestały tak o sobie myśleć.

Ciągle pamięta duży brzuch Anchee zakryty pasiastym kocem. Jakby włożyła pod koszulę dmuchaną piłkę. A jednak było tam dziecko. Teraz ta mała jest już nastolatką. To odkrycie – oto córka mojej pierwszej miłości – wcale go nie zniechęcało. Wprost przeciwnie, pomyślał, że los daje mu jeszcze jedną szansę. Wreszcie może się odegrać, zmienić swoje przeznaczenie, wyjść z podniesioną głową, a nie, jak kiedy stąd wyjeżdżał, z podkulonym ogonem, niczym przegoniony kundel.

Pomyślał, że ta kusząca kropla azjatyckiej urody jest słabsza w nastolatce niż w matce, ale dostatecznie wyraźna, by nie mógł się oprzeć, powstrzymać i odejść od okna. Ciemne szczeciniaste włosy, niewielkie skośne oczy, drobne kości.

Zatrzymała się i spojrzała w jego stronę. Dopiero po minucie się zorientował, że jej twarz jest poważniejsza, niż się spodziewał. Dziecięca i zarazem doświadczona. Naznaczona przedwczesną dojrzałością. Może tajemniczym zepsuciem, jakimś długotrwałym zmartwieniem czy chronicznym nieszczęściem. Chyba o takich jak ona niektórzy mówią „młoda ze starą duszą”. Ale było również prawdopodobne, że właśnie taką chciał ją widzieć. Na tyle nieszczęśliwą i zrozpaczoną, że aż desperacko gotową stać się kobietą.

Pomyślał, że chyba wyczuła ten jego zachwyt, bo obserwowała go bez najmniejszego skrępowania, patrząc mu prosto w twarz. W końcu zsiadła z roweru, postawiła go na podpórcę i nie zginając kolan, udawała, że poprawia łańcuch. Pupę wypięła dokładnie w jego kierunku, lekko i rytmicznie kołysząc lędźwiami.

Co ona, u diabła, wyprawia? Może przyjechała tu specjalnie, bo coś o nim wie. Jest w niej więcej dziecka – rozmyślał – czy może już więcej kobiety...? A jeżeli to wcale nie córka Anchee, nie ma nic wspólnego z Anderssonami, tylko jest dzieckiem jakichś imigrantów, którzy całkiem niedawno osiedlili się w tych stronach? Ale nie, to musi być jej dziecko, to samo spojrzenie, mieszanka gniewu i czułości, i nigdy nie wiesz, czego w nim więcej. To odrzucanie włosów do tyłu, znak zachęcania i odpychania w jednym geście. Tak czarować może tylko ktoś, kto ma w sobie krew ślicznej Anchee Andersson.

Nerwowym ruchem odstawił kawę, pochylił się, by lepiej się przyjrzeć postaci na drodze, a drugą ręką pospiesznie wymacał stół, jakby czegoś szukał. Znalazł. Dłoń po omacku, ale bezbłędnie natrafiła na aparat

fotograficzny. Od razu poczuł się pewniej. Uzbrojone oko dawało mu poczucie bezpieczeństwa i bezkarności. Nastawił zoom. Tak. Była niezwykła. Soczysta twarz. Kilka piegów na policzku tuż nad linią ust. Wargi niewielkie, ale jakby obrzmiałe. Cieszyły jego wzrok. Szczupłe i zarazem bujne uda. Piękna, rachityczna linia rąk. Sylwetka wiotka jak u dziewczynki z kreskówki. Brak bioder. Pupa zwarta, twarda, niedojrzała wisienka.

Nosiła się wyjątkowo: artystycznie, rockowo, na pewno niepoprawnie i oryginalnie. Ktoś taki bardziej pasowałaby do Nowego Jorku czy Londynu, a nie do małej osady w Skanii. Na górze coś krótkiego, ni to stanik, ni koszulka. Kawał cudacznej szmatki obszytej różowymi cekinami, postrzępionej tak jak kuse nogawki szortów. Na stopach grubo ciosane sandały na koturnach, złote, buciory dobre do dyskoteki, ale na pewno nie na rower. Przypominała laleczkę o niewinnej twarzy, ale w klubowym ubranku sado-maso.

Pomyślał, że pewnie na własne oczy chciała go zobaczyć. Już się rozeszło, że wrócił w rodzinne strony, samotny fotograf, nieco przed czterdziestką, tylko trochę młodszy od jej ojca, ale światowiec, w ciuchach ze sklepu dla młodych chłopaków, z tatuażem na goleni i z krótko ostrzyżonymi włosami, które, jak u rockmana, strzępiły się na środku głowy na kształt irokeza.

Wiedział, że podoba się kobietom, ale czy mógł być atrakcyjny dla dziewczynki? Ta właśnie niechciana myśl przemknęła mu przez głowę, kiedy poczuł na sobie jej wzrok. Dlaczego tak reaguję? Drżą mi dłonie, pocą się uda i zasycha w gardle.

Patrzyli na siebie, Lars i Frida. Dość, by zdążył nabrać pewności, że ten krótkotrwały i niby przypadkowy kontakt wzrokowy jest częścią precyzyjnego dziewczęcego scenariusza, że wszystko sobie zawczasu zaplanowała i teraz z premedytacją przedłuża postój. Stoi tu na odludziu, naprzeciwko jego okna, bez żadnego skrępowania, choć wie, że ją podgląda, bez głupkowatych grymasów, dziewczęcych szczebiotów. Nic, żadnych żartów czy wesołkowatego mizdrzenia, nic z tego. Była w tym wszystkim jakaś powaga, rodzaj wyrafinowanej hipnozy, żadnej emocjonalnej tandety. To jej kołysanie biodrami, niespieszne, transowe... Miał pewność, że to nie wakacyjny wygłup.

Ciało tej małej tańczyło, a twarz pozostawała poważna, jakby przynależała do innego, niecielesnego wymiaru. Czy zdjęcia uchwycą tę dwuznaczność? Nawet nie spieszyła się widokiem aparatu. Jakby na to właśnie czekała. Tak jak kiedyś jej matka, pozowała niczym modelka: neutralna, obojętna, najzupełniej zwyczajna. Ale tylko pozornie, obiektyw wydobył smutek.

Nie była to zwykła chandra nastolatki, raczej coś w rodzaju rodzinnej melancholii, ona i jej matka, dwie współniczki. Pomyślał, że dzielą ze sobą jakiś sekret, wcale nie infantylny, dziewczyni czy babski. Ta wspólna tajemnica musiała się wiązać z tak wielkim cierpieniem, że nie miały w sobie dość mocy, by je skrzętnie ukrywać.

Od ponad dwudziestu lat dzień w dzień Lars Olsson fotografował ludzi pod różnymi szerokościami geograficznymi i nauczył się czytać emocje, szczególnie te schowane pod maską przeciwnych uczuć. Na portretach jego autorstwa roześmiana twarz okazywała się podszyta smutkiem. Piękność ujawniała swój szkaradny rewers, z powagi sączyła się kpina. Dlatego właśnie gazety tak chętnie kupowały jego zdjęcia. Nic na nich nie było takie, jak się wydawało od pierwszego wejrzenia. Nieprzezroczyść stała się jego znakiem rozpoznawczym. Jego marką.

Nagle nie mógł już dłużej naciskać migawki. Świadomość, że chce mieć tę dziewczynę, zawładnęła nim z taką siłą, że ogarnęła go panika. Zapragnął głaskać jej jedwabiste włosy, zaplatać warkocze, ścisnąć kościste ramiona aż do bólu.

Lata wypraw fotograficznych były dlań okresem intensywnej aktywności seksualnej, ale nigdy pożądanie nie było tak gwałtowne, silne, zwierzęce i obezwładniające jak to, które wzbudziła w nim mała rowerzystka.

Dobrze, że w końcu, po kilku minutach kołysania biodrami, leniwie usiadła na siodełku, i wtedy, tuż przed odjazdem, jeszcze raz popatrzyła w stronę okna. Spojrzenie było długie, mocne, nawet zuchwałe. Zanim odjechała, wierząc się przesadnie, zdążył zrobić kilka dodatkowych szybkich ujęć. Nie mógł się powstrzymać.

Dopił kawę, usiłując zachować całkowity spokój. Nie było to łatwe. Dziewczynka z rowerem była pierwszą osobą, którą sfotografował po wyprowadzce ze Sztokholmu.

Ostatnio rzadko chwycił za aparat, choć pozostał mu nawyk trzymania go zawsze pod ręką. Zdjęcia robił sporadycznie i tylko dla przyjemności. Najczęściej rudemu kotu sparalizowanej sąsiadki, wymykającemu się na pola w poszukiwaniu myszy. Była jeszcze cała seria lokalnych suchorośli, dziwnych wydłużonych traw kępiasto pokrywających dawny warzywnik matki, teraz zdziczały i zachwaszczony.

Kiedy ochłonął, przerzucił zrobione zdjęcia do komputera. Teraz mógł się im dokładniej przyjrzeć. Na pozór nie było w nich niczego nadzwyczajnego, a jednak ponownie wzbudzały w nim dziwne uczucia, których wolał nie nazywać. Następne pół godziny bawił się Photoshopem. Oko. Kciuk. Stopa w ciężkim sandale. Fragment ciała stawał się oddzielnym zdjęciem.

Zanim wyszedł po papierosy, rzucił okiem na ostatnie fotki, zrobione tuż przed odjazdem rowerzystki, kiedy już siedziała na siodelku, gotowa odepchnąć się czubkami butów.

Nie ruszała się, również on nie drgnął, był tego najzupełniej pewien, a jednak wszystkie fotografie okazały się poruszone. Dodało to kadrom dynamiki, ale równocześnie stworzyło osobliwy nastrój. Było w nich coś, co zarazem niepokoiło i kołysało.

Głód nikotyny się wzmagają. Odczucie zasysania w żołądku rozrastało się na resztę ciała. Mimo to powiększył rozchylone usta rowerzystki; język miała przebity kolczykiem. Srebrna tandetna kulka wydawała się całkiem gładka, ale kiedy zrobił powiększenie, okazała się wizerunkiem czaszki z rozwartymi kośćmi żuchwy. Był to wyraz przerażenia, potwornego cierpienia, największego bólu.

Odszedł na dwa kroki od komputera, w pośpiechu dopił zimną kawę. Wiedział, że musi szybko pobiec na stację benzynową po papierosy. Pragnienie zaciągnięcia się dymem aż po koniuszki płuc powodowało już drżenie rąk i lekki pulsujący ból w skroniach, ale zamiast iść do sklepu na stację benzynową, ponownie usiadł przed laptopem. Czy ta mała mogła wygrać z nałogiem? Może to ona stanie się jego nową używką? Jej wizerunek hipnotyzował. Olsson nie mógł się oderwać od zdjęć, próbował oszukać organizm, rytmicznie pstrykając zapalniczką. Nigdy czegoś podobnego nie przeżył. Wpatrywał się w jej twarz, powiększał ją i pomniejszał, odchodził na kilka kroków, by zyskać inną perspektywę, albo zbliżał twarz do ekranu i mrużył podrażnione jego światłem oczy. Sam nie

wiedział, czego właściwie szuka. Może chciał zarejestrować jakiś detal, pozornie nieważny szczegół, który jak właściwie pociągnięta nić rozsypła kłębowisko uczuć w jego sercu.

Piekielny upał. Powietrze straciło klarowność. Kilkadziesiąt domów w okolicy jeziora Skiresjön wydaje się spowite ołowianoszarą płachtą, dziwnie lepka, jakby niebo opuściło na osadę gigantyczny lep na komary, które w tym roku dokuczają z wyjątkową zajadłością. Do morderstwa zostały jeszcze niecałe pięćdziesiąt dwie minuty. Ten, kto je popełni, już słyszy cykanie zegara, cierpliwe odmierzenie czasu do punktu zero.

Metronom zagnieździł się w jego umyśle. Cyk-cyk-cyk. Jego serce uderza jeszcze szybciej. On się boi. Chce to zrobić jak najlepiej i właściwie będzie to jego debiut. Bo tamten raz chyba się nie liczy. Nie przyłożył do tego ręki, dlatego w pewnym sensie to będzie dopiero jego pierwsza ofiara.

Lęka się, czy wszystko pójdzie dobrze, równocześnie przenika go dziwna radość, ekscytacja przypominająca oczekiwanie na prezenty pod choinką. Nie jest już dzieckiem, nienawidzi świąt i przymusu dobrej zabawy, ale teraz znowu, po tylu latach, poddaje się temu nastrojowi wyczekiwania. Na podarunek od losu.

Robi mu się sucho w gardle, przełyka ślinę, kilkakrotnie. Nic nie pomaga. Ręce się pocą, ale to dobrze, bo lateksowe rękawiczki lepiej się wtedy naciągają. Nie może się doczekać, kiedy nałoży dłonie na czaszkę. Od tyłu, tak by ramiona czuły linię szyi ofiary. Nie może odżałować, że jego palce będą w ochronnych rękawiczkach. Wolałby czuć ciało. Ciągłe ciepłe. Ciągłe żywe. Z każdą chwilą coraz bardziej stygnące.

Wrócił z lasu i zastał wszystko przygotowane. Drut z kolczastymi supłami oblepiony plastrem opatrunkowym. Ogumione palce nie będą się na nim niepotrzebnie ślizgać, kiedy zadzierzgnie go na szyi.

Cały dom jest zagracony i tylko stół w kuchni został starannie uprzątnięty. Jakby był najważniejszym sprzętem, jakby był jego ołtarzem. On spogląda na gładką dębową powierzchnię. Od dwóch dni leży tam resztką dwustronnego przylepca w kolorze bawarki. Kiedy go zobaczył w sklepie, od razu miał pewność, że będzie znakomicie wyglądał na opalonym ciełe.

Do tego ostre nożyczki, grube wełniane skarpety, które naciągnie na buty, i gumowe rękawiczki. Zrobi tylko kilka kroków, więcej nie da rady, ale każdy ruch ma doskonale przećwiczony. Wystarczy mu sił. Pojawi się

i odejście bez śladu. Zupełnie tak, jakby morderca zstąpił z niebios do szyi ofiary.

Wszystko przygotowane, kupione już rok temu. Oczywiście nie posłużył się kartą. Musi być niewidoczny, nawet na długo przed zbrodnią. Zapłacił gotówką. Zakupu dokonał kilkadziesiąt kilometrów stąd, w wielkim sklepie nieopodal parku atrakcji. Zawsze pełno tam ludzi z wrzeszczącymi gówniarzami. Pielgrzymują z całego świata, by się choć trochę poczuć jak te bachory z Bullerbyn.

Takie zakupy można oczywiście zrobić bez problemu w miejscowym sklepiku Björna i Lisy Handssonów, tuż przy zapadniętym od wilgoci moło, ale wtedy łatwo by go namierzyli. Lisa jest wścibska, zapamięta, nieczęsto przecież zdarza się amator drutu kolczastego. Chyba zresztą musiałby go zamówić, a wtedy na pewno by to zapamiętali.

Nie mógł działać pochopnie, uważali go za głupka, ale on swoje wiedział. Trzeba dobrze wszystko zawczasu przygotować, przemyśleć, zatrzeć ślady na długo przedtem, zanim się je pozostawi.

I było coś jeszcze w tych drobiazgowych czynnościach wstępnych. Precyzyjne ustalenie kolejności działań zwiększa prawdopodobieństwo, że sama chwila zabijania będzie dokładnie taka jak w marzeniach. Nie rozproszą go niespodziewane okoliczności. Skoncentruje się już tylko na zadawaniu śmierci. Dopiero wtedy, kiedy nie będzie żadnych zakłóceń i wszystko przebiegnie pod kontrolą, zgodnie z planem, odbieranie życia stanie się prawdziwą przyjemnością, a nie pospieszną fuszerką.

Zdjęcie leży na stole.

Od kilku dni nie stał tam żaden talerz, kubek, nie było żadnej łyżki czy kawałka chleba. Nic, tylko ta fotografia. Na sztywnym starym papierze. Dziś już takich nie robią. Ale zdjęcia retro dobrze się przyszpilają pinezką do drewna i dobrze się drą. Nie stawiają oporu, są też miłe dla opuszek palców.

Te nowoczesne, zrobione aparatem cyfrowym... nie, nie uważa ich za prawdziwe, nic nie utrwalają, mijają się z prawdą. Można je dowolnie obrabiać, retuszować, coś zakryć, a coś zostawić. Są nic niewarte. Dlatego od pewnego czasu nie pozwala się fotografować. Dokładnie od kilku lat. Nie dał zrobić sobie zdjęcia, ale też nikt nie chciał go uwiecznić. Woli o tym nie myśleć, lecz w dzieciństwie było chyba podobnie. Nic się nie zmieniło.

Przybliża się do stołu i patrzy. Jego przyszła ofiara. Widać całą postać na tle dobrze przystrzyżonego trawnika. Ciało na fotografii ma kilkanaście lat, wydaje się sprężyste, z nie za mocną opalenizną, w sam raz pasującą do plastra, którym obwiązał drut kolczasty.

Jaka ładna twarz, pomyślał, taka pogodna, zadowolona z życia. To morderstwo będzie wybawieniem. Nigdy ta buzia nie pokryje się zmarszczkami, a wory tłuszczu nie przysłonią ufnych oczu. Spojrzenie pozostanie młode, żywe, niezmacone zgorzknieniem ani kataraktą. Oczywiście nie będzie to mord z litości, żaden tam rodzaj przedwczesnej eutanazji czy akt pokonania starości w wyścigu do śmierci. Motywy są całkiem inne. Już na samo ich wspomnienie poczuł strumień tak silnej agresji, że aby się wyciszyć, musiał gwałtownie podrzeć zdjęcie.

Rozerwał papierową ofiarę na małe kawałki i spalił na środku emaliowanej miski. Pomyślał: Popiół przyda się na kompost. Zachichotał: Tego nigdy za wiele. Na piaszczystym zagonie za domem rośnie tylko szczypior, a i on dziczeje, staje się łykowaty i kwaśny. Nie da się go jeść z samym chlebem, trzeba dużo masła i soli, żeby można go było przełknąć bez grymasu.

Piekielny upał. Do morderstwa zostały trzy kwadransy. Żeby się udało, trzeba się ruszyć. W drogę! I niech szczęście mnie nie opuszcza! Niech fart mi sprzyja! Niech krew ładnie się ślizga na waniliowym lateksie, zaśmiał się zadowolony.

Od samego rana był w dobrym humorze. Nie zdarzało się to często. Ostatnimi laty, kiedy powrócił w okolice jeziora Skiresjön, zawsze wstawiał zły i tylko dobry Bóg musiał coś o tym wiedzieć, bo trzymał ludzi z dala od niego.

Dziś on Go przechytry, z szerokim uśmiechem na twarzy wyjedzie na spotkanie ofiary. Jego dobry nastrój na pewno jej nie odstraszy. Co jak co, ale uśmiech ma ujmujący. Ćwiczył go przed lustrem. To uśmiech dobrego człowieka, kogoś poczciwego. W dodatku ma jeszcze wszystkie zęby, równe i białe. Wyglądają jak sztuczna szczęka zrobiona za niemałe pieniądze. Ludzie z takimi zębami pokazują się w telewizji. Jego nigdy tam nie zaproszą. Jest skazany na tutejszy las. Nawet w najjaśniejszy dzień zawsze mroczny. Ale on wykorzysta ten cień. Scenariusz składa się z detali.

Najpierw więc wejdzie pomiędzy te cztery sosny tuż za placem po dawnym szpitalu. Rozpleniły się tam tak gęste krzaki, że jeśli nie uniesiesz

głowy, by policzyć czubki drzew, nie dowiesz się, ile pni chowa się w gęstwinie. Nikt go nie zobaczy w tych zaroślach. Tylko ona. Z pięknym uśmiechem zajedzie jej drogę, a ona zaśmieje się szybko i powie:

„Ale mnie przestraszyłeś”.

„Do twarzy ci w strachu” – odpowie uprzejmie i ona znowu się roześmieje.

Głuptaska, na pewno będzie myślała, że jak zwykle porozmawiają o upałach, komarach i hordach ludzi zjeżdżających do parku atrakcji Astrid Lindgren.

„Ci turyści, gorsi niż komary” – odezwie się, kiedy ona będzie już grzebała w torebce, szukając pieniędzy. Zawsze dawała mu je z taką delikatnością, nie jak żebrakowi, ale jak komuś, komu się należą. Dobrze wiedziała, że pozbycie się wyrzutów sumienia ma większą wartość niż najcięższa praca.

Potem zawsze pytała o jego zdrowie i starała się nie patrzeć, jak chowa banknoty pod piętę w buciorze. Szybkim, niemal agresywnym ruchem.

Tym razem zaplanował dla niej inny rozkład dnia. Zajedzie jej drogę, a ona jak zwykle westchnie: „Ale mnie przestraszyłeś”. Potem uśmiechnie się i zaraz potem przestraszy. Już na serio. Śmiertelnie się przestraszy.

2



Tego dnia, gdy jej córka Frida po kolejnej awanturze włożyła te swoje stroje w stylu Lady Gagi i pomimo spiekoty wybrała się na wyprawę rowerową, Anchee Andersson wpadła w fatalny nastrój. Postanowiła cały dzień polegiwać na sofach i fotelach, których w obszernym domu nie brakowało.

Kiedy nie wychodziła do pracy, lubiła mieć małą blisko siebie. Obecność córki, choćby nawet zamkniętej w swoim pokoju, dawała jej złudzenie, że nad wszystkim doskonale panuje. Ma ładny dom, miłą córeczkę i wcale nie musi chodzić dookoła chińskiej szafki, żeby poczuć się odrobinę pewniej na tym świecie.

Gdy Frida była w szkole albo, tak jak teraz, na wycieczce rowerowej, Anchee nie odstępowała myśl, że w obdrapanym niepozornym mebelku czeka na nią cała masa aspiryn, ibupromów, apapów i tych cudownych małych drażetek na chorobę lokomocyjną. Miała po nich niezły odjazd, nie ruszając się wcale z fotela.

Wiedziała, że jeśli nie przekroczy miarki jednej garści, wszystko będzie dobrze aż do wieczora. Może nawet posprząta wreszcie tył garażu albo zejdzie na dół zobaczyć, co tam u matki, a potem zrobi sałatkę z sera, zielonego groszku i grzanek, bo Frida po przejażdżce będzie na pewno bardzo głodna.

Ale było jak zwykle. Już po kilku minutach, zaraz po wypiciu pierwszego aptecznego drinka, Anchee przewróciła się, uderzając głową o uchwyt piekarnika. Miała świadomość, że za wszelką cenę powinna postarać się wstać albo chociaż poczołgać do lodówki, wspiąć się, wyjąć lód i przyłożyć go sobie do rosnącego guza, jednak nie miała na to ani siły, ani ochoty. Wolała leżeć. Jak zabawka porzucona przez dziecko na środku kuchni.

Tkwiła tak długie minuty, obserwując słońce, które przedzierało się przez płócienną roletę w kuchni, i ten widok ani trochę jej nie znudził. Po kilku kwadransach poczuła, że musi iść do toalety, tylko właściwie po co, skoro i tak dziś robi wielkie pranie. Zrobiła więc siku w majtki i leżenie nie było już takie przyjemne, ale dało się jakoś przetrwać tę niedogodność przez następną godzinę czy dwie.

W końcu musiała usnąć, snem głębokim i orzeźwiającym, bo ledwie otworzyła oczy, bez problemu wstała, energicznie pobiegła do łazienki, wzięła szybki prysznic, zmieniła ubranie i postanowiła, że pójdzie na małą przechadzkę.

Kiedy zawiązywała sznurowadła adidasów, jej wzrok zatrzymał się na przegubach dłoni, żyłastych i brzydkich. Zauważyła, że skóra zrobiła się pergaminowa i bardziej żółta. Jeszcze kilka lat i będę wyglądała jak moja matka. Mała pomarszczona Azjatka wśród dorodnie starzejących się Szwedów, rumianych i krzepkich do samej śmierci. Pracowała w domu starców. Widziała, jak umierają. Do samego końca w pełni sił. Jakby nie oklepywano ich talkiem po kąpieli, tylko polewano formaliną.

Azjatyckie pochodzenie skazało skórę jej matki na przedwczesne wysuszenie. Przy drobnej posturze wyglądała teraz jak laleczka z antykwariatu. Tym właśnie ona się stanie. Klonem matki. Żółtym, starym ufoludkiem w ślicznej krainie Bullerbyn.

I kiedy, u diabła, wróci Frida? Nawet nie wzięła wody, pomyślała, kiedy natknęła się na bidon pozostawiony na kuchennym stole. Zbyt wcześnie urodziłam dziecko, ale czy później byłoby lepiej? Pewno nie. Takie neurotyczne osoby jak ja nie powinny w ogóle mieć dzieci. Za bardzo skupiam się na sobie, ale tego właśnie potrzebuję. Jestem samotną matką, nikt inny się o mnie nie troszczy, rozmyślała chaotycznie, szukając okularów słonecznych, a wychodząc, trzasnęła energicznie drzwiami, by dodać sobie otuchy. Miała ochotę komuś przyłożyć. To by ją zrelaksowało! Pomyślała, że chyba kupi sobie przez Internet gruszkę bokserką.

Ale zaraz, tuż za progiem, ogarnęła ją panika. Musi bardzo uważać, żeby w czasie spaceru nie natknąć się na Larsa. Wrócił w rodzinne strony. Wprowadził się do domu po ojcu. Kto by pomyślał! Pan światowiec. Po tylu latach atrakcyjnego życia do chatki na górcie. Dlaczego to zrobił? Chyba nie po to, żeby ją dopaść? Zrobił karierę, dostał wiele prestiżowych

nagród, fotografował z wielką wrażliwością najstraszliwszą nędzę, ale czy to sprawiło, że stał się mniej agresywny i zepsuty?

Kiedy jakiś miesiąc temu weszła do sklepu Björna i Lisy Handssonów, właśnie o nim mówili. Podobno nic się nie zmienił, jedynie zmęźniał, wyprzystojniał i utyka. Ale chodzi całkiem sprawnie, szybko się przemieszcza, tyle że powłóczy jedną nogą.

Przysłuchiwała się rozmowie, udając, że wybiera płatki śniadaniowe, i już się bała, już czuła suchość w gardle i miała spocone ręce. W końcu kupiła byle co, nie to, czego potrzebowała, biegiem wróciła do domu i zrobiła sobie koktajl. Dopiero to ją wyciszyło. Miała odlot. Wizje o ojcu Fridy. Kochają się, w pośpiechu, bez słów, jak zwierzęta. To rojenie zawsze przynosiło jej spokój na kilka godzin.

Anchee zauważyła, że z upływem lat zaczęła dostrzegać w ojcu Fridy, Mikaelu – który ją porzucił i wyjechał z miasta, nie dając znaku życia – wyłącznie dobre strony. Już samo to, że zrobił jej dziecko, wystarczyło, by odgonić od niej Larsa.

Mikael widział go tylko raz czy dwa, ale zdążył ją przestrzec, żeby na niego uważała. „Szczególnie gdy zniknie ci z oczu. Nawet jak wyjedzie na koniec świata. Mówię ci, bądź czujna. Tacy jak on zawsze wracają, kiedy się ich nie spodziewasz” – wycedził, obracając w ustach źdźbło trawy. Doskonale pamięta ten moment.

Niespiesznie szła w stronę placu Dzieci z Bullerbyn. Jest tam wielki kamień, na którym lubiła wypalić kilka papierosów, pogapić się przed siebie i odprężyć. Przyszło jej na myśl, że jedyną zaletą tej paskudnej niedzieli jest chyba to, że zaczęła ponownie odróżniać dobro od zła. To Lars jest złym rewolwerowcem w ciemnej przepoczonej burce, a Mikael – dobrym szeryfem w śnieżnobiałej koszuli. I tylko szkoda, że już dawno nie położył kapelusza na jej łóżku.

W dniu morderstwa Zuzę Wolny obudził SMS od brata. Wiadomość zawierała kilka liter, które nie składały się w żadne sensowne słowo. Jednak przekaz był dla niej czytelny: „Kocham cię i tęsknię za tobą”.

Wyplątała się z prześcieradła i poczuła, że w domu jest strasznie duszno, a rozgrzane powietrze wpływa do środka przez otwarte okna. Nie podnosząc się, zadzwoniła do brata. Nawet odebrał. Był bardzo zwinny, chociaż coraz częściej zdarzały się dni, kiedy nie umiał uruchomić połączenia i – jak mówiła matka – wybuchał płaczem na widok komórki.

„On też tęskni” – powtarzała zbyt często. Umacnianie w Zuzie poczucia winy to jej specjalność.

Zamienili ze sobą kilka słów. Brat opowiadał o czerwonym soku w wielkiej butelce, który sobie kupi. Cieszył się, że jest taki słodki, że zlepia palce. Jak klej! Który czterdziestolatek potrafi się cieszyć z prostych rzeczy! Zuza go zapewniła, że już niedługo przyjedzie do niej na wakacje, a wtedy pokaże mu jezioro Skiresjön, zmurszałe moło i swój system chodzenia po nim tak, żeby żadna deska nie poruszyła się nawet o milimetr. Potem wróćą do domu pani Hermansson i ugotuje mu wielki garnek tłuczonych ziemniaków, które zjedzą ze śledziami. A tu są bardzo dobre śledzie. Lepsze niż w Polsce. Tłuste i długie. Jak węże.

Nie powiedziała, że ma nadzieję, iż zdążą się spotkać. Według lekarzy i literatury poświęconej zespołowi Downa brat powinien już nie żyć. Ale jemu nic nie dolegało, tylko coraz częściej gubił słowa i niekiedy potrafił przespać nawet kilka dni.

Telefon do brata wywołał nostalgię, a ta popsuła Zuzie nastrój. Kiedy miała kiepski poranek, starała się jak najszybciej wykonać wszystkie prace pielęgnacyjne przy Agnes Hermansson. Potem szła do swojego pokoju i kładła się na wznak na twardym materacu. Czekwała nie wiadomo na co. Nic się nie działo.

Aż do dnia, kiedy w okolicy jeziora Skiresjön zdarzyło się morderstwo, życie Zuzy Wolny biegło nudnym, ale łatwym do przewidzenia i przez to bezpiecznym torem. Chociaż może coś się zmieniło już kilka miesięcy wcześniej, gdy do pustego domu obok wprowadził się ten fotograf.

Kuchenne okno sąsiada wychodzi dokładnie na maleńką werandę pani Agnes Hermansson. Zaslaniają go co prawda dwie potężne topole, ich drobne bujne listki dają cień, ale również sprzyjają podglądaniu. Dlatego Zuza siadywała w leżaku obok fotela swojej podopiecznej i godzinami obserwowała codzienną krzątanie sąsiada. Dzięki temu całodobowa praca przy chorej nie była tak jednostajna i jałowa.

Na szczęście mężczyzna lubił siedzieć w kuchni i mało wychodził z domu. Nie gotował dużo, zazwyczaj mrożone ryby i mieszanki warzywne, wszystko polewał stopionym masłem. Z satysfakcją zarejestrowała, że nadużywał kawy i papierosów. Widok ludzi, którzy rujnują swoje zdrowie i kondycję, zawsze, odkąd pamięta, napawał ją zadowoleniem. Była taka sama.

Ale przede wszystkim lubiła na niego patrzeć. Przegrywały z nim nawet *Kryminalne zagadki Las Vegas*. I pomyśleć, że jeszcze niedawno tylko ten serial trzymał ją przy życiu tu, na odludziu. Zaczęła zaniedbywać telewizję i jej nie do końca perfekcyjna znajomość szwedzkiego trochę na tym cierpiała, ale żadna wartka opowieść, niespodziewane zwroty fabuły, odkrywanie tajemnic amerykańskich dziedziców fortuny... nic nie mogło się równać z obserwacją braku akcji w domu naprzeciwko. Nie wiadomo kiedy uzależniła się od podglądania sąsiada. Chyba był to sposób na zapełnienie pustego miejsca w jej życiu. Miejsca dla mężczyzny.

Kiedy pani Agnes miała zły dzień, pojękiwała, była pobudzona czy borykała się z biegunką, patrzenie na Szweda wyciszało i uspokajało Zuzę Wolny. Wyobrażała sobie, że jest jej mężem, a pani Agnes – teściową. Oczywiście miała świadomość, że takie rojenia są idiotyczne, ale co z tego, skoro były przyjemne. Przynajmniej nie ma w nich niczego, co by szkodziło zdrowiu, niszczyło płuca czy zakłócało funkcjonowanie wątroby. Wprost przeciwnie, bliskość mężczyzny podwyższała jej zbyt niskie ciśnienie, z którym zmagala się od młodości, wyciszała znerwicowane jelita, przeganiała złe myśli oraz odrywała od obgryzania paznokci do krwi, co w jej zawodzie nie było mile widzianym nawykiem.

Od kiedy dom obok znowu ożył, co dzień patrzyła na nowego sąsiada. Podobał jej się. Pomyślała, że chętnie by go przeleciała. Nigdy nie była z tak dekoracyjnym samcem. Utykał, ale ruchy miał energiczne. Z pasją ciął powietrze. Taką przyjemność z chodzenia mają ludzie, którzy długo byli uwięzieni w gipsie. Ozdrowieńcy, rekonwalescenci... Odkąd udawała dyplomowaną pielęgniarkę, zaczęła mieć słabość do chorych facetów. Praca w wielkim szpitalu dla rannych żołnierzy – oto jej marzenie. A te nocne dyżury...

Na razie wystarczały jej sny na jawie. Sąsiad miał cudowne nogi tenisisty, mocne, z wyraźną linią mięśni goleni i ud, w dodatku zawsze starannie wypielęgnowane, jakby naoliwione. Zapewne był świadomy tego atutu, bo nawet przy wietrznej pogodzie i przelotnych deszczach, których im nie brakowało przed nadejściem lata stulecia, zawsze chodził w płóciennych szortach.

Zuzie podobało się, że jest samotnikiem, nie potrzebuje ludzi, wystarcza mu towarzystwo ekspresu do kawy i godzina przebywania w sieci. Była też

w tym jakaś tajemnica, coś, co rozpalało jej wyobraźnię. Również seksualną.

Zauważyła, że podobnie jak ona sąsiad lubi obserwować harce kota pani Hermansson, rudego chudzielca, którego jej córka przywiozła aż z południowej Skanii, bo tutejsze kotki od dawna się nie kociły.

Dla Zuzy Wolny mężczyzna z domu obok był doskonały, ale w dniu morderstwa wydarzyło się coś, co zmąciło ten idealny wizerunek. Odkryła, że sąsiad robi serię zdjęć nieletniej rowerzystce.

Niby to nic dziwnego, podobno był profesjonalnym fotografem, ale kiedy go nakryła na robieniu fotek tej małej, natychmiast poczuła się nie tyle zawiedziona, ile perfidnie zdradzona i oszukana. Nic nie mogła poradzić, że ogarnęły ją właśnie takie prostackie i trudne do uzasadnienia uczucia. Gdy chodzi o miłość czy pożądanie, maniery i dyplomy ulatniają się w jednej minucie.

Od razu rozpoznała w nastolatce córkę Anchee Andersson, psycholożki z domu starców. Zarozumiałej azjatyckiej piękności, która nagminnie skupowała od polskiego personelu aviomarin – środek na chorobę lokomocyjną.

Córka lekomanki wyglądała jak straszdyło w złotych butach i szortach prostytutki. Być może uwieczniał ją na zdjęciach jako lokalne kuriozum. Jednak w tej obserwowanej z ukrycia scenie było coś, co kazało podglądaczce myśleć, że pomimo wszelkich różnic ci dwoje są jak przeciwległe bieguny, które się przyciągają.

To odkrycie sprawiło, że cały świat Zuzy runął jak zamek z piasku. A przecież jeszcze wczoraj drewniany domek pani Hermansson wydawał się sielskim schronem, w którym jedynym przykrym uczuciem jest nuda.

Pobiegła do swojej sypialni, rzuciła się na łóżko i zaczęła szukać pomocy w hipnotycznym gapieniu się na lampę Johanna Andersena. Tym razem nie pomagało. Nic a nic. Ani trochę. Unikatowa forma lampy nie potrafiła ukoić serca. Tak jakby izolacja na zapadłej wsi, brak intelektualnych sporów, rozmów o sztuce, oddalenie od znajomych z galerii – już zrobiły swoje. Żegnaj, wyrafinowana estetyko umysłu! Witaj, prostacka skłonności do myślenia wyłącznie o chłopie! Leżąc w obcym domu, na cudzym materacu, czuła się wypatroszona ze swoich dawnych aspiracji, marzeń i myśli. Była teraz tylko opiekunką chorej. Imigrantką na samym dole drabiny społecznej. Siostrą rozdzieloną z ukochanym bratem,

prawdopodobnie w ostatnich miesiącach jego życia. Powoli i nieubłaganie starzejącą się magister sztuki z fałszywym dyplomem pielęgniarki.

Mam dopiero trzydzieści cztery lata! Mam już trzydzieści cztery lata! Ile jeszcze jałowych lat będę tu tkwiła?

Przyjmując pracę i skazując się na całodobowe zamknięcie z chorą, z którą nie było kontaktu, Zuza Wolny sądziła, że potrwa to góra kilka miesięcy. Tymczasem minął rok, a pani Agnes Hermansson wcale nie chciała odejść z tego świata. Analizy krwi, moczu, pomiary glukozy i ciśnienia miała jeszcze lepsze niż przed udarem. Doskonałe leki i fachowa opieka pielęgniarska zrobiły swoje. Może i wegetowała całe dni na swoim antyodzieżowym materacu i fotelu na kółkach, ale równocześnie w zadziwiający sposób się regenerowała.

Chyba właśnie z powodu niespodziewanie odkrytej fascynacji fotografa roznegliżowaną małolatą na rowerku Zuza Wolny nie była tego dnia zbyt miła dla pani Agnes. Karmiła ją szybko, pospiesznie, przygotowując podopieczną o kaszel i rumieńce na wyschniętej twarzy.

Po drugim posiłku, około południa, umyła starszą panią jednorazowymi chusteczkami do pielęgnacji niemowląt, sprawnymi ruchami nałożyła jej nowy pampers, uczesała, zwilżając rzadkie włosy wodą różaną, by nie jełczały od upału, przebrała w elegancką kloszową sukienkę w karminowe róże i wywiozła na wózku inwalidzkim przed dom, by tam, taka higieniczna i szykowna, Agnes mogła powitać córkę. Karin zjawiała się jak zwykle punktualnie, o wpół do drugiej. Jej kilkumiesięczna córeczka Paris, zmęczona upałem, spała w wózku i obie, Karin i Zuza, zgodnie doszły do wniosku, że lepiej jej nie budzić. Pozostawiły ją pod topolami, upewniwszy się, że słońce nie przedziera się z całą siłą przez ich korony i nie nagrzewa zbyt mocno ciałka dziecka.

Wszystko było idealne, kolejny letni dzień nad uroczym jeziorem Skiresjön. I cóż z tego, że dla kogoś będzie to dzień końca świata? Pozostali przecież ocaleją.

Każdego dnia Karin Frostenson odwiedzała matkę. Przynosiła też drobne prezenty dla jej opiekunki, Polki. Tym razem były to owoce oraz kilkadziesiąt próbek perfum, wszystko wrzucone razem do piknikowego białego kosza z wikliny. Była bardzo zadowolona z pracy Zuzy Wolny. Matka, zawsze doskonale umyta, nie traciła na wadze, bladość cery ustąpiła, a wyniki badań zaskakiwały lekarza domowego.

W czasie gdy Zuza porządkowała podarunki, układając banany i winogrona na wielkiej tacy w kuchni, a perfumy w łazience, Karin wolnym, znudzonym krokiem przechadzała się po rodzinnym domu. Z jej miny widać było, że nie darzy tego miejsca szczególnym sentymentem. Na twarzy miała zawsze ten sam wyraz zaskoczenia, że to właśnie tu, w tych skromnie urządzonych wnętrzach, zaczęło się jej życie. Mieszkała teraz we wspaniałej rezydencji na jednym ze wzgórz po drugiej stronie drogi numer 40. Teren był tam mniej zalesiony, a wnętrza bardziej doświetlone i nie tak depresyjne jak tu. Mieli wielkie okna na całą ścianę, a w ogródku zamiast pokrzywy na zupę i obrzydliwych wiejskich krasnali i sarenek z plastiku – francuski basen w kształcie muszelki.

Stać ich było na wszystko. Karin i jej mąż Tomas dorobili się na internetowym handlu szwedzkimi dekoracjami domowymi. Drewniane latarnie w stylu shabby chic, bielone rustykalne świeczniki na parapety, lniane poduchy i zasłony, białe emaliowane misy i metalowe obrazy w stylu vintage. Kupowali je właściciele galerii z całej Europy, głównie Francuzi i Niemcy, a ostatnio też coraz częściej zamożni Rosjanie.

Frostensonowie zatrudniali kilka kobiet z pobliskich miejscowości do prac biurowych i koordynacji wysyłki towarów z magazynów w południowej Szwecji. Interes kwitł i stanowił dla Karin prywatne koło ratunkowe. Kiedy patrzyła, jak mała Paris uśmiecha się do niej jedynymi dwoma ząbkami, miała nadzieję, że w końcu będzie szczęśliwa. Jeszcze tylko rok, może trzy, i o wszystkim na pewno zapomni. Jej pamięć pozbędzie się czerni i przybierze biały odcień, jak wszystko, co kojarzy się ze Skandynawią.

Również sukces zawodowy miał swój rewers. Im większe pieniądze, tym więcej rozgłosu, a ona nie chciała, żeby grzebano w jej przeszłości. To, jak teraz żyje, ładnie i elegancko, jest tylko politurą dla tego, co było dawniej. Za wszelką cenę chciała uniknąć ciekawskiego sprawdzania, co się pod nią kryje. Dlatego miała jedną żelazną zasadę: nie udzielała wywiadów. Ale w lokalnej prasie już ukazało się kilka artykułów, w których porównywano ją do twórcy Ikei, również urodzonego w tych stronach.

Karin Frostenson wróżyła wielką karierę, namawiano ją do powiększania firmy i tworzenia filii w innych częściach kraju. Ale ona lepiej się czuła w small businessie. Powtarzała, że po prostu lubi wszystko sama kontrolować. Chce każdego osobiście przyjmować do pracy

i wiedzieć wszystko o swoich pracownikach, znać imiona ich dzieci i zwierząt domowych. Prawda jednak była inna. Karin panicznie jej strzegła. Musiała zachować ją dla siebie. Bywały takie dni, że nawet żałowała, że jej się powiodło. Chyba bezpieczniej czułaby się jako anonimowa, niewyróżniająca się niczym obywatelka. Ale wtedy byłaby kimś innym i może nawet nie miałaby Paris, a córeczka była jak balsam na wspomnienie złych dni.

Przez kilka minut Karin posiedziała na tarasie przy chorej matce. Nie chciała się do tego przyznać, ale chyba wołała ją w tej wersji. Przed udarem matka była bardzo wymagająca, despotyczna i chłodna. Zawsze dużo pracowała i właściwie nie prowadziła domu, nie zajmowała się córkami, a gdy miała wolne, wołała, zamiast bawić się z dziećmi, siąść na ławce i w zamyśleniu palić papierosa za papierosem. Lepiej było się trzymać od niej z daleka.

Piła też kawę. Litry kawy w wielkim pięknym kubeczku, który Karin pożyczyła sobie kiedyś do mleka, za co dostała w twarz otwartą dłoń. Nie zaboląło, matka nie miała siły. Była nieustannie niewyspana i zmęczona. Jako położna musiała być na zawołanie nawet w nocy – tego wymagały od niej obowiązki. Mała Karin i jej siostra wiedziały, że mogą liczyć tylko na siebie. To one, a nie matka, znosiły awantury ojca i to na nich wyładowywał swoją złość po alkoholu.

Agnes przyjmowała ich trudne dzieciństwo jako naturalny bieg rzeczy. Sama była córką notorycznego pijaka i leniwej matki, toteż uważała, że Karin z siostrą powinny być z niej dumne. Pomimo niesprzyjających okoliczności zdobyła szanowany zawód i miała własne pieniądze. Dlatego uważała, że to ona rządzi w domu, a z przemocą ze strony ojca należy się pogodzić. Poalkoholową agresję traktować jako krzyż, za który czeka nas nagroda w życiu wiecznym. Amen.

Dlaczego więc Karin tak kochała surową matkę, lgnęła do niej i cały czas chciała zasłużyć na jej podziw? Nad tym właśnie się zastanawiała, kiedy dorosła. Chyba zawsze tęskniła za czymś, co nieosiągalne. Matka pozostała krytyczna i oschła, nigdy nie była z niej zadowolona. Nawet kiedy Karin z Tomaszem dorobili się majątku i zyskali szacunek sąsiadów. Ani razu nie przeszło jej przez usta słodkie słowo. Mały komplement, choćby krótkie zdanie: „No, jestem z ciebie dumna”.

To właśnie matka kazała jej przysiąc, że jeżeli urodzi córkę, to nada jej imię znanej amerykańskiej dziedziczki – Paris. Była przekonana, że zapewni to małej błogosławieństwo i dary od losu na miarę dynastii Hiltonów, o której czytała w kolorowych pismach. I Karin dotrzymała przysięgi. Córeczce dała na imię Paris, chociaż kiedy przywiozła ją ze szpitala, matka była świeżo po udarze i nie miała nawet najbledszego pojęcia, że właśnie została babką.

Taka była Karin. Wymagająca wobec swoich pracowników i pełna pokory wobec matki. Żadnego sprzeciwu. Nawet kiedy mogła się zbuntować bez konsekwencji. Może jak matka umrze, będzie inaczej. Dopiero jej śmierć zmusi ją, by wreszcie dorosła. Może dlatego tak bardzo troszczyła się o jej zdrowie.

Zuza Wolny nie dostrzegała skomplikowanego uczuciowego uwikłania Karin i pani Agnes. Młodą Szwedkę odwiedzającą chorą rodzicielkę zawsze obserwowała z mieszanymi uczuciami. Odczuwała przyjemność z patrzenia na jej ciągle świeżą urodę, ale w pełne podziwu spojrzenia raz po raz wkradała się zawiść. Zazdrościła Karin jej drobnej ładnej twarzy, filigranowej figury, modnych ubrań, przystojnego męża, rozkosznego zdrowego dziecka, wielkich pieniędzy, a nawet portretu ojca. Jej własny miał tylko zdjęcie w dowodzie, który musieli oddać w urządzenie, kiedy przyszli odebrać świadectwo zgonu. Ojciec odszedł zbyt wcześnie. Potrącony przez samochód. Przejechany jak pies na poboczu drogi. Wykrwawił się, czekając na karetkę. Kierowca uciekł z miejsca wypadku, nigdy nie udało się go odnaleźć. Podobnie jak fotografii ojca. Zuza przeszukała wszystkie szuflady. Żadnego portretu. Był tylko na zbiorowych zdjęciach z rodzinnych uroczystości, ale zawsze stawał z boku, w ostatnim rzędzie, ledwo go było widać.

Miała świadomość, że zazdrości Karin, ale jednocześnie w córce pani Hermansson było coś, co nie pozwalało jej nie lubić. Może ta dziwna mina, z jaką patrzyła na matkę. Nie chciała jej oddać do pobliskiego domu opieki. Wolała zatrudnić prywatną pielęgniarkę i codziennie wpadać w porze lunchu. Choć w gruncie rzeczy chyba wygodniej byłoby jej mieć matkę u siebie. Miała przecież olbrzymi dom. A jednak powtarzała, że staruszka pragnęłaby pozostać w ciasnym, ciemnym i niewygodnym domku na obrzeżach osady. Trochę na odludziu, ale zawsze to u siebie. Kiedyś Zuza przytoczyła polskie przysłowie: „Starych drzew się nie przesadza”, a Karin

bardzo się ono spodobało. Nawet nauczyła się je wypowiadać po polsku i rzucała jak słowa powitania, gdy wchodziła do domu.

W dniu morderstwa było jak zwykle. To samo powitanie, prezenty, siedzenie przy chorej, niecierpliwe dreptanie po domu. Wszystko do przewidzenia. Z wyjątkiem ostatnich chwil, kiedy Karin zawiesiła wzrok na Zuzie i zapytała:

– Wydajesz się dziś dziwnie spięta. Jakby coś miało się wydarzyć. O co chodzi? Powiesz mi? Powiedz...

– To pewnie przez te upały – odparła pospiesznie Zuza, jak gdyby chciała się usprawiedliwić.

– Czy to przeze mnie masz taki nastrój? Chyba się nie gniewasz? Po prostu się rozmyśliłam. Może już miałaś taką nadzieję, ale...

– Ależ nie! – Zuza zaprzeczyła zbyt gwałtownie, by zabrzmiało to wiarygodnie.

– Zrozum, stan mamy na to nie pozwala. – Karin zniżyła głos, jakby pani Hermansson mogła pojąć, o czym mówi. – Sama widzisz, masz przy niej tyle pracy. Wiem, że ci bardzo zależy... Długo nad tym myślałam i doszłam do wniosku, że tak będzie lepiej. Dla ciebie też. Nie możesz się przemęczać.

Uśmiechnęła się do Zuzy. Był to smutny uśmiech, jakby wyblakły z radości. Delikatne uniesienie kącików ust. Potem poszła jeszcze raz zerknąć na matkę, zabrała wózek spod topól i nie odwracając się, ruszyła przed siebie żwirową drogą.

Po wyjściu Karin Zuza zauważyła, że pieką ją ręce. Wytarła je w sukienkę. Nie pomogło, wrażenie pokrzywki nie ustępowało. Długo myślała dłonie mydłem, szorowała sztywnym ręcznikiem, włożyła do lodowatej wody, osuszyła grubą warstwą talku. Dopiero wtedy poczuła ulgę. Miała świadomość, że egzema nie była objawem strachu przed pracodawczynią. Chodziło o strach wyrastający poza hierarchię społeczną. Nikt inny, tylko ta miła i delikatna młoda kobieta budziła w Zuzie poczucie zwierzęcego zagrożenia. Wewnętrzny dygot. Grozę. Wrażenie bezbronności. Obecność Karin była dla jej ciała jak kontakt z wrzątkiem. Zuza czuła się poparzona. Od środka. Do żywego mięsa.

– I po robocie – wymruczał pod nosem.

Skończył, odszedł na kilka kroków i gospodarskim okiem objął całość. Drut kolczasty wyszarpany z szyi razem z kłaczkami skropionej krwią

skóry. Włosy z tyłu głowy obcięte, naklejone na wygoloną piczkę. Pasy bezpieczeństwa z wózka rozmontowane i zapięte gdzie trzeba.

Zrealizował plan dokładnie tak, jak sobie precyzyjnie zamierzył. Punkt po punkcie, od początku do samego końca. Nic nie zostało pominięte i nic nie pochłonęło więcej czasu, niż oszacował. Ale nie poczuł żadnej ulgi, że to już koniec i że jest, szczęśliwie dla niego, po wszystkim. Bardziej rozpierało go potężne, wszechogarniające zadowolenie z perfekcyjnie wykonanego zadania. Nigdy nie był z siebie tak dumny jak w tej chwili. Przenigdy. Gdyby go teraz matka widziała, pewnie nie miałaby na ustach tego swojego pogardliwego uśmiešku. Bez trudu poradził sobie z niewysoką co prawda, lecz wysportowaną kobietą. A wszystko w sześć minut.

To prawda, palce ma nadzwyczaj zwinne i nawykłe do codziennych wielogodzinnych czynności manualnych. To palce pianisty, wie o tym, mimo że na żywo nigdy nie widział fortepianu ani pianina. Ale za to w telewizji nie przepuścił żadnego koncertu. Śledzenie wzrokiem długich paluchów biegających po klawiszach odprężało go i relaksowało. Nie musiał nawet słuchać muzyki. Zresztą zazwyczaj ją wyciszał. Wystarczał mu zmysł wzroku. Dźwięki go pobudzały, obrazy wyciszały. Tak było i teraz.

Zapatrzył się na nią, znieruchomiał. Nic już nie mówiła, nie uśmiechała się ani nie krzyczała. Nigdy, w żadnej szmacianej gazecie, w żadnym serialu kryminalnym czy pornosie, nie widział tak okaleczonej i ułożonej kobiety. Niby żyła, a jednak od razu się wiedziało, że to trup. Ludzkie truchło i tyle.

Wreszcie była w niej jakaś doskonałość, coś na podobieństwo maestrii koncertu fortepianowego słuchanego bez fonii. Tak mu się skojarzyło, bo przepływały przez niego te same uczucia co podczas koncertów. Bezmiar pozytywnych, kojących stanów, których nigdy nie zaznał od żadnej z żyjących kobiet. Nawet ta, która przynajmniej dwa razy w tygodniu mówiła: „Jesteś dla mnie wszystkim”, ciągle czegoś od niego chciała, nic w zamian nie dając. Kiedy złapał ją za pupę, krzyknęła, że jest zboczeńcem. Odczekała godzinę, a potem poparzyła go zupą. Za karę.

Żywe kobiety nie dopuszczały go do siebie. Ta martwa była dostępna. Uniżenie leżała obok skarpet, które nałożył na buty. Kiedy patrzył na nią

z góry, wydawała się wyższa i szczuplejsza. Taka piękna. Najpiękniejsza w okolicy jeziora Skiresjön. Najcudowniejsza w całym jego życiu.

Od pierwszego wejrzenia było widać, że kiedy żyła, troszczyła się o swoje ciało, pielęgnowała każdy jego centymetr, a jej perfumy tak na niego działały, że nagle przeszła go intensywna ochota, by się położyć obok, tuż przy jej piersi, i wdychać ten zapach. Pomarańczy, wanilii i jeszcze czegoś, od czego stawała mu kuśka.

Ale tylko się pochylił i dotknął jej powiek. Chciał być delikatny i czuły, mimo że dotykał jej w lateksowych rękawiczkach. Tak bardzo chciał ją pogłaskać nagą dłonią. Wziąć w ręce jej drobną twarz i przyłożyć do swojej.

Z zamkniętymi oczami wydawała się taka łagodna i kochana. Jakby odpoczywała po miłosnej pieszczocie. Gdyby nie wykrzywione, na w pół otwarte usta, mogłoby się wydawać, że gilotynując ją ostrym drutem, uczynił jej przysługę, a nawet niewyobrażalną przyjemność.

Nie byli tu sami. Zostało jeszcze dziecko. Małeńka dziewczynka z dwoma ząbkami i spoconym loczkiem fantazyjnie podkreślonym nad czołem. Popłakiwała jak zagubiona owca. Łzy były wielkie, toczyły się szybko po twarzy. A jeszcze kilka minut temu była rozbawiona i skora do dokazywania. Kiedy oprowiał jej matkę, popisывała się, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Kiedy skończył i westchnął zadowolony, wyprężyła się i spojrzała mu prosto w oczy. Od razu wychwycił te jej jasnyniebieskie tęczęwki, zupełnie jak dzisiejsze niebo. Ale nie dał się nabrać na pozorną dobroć tego spojrzenia. Bez trudu odczytał w nim zimno, stalowy chłód i obojętność. Dobrze znał przebiegłość takich oczu. Jego matka miała identyczne.

Mała uśmiechnęła się. W jednej chwili zapomniał o spojrzeniu matki, dziewczynka rozczuliła go, demonstrując swoje jedyne dwa ząbki. Były takie wspaniałe, siłą musiał się powstrzymać, żeby ich nie wyrwać na pamiątkę. Jednak już po chwili zaczęła kwękać, coraz głośniejsze, już go nie lubiła, a może wystraszyła się jego wyglądu. Skrzywił się, marszcząc twarz, a ona, zawstydzona, opuściła głowę, zaczęła strachliwie raczkować po ciele matki w tę i z powrotem. Przewalała się po niej jak warchlak po maciorze, tak właśnie pomyślał.

Dobrze, że ją przywiązał. Nie polezie w krzaki, tym lepiej dla niej. Niech się jeszcze nacieszy obecnością matki, która zaraz będzie zimna

i sztywna.

Dziecko zsunęło się na trawę i otwartą dłoń zaczęło klepać matkę w okolicy dekoltu, aż rączka zabrudziła się od krwi. Odniósł wrażenie, że staje się coraz bardziej zmęczone i senne, że bródka leniwie osuwa się w dół, ale w jednej chwili ożywiło się i rozpląkało na cały głos, właściwie bez przyczyny, a może z powodu obojętności matki, braku pociechy z jej strony. I już zaraz wrzeszczało bez łez, krztusiło się nabieranym powietrzem i wyrzucało je z dziwnym piskiem, przypominającym odgłos kredy na tablicy. Jedną ręką chwyciło się fałdy skóry na brzuchu matki, aż pobielały zaciśnięte w piąstkę palce. W wyciszonym spiekotą dniem te dziecięce piski niosły się daleko i skutecznie jak murzyńskie bębny wzywające na pomoc.

Wiedział, że nadszedł czas pożegnania. Wszystko co dobre szybko się kończy. Mocno naciągnął skarpety na sztywne mokasyny i właśnie wtedy z jego umysłu wypadł obrazek. Pierwszy, kolejny i następny. Cały niechciany film został odzyskany, pomimo pewności, że już dawno go tam nie ma, że został bezpowrotnie zniszczony. A jednak przechował się w pamięci, wbrew ciężkiej wieloletniej harówce, żeby go całkowicie zutilizować i wreszcie o nim zapomnieć. A teraz wyskoczył z przeszłości i był tuż pod powiekami. Każdy wydobyty z zapomnienia kadr niczym plaster przyklejał się do serca i zaraz potem odrywał z takim bólem, że aż syczał. Dzieciństwo było już tylko jak rozżarzony pręt, którym znaczy się boki bydła.

3



Larissa Edwardsson siedziała w sfoferce i jadła jajka na twardo, zanurzając je w tartym chrzanie z buraczkami, który ojciec kupował od polskich pielęgniarzy z domu starców Nasz Brzeg. On też lubił ten polski przysmak, zawsze musieli mieć w domu kilka jego słoików. Był dobry na upał, smakował lepiej niż śledź i nie chciało się po nim ciągle pić. A z chodzeniem do toalety miała problem: trudno jej było zdejmować kombinezon, sapała, pociła się i musiała postępować z nim delikatnie, bo materiał przy napach zaczął się strzępić.

Nissan Larissy od kilku lat był przycumowany na piaszczystym poboczu drogi numer 40. Całe dnie siedziała w dusznej sfoferce. Jeszcze do niedawna była to zwykła droga lokalna, ale odkąd powstał park rozrywki Astrid Lindgren, ruch się wzmógł, szczególnie w czasie wakacji. Jednak tegoroczne wysokie temperatury nie sprzyjały wielogodzinnym wyprawom z małymi dziećmi. Nikt nie jechał, nikomu nie psuł się samochód, nie zacierał się żaden silnik.

Było pusto, a Larissa chciała się kochać. Sercem i tyłkiem, a najlepiej jednym i drugim. Ale nie mogła mieć nawet połowy marzenia. Nikt jej nie chciał.

Wczoraj, kiedy ojciec zasnął przed telewizorem, poszła na górę, rozebrała się do naga i stanęła przed trzydrzwiową szafą z lustrem. Patrzyła na siebie z obrzydzeniem i pogardą. Zupełnie jakby przeglądała się w krzywym zwierciadle. Nie przypominała już siebie ze szkolnych lat. Włosy łonowe, jeszcze niedawno bujne i czarne, teraz się przerzedziły, a skóra na sklepieniu wydawała się podrażniona i zaczerwieniona. Uda były jak z gąbki, bezkształtne, ziemisto blade. Piersi, zawsze trochę niesymetryczne, oklapły, pozbawione jędrności; brodawki, niegdyś ciemnobordowe, dumnie sterczące, teraz ledwo odróżniały się od skóry. I kiedy to się stało? Kiedy tak się zestarzała, straciła atrakcyjność, powab

i wdzięk? I dlaczego tak szybko? Kobiety w jej wieku jeszcze budzą pożądanie u młodych chłopaków, rozwodzą się, zostawiają statecznych i dobrych mężów, by iść za głosem nierozsądnej chuci. Niektóre rodzą dzieci, nabierają urody, wyglądają nawet lepiej niż w młodości. A ona sprawia wrażenie przedwcześnie przeterminowanej. Niepotrzebnej nikomu. Żadnemu mężczyźnie. Nawet po przecenie.

Szybko się ubrała, ani razu nie spoglądając w lustro. Ale potem jeszcze raz na siebie popatrzyła. Jakby nie mogła uwierzyć, że te głębokie zmiany uszły jej uwagi w czasie codziennej toalety, mycia zębów, czesania. Dlaczego nie dostrzegła tej okrutnej przemiany wcześniej? Przecież mogła jakoś temu zaradzić – nowy, droższy krem, witaminy, odżywki, gimnastyka twarzy, wszystkie te domowe triki, których mnóstwo można znaleźć w Internecie, a o których nigdy nie czytała, bo zawsze wydawały się nie dla niej. A teraz było już za późno. Mogła oczywiście wybrać ojcu wszystkie oszczędności i utopić je w operacji plastycznej, ale z tego, co wiedziała, za dziesięć lat musiałaby powtórzyć lifting, inaczej wyglądałaby jeszcze gorzej niż przed zabiegiem.

Wsunęła ostatnie jajo do ust, chwilę poruszała rytmicznie żuchwą i przełknęła. Potem zakręciła słoik z chrzanem i razem z pudełkiem na chleb odstawiła go na półkę pomiędzy mapy i chusteczki do nosa. Podkreśliła głośniej muzykę i rozparła się wygodnie na siedzeniu.

Słuchała Kurta Cobaina z prawdziwą przyjemnością, zmrużywszy oczy. Ten chłopak koił jej już nie takie młode dziewczęce serce. I pomyśleć, że zaledwie kilka dni temu nawet nie wiedziała o jego istnieniu!

Odkąd skończyła dwadzieścia pięć lat, starała się unikać wszelkiej muzyki. Piosenki bowiem sprawiały, że jeszcze bardziej pogrążała się w marzeniach o prawdziwej miłości, obgryzała paznokcie, a czasem stawała gdzieś na pustym polu i wydzierała się bez powodu.

Codziennie rano, wkładając drelich, miała nadzieję, że może właśnie dziś na drodze numer 40 ułoży sobie życie. To będzie jej szczęśliwy numer. Ale, niestety, zazwyczaj to właśnie cudze żony, nie wiedząc czemu, dzwoniły pod numer pomocy drogowej, by zapytać, jak, u diabła, mają wyjechać z tego miasteczka... jak mu tam... żeby dostać się wreszcie do Świata Astrid Lindgren.

W takich momentach Larissa Edwardsson sztucznym, ale za to spokojnym i rzeczowym tonem, prosiła o cierpliwość, bo za dwadzieścia

minut, góra pół godziny, z całą pewnością będą u celu podróży. W ten sposób tonowała atmosferę, i zaraz, bo już w następnym zdaniu, podawała drogę do Vimmerby. Zawsze fałszywą. Zamiast: „Dalej czterdziestką, potem dwa rondo, dwa razy w lewo, po chwili jeszcze raz w lewo, raz w prawo, dwa razy w lewo w Stora Torget i zawrócić na Storgata” – rzucała: „Dwa razy w prawo, prosto przez kwadrans i w lewo”. Na sam koniec życzyła szerokiej drogi i rozłączała się, nie czekając na słowa podziękowań. Wiedziała już, że te cudze żony, trapione chroniczną migreną od dziecięcych trąbek przemyconych do samochodu i równie chronicznym niezaspokojeniem seksualnym, nie mają głowy do przestrzegania form grzecznościowych. Żadna z nich nigdy nie podziękowała uczynnej informatorce za pomoc. Żadna nie życzyła jej miłego dnia, nie wspominając o czarującym wieczorze, który hipotetycznie mógłby przecież ją czekać.

I tak płynęło jej życie, do następnego telefonu, do następnego kobiecego głosu, podniesionego irytacją, poziomem hormonów lub wybuchową mieszanką obu tych składników. „Do Świata Astrid Lindgren?” – upewniała się jeszcze, chociaż nie mogło chodzić o nic innego, ale właśnie z tego zapytania czerpała najwięcej satysfakcji. „Bardzo proszę zjechać na lewo za pierwszym rondem” – instruowała, nie przestając mlaskać.

Nie inaczej było w warsztacie za domem. Podawała fałszywe informacje nawet w obecności bogobojnego ojca, który w młodości chciał zostać pastorem. Kłamała, patrząc na jego nogi w starych pepegach wystające spod samochodu.

Larissa Edwardsson była pewna, że ojciec nie tyle naprawia kolejny wrak, ile drzemie, krótką i mocną sjestą amatora zbyt dużej ilości chleba z dżemem. Dlatego mogła bezkarnie oddawać się swoim małym przyjemnościom. Bo nie da się ukryć, że od wielu już lat jedyną rozrywką córki mechanika było granie roli dezinformacji drogowej. Zabawa rozkręcała się w sezonie rodzinnych wycieczek, kiedy kilka razy dziennie ktoś gubił drogę, ale prawie nikomu nie psuł się samochód. Co było robić? Głosem profesjonalnej obsługi turystycznej Larissa wpuszczała szczęśliwe rodziniki w niekończący się labirynt bocznych dróg, jednokierunkowych dojazdów do prywatnych posesji czy niespodziewanie się urywających leśnych duktów.

Dziwne, że wierzyli właśnie jej, a nie GPS. Znak, że wiara w człowieka jeszcze nie zginęła, rozmyślała Larissa. Ciągłe ufamy bardziej człowiekowi niż maszynie.

Z czasem zaczęła nawet być pewna, że nie tyle złośliwie oszukuje kierowców, ile prowadzi badania socjologiczne mierzące poziom zaufania społecznego w anonimowych kontaktach. Od samego początku swojego niecnego procederu nie miała nawet najmniejszych wyrzutów sumienia. Do licha, przecież nie są biurem turystycznym! Ojciec ma tylko skromny warsztat samochodowy i jednego starego nissana do holowania pojazdów, który sam się rozkracza dwa razy na miesiąc. A skoro podróżni dzwonią, bo widzieli ich numer telefonu na przydrożnych tablicach, i nawet nie przepraszają, że zakłócają im czekanie na prawdziwego klienta, niech to nadłożenie drogi będzie dla nich karą za brak empatii.

Jednak bywały dni, zwłaszcza te długie, w czasie kanikuły, że mówienie „proszę zjechać na stotrzynastkę” wcale jej nie bawiło, wprost przeciwnie, wprawiało w dziwne odrętwienie. Dotąd Larissie Edwardsson nie trafił się żaden singiel poszukujący prawdziwego uczucia, czy choćby nawet anonimowego seksu. Zdarzali się tylko ojcowie rodzin, którzy wieźli na tylnym siedzeniu prawie już śpiące, ale wciąż jeszcze hałasujące z nudów dzieci, a u swego boku mieli gdaczącą ostatnimi siłami żonę, zazwyczaj w zbyt szerokim podkoszulku z wyszytym cekinami jelonkiem Bambi.

Larissę bolało, że nigdy nie będzie tak pożądana jak Świat Astrid Lindgren. Nikt się nią nie interesował, nikt nie zabierał jej na wakacje, nikt nie chciał stworzyć z nią szczęśliwej rodzinki, która pakuje walizki i mknie setki kilometrów, by zobaczyć konia w kropki i Karlssona z dachu. Nikt nie trąbił jej nad uchem, nie wrzeszczał, kiedy słała się na nogach, nie zawracał głowy i nie przyklejał dziecięcych rysunków na drzwiach lodówki. Nikt ani razu nawet się nie przejął znużonym głosem córki lokalnego mechanika rozbrzmiewającym w słuchawce. Nikt nigdy nie był ciekaw, co się za nim kryje. Jakaż to kobieta ma tak miły głos? Jak wygląda ta komórka kontaktu ze Światem Astrid Lindgren? Wszyscy chcieli tylko zobaczyć na własne oczy pasiaste dywaniki dzieci z Bullerbyn. Pragnęli jak najszybciej się splukać, kupić dla całej rodziny getry Pippi Langstrumpf, koszulki z czaszką piratów, szmaciane ekologiczne gałganki udające Madikę z Czerwcowego Wzgórza, Emila ze Smalandii, Lottę z ulicy Awanturników czy Nilsa Paluszka. Nie interesowała ich ani Larissa

Edwardsson, ani nikt inny z okolic jeziora Skiresjön. Bo czym mogły się one poszczycić? Tylko świętym spokojem, brzęczeniem w uszach oraz odrobinę monotonnym, choć podobno kojącym krajobrazem, który tak naprawdę nie koił mieszczuchów, tylko grał im na nerwach.

Ale w dniu morderstwa ktoś o świcie zostawił przed domem Karin CD Kurta Cobaina. Obok płyty leżała jeszcze czerwono-biała przepocona bandana, ale po krótkim namyśle Larissa nie zdecydowała się jej zabrać. Pomimo że wyczuła na niej zapach osobnika płci męskiej.

CD wzięła tylko z czystej ciekawości. Chciała się dowiedzieć, jaka muzyka jest w środku, pod plastikiem bowiem nie było typowej obwoluty z tytułem i obrazkiem, tylko karteczka z jakimś odręcznym napisem, niechlujnie wyrwana z rogu gazety. Paznokciem palca serdecznego podważyła wieczko, wyciągnęła kartkę, zgmiotła i rzuciła na podłogę w szoferce, po czym włożyła dysk do odtwarzacza i odpłynęła. Piosenek tego faceta dobrze się słuchało; nie był nachalny, a jego głos nie przerywał głupich marzeń o miłości i seksie, jakie Larissa niechętnie, acz natrętnie, wpuszczała do głowy podczas niekończącego się postojów.

Nagle od strony Vimmerby zaczął narastać jakiś hałas. Wyprostowała się i wytrzeszczyła oczy. I już po chwili obok nissana pomocy drogowej Edwardssona przejechała kawalkada samochodów. Dwie karetki, radiowóz policyjny i dwa szare volvo. Wszystkie jechały zbyt szybko, ale nawet nie zwolniły, zjeżdżając z czterdziestki na drogę nad jezioro, mimo że był tam paskudny ostry skręt.

Larissa pochyliła się i ściszyła odtwarzacz. Przez moment w osłupieniu wsłuchiwała się w szum pojazdów za plecami. Potem przekręciła się i spojrzała za siebie. Nie było nic widać, tylko szara kurzawa unosiła się pomiędzy nagimi pniami sosen.

– Ale szybko! – powiedziała na głos i bardzo ją to zdziwiło, bo nigdy nie mamrotała do siebie. To była specjalność jej ojca.

Uśmiechnęła się. Wiele by dała, by jej rodzinna okolica przestała być tylko nudną dziurą w drodze do Bullerbyn.

Brygada policyjna i medyczna. Pędzą jak cholera na sygnale. To chyba dobry znak, pomyślała, otworzyła schowek i sięgnęła po kolejne jajo na twardo. Ostрым ruchem siekaczy przecięła żółtko. Okazało się zadziwiająco mączne, ale właśnie takie lubiła. Jeszcze jeden gryz i było po wszystkim. Wytarła usta wierzchem dłoni i podkręciła dźwiek. Nie wiedziała, o czym

śpiewa ten facet, ale robił to tak, że musiało być o miłości. Poczula znany niepokój, na który miała wypróbowany sposób. Wymacała brzeg siedzenia, aż oparcie odskoczyło do tyłu. Wyciągnęła się wygodnie i wprawnym ruchem rozpięła rozporek. Dotarcie do cipki zajęło jej nie więcej niż kilka sekund.

Może zdecydować się na półkilogramowy woreczek z suchą karmą...? – zadreślał się policjant Stefan Gustavsson. Jednakże ziarno na wagę zawierało za dużo tłuszczu, a ponieważ o tej porze roku można było kupić na pewno już tylko stare, istniało prawdopodobieństwo, że tłuszcz jest częściowo zjełczały, a proso zawiera zbyt dużo pyłu, a nawet niewidoczną pleśń.

Miał już doskonale widoczną, zwłaszcza w pasie, niewielką nadwagę, ale jego zachrypnięty, gardłowy głos i ostro zarysowana linia szczęki podobały się kobietom. Być może brały one te cechy za przejaw odrobiny męskiej brutalności, którą chciały odkryć w empatycznym i wrażliwym partnerze. Po Gustavssonie spodziewały się ostrego, przyprawionego romantyzmem podrywu. Jednak skazane były na rozczarowanie. Zamiast zdecydowanych słów i gestów wybranek ofiarowywał im jedynie niepewne przestępowanie z nogi na nogę.

Stefan od zawsze był nieśmiały w kontaktach z kobietami. Po trzydziestce lubił w weekend oglądać programy kulinarne i eksperymentować w kuchni. Nie przepadał jednak za karmieniem innych, jadł w samotności, obserwując swoje papugi albo śledząc seriale o ludziach z wyższych sfer. Lubiał patrzeć na piękne kobiety, palmy i czerwone sportowe wozy. Czuł się szczęśliwszy, obserwując życie innych, niż żyjąc samemu. Jednak nie potrafił tego w sobie zaakceptować i chociaż żył tak, jak lubił, miewał ostre ataki smutku, a w weneckim lustrze na posterunku policji widział siebie jako ociężałego piwosza z podwójnym podbródkiem i o nikłej sile rażenia, który znaczną część energii poświęca na ukrywanie swojej przypadłości, czyli kompletnej niezdolności do podjęcia decyzji. Choćby najmniejszej, choćby najbardziej banalnej. Jakie włożyć dziś skarpety: granatowe czy białe? Kawa czy lepiej herbata: bo jak kawa, to potem nie będę mógł spać, a jak herbata, to osad na zębach murowany. Omlet z pieczarkami i serem pleśniowym? Często się nie udaje. Za to fasolkę pod kołderką beszamelu opanował do perfekcji, ale już mu się przejadła. Może zaprosić Larsa na kolację? Albo lepiej nie, on nie lubi do

niego przychodzić. Wymiguje się alergią na ptasie pióra, a w rzeczywistości ma po prostu uczulenie na ludzi. Dlatego woli samotność nad jeziorem Skiresjön od świata, w którym jest co fotografować. Może jednak powinienem chwycić za telefon, zadzwonić do Larsa i zapytać, czy nie miałby ochoty wpaść...

Jedynym człowiekiem, który wiedział o jego niekończącym się przeżuwanym każdej decyzji, był właśnie Lars Olsson, kolega z dzieciństwa. Odkąd ta sława światowej fotografii wróciła w rodzinne strony, kontaktowali się codziennie. Obydwaj byli zdeklarowanymi odludkami. Mimo że dzielił ich kwadrans szybkiego marszu, zazwyczaj rozmawiali przez Skype'a lub telefon. Codziennie musieli pogadać, chociaż zarówno u jednego, jak i u drugiego nic poza codzienną rutyną się nie działo. I to właśnie Lars najlepiej go pocieszył, mówiąc, że współczesny człowiek każdego dnia dokonuje w swoim życiu tylu wyborów, ilu Eskimos dokonuje w ciągu całego życia. Ta wiedza dała Stefanowi poczucie, że chociaż ciężko mu z samym sobą, to jednak tak już widocznie musi być – kolejna cywilizacyjna przypadłość. Trzeba z tym żyć, skoro jest się z epoki glamour.

Ale niedogodność zwiększała się z chwilą przekroczenia progu sklepika Ann-Britt. Już miał wprawdzie na sto procent kupić mieszankę na wagę, ale przypomniał sobie wpisy na forum internetowym hodowców; ziarna mogą pochodzić z podejrzanych plantacji, gdzie wysuszają je, podsypując rakotwórczymi nawozami, zapewne chińskiego pochodzenia.

Gdyby ta uwaga dotyczyła ziarna na chleb, który on sam miałby jeść, nic by sobie z tego nie robił, nawet śmiałyby się z tej wszechobecnej ekologicznej hysterii, ale ponieważ chodziło o faliste, za żadną cenę nie chciał im zgotować przedwczesnych cierpień. Chociaż niekiedy miewał chwile, gdy pragnął, by wreszcie szybko i bez bólu padły, oszczędzając mu zmartwienia o to, co się z nimi stanie, kiedy on umrze. Przecież nie ma żony, dzieci, ojciec jest w domu starców, a na rodzinę brata nie ma co liczyć, bratankowie już w pierwszym dniu wyskubaliby im pióra... A gdyby tak poprosił Ingrid? Właśnie, ona na pewno go przeżyje, ma krzepę, jest dokładna i sumienna, no i po kilku latach sprzątania u niego wie, jak należy dbać o egzotyczne ptactwo. Chociaż... zawsze musi jej pilnować, by nie myła klatki płynem do odkażania. Nie, Ingrid też się nie nadaje na mamkę dla papug, zabiłaby je lizolem.

Przyszłość jego menażerii wcale nie wydawała się świetlana. Chyba że napisałby testament, a jego wykonawca dałby ogłoszenie na forum hodowców... Tak, to by było najlepsze rozwiązanie. Ale przypomniał sobie wpisy sugerujące, że pod miłośników papug podszywają się nieraz przeróżni handlarze i sklepikarze.

Westchnął i zbyt mocno podrapał się po brzuchu. Zawsze tak robił, gdy musiał się przywołać do porządku. Za bardzo zagalopował się w rozmyślaniu o tym, co będzie, kiedy on już odejdzie z tego świata. Niepokojące myśli o przedwczesnej śmierci prześladowały go od zawsze, a dokładnie od jego piątych urodzin, gdy dziadek poszedł się wykąpać w jeziorze i wypłynął dopiero po trzech tygodniach. Kiedy leżał na piachu, nie był już do siebie podobny i może dlatego ojciec stał nad topielcem długie minuty, nie mogąc potwierdzić tożsamości ofiary. Dopiero Stefan mu podpowiedział, że to dziadek, bo ten zawsze nosił wielkie czerwone majtki.

Natręctwa wzmogły się jeszcze bardziej od wypadku, jakiemu uległ na pustej drodze: zagapił się czy nie był tego dnia dość zręczny, dość, że uderzył prosto w mur. Kilka miesięcy temu wyszedł ze szpitala i to właśnie wtedy – na swoje trzydzieste ósme urodziny – kupił parkę papug. Tego samego dnia, patrząc, jak ptaki oswajają się z dużą wolierą zajmującą prawie połowę salonu, poczuł, że większości rzeczy, które chciał kiedyś zrobić, już nie zrobi. Ale gdyby ktoś go zapytał, co takiego miałoby to być, też nie umiałby odpowiedzieć. W każdym razie dręczył go syndrom zamkniętych drzwi. Los zatrzaskiwał mu je przed samym nosem, z hukiem i bez litości.

Teraz w kącie sklepu zoologicznego sam czuł się jak w klatce. Na dworze panował upał, a tu, w środku, nie było o wiele lepiej, mimo że Ann-Britt, aby mu ulżyć, włączyła wielką dmuchawę, która obracała się na plastikowej nodze, skrzypiąc niemiło.

I wtedy zadzwonił telefon. Stefan wyjął komórkę i zerknął na wyświetlacz. Ten niespodziewany sygnał z pracy go rozżłościł, przecież ma wolne, ale jednocześnie mu uświadomił, że powinien wreszcie zakończyć to neurotyczne kontemplowanie pokarmu dla ptactwa.

Odebrał, z trudem starając się nadać głosowi przyjemny ton. Dzwoniła Lisa, która pracowała z nim w jednym pokoju. Uwielbiała scrabble i szybko się upijała na świątecznych spotkaniach. Tym razem trochę się jąkała, jak

zwykle, kiedy miała mało czasu na przekazanie informacji. Rozmowa była krótka. Stefan musi natychmiast przyjechać na plac Dzieci z Bullerbyn.

– Wiesz, na tę cholerną polanę nad jeziorem – tłumaczyła, a on nawet nie zdradził, że właśnie jest w pobliżu tego miejsca. – Mamy cholerne ciało – wyznała na zakończenie. Od tego chyba powinna była zacząć Ale po urodzeniu czwartego dziecka wydawała się nieustannie roztargniona. – No wiesz, ciało... cholerne zwłoki. Żadnych oznak życia. I to wygląda na morderstwo. Jak cholera! Nawet sobie nie wyobrażasz. Pierwszy trup w mojej cholernej karierze. Coś takiego! I pomyśleć, że przez te wszystkie lata tak cholernie się przejmowałam przed każdym wyjazdem do jakiejś cholernej awantury domowej. No, ale teraz mamy to cholerne ciało... – wydukała i rozłączyła się w środku zdania.

Rozważania na temat przyszłości papug opuściły umysł Gustavssona. Na ich miejsce wkradło się pragnienie natychmiastowego zakupu kilkunastu zdrapek, dwóch butelek niedietetycznej coli, taniego pasztetu pakowanego w celofan, czekolady z orzechami i kartonu mleka. Domyślał się, że czeka go ciężki dzień, najtrudniejszy w całej karierze, cholernej karierze, jak by powiedziała Lisa. No, ale przynajmniej będzie miał pretekst, by wieczorem się pocieszyć. Już dobre kilka lat temu dokonał osobistego odkrycia, że nawet najbardziej ciężkostrawne przeżycia dają się zająć.

Kiedy płacił za pokarm – kupił najdroższy, z wszystkimi atestami – naszła go myśl, że przecież Lars może zaopiekować się falistymi. On też nie ma żony i dzieci. Jest więc pewność, że obdarzy je całą swoją miłością. Kiedy uruchamiał volvo, przypomniał sobie uszy przyjaciela. Wyrastały z nich jasne kłaczki, a papugi uwielbiają w czymś takim gmerać dziobem. To je relaksuje. Tak, Lars, tylko Lars będzie nowym papciem dla papug.

Jak mógł pomyśleć o Ingrid, skoro ona wygląda tak, jakby depilowała sobie nie tylko łydki, ale również brwi! Tylko Lars da papugom ptasi raj. Ta myśl go rozweseliła i nawet się ucieszył, że nie musi od razu wracać do miasta. Pomyślał nawet, że skoro ma się tu dziś zatrzymać na dłużej, może zejdzie nad sam brzeg jeziora Skiresjön do ojcowskiego domku rybackiego. Przewietrzy go z wilgoci i odgarnie trochę pajęczyn. Lubił to miejsce coraz bardziej. I pomyśleć, że kiedyś na samą myśl o wyprawie z ojcem na ryby bolał go brzuch!

Już miał ruszyć, kiedy coś mu przyszło do głowy. Nie wyłączając silnika, wysiadł z samochodu, wrócił do Ann-Britt i zadał jej tylko jedno pytanie:

– Czy jak coś mi się stanie, zaopiekujesz się moimi papugami?

– Co ci się może stać? – zapytała i dopiero teraz odkrył, że wygląda tak, jakby spała na stojąco za kasą.

– No, nie wiem... – wydusił.

– Właśnie. A ja jestem już taka stara. Poszukaj sobie opiekunów wśród młodych – powiedziała, ziewając.

Pomyślał, że Ann-Britt wygląda jak stara Pippi Langstrumpf. W jej wieku nie powinno się już zaplatać warkoczyków. Szczególnie przy tak mocno farbowanych na rudo włosach. Być może właśnie te rozmyślenia wywołały u niego roztargnienie, bo zamiast skręcić w lewo i pojechać w dół, w stronę dawnego szpitala, skierował się w prawo, ku asfaltowej drodze. Postanowił, że tam dopiero zawróci i pojedzie na miejsce zdarzenia. Będzie jechał wolno, z otwartymi ustami i wysuniętym koniuszkiem języka. Spokojnie sobie popatrzy na znane z dzieciństwa domy. Jak zwykle będzie mu się wydawało, że nikt już w nich nie mieszka, a suszące się w ogrodach pranie wisi na sznurach od wielu lat, w upale, śniegu, i deszczu. Często czuł się tak samotny, jakby na świecie mieszkał tylko on i jego papugi.

Ingrid Borg z trudem rozprostowała kręgosłup. Przez moment, tkwiąc nieruchomo, nasłuchiwała dziwnych, coraz bardziej narastających odgłosów, a potem pomimo fizycznego zmęczenia pospiesznie wyszła z pralni mieszczącej się w piwnicy luksusowego domu Karin Frostenson. Wspięła się po stromych schodach na parter i przeszła przez jasny hol, skąd szerokie, otwarte na oścież drzwi wyprowadziły ją wprost na dziedziniec wyłożony luksusową mrozoodporną terakotą.

Musiało jej to zająć bardzo niewiele czasu, bo zdążyła jeszcze zauważyć kawalkadę samochodów, która w ekspresowym tempie pokonywała drogę numer 40 biegnącą z Vimmerby na zachód. Dom stał na najwyższym wzniesieniu, więc można było stamtąd obserwować całą okolicę.

Po chwili stała już przy niej Annika, siostra Karin, równie zaciekawiona. Była boso, tylko w kostiumie kąpielowym, czerwonym w białe kwiatki, w stylu vintage. Lekka nadwaga jedynie dodawała jej

seksapilu. Zgorzkniałą twarz Annika kryła pod wielkimi okularami. Przesunęła je teraz na czubek głowy, by wyraźniej widzieć.

Kawalkada zjechała z czterdziestki tuż przy wielkim napisie: **PENSIJONAT NASZ BRZEG – 2 KM.** Trasa wokół jeziora Skiresjön zazwyczaj była pusta; od czasu do czasu pojawiał się na niej samochód dostawczy zdążający do sklepiku Björna i Lisy Handssonów, gdzie można było kupić groch, mydło i powidło, tudzież jakiś osobowy wiozący nową osobę do domu starców albo karawan odwożący zwłoki kolejnego pensjonariusza z powrotem w rodzinne strony.

– Ale numer! – powiedziała Annika z zadowoleniem nieprzystającym do widoku karetki na sygnale i samochodów policyjnych. Spędzała w domu siostry letnie miesiące i chociaż odpoczywała, brakowało jej bodźców, jakich dostarczała Kopenhaga.

– Co to, u diabła, może być...?

Ingrid masowała obolałe przedramiona. Od samego rana ostro sprzątała dom Tomasa i Karin, a odkąd kilka miesięcy temu w rodzinie pojawiła się mała Paris, miała jeszcze więcej roboty. Dobrze, że Annika nie nadzorowała jej pracy, jak to bywało w poprzednich latach. Była trochę skłócona z siostrą i przestało jej zależeć na dokładności Ingrid. Z samego rana wlewała do puszki z colą sporą miarkę alkoholu z barku Tomasa, brała kolorowe pisma, szła w głąb ogrodu na leżak i przekładała się z boku na bok.

Obie zauważyły, że sznur samochodów zatrzymał się w pobliżu placu Dzieci z Bullerbyn. Zarówno z karetki, jak i z wozów policyjnych wyskoczyli ludzie.

Nic więcej nie mogły zobaczyć, bo przestrzeń nad jeziorem zarośnięta była gęsto drzewami. Zresztą ktoś stojący obok też niewiele by widział, bo parcela po spalonym szpitalu ogrodzona była niepielęgowanym żywopłotem, który bardziej przypominał już labirynt niż roślinną ozdobę.

Annika i Ingrid wymieniły szybkie spojrzenia, by zaraz bez słowa pobiec do domu. W tych stronach zbyt długo nic się nie działo, żeby można było to przeoczyć, opalając się lub segregując rzeczy do prania.

Kiedy obie w pośpiechu poprawiały urodę przed lustrem w holu, zamierzając pobiec w stronę parku, w salonie zadzwonił telefon stacjonarny, który właściwie nigdy się nie odzywał.

Popatrzyły na siebie. Ingrid podeszła pewnym krokiem i podniosła słuchawkę, włączając jednocześnie głośnik.

– Halo, słucham, dom Tomasa i...

Nie zdążyła dokończyć, bo przerwał jej jakiś męski głos:

– Właśnie. Dobrze trafiłem. Tomasz jest w domu?

– Nie. O świcie wyjechał z Singrid Petrell, lekarką. Odwozi ją aż do domu w Sztokholmie. Została potrącona przez samochód... pół roku temu... chodzi o kulach. To lekarka Karin... słynna ginekolog. – Ingrid mówiła odrobinę chaotycznie, z niepotrzebnymi detalami, jak zwykle po wielu godzinach fizycznego wysiłku.

– A kto jest w domu? – Głos był ostry, niemal niegrzeczny, być może poirytowany zbyt szczegółową odpowiedzią. Chciał konkretnej informacji, a nie sagi rodzinnej. – Kto mówi? Z kim rozmawiam? – dociekał

– Ze mną – wycedziła Ingrid, zmieszana ostrym tonem nieznanego.

– Ze mną?! – krzyknął mężczyzna. – No proszę! A już myślałem, że gadam z samym sobą. Kim pani jest dla Karin Frostenson?

– Koleżanką.

– Co pani u niej robi?!

– Sprzątam.

– Co takiego?!

Annika pospieszyła z pomocą. Podeszła, westchnęła ciężko i odebrała Ingrid słuchawkę.

– Mówi Annika Byqvist, siostra pani domu. Rozmawiał pan ze sprzątaczką. W dodatku był pan nieuprzejmy. O co chodzi?

– Jest pani rodzoną siostrą Karin Frostenson? – zapytał mężczyzna już spokojnie, prawie z lękiem.

– Z tego, co wiem, to jak najbardziej rodzoną. – Teraz to głos Anniki brzmiał groźnie. Po ginie robiła się odrobinę apodyktyczna. Może alkohol nie poprawiał jej nastroju, ale z pewnością wzmacniał pewność siebie.

– Proszę przyjechać na Bullerbyn.

– Chyba na plac Dzieci z Bullerbyn? – poprawiła mężczyznę lekko podniesionym głosem i z nieskrywaną satysfakcją. – A w ogóle kim pan jest, żeby mi rozkazywać? Dokąd mam jechać. Kim pan jest? – powtórzyła teatralnie, zbyt głośno i nie czekając na odpowiedź, energicznie odłożyła słuchawkę. Spojrzała znacząco na Ingrid. – Jak ja nienawidzę tych palantów! Będzie mi mówił, co mam robić w czasie wakacji!

– Musimy zadzwonić do Karin. – Ingrid wyjęła z kieszeni fartucha komórkę. – Czuję, że to ona powinna pogadać z tym...

– Święta racja. Ja tu jestem tylko gościem i nie chce się wtrącać w nie swoje sprawy. Zadzwon, niech sama tam podejdzie. Wracając od matki, będzie miała po drodze. Taki żar, pić się chce. – Poszła w kierunku leżaka.

Ingrid jak rasowa służka poczłapała za nią. Czekaając, aż Annika usadowi się na leżaku i sięgnie po puszkę, zdążyła już dwukrotnie wybrać numer Karin. Za każdym razem abonent był poza zasięgiem.

– Nie odbiera.

– To co ci na to poradzę... – Annika przełknęła i lekko się skrzywiła.

– Zadzwonię do Zuzy. Może Karin jeszcze tam siedzi.

– Rób, co chcesz. Ja tu jestem tylko gościem. – Ponownie zasłoniła oczy okularami.

Ingrid połączyła się z pielęgniarką. Ta odebrała natychmiast, po jednym sygnale.

– Ingrid, przychodzisz dzisiaj? Błagam. Pani Hermansson od wczoraj zabrudziła cztery komplety pościeli. Skubanie pampersów stało się jej hobby. – Głos Zuzy brzmiał radośnie. Wizyty Ingrid były dla niej jedynym kontaktem ze światem; wreszcie mogła trochę porozmawiać i wypić kawę, patrząc na czyjaś twarz, a nie na pelargonie w oknach.

– Dziś nie dam rady. Pracuję u Karin od świtu. Wczoraj mieli wizytę Singrid Petrell. Tej ginekolog. Było małe przyjęcie, a jak jest zabawa, to jest dodatkowe sprzątanie. – Ingrid oddaliła się nieco od Anniki. – Powiedz mi, Karin jest jeszcze u ciebie?

– Wyszła jakieś trzy kwadransy temu. Może więcej... Przecież wiesz, że nigdy nie siedzi przy matce dłużej niż pół godziny. Zadzwon do niej.

– Nie odbiera.

– Musiała jej paść bateria.

– Ale gdzie ją zaniósł?

– I to w taki upał! – Głos Zuzy nie był już tak radosny jak na początku rozmowy.

– Zbliży się pora karmienia Paris – zdążyła powiedzieć Ingrid i usłyszała, że telefon w salonie znowu zadzwonił.

Annika westchnęła i poprawiła górę od kostiumu kąpielowego.

– Odbierz – rzuciła do Ingrid, nie odwracając twarzy od słońca. – To pewnie znowu ten palant. Przez niego już mi przeszła ochota, by sprawdzić,

co to za zbiegowisko. Pewnie ktoś wreszcie podpalił te cuchnące chaszczę na placu. I miał rację. Niech spali to wszystko jak kiedyś szpital. Pełno komarów i kondomów. I to ma być plac! To sodomiczne piekło moskitów! – wykrzyknęła teatralnie, sięgając po szklanę.

Skrzywiła się, zanim jeszcze pociągnęła łyk. Ale nogi już jej podrygiwały z zadowolenia.

Stefan Gustavsson zamyślił się i zamiast skręcić na południe, wyjechał na drogę numer 40. Ponieważ pędził wyjątkowo szybko jak na lokalne warunki drogowe, mogło się wydawać, że nie przemieszcza się, tylko ucieka. Czuł pulsujący ból w skroniach i karku, w lusterku dostrzegł swoją bladą, opuchniętą twarz. Ucisk w żołądku przypominał o wczorajszej kolacji, steku z pieczarkami i podsmażonymi ziemniakami, i wódce. Powinien unikać alkoholu i oszczędzać nerkę, która mu została, ale o ścisłym reżimie dietetycznym przypominał sobie dopiero, kiedy już się najadł do syta. Normalka w tym nienormalnym świecie.

Zawrócił na asfalcie, pomachał Larissie Edwardsson, która jak zwykle siedziała w swoim nissanie i coś żarła, po czym zawrócił w tę samą leśną drogę, z której przed minutą się wynurzył. Teraz jechał wolno, ledwie pięćdziesiąt na godzinę, jakby przypominał sobie swój niedawny wypadek, a może przeczuwał, co go czeka. Oddychał wolno, głęboko; przepona masowała obolałe nadbrzusze. Zabijał się tym żarciem, wiedział o tym, ale dotąd nie mógł znaleźć niczego, co by mu zastąpiło jedzenie.

Po każdym telefonie z pracy czuł się niespokojny i krańcowo zmęczony. Dziwne, ale wcale go nie interesowało, co znaleźli na tym placu. Nie miał smykałki do swojego zawodu; nie wiedział, dlaczego go wybrał.

Jadąc na miejsce zgłoszenia, znalazł nawet czas na oglądanie tych kilkunastu domów rozsianych wokół jeziora Skiresjön. Były usadowione wzdłuż wąskiej drogi, która z lotu ptaka przypominała podkowę z końcami położonymi na wzgórzach. Ten osobliwy kształt było widać dopiero z okien domu Karin i Tomasa Frostensonów. Ci to nie mogli narzekać na brak kasy! Mieli basen w kształcie fasolki wyłożony lazurowymi kafelkami, kilka sztucznych palm w terakotowych donicach, no i saunę w budynku dawnej stodoły, a więc olbrzymią, z kilkoma pomieszczeniami, wyposażoną zarazem tradycyjnie i nowocześnie. Ludzie mówili, że boazeria zrobiona jest z drewna sprowadzonego aż z Syberii.

Gustavsson był tam kilka razy na corocznej feście z okazji nocy świętojańskiej: pełno dzieciaków, krzyki i rzyganie za tymi modnymi donicami.

Zwolnił, wjeżdżając w las. W pierwszym gospodarstwie, tuż przy zjeździe z drogi numer 40, królował całkiem spory dom z dwiema werandami. Mieszkała tu Ingrid Borg, która zarabiała na życie, sprzątając w domu starców i w domach prywatnych. Jej matka już nie żyła, zresztą jeszcze po śmierci męża zdecydowała się zamieszkać razem z synem u rodziny w Örebro, więc Ingrid wcześniej musiała się usamodzielić. Skończyła trzydziestkę i chociaż ciągle nie udało jej się założyć rodziny, o czym marzyła, to dla ludzi miała zawsze pogodną twarz. W pracy była szybka i dokładna. Gustavsson dobrze o tym wiedział, od lat sprzątała u niego i niekiedy przynosiła mu pieczonego łososa z ziemniakami albo gruby, parujący omlet z kiełbasa i żurawiną, który był jeszcze lepszy na zimno następnego dnia.

Nieformalnie Ingrid odgrywała rolę żywego tabloidu, a to ze względu na codzienną garść nowych plotek, które roznosiła od domu do domu. Nieraz myślał, że gdyby się postarał, mogłaby legalnie zdjąć przed nim majtki, czyli go poślubić. Problem w tym, że panna Ingrid Porządnicka w ogóle go nie brała, ani od pasa w dół, ani od pasa w górę. Miał przecucie, że jej piczka pachnie jakimś środkiem czyszczącym, i nawet nie miał ochoty na mile zaskoczenie.

Potem droga, oddalając się od jeziora, wiła się ostro w dół, upstrzona po obu stronach bliźniaczo podobnymi drewnianymi domami. To tu mieszkała wdowa po lekarzu, pani Andersson. Dom wyróżniał się brakiem jakichkolwiek kwiatów czy krzewów w ogrodzie. Tylko trawa – wiosną zielonkawa i soczysta, latem przerzedzona i spalona słońcem. I nic, nawet ławki czy leżaka, a w oknach spłowiełe zasłony z Ikei.

Niegdyś, kiedy żył gospodarz, ginekolog i położnik, był to najbardziej znany i zadbany dom w okolicy. Gustavsson doskonale to pamięta. Anchee miała zaledwie dwanaście lat, a już całkiem spore cycki, które prześladowały go przed snem. Może to z tego powodu polubił filmy porno z pieprzającymi się Azjatkami, ale żadna z nich nawet w połowie nie była tak piękna jak córka doktora. Chyba nigdy z nią nie rozmawiał, a gdyby do tego doszło, pewnie nie zdołałby wydusić słowa.

Był ciekaw, gdzie teraz mieszka. Musiała kupić jeden z tych pustych domów w drugiej linii od jeziora. Albo wyprowadziła się jeszcze dalej i dojeżdża do pracy w tutejszym domu starców. Jej córka często musi przebywać u babki, bo ilekroć jedzie do domku rybackiego, zawsze widzi ją na rowerze.

Kiedyś brama Anderssonów była szeroko otwarta, na podjeździe stało zawsze kilka samochodów, a mężowie pacjentek kręcili się nerwowo wokół studni głębinowej. Jej zresztą też już nie ma, pozostał tylko piaszczysty krąg porośnięty wątlm perzem.

W bliskim sąsiedztwie nikt tu nie mieszka. Jest za to sklep ze wszystkim, a jeśli jakiegoś towaru nie ma, to można złożyć zamówienie i za dwa dni ów towar na pewno będzie. Zadbają o to stojąca za ladą koścista Lisa Handsson i jej cichy, jękający się mąż Björn, nieustannie coś układający i przekładający na stalowych regałach.

Tuż za sklepem Handssonów jest stary dom przerobiony na niewielki gabinet kosmetyczny, który prowadzi wiecznie opalona Bodill, oraz dom Ann-Britt i jej sklep z artykułami dla zwierząt domowych, bardzo dobrze, o dziwo, prosperujący w tej małej osadzie.

Spojrzał dalej, na drugi brzeg jeziora, gdzie zwirowa droga pięła się w kierunku asfaltowej czterdziestki. Z tej odległości nie widział zbyt dużo, omiół wzrokiem kilka luźno rozrzuconych, podupadłych gospodarstw, z których ostatni był dom nieżyjących już rodziców Larsa Olssona. To tu droga się rozgałęziała. Jedna wąska odnoga wiodła aż do stacji benzynowej przy wjeździe na czterdziestkę. Druga – na dzikie pole upstrzone malowniczymi wzgórkami, ale nikt z niej nie korzystał, bo i po co? Nic tam nie ma. Rozproszone żółte światło nielicznych latarni również nie zachęcało, by się na nią zapuszczać. Mieszkańcy woleli trzymać się ubitej drogi; w dzień mogli się zatrzymać i porozmawiać z sąsiadami pracującymi w ogródkach albo siedzących na ławkach. Tak sobie myślał, choć sam nigdy nie widział nikogo ani w ogródku, ani na ławce.

Na samym dole drogi w kształcie podkowy, na południowym krańcu jeziora, był dom starców Nasz Brzeg, a zaraz za nim zaczynał się zaniedbany żywopłot okalający plac Dzieci z Bullerbyn. Stefan zwolnił; zobaczył karetkę pogotowia, radiowóz policyjny, chyba dwa samochody techników, a także faceta wyglądającego na urzędasę, czyli pewnie prokuratora.

Zatrzymał się i zaparkował. Wysiadając z wozu, wypuścił gazy jelitowe. Nie wiedzieć czemu poczuł się jak samolot, który uwolniony od nadmiaru paliwa wreszcie może lądować.

Okolice jeziora nigdy nie były tak pełne życia jak w dniu tragicznej śmierci Karin Frostenson. W ciągu pół godziny niewielki plac Dzieci z Bullerbyn zapełnił się posiłkami policji, technikami kryminalnymi i karetkami ściągniętymi z całej okolicy. Wszyscy biegali, potrącali się i pokrzykiwali do siebie, a nad całym zamieszaniem nieudolnie próbowało zapanować dwóch spoconych prokuratorów w służbowych garniturach.

Dopiero po przyjeździe karetki mała Paris została uwolniona spomiędzy nóg martwej matki przez lekarkę w gumowych rękawiczkach. W tej aranżacji zbrodni było coś tak potwornego, że zagłuszyło nawet instynkt spieszenia dziecka z pomocą. Bliskość martwej matki przerażała i trzymała na dystans.

Stefanowi Gustavssonowi, miejscowemu policjantami ściągniętemu na miejsce zbrodni, Paris o jasnych, sklejonych potem włosach wydała się podobna do jego ulubionej papugi, która lubi się iskać na środku pojemnika z wodą. Nie wiadomo, czy to wywołało w nim pragnienie, by zabrać to obce dziecko do domu, urządzić mu najpiękniejszy pokój, zamknąć je w nim, chronić i nikomu nigdy nie pokazywać.

Pracę techników, i tak zmuśną i mało efektowną, dodatkowo komplikowała obecność dziecka, którego nie można było od razu oddać rodzinie, ponieważ należało pobrać z niego ślady. A tu ponad trzydzieści stopni, pot się leje, smród taki, jakby nikt w mieście nie używał dezodorantu.

Wtedy Lars Olsson zobaczył po raz pierwszy swojego przyjaciela Stefana Gustavssona w pracy, na służbie, i to od razu na miejscu zbrodni. Jak zwykle źle ubranego, niechlujnego, lekceważącego nakazy mody czy zasady doboru kolorów. Pękaty brzuch opięty miał pomarańczowym podkoszulkiem w podłużne ciemne pasy. Spodnie w kolorze bawarki, z nogawkami postrzępionymi od szorowania o ziemię, chyba od dawna nie zaznały żelazka.

Lars nigdy nie widział go tak zdenerwowanego. Stefan dreptał w miejscu, nieustannie przygryzał wargi, pocierał dłonią policzek. Kiedy spotkali się wzrokiem, Lars odniósł wrażenie, że jego obecność dodała

koledze pewności siebie. Pomyślał, że chyba rzeczywiście gra rolę starszego brata albo dobrego ojca, którego Stefan nigdy nie miał.

Stali w milczeniu, nie wiedząc czemu gapiąc się na odsłonięte krocze Karin Frostenson. Obydwaj wiedzieli, że z szacunku dla ofiary nie powinni tego robić. Ale ciekawość męskiego oka przeważała nad przyzwoitością. Przyczyną nie była nawet poządliwość, ukryta fascynacja podglądacza, ale zadziwiająca biel skóry denatki i widok jej nieskazitelnie wydepilowanych części intymnych.

Lars odnosił wrażenie, że policjanci nie mogą znaleźć żadnych śladów. Nic nie wrzucali do plastikowych torebek, niczego nie oznaczali.

– Czyściech pierdolony – zaklął pod adresem mordercy technik kryminalny.

Lars po raz pierwszy widział tę twarz. Pomyślał, że sprowadzono ekipę z jakiegoś większego ośrodka.

– Puszczą nam adrenalina, nie? Jeszcze nigdy niczego takiego u nas nie było – zwrócił się do kierowcy karetki jeden z policjantów.

– Nikt nikogo nie zabił, ani po pijaku, ani na trzeźwo – włączył się do rozmowy Gustavsson, po czym przesunął się bliżej swojego kolegi z posterunku, Imre Skonsona.

Lars dobrze go pamiętał ze szkolnych lat, może z powodu brodawki w okolicy oka. Imre chodził do młodszej klasy, ale szybko się roztył i teraz wyglądał na znacznie starszego od nich, za to bardziej zadowolonego z życia. Nawet uwijając się przy zwłokach, sprawiał takie wrażenie. Wesoło uskarżał się na upał, sapał po każdym słowie, a z nosa wystawały mu rude kłaczki oblepione mętnymi kryształkami potu.

Stefan pracował z nim w jednym pokoju i często robił uwagi, że rudemu Skonsonowi bebech rośnie z każdym sezonem. W tych docinkach była maskowana zazdrość o piękną Bodill, z którą Skonson się prowadzał, właścicielkę jedyne go gabinetu kosmetycznego w mieście, ozdobionego różowym szyldem **WSZYSTKO DLA ŚLICZNOTEK**. Nie urodziła się w tych stronach, ale nawet Lars ją znał, bo często wystawiała przed sklep pasiasty leżak i chwytiała każdy promień słońca. Chociaż jej karnacja nie pozostawiała wątpliwości, że jest fanką samoopalaczy.

– Musiał być sukinsyn w rękawiczkach i foliowych ochraniaczach na buty – zacmokał radośnie Skonson, przesypując piach obok kolana ofiary.

Cmoknął jeszcze parokrotnie, za każdym razem inaczej, nie wiadomo, czy nadal z satysfakcji, czy jednak ze zmęczenia.

Lars pomyślał, że może to jego mięsiste usteczka są kluczem do tej jakże udanej znajomości z lokalną królową tipsów. Żeby nie przeszkadzać, stał teraz dobre kilka metrów od ciała, tuż przy taśmie chroniącej miejsce zbrodni przed śladami gapiów. Tych było jednak ciągle niewiele, upał uwięził ludzi w domach, a w lepkim powietrzu informacje rozchodziły się niespiesznie. Większość tutejszych mieszkańców była dobrze po sześćdziesiątce i wolała oglądać wydarzenia w telewizji niż na własne oczy.

Pomimo powagi sytuacji Lars, nie wiedząc czemu, przez dłuższą chwilę wyobrażał sobie Imre i Bodill razem na zapleczu jej salonu. Jak posuwają się na jednym ze stolików na kółkach, ze wszystkimi tymi przyrządami do upiększania. Ona piękna, on z mokrymi rudymi krzakami w nosie... tak, ze strony Bodill musiał być w tym jakiś element masochizmu, który natrętnie się przyklejał do fantazji fotografa. Być może podświadomość podsuwała mu fantazje o seksie, żeby nie musiał myśleć o dziecku zamordowanej.

Mała Paris była sina od płaczu, mokra od moczu i potu, spocone włosy przylgnęły jej do główki. Wiła się pod łapami techników w lateksowych rękawiczkach. Kiedy wreszcie zdjęli z niej ślady do analizy, uspokoiła się błyskawicznie. Teraz nie płacze, ssie butelkę z sokiem. Kołysze się przy tym w przód i w tył, szarpie swoją ciotkę Annikę i radośnie gaworząc, zezuje w stronę leżącej na trawie martwej matki.

Lekarka przemawia do małej pieszczotliwie, ale z napięciem w głosie. Takim samym tonem mówiła matka Larsa w ostatnich latach życia. Przypomniawszy jej zafrasowaną twarz z zaciśniętymi ustami, zapewne z powodu luźnej protezy. Poczul, że wzbiera w nim płacz, chciał przerwać ten dyskomfort, westchnąć i zaczerpnąć więcej powietrza, ale wokoło panował odór i upał.

– Zabijając, to się chłopak zbyt nie namęczył – odezwał się Imre do starszego mężczyzny w białym fartuchu, lekarza sądowego czy patologa, który metodycznie obchodził zwłoki.

Przez szyję Karin Frostenson biegła wąska rana szarpana.

– Ale naszyjnik! Gotyk, nie? Gotyk jak ta lala. – Imre zagęszczał nerwowo ślinę. Jego żuchwy pracowały rytmicznie. Już nie był królem życia. Widać było, że za wszelką cenę nie chce dać poznać po sobie, iż ma

ochotę zdezerterować i szybkim truchtem pobiec do domu, do swojej Bodill.

– Dobrze by było znaleźć ten drucik... chyba nowy... nawet rdzy nie zostawił – powiedział drugi technik. – Są jakieś nitki. – Szczypcami wyjmował z rany niewidoczne z odległości kilku metrów strzępy i lokował je w oznaczonych torebeczkach. – Wygląda mi to na plaster... czy coś... Zobaczymy...

Lars Olsson nie mógł ominąć wzrokiem białych kłaczek skóry, wyszarpanego ścięga mięśnia szyi. Krwi było mało, prawie nic, ledwo kilka zaschniętych plamek, ale rana wyglądała tak, jakby lada moment miała się rozchylić.

– Szybka robota, zero śladów walki – stwierdził siwy mężczyzna w kitlu.

– Nawet jednej jebanej ułamanej gałązki czy jakichś wgnieceń na trawie – dopowiedział Gustavsson, ciągle przygryzając wargi.

– Jakby się sama prosiła o wymacanie szyjki. – Imre spojrzął na Gustavssona, oczy znowu mu się śmiały, ale poczuwszy na sobie karcący wzrok patologa, szybko odwrócił głowę w stronę żywopłotu.

– Koledzy, koledzy – skarcił ich mężczyzna w białym fartuchu.

Rękawy miał podwiązane do łokcia, a na przegubie jednej z dłoni – czerwony wełniany sznureczek. Lars nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby takiego samego sznureczka, tyle że zielonego, nie miała też ofiara. Zaobserwował również, że Gustavsson przez moment rozejrzał się nerwowo, po czym szybkim, zdecydowanym ruchem zgasił papierosa o wnętrze dłoni, a niedopałek wrzucił do prawie pustej paczki. Chyba musiał poczuć suchość w ustach, bo mlaskając, począpał do pozostawionego kilka metrów dalej plecaczka i wyciągnął małą butelkę wody mineralnej. Po chwili dołączył do niego Imre Skonson i sztucznie ściszone głosem powiedział:

– Ale jaja, nie?

– Szkoda mi jej – odpowiedział Gustavsson, nie przestając pocierać policzka.

– A mnie to nie? I pomyśleć, że do tej pory mieszkały tu same dorosłe bachory z Bullerbyn. I nawet nie kradły w sklepach. Od czasu do czasu jeździły po pijaku i okładały się pięściami, ale jak to w rodzinie. A raz ktoś

podrzucał gówna na ganki, pamiętasz? – Skonson roześmiał się nerwowo, przełknął ślinę i poklepał kolegę po ramieniu.

– Ale robili te małe paskudne rzeczy, żeby sobie trochę ulżyć. Poczuć się choć odrobinę lepiej – dopowiedział bez pewności w głosie Gustavsson.

– A jak kto chciał być naprawdę zły, wsiadał do pociągu, jechał do Sztokholmu i tam sobie używał, a jeśli był sprytniejszy, to wsiadał na prom i miał całą Europę u stóp. A jak był jeszcze bardziej bystry, to do samolotu i odlatywał do Ameryki Południowej – rozmarzył się Skonson.

– A ten tu wolał swojskie tereny – zakończył Gustavsson i gryząc górną wargę, machnął ręką do Larsa Olssona, jakby w geście powitania albo otuchy.

To właśnie wtedy Imre Skonson zainteresował się Larsem. Dlaczego tu jest? Jak długo? I jakim prawem robi zdjęcia?

Jednocześnie Stefan wypatrzył Anchee Andersson. Ależ ona nadal jest piękna! – pomyślał. Pewnie przyszła podtrzymać na duchu córkę. W trudnych chwilach, dobrze mieć przy sobie kogoś bliskiego.

Ale zaraz potem, chyba jako jedyny, zauważył, że nie podeszła do córki. Wszystko obserwowała z bezpiecznej odległości, spod przymrużonych powiek. Jakby była krótkowidzem albo czuła gniew. Taki sam wzrok miała Frida, która stała kilka metrów od zwłok Karin Frostenson, przestępując z nogi na nogę. Znudzona, z pokerową twarzą, jakby widok okaleczonego ciała nie robił na niej wrażenia.

4



Can't read my, can't read my. No, he can't read my poker face. P-p-p-poker face, p-p-poker face. Frida Andersson śpiewała w myślach, naśladowując intonację Lady Gagi. P-p-p-poker face, p-p-poker face. I wanna roll with him, a hard pair we will be.

Wpatrywała się w przesłuchującego ją policjanta, wyobrażając sobie, że to jej ojciec. Kiedy zapytał, jak wyglądały zwłoki, kiedy się na nie natknęła, natychmiast udała, że nachodzą ją mdłości. Pochyliła się nawet, symulując powstrzymywanie wymiotów. Chciała perfekcyjnie zagrać niewinną uczennicę, której przytrafiła się odrażająca wakacyjna przygoda. I udało się.

– Okay, okay – powiedział szybko śledczy. – Nie będę pytał o szczegóły. Przepraszam. Rozumiem tylko, że niewiele się to różniło od obrazka, jaki zastali moi koledzy.

Pokiwała głową, tłumiąc satysfakcję, że go ograła. Wcielanie się w rolę niewiniątka przychodziło jej łatwo. Na wszystkie pytania odpowiadała ściszym głosem, a oni nieustannie proponowali jej przerwę w zeznaniach, piwo, ciasto imbirowe. Traktowali ją jak ofiarę zespołu stresu pourazowego. Dużo o tym czytała. Również o morderstwach dokonanych ze szczególnym okrucieństwem. O gwałtach. Molestowaniu. O pozorowanych samobójstwach. I o samobójstwach prawdziwych – poprzez połknięcie łańcuszka z biurowych spinaczy. To były jej lektury. Internet potrafił zaspokoić najbardziej niecną ciekawość. Świadomość, że ktoś ma gorzej od niej, zawsze dodawała jej odwagi.

Popatrywała na policjanta. Nie jest z tych stron. Jest młody, za bardzo opalony na twarzy, spieczony, jakby przysnął na słońcu. Dopiero co przyjechał, zdążył tylko narzucić letni kremowy garnitur, lecz w pośpiechu zapomniał o zmianie obuwia i został w czarnych gumowych klapkach. Palce u nóg, nie wszystkie, ma niewprawnie pomalowane czerwonym

lakierem. Chyba córka zrobiła mu psikusa. Ta myśl sprawia Fridzie przykrość. Skojarzenia ze słowem „ojciec” nie poprawiają jej nastroju.

Dobrze, że miejsce tego nieznanego zajął Stefan Gustavsson. Frida знаła go z widzenia. Włóczył się czasami koło molo. Ma tam budkę rybacką. Kilka razy się do niej włamała; stary drewniak dobrze służył jako kryjówka. Dziury w ścianach pozwalały na obserwację zarówno molo, jak i nabrzeża. Zauważyła, że w środku jest dużo dziwnych ostrych przedmiotów. Przypominały szydełka albo szpikulce do mięsa. Lubiła i kolekcjonowała ostre przedmioty, od razu wzięła sobie kilka na pamiątkę. W domu dokładnie się im przyjrzała. Doszła do wniosku, że muszą służyć do oprawiania ryb lub do łatania sieci.

Stefan Gustavsson przesłuchiwał ją ociężałym głosem. Zadawał te same pytania co jego poprzednik. Przyszło jej na myśl, że może ją podejrzewają. Postanowiła grać lepiej. Zaczęła niby to nerwowo szczypać się w uda. Wzrok policjanta od razu zaparkował na jej gładkiej skórze. Twarz przestała być służbowa, stała się samcza, lepka i chrząkająca. Zamiast ust i nosa miał teraz napalony ryj, jak grzejący się knur. To jej coś przypomniało.

Kilka lat temu, kiedy wyglądała jeszcze jak kretyńska słodka dziewczynka i nosiła mdłe kwieciste sukienki od Laury Ashley, często spotykała tego glinę w sklepie zoologicznym u Ann-Britt. Kupował puszek dla psa, z którym przychodził nad jezioro. Pamięta, że bardzo długo wystawał przed półką z psią karmą. Ale za każdym razem, kiedy poczuł na sobie jej wzrok, lekko się peszył i zaraz potem przyjaźnie puszczał do niej oczko, a wtedy to ona się peszyła. Teraz on pewnie nie pamięta tych przypadkowych spotkań. Odkąd zdechł chomik, Frida nie robi już zakupów w sklepie Ann-Britt. Nie nosi też pastelowych szmatek w czarujące różyczki, no i przede wszystkim nie czerwieni się, widząc mężczyznę robiącego do niej oko. Po prostu od razu pokazuje mu faka i zadziera wyżej głowę.

Ale Stefan Gustavsson też się zmienił. Ledwo usiadł, ledwo na nią spojrział, już miał maślane oczy. Wiedziała, że ostatnią rzeczą, o jakiej myślał w czasie przesłuchania, jest morderstwo Karin Frostenson. Cały czas zezował na jej uda w gotyckich podkolanówkach w trupie czachy. Kiedy zaczęła się w nie szczypać, prawie eksplodował. Ścisnął kolana i nadymał policzki.

A little gamblin' is fun when you're with me – zaczęła cicho mruzczyć Frida. *Russian Roulette is not the same without a gun. And baby when it's love, if it's not rough it isn't fun, fun.* Właściwie tylko wyginała usta. Miesiące ćwiczeń przed lustrem. Była pewna, że robi to seksownie. I nagle, kiedy już się po nim niczego nie spodziewała, Gustavsson się prostuje i smętnym głosem oznajmia:

– Wiesz, ten mój pies, pamiętasz, czarny z białą mordką, zdechł. Mógł jeszcze żyć, ale zdechł.

Frida kiwa głową. Chce zapytać, gdzie go zakopał, bo lubi sobie posiedzieć na ziemi, która kryje kości zwierząt, ale nic nie mówi. Milczy i patrzy policjantowi w oczy. Peszy go to, a Frida wyniuchuje jego pot. To ładny zapach, nieco retro, przypomina stara wodę kolońską, która została po dziadku. Nagle zaczyna krzyczeć:

– *Russian Roulette is not the same without a gun. And baby when it's love, if it's not rough it isn't fun, fun!* – Zaczyna biegać po pokoju przesłuchań. – *Fun! Fun! Fun!*

Najpierw wpadają w panikę. Nie wiedzą, czy ją łapać, uciszać na siłę, czy zostawić samą. W końcu sekretarka dzwoni po lekarza. Proszek na uspokojenie jest mniejszy od aspiryny. Frida Andersson z łatwością ukrywa go między dżaszem a policzkiem.

Informacja, że jej córka została brutalnie zamordowana, nigdy nie przebije się do poudarowej świadomości pani Agnes Hermansson. Ale ta emerytowana położna, od kilku miesięcy niekomunikująca się z otoczeniem, w dniu utraty dziecka zaczyna przejawiać nienaturalne pobudzenie. Jej opiekunka, Zuza Wolny, odnotowuje zmianę w zachowaniu podopiecznej: nadaktywność. Nieskoordynowane ruchy rąk i nóg uniemożliwiające dokonywanie czynności higienicznych.

Wzywa lekarza, a ten aplikuje pani Agnes dożylny środek uspokajający, dzięki czemu Zuza nie musi bez przerwy doglądać starszej Hermansson i może sobie spokojnie poukładać w głowie ostatnie wydarzenia. Brutalne zabójstwo Karin, która zginęła w drodze powrotnej z domu matki, zaledwie pół godziny po ich rozmowie, zrobiło na polskiej pielęgniarce wielkie wrażenie. Dowiedziała się o nim, włączywszy laptop. Po obiedzie zawsze czytała wiadomości z polskich portali, sprawdzała pogodę w Gdyni. Niekiedy wysyłała maile do koleżanek. Zaraz potem klikała na stronę z lokalnymi informacjami. Tego dnia zdarzyło się coś szczególnego.

Witryna najpierw się zawiesiła, był jakiś kłopot z połączeniem, a potem pokazał się napis informujący o kilkunastominutowej przerwie technicznej, co nigdy nie zdarzało się w ciągu dnia. Jednak zaraz potem strona zmieniła wygląd na czarny, a litery stały się białe, o innej, bardziej dostojnej czcionce.

Zuza Wolny zaczęła łapczywie czytać, mimo że jednoznaczne ruchy pani Agnes mówiły, że pampers domaga się wymiany, a w powietrzu rozszedł się znajomy fetor. Po prostu nic już jej nie obchodziło, nie mogła się oderwać. Wpis był zadziwiająco długi.

W starej części placu Dzieci z Bullerbyn, tuż za żywoplotem biegnącym wzdłuż głównej alejki, wracająca z rowerowej wycieczki nastolatka Frida Andersson przypadkowo natknęła się na ciało zamordowanej kobiety. Nasza urocza Frida zainteresowała się najpierw dziecięcą spacerówką, której koła wystawały zza żywoplotu, a gdy podjechała bliżej, usłyszała również płacz dziecka, który z początku wzięła za kocie miauczenie.

Na moment Zuza przerwała czytanie. Odczuwała nieprzyjemny ciężar w brzuchu. Jakby wszystkie trzewia wywracały się na lewą stronę. Jakby chciały same się pożreć. Ściągnęła usta. Powstrzymała wymioty. Zdecydowanie wypija zbyt dużo kawy.

Po chwili czytała dalej.

Dzielna nastolatka zatrzymała się, porzuciła rower i rozgarnęła gęste gałęzie bukszpanu. Od razu rozpoznała znaną nam wszystkim cudowną Karin Frostenson, która leżała na plecach z rozsuniętymi nogami. Nie miała na sobie ani spódnicy, ani majtek, a jej łono było tak idealnie wygolone, że w pierwszej chwili Frida pomyślała, że ofiara ma na sobie cieliste majtki. Drobne piersi Karin Frostenson opinała bawełniana biała bluzka z napisem DIOR ułożonym z połyskujących srebrnych cekinów. Gdyby nie cienka, ale głęboka rana biegnąca zygzakiem wzdłuż szyi, można byłoby pomyśleć, że Karin Frostenson stroi sobie żarty z nastolatki, że zaraz wstanie, pospiesznie naciągnie coś na tyłek i krzyknie: „A kuku, mam cię!”. Jednak nasza nieodżałowana Karin już nigdy nic nie powie. Nawet nie zdradzi, kto w tak brutalny sposób pozbawił ją życia. Na szczęście mamy w naszym kraju znakomitych techników kryminalnych, którzy potrafią czytać mowę zamordowanego ciała. W ciągu najbliższych tygodni będziemy informować, co mają nam do powiedzenia.

Zuza znowu przerwała czytanie. Forma wpisu mogła sugerować, że to się jednak nie stało, że to jakaś wprawka, literacka zabawa niedosłego autora kryminałów. Rozciągnęła skurczone ramiona i pochyliła się nad monitorem.

Na miejscu zbrodni była również jedenastomiesięczna córka Karin, Paris, naga, prawdopodobnie odwodniona i splakana. Zapewne pęzała po zimnym już ciele matki. Czy to nie straszne?! Powstaje dokumentacja fotograficzna z miejsca zbrodni, chwilowo dla nas niedostępna, ale to kwestia zaledwie kilku dni. Na razie znamy tylko ten okrutny szczegół, że malutka Paris była przywiązana dziecięcymi szelkami do łydek martwej matki. Podobnie jak

naszą nieodżałowaną Karin, również jej córeczkę obnażono, a niewinne krocze dziecka oblepiono dwustronną taśmą klejącą, do której doczepiono włosy.

Zuza zakasłała, raczej nerwowo niż z organicznej potrzeby. Przeszła do następnego akapitu, który sugerował, że jego autorem jest policjant albo ktoś, kto zawodowo czyta lub sporządza raporty z miejsca zbrodni.

Ogłędziny zwłok potwierdziły obcięcie kilku pasm włosów z głowy denatki na wysokości płatów czołowo-ciemieniowych, tuż przy skórze, równo, precyzyjnie, bez pośpiechu. Obecny na miejscu lekarz sądowy wysunął przypuszczenie, że włosy nalepione na częściach intymnych dziecka należą do jego matki. Oczywiście tę hipotezę musi jeszcze potwierdzić profilowanie materiału genetycznego. Jednakże już po wstępnych oględzinach zwłok lekarz sądowy wnioskował, że sprawca uduśli ofiarę, a zadzierzgnięcie nastąpiło za pomocą drutu kolczastego owiniętego szerokim medycznym plastrem z opatrunkiem. Na miejscu zdarzenia znaleziono również pampers ściągnięty z dziecka. Po przejrzeniu zawartości torebki Karin Frostenson wykluczono napad rabunkowy. Portmonetka była zamknięta, w środku nadal tkwiły karty kredytowe i pieniądze. To musiał być prawdziwy szok dla Fridy, tej niewinnej nastolatki, wnuczki naszego nieżyjącego już doktora Kristoffa Anderssona, zobaczyć tak potworną zbrodnię na samym początku życia, w samym kwiecie niewinności.

Tu Zuza Wolny musiała się uśmiechnąć i pomyślała, że administratorką witryny jest jednak wiekowa dewotka. Albo ktoś, kto uwielbia pastisz i kicz. Na pewno nie jest to ktoś, kto widział tę lolitę w akcji.

Czytała dalej.

Całym sercem pragniemy, by kiedyś udało ci się, Frido, zapomnieć o tym tragicznym i jakże bolesnym wydarzeniu!

Ostatni akapit był wytłuszczony i okraszony pofalowaną linijką, jakby przekazywał życzenia imieninowe.

Zuza wstała, pobiegła truchtem do łazienki i zwymiotowała. Wyszczotkowała zęby, wzięła szybki zimny prysznic, ubrała się starannie i uczesała i zaczęła czekać na wizytę policji.

Na całe szczęście pani Hermansson głęboko usnęła. Jej twarz była blada, jakby obłana mlekiem, żaden mięsień się nie poruszał i tylko szybki ruch palców jednej ręki świadczył, że ich właścicielka wciąż żyje.

Minęły dwie czy trzy godziny i nikt się nie pojawił. Zuza pomyślała, że pewnie jeszcze nie wiedzą, że Karin zginęła, wracając od matki. W tym momencie uświadomiła sobie, że ma alibi i jednocześnie go nie ma, bo przecież pani Hermansson nie mówi, nie pisze i nie kontaktuje. A prawdopodobnie ostatnią osobą, z jaką rozmawiała Karin, zanim napotkała mordercę, była ona, Zuza Wolny. Oczywiście w oczach policji te dwie postacie automatycznie składają się w jedną. Musi zatem dostarczyć dowodów, by tak nie myśleli. Tylko jak ma to zrobić?!

Wiedziała jedno: kiedy przyjdą ją przesłuchać, musi być silna i powstrzymać odruch wymiotny, bo takie nerwowe zachowanie mogłoby wskazywać na nią jako na sprawcę.

Po zażyciu leku uspokajającego nieletnia Frida Andersson poprawiła fryzurę i uparła się, że chce być nadal przesłuchiwana. Ale wszyscy mają wyjść z pokoju. I to już! Chce być tylko z nim – tu wskazała palcem na Stefana Gustavssona. Nic dziwnego, że odebrał ten gest jako komplement, i to odnoszący się do jego osobowości, a nie do profesji. Pomyślał, że Frida na pewno pamięta go z czasów, gdy kupował puszki dla psa. Natychmiast skarcił się za te żałosne wątki osobiste i postanowił być bardzo profesjonalny.

Obserwował ją. Wydawało mu się, że go ignoruje, nie widzi w nim mężczyzny, tylko mundur. Albo dostrzega go jedynie przez krótkie chwile. Jego, Stefana Gustavssona, samotnego mężczyznę z krwi i kości. I może właśnie owo migawkowe poczucie sprawiało, że chciał, by to przesłuchanie nigdy się nie skończyło. W jego odczuciu ona zachowywała się tak, jakby łączyło ich coś więcej. Ale może się mylił, nie znał się na dziewczynkach.

Zobaczył, że ma obtarte udo, wysoko, tuż przy kroczu. Założyła zbyt krótkie spodenki, tyle godzin na rowerze, w słońcu. Pierwszy raz od czasu usunięcia nerki przyjemność z obserwowania płci przeciwnej była tak intensywna, fizyczna. Uważał się za impotentą, nigdy za bardzo nie ciągnęło go do randek z dziewczynami, a teraz czuł, że staje się świntuchem.

Włączył aparaturę nagrywającą, gotowy do przesłuchania świadka. Podał miejsce akcji i czas. Zapytał, jak się nazywa. Zgodnie z protokołem.

– Frida Andersson.

– Jesteś córką Anchee Andersson?

– A bo co? – zapytała niemal wrogo.

– Nic. Chodziłem z nią do szkoły.

– Dziwne – odparła już bardzo spokojnie, nie spuszczając z niego oczu.

– Dlaczego dziwne? – zaciekawiał się, mając nadzieję zaraz usłyszeć, że jest za młody, by chodzić z jej matką do jednej...

– Bo wygląda pan, jakby w ogóle nie chodził do szkoły – powiedziała i zaśmiała się. Szczerze i głośno. Czystym radosnym rechotem.

Gustavssonowi wydał się on zaskakujący, zważywszy na to, że niedawno widziała okaleczone zwłoki.

– Co robiłaś na placu Dzieci z Bullerbyn?

Słuchanie własnego głosu sprawiało mu przykrość. Skrzeczący, niemęski, momentami piskliwy, papuzi. W dodatku nie pamiętał, by kiedykolwiek miał w głowie taki mętlik jak teraz, kiedy ta mała siedzi przed nim w tych skąpych ciuszkach. Nawet na pogrzebie matki wydawało mu się, że kontroluje przepływające przez głowę myśli i uczucia. W dniu morderstwa Karin Frostenson wszystko zaczynało przebiegać inaczej. W głowie czuł chaos, dziwne napięcie w kroczu, tak jakby nieustannie miał wypełniony pęcherz, a przecież dopiero co był w toalecie.

– Już mówiłam – skrzywiła się Frida. – I może na to nie wyglądam, ale jestem nieletnia. Takie jak ja przesłuchuje się tylko raz. Nagrywa się i nie naraża na dodatkowy stres.

– Niech no zgadnę, seriale kryminalne to twoja ulubiona rozrywka – wycedził żartobliwym głosem Gustavsson. Myślał, że zabrzmi to pojednawczo, a wyszło zbyt ironicznie, prawie agresywnie.

– Nigdy! Seriale! Nie bierze mnie farba udająca krew.

– A prawdziwa krew? – zapytał i zaraz się za to skarcił. Traktuje ją nie jak świadka, ale jak podejrzaną. Jednocześnie chciał, by kamera zapisała jej wypowiedzi. I obojętność. Zdziwiająca jak na to, na co się natknęła w parku. – A prawdziwa krew? – powtórzył. – Rajcuje cię?

– Zależy, do kogo należy – rzuciła mu w twarz i zezując w stronę lustra weneckiego, zaczęła poprawiać sobie włosy.

Czy jego koledzy tam za szybą też mają takie myśli, jak patrzą na tę małą? – rozmyślał Gustavsson. „Frida Andersson to tylko dziewczynka. Tylko mała dziewczynka. Nieletni świadek – przemawiał do siebie w myślach. – Uczennica na wakacjach. Uspokój się. Jak możesz marzyć, że robi ci loda? Fuj! Stary zboczeniec”. Uspokoił się, ale tylko na chwilę, dopóki nie wypatrył na kolanie Fridy bawełnianej opaski z napisem **LITTLE MONSTER**. Ukryta pod nylonową podkolanówką była ledwo widoczna. „Ta mała zdzira wie, jak działać na facetów! Robi to celowo”. A może nic nie nadaje, żadnego seksualnego SOS, tylko on – wyposzczony kilkuletnim brakiem seksu – tym normalnym spojrzeniem, temu zakładaniu nogi na nogę nadaje sprośne znaczenie. Czuł się coraz gorzej.

– Co robiłaś na placu Dzieci z Bullerbyn? – powtórzył, gdy ze spokojną miną zdzierła lakier z paznokcia.

– Wracałam do domu. A co?! Nie można?!

Stefan Gustavsson próbował uważnie słuchać, ale nie mógł zapanować nad dygotem. Ta skośnooka małpka źle na niego działała. Chciał ją natychmiast wypytać o szczegóły, wykorzystać świeże ślady pamięciowe, ale musiał poczekać, nie naciskać, bo mogłaby się zrazić, wycofać i niczego nie powiedzieć. Zaczął udawać, że ją ignoruje i porządkuje papiery. Poskutkowało, sama z siebie zaczęła opowiadać o dziecku ofiary. Najpierw zauważyła Paris. Ona też ją zobaczyła, przestała płakać i uśmiechnęła się. A ona, Frida, aż jęknęła na widok tego uśmiechu, na widok tego stworzenia, które wzięła za dziecko, dziwne dziecko, tam na dole jakby porośnięte sierścią, Paris i nie Paris.

– Ale było już za późno – dodała na koniec i zacisnęła usta. – Za późno – powtórzyła po chwili. I spuściła głowę.

Na zębach miała aparat ortodontyczny, a na ramieniu sztuczny tatuaż przedstawiający wążkę, cały w lichej, przetartej czerwieni. I te koraliki na przegubach rąk, wszędzie bransoletki z różowych koralików. Założyła nogę na nogę, huśtała kolanem. Gustavsson zauważył, że nie patrzy na niego, że unika spojrzeń jak ktoś, kto coś ukrywa.

Może tylko mu się wydawało, że skrywa jakąś tajemnicę, może była po prostu zmęczona, a na pewno ciągle jeszcze przerażona. Pomimo to – co poczuł, dolewając jej wody do plastikowego kubeczka – biła od niej ciągle jakaś radość, niefrasobliwość, lekkość, czystość, rozświergotanie. Przypominała mu jego papugi. Chciał, by została z nim dłużej, poczuł pragnienie, by dotknąć jej wypukłych kolan, były tak małe, na pewno z łatwością zamknąłby je w dłoni. Skarcił się za tę myśl, bo mogłaby być jego córką. Ale o co chodzi, przecież nie była.

W końcu przyjechał adwokat, jakiś kuzyn Anderssonów. Otyły, z nabrzmiałą zaczerwienioną szyją, przypominał pelikana, którego ktoś wystroił w drogi płócienny garnitur. Gustavsson zarejestrował również jego błękitną koszulę i krawat w kretyńskie biedronki. Wygląda nie jak mecenas, ale jak facet z kantyny w Świecie Astrid Lindgren, pomyślał. Spocony jeszcze bardziej niż Gustavsson, prawnik usiadł i od razu wytarł czoło bawełnianą chusteczką. Potem odkaszlnął nerwowo parę razy i patrząc na policjanta jak na przeciwnika, powiedział, że od dziś reprezentuje obecną tu nieletnią. Na wstępie zapytał Fridę, czy prawdą jest, że odmówiła wezwania policyjnego psychologa.

Potwierdziła szybkim ruchem głowy.

– Nie jestem jakąś czubką – dodała odrobinę za głośno, pokazując przy tym aparat na zębach. Trzy druciki na siekaczach upodabniały ją do szczeniaka w metalowym kagańcu. – Nie potrzebuję ani tandetnego wsparcia moralnego, ani kolejnych prochów na uspokojenie. Jest okay – dodała.

Wtedy Gustavsson zauważył kolczyk w jej języku, srebrną kulkę. Ale potem na próżno jej wypatrywał, tak jakoś mówiła, że język wydawał się nietknięty.

– Traktujcie mnie jak dorosłą, ale w stresie pourazowym, czy jak to się tam... – Machnęła ręką. – Inaczej nic nie powiem. – Uśmiechnęła się sztucznie, patrząc adwokatowi w oczy.

– A czy chciałabyś powiedzieć o czymś jeszcze poza odnalezieniem zwłok? Czy długo byłaś na placu, zanim natknęłaś się na ciało? – zapytał Gustavsson. Peszyła go. I dlatego przesłuchiwał ją chaotycznie i nieprofesjonalnie.

Wyglądało na to, że na zwłoki natrafiła przypadkowo. Widziała tylko Karin, no i przywiązaną do niej Paris. Najpierw ujrzała dziecko, a dopiero potem kobietę, w tej kolejności, bo ono płakało i...

– Proszę pana... – Nagle Frida lekko uniosła się z krzesła. Słowa przychodziły jej z trudem, a intonacja ni stąd, ni zowąd stała się dziecinna. Znieruchomiała, przez moment nerwowo trąc kolczykiem o podniebienie. – Proszę pana.... – Spojrzała na Gustavssona. – Czy to prawda, że ona nie żyje... Karin? Nie żyje...? Leżała tam już martwa? – Ton jej głosu był tak dwuznaczny, że Gustavsson nie dałby głowy, czy jest w tym prawdziwy ból, czy zgrywa podszywająca się pod współczucie.

Odpowiedzi udzielił adwokat, natychmiast, ale jakby mimowolnie, bo właśnie był skoncentrowany na wyłączaniu telefonu komórkowego.

– Nie bój się, kochanie. Bóg jest zawsze po stronie umarłych – obwieścił i wrzucił komórkę do skórzanej teczki. Chrząknął, poprosił o szklankę wody. Nikt go nie obsłużył.

Gustavsson był pewien, że to jego zwyczajowa złota myśl, która sprawdza się zarówno przy świadkach, jak i przy rodzinach ofiar.

Oczy Gustavssona nadal skwierczały, przesuwając się po opalonym ciele Fridy, gładkim, bez żadnych znamion czy przebarwień.

– Co właściwie robiłaś na placu w taki upał? – zapytał kolejny raz, ale nie wywołał tym irytacji przesłuchiwanej. Nawet zauważył u niej lekki uśmiech, z rodzaju tych pogardliwych.

– Nic nie robiłam. Mówiłam, że skróciłam sobie drogę do tak zwanego domu – odpowiedziała spokojnie Frida, wyjmując włosy z frotki i ponownie je w nią wciskając.

– A dlaczego stałaś tam całkiem spokojna? Nie płakałaś, nie krzyczałaś, tylko gwizdałaś, gwizdałaś i gwizdałaś i nie mogłaś przestać.

– Sprzeciw! – wykrzyknął adwokat i uniósł się na krześle, jakby obudzony swoim głosem.

– Mogę odpowiedzieć – spokojnie obwieściła Frida. – Gwizdałam, bo chciałam. Jeżeli to karalne i jest na to jakiś paragraf, może mnie pan zapuszkować. A co do płaczu, to nigdy nie płaczę. Nie jestem żalosna, drogi kolego szkolny mojej matki. – Mówiła znowu tym swoim monotonnym, lekko znudzonym głosem.

Adwokat nagle stracił zainteresowanie przesłuchaniem i skoncentrował się na czyszczeniu sobie pofalowanej podeszwy buta kluczykiem od samochodu.

– A co teraz sobie myślisz o tym, co cię spotkało na placu? Że to koszmar? Może przypadek? A może po prostu byłaś nie w tym miejscu co trzeba? Powiesz? Co teraz sobie myślisz o tym, co cię spotkało tam na placu? – powtórzył chytrze.

Odpowiedziała od razu.

– O tym, co mnie spotkało? Że to nie jest jak opalenizna. Nie schodzi.

– To znaczy?

– Znaczy to, co znaczy. Nic więcej, nic mniej.

– To przykre doświadczenie. Jak rozumiem, chcesz powiedzieć, że nigdy go nie zapomnisz, tak?

– Morderstwo nie schodzi ani z serca, ani z umysłu, ani z rąk – mówiła wyraźnie, powoli, cały czas patrząc Gustavssonowi prosto w oczy.

– I co z tego? – zaszokowany, odezwał się mechanicznie.

– Jest w tym jakieś piękno. Nie uważa pan? – zapytała i spuściła głowę, jakby wyznała coś, co długo leżało jej na sercu.

Zuza Wolny otworzyła drzwi. Policja. Stało się.

Stefan Gustavsson w towarzystwie młodej funkcjonariuszki Lisy Sjösten, która mówiła z dziwnym akcentem i którą Zuzie trudno było

zrozumieć. Rozmowę prowadził więc Gustavsson. Zuza znała go jeszcze z czasów, kiedy pracowała w domu starców, gdzie przebywał jego ojciec. Młody Gustavsson nie był w jej typie, ale miał w sobie coś, co sprawiało, że czuła się przy nim bezpieczna. Może to ten jego niedźwiedzi wdzięk, nadwaga i nieśmiałość. Przez moment miała nadzieję na jakiś związek czy choćby flirt, ale wiadomość o jej relacji seksualnej z właścicielem komisju meblowego została skrętnie odnotowana na plotkarskiej witrynie Prawdziwe Bullerbyn. Ten, kto był jej administratorem, wiedział wszystko o wszystkim. Wyjątkowo złośliwy i zawsze najlepiej poinformowany, donosił o zdradach, chorobach, o tym, kto zmarł w domu starców, kto zaczął kupować więcej wódki, kto tego roku posadził mniej kwiatów w ogrodzie. Wiadomości obejmowały każdą dziedzinę życia i mogły być pisane równie dobrze przez mężczyznę, jak i przez kobietę.

Pomimo przykrych adnotacji o jej romansie z żonatym mężczyzną Zuza codziennie czytała lokalne newsy. Było tam też zawsze kilka wiadomości o jej sąsiedzie fotografie; mnożyły się pogłoski, dlaczego zaszył się w domu ojca, kim był. Pewnego dnia znalazła tam też kilka fotek jego dziewczyn z czasów szkoły średniej. Z satysfakcją uznała, że żadna nie była atrakcyjna. Wszystkie zbyt chude, o wyciągniętych, końskich twarzach i głupekowato wytrzeszczonych oczach. Mężczyzna z jego klasą mógłby mieć lepszy gust, pomyślała.

Podczas przesłuchania zachowywała spokój, ale w pewnym momencie pomyślała o bracie i rozplakała się na cały głos, zasmarkując sobie brodę. Policjantka podała jej paczkę chusteczek, a ten niekontrolowany wybuch emocji został zinterpretowany jako „reakcja na śmierć Karin” i chyba sprawił, że z ewentualnej podejrzananej stała się wiarygodnym świadkiem.

Gustavsson nie zadawał wielu pytań. O której Karin Frostenson wyszła od matki? Czy mówiła, że jest z kimś umówiona? Była smutna? Może nienaturalnie wesoła, podekscytowana? Przesadnie wyperfumowana albo wyjątkowo zaniedbana? W cholernej depresji? – wtrącała się policjantka.

Potem padły pytania dotyczące życia rodzinnego. Czy ofiara skarżyła się na męża? Czy regularnie jej płaciła? Czy nie zdarzało się, by miała dziwne sińce na ciele? Odpowiedzi Zuzy Wolny świadczyły, że Karin była szczęśliwą mężatką, a wizyta u matki w dniu, w którym została zamordowana, nie różniła się od pozostałych. Oczywiście nawet nie napomknęła o tym, że zamordowana poinformowała ją o braku zgody na

przyjazd brata na wakacje. Czy dlatego, że dowiedziała się o jego niepełnosprawności? Tego już nigdy się nie dowie. W każdym razie nic o tym nie wspomniała, przyjęła po prostu zasadę „nie mówić źle o zmarłych”. Nawet gdyby to miało wpłynąć na losy śledztwa.

Na koniec, zapewne zwyczajowo, została zapytana o alibi. Stwierdziła, że jak zwykle nie ruszała się z domu pani Agnes Hermansson. W końcu nie przyjechałam tu na wakacje, dodała i jej słowa zostały przyjęte z właściwym zrozumieniem.

Pierwszy raz w tych stronach trafiło się morderstwo. To dlatego działali trochę chaotycznie i impulsywnie, zabrali świadków do komendy, zamiast dać się im wygadać na miejscu. Więcej by wtedy powiedzieli. A tymczasem już w policyjnym samochodzie spięli się i zamknęli w sobie.

Frida Andersson i Lars Olsson. Jedyni świadkowie. Przypadkowo przechodzili przez park. Stefan Gustavsson musiał powiedzieć, że zna matkę nastolatki jeszcze z dzieciństwa, a fotograf jest jego kumplem. Zdziwili się, nie wyglądał na takiego, który zna ślicznotki i vipów ze Sztokholmu.

Pierwszy przesłuchiwał ich Petersen. Nie był w formie, cały weekend bawił się z córkami w ogrodzie, narzekał na ból głowy i spalone ramiona. Zastąpił go Gustavsson, jedyny z policjantów, który wychował się w pobliżu miejsca zbrodni.

Kiedy skończył, został wyznaczony do przepytania Anniki, siostry ofiary, sprzątaczkę Ingrid oraz tej pulchnej Polki, która opiekowała się starą Hermansson. Zabrał do pomocy Lisę, lecz niczego ciekawego nie usłyszeli. Wszystkie trzy kobiety wydawały się mocno spłakane i przerażone, a siostra ofiary była po dobrych kilku drinkach. Stefan zauważył, że odkąd Annika zamieszkała w Danii, bardzo schudła i co jakiś czas kasłała. Chyba za dużo papierosów, pomyślał. Ingrid, jak to Ingrid, pachniała płynem do odkażania kibla i chociaż lubił u kobiet jasne, prawie białe włosy, za nic nie chciałby mieć z nią do czynienia. Kiedy kończyła u niego sprzątać, zawsze psiukał dezodorantem po wszystkich kątach, żeby zabić ten zapach higienicznej pani domu. Ale trzeba przyznać, że nie wykorzystywała ich znajomości. Odpowiadała pełnymi zdaniami, spokojnie i zawsze z detalami.

Co do Polki, to ta była bardzo apetyczna. Nie miała na sobie żadnych szortów, podkoszulków, sandałów czy innych bezpłciowych szmatek, jakie w czasie upałów noszą Szwedki. Włożyła opiętą sukienkę w czerwonobiałe

pasy, z wielkim dekoltem, i płócienne buty na wysokim koturnie. Włosy związywała do tyłu, w kok czy coś, tak że długie pasma opadały jej na ramiona. Poprawiała je niezgrabnymi ruchami, nie przestając mówić. To było takie podniecające, te jej powolne, jakby ospałe gesty.

Ingrid mówiła o niej, że wygląda jak pączek w maśle – chyba dokarmia się tymi zmielonymi papkami, jakimi pasie starą Agnes. Tak, Ingrid miała na wszystko swoją teorię.

Opiekunka starej Agnes nie różniła się od innych pielęgniarek, które pracowały w Naszym Brzegu. Wszystkie były ładne, szybkie w pracy i wiecznie zadowolone. Wszystkie też miały jedną wadę: za wszelką cenę chciały poślubić Szweda. Podobno nie były takimi złymi żonami; wcielały się w swoją rolę bardzo profesjonalnie, tyle że bez serca. Może to było powodem, że nie zapamiętał Zuzy Wolny, mimo że, jak mu powiedziała na wstępie przesłuchania, zajmowała się jego ojcem. Skłamał, mówiąc, że pamięta, jak bardzo była oddana swojej pracy. Podrapała się w przedramię i zapytała o zdrowie starego Gustavssona. Odpowiedział zdawkowo, nie lubił konwersacji na ten temat.

Odchodząc, pomyślał, że Polka jest czysta i nie ma z tym nic wspólnego. Zauważył, że jak na kogoś niewinnego zbyt często nerwowo drapie się po rękach. Ale wystarczył widok jej piersi na odchodnym, żeby puścić ten detal w niepamięć.

Po wyjściu policjantów Zuza Wolny przez dobry kwadrans myślała i talkowała zaczerwienione ręce. To ją uspokoiło. Potem w sposób mechaniczny nakarmiła podopieczną, zrobiła jej toaletę, zmieniła pampersy.

Dwa razy musiała pobiec do łazienki i zwymiotować żółcią. Potem zrobiła sobie kaszkę błyskawiczną dla dzieci, zagryzła sucharami i ponownie weszła na stronę Prawdziwe Bullerbyn.

Pojawiały się już pierwsze kondolencje i wspomnienia. Ludzie pisali, jaką hojną osobą była Karin Frostenson, jak im pomagała – a to dała pracę w sprzedaży on line, to znów opłaciła operację psa, pozwoliła korzystać z domowej sauny w każdą środę tygodnia, pożyczyła kosiarkę czy dała pieniądze na remont dachu naruszonego przez wichurę. Komplementom i wyrazom żalu nie było końca. Zuza miała jedno skojarzenie: niemal natychmiast po śmierci Karin Frostenson zaczęła grać rolę Królowej Ludzkich Serc, lokalnej księżnej Diany.

Dopiero około dziesiątej wieczorem pojawił się kolejny wpis administratora.

Frida Andersson zeznała, że na placu był jeszcze mężczyzna, który od jakiegoś czasu mieszka pośród nas. Na szczęście ów przybysz nadal przebywał na miejscu zdarzenia, po prostu dołączył do zbiorowiska przerażonych gapiów. Dlatego też został niezwłocznie zatrzymany w celu złożenia zeznań. Policja nie wyklucza, że ma on coś wspólnego z bestią, która złożyła pocałunek śmierci na twarzy naszej ukochanej Karin, naszej niezapomnianej współobywatelki, która tyle dobrego zrobiła dla całej społeczności.

Zuza Wolny zamknęła laptop, wyszła na taras i wyjrzała zza kotary liści. Sąsiada nie było w domu. Potem poszła do sypialni Agnes, wyczyściła jej nos wacikiem i powiedziała całkiem głośno:

– Wygląda na to, droga pani Hermansson, że mieszkamy okno w okno z mordercą pani córki. – Zaśmiała się krótko, jakby ze strachu i dziwnego podniecenia, a potem dodała: – Okno w okno z wyjątkowo okrutnym mordercą, jak mi się wydaje.

Pani Hermansson nawet nie uchyliła powiek. Wydawała się bezkrwista. Z trudem oddychała. Zuza sprawdziła, czy nadal ma suchy pampers. Na policzkach leżącej kobiety zauważyła gęstą siatkę cienkich nacięć, podobnych do skaleczeń brzegiem kartki. Staruszka przypominała antykwaryczną lalkę o porcelanowej buzi. Bezwolną laleczkę, z którą można zrobić, co się chce. Korpus nawet bez dotykania wydawał się miękki, niczym wypchany szmatkami i gałgankami. Mógłby służyć do wbijania szpilek. Albo innych ostrych przedmiotów.

Opiekunka cofnęła się o kilka kroków. Przestraszyła się swoich myśli. Uznała, że musi bardziej uważać na to, co lęgnie się w jej głowie. Inaczej sama na siebie ściągnie nieszczęście. Zastawi wnyki i wpadnie w nie w najmniej spodziewanym momencie.



Lars Olsson nie chciał adwokata. Zeznawał zaraz po Fridzie Andersson, na posterunku, pod przysięgą, po usłyszeniu informacji, że wszystko jest rejestrowane na taśmie wideo.

– Dlaczego znalazł się pan w parku?

Przepytował go spocony policjant z czerwoną pręgą w okolicy grdyki, zapewne od zbyt ciasnej koszuli. Przedstawił się jako inspektor Christer Petersen. Lars był pewien, że nie pochodzi z tych stron, bo mówił z północnym akcentem. Wyglądał na przestraszonego, zapewne pierwszy raz przesłuchiwał w sprawie o morderstwo.

– Czy pan mnie słyszy? Pytam, dlaczego był pan w parku.

– A dlaczego miałem w nim nie być? To chyba nie jest zakazane. Miejsce publiczne, a nie żaden teren prywatny. Ale może się mylę?

Petersen spojrział na Olssona z nieoczekiwaną ulgą, jakby przesłuchiwany swoją arogancją sam siebie typował na sprawcę.

– No, niby nie – odrzekł mu z lekkim uśmiechem. – Ale jak mi powiedzieli koledzy, protestował pan, kiedy zdejmowaliśmy z pana ślady biologiczne.

– Chyba pan nie widział prawdziwych protestów?

– Jeżeli to było pytanie, to przypominam, że w pokoju przesłuchań to ja zadaję pytania.

– To nie było pytanie. Podobnie jak pańskie wypowiedzi, które jedynie coś sugerują świadkowi. Chce pan moich zeznań, czy chce pan mnie wyprowadzić z równowagi, myśląc, że się przyznam do tego, czego nie zrobiłem. To się chyba nazywa wymuszeniem przyznania się do winy.

Olsson mówił flegmatycznie, a jego spokój zirytował Petersena, który pospiesznie wytarł pot z czoła.

– Gada pan jak recydywa – mruknął pod nosem i zaraz zapytał: – Dlaczego po takich sukcesach, prawie na całym świecie, przyjechał pan tu,

do tego... no... do tej wiochy bez żadnych atrakcji?

– Uważam, że jest pełna atrakcji, tylko trzeba umieć je dostrzec.

– To ja dziękuję za takie atrakcje jak ta dzisiaj. I chyba tych atrakcji nie pan będzie dostarczał mieszkańcom, ale może się myłę? Może chce pan się zabawić w Sąsiada Samo Zło. – Chrząknął radośnie, zadowolony ze swojej ciętej riposty.

– Powtarzam: przedwcześnie typuje mnie pan na sprawcę.

– A ja uważam, że utrudnia mi pan przesłuchanie! – krzyknął Petersen. Wiedział, że to nieprofesjonalne, ale odkąd zobaczył dziecko denatki w wieku swojej młodszej córki, w dupie miał profesjonalizm.

– Co mają moje osobiste powody przyjazdu tutaj do morderstwa?

– A, ten związek to już my ustalimy. Nawet jeżeli panu nie będzie to na rękę.

– Proszę bardzo, życzę powodzenia.

– A odpowiedzi na pytanie nadal pan odmawia, tak?

– Jakiej odpowiedzi?

– Dlaczego pan tu przyjechał?

– Nie przyjechałem, tylko wróciłem. Przypominam, że urodziłem się tutaj, jeszcze w tym starym szpitalu, który potem spłonął. Mam prawo tu mieszkać tak samo jak ci, co nigdy stąd nie wyjeżdżali. Pan chyba się do nich szczęśliwie nie zalicza, prawda, inspektorze?

– Moje życie osobiste nie ma tu nic do rzeczy z tego prostego powodu, że mnie nie było na placu w chwili popełniania morderstwa.

– Ani mnie.

– To ciekawe.

– Ja tak nie uważam. Przechodziłem koło parku, kiedy usłyszałem jakieś gwizdy. Dziwne, oryginalne, nigdy niczego takiego nie... – zamilkł na moment. – W każdym razie to gwizdała ta dziewczynka, ta z rowerem. Najpierw wziąłem to za jakiś popis, szczeniacką zabawę, ale kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem ciało.

– Czy nieletnia Frida Andersson nadal wtedy gwizdała?

– Tak.

– Czy potwierdza pan, że nie zamilkła nawet wówczas, gdy wzywał pan policję, karetkę...?

– Tak.

– Co tak?

- Tak.
- Jak mam rozumieć pańskie „tak”.
- Najprościej. Tak oznacza tak.
- Lekceważy pan przesłuchanie?
- Skoro gwizdała przez cały czas, odpowiadam „tak”. Tak, gwizdała przez cały czas. Stała obok zamordowanej i gwizdała, a ja w tym czasie próbowałem dzwonić, gdzie się da. Chociaż w takich momentach człowiek zapomina, jak się obsługuje komórkę.
- Uczciwy człowiek zachowuje zimną krew i wie, do czego służą klawisze.
- Oczywiście. Ale ja nie zachowałem zimnej krwi.
- Czy znał pan dobrze Karin Frostenson?
- Kiedyś ją znałem.
- Jakiego typu była to zażyłość?
- Żadna.
- Czyżby? Przecież pan się tu urodził, a wszyscy się tu bardziej lub mniej znają.
- No dobrze, znałem ją tylko z widzenia.
- Aha. Z widzenia. Tylko z widzenia.
- Wiedziałem, kim jest. To wszystko – dorzucił Lars Olsson ironicznie. Miał ochotę zapalić.
- A czy znał pan tę nastolatkę, która natknęła się na zwłoki?
- Nie. Skąd?
- Skąd?! A choćby też z widzenia. Ma przecież bardzo oryginalną urodę. Trudno ją pomylić z innymi... bardziej nordyckimi typami, że tak powiem.
- Jak pan wie, jestem tu na dobre dopiero od kilku miesięcy, a różnica wieku między mną a tą dziewczynką sprawia, że nie mogłem znać jej wcześniej.
- „Dziewczynką”. To słowo w pana ustach jakoś dziwnie brzmi.
- Jak dziwnie?
- Tak jakoś... Pogardliwie.... Dwuznacznie... Jakby była już dorosłą kobietą, wie pan, co mam na myśli... Co pan tak na mnie patrzy? Czy to ja mam kosmate myśli? Niech pan nie udaje.
- Co pan znowu sugeruje?

– Ano to, że ta dziewczynka jest jeszcze dziewczynką – powiedział Petersen i nagle przerwał przesłuchanie. Jakby kosmate myśli zaczęły jednak kiełkować w jego umyśle. Kazał Olssonowi pozostać na miejscu i szybko wyszedł z pokoju.

Może to było powodem, że Lars nie zdążył mu o czymś powiedzieć. Na miejscu zdarzenia bowiem zauważył, że dziewczynka jest w adidasach. Inaczej niż na zdjęciach, jakie godzinę wcześniej zrobił jej przed swoim domem. Nie miała już na nogach błyszczących koturnów, a w miejsce skąpych złotych majteczek pojawiły się czarne rowerowe legginsy. Czyżby seksowne szmatki były upchnięte w małym plecaczku? I co właściwie jeszcze tam ma? – rozmyślał.

Szybko powziął decyzję, że nawet jeśli inspektor Christer Petersen wróci, zachowa to spostrzeżenie dla siebie, nie będzie mu niczego ułatwiał. Nie chciał robić kłopotów tej małej.

Poczuł napięcie w podbrzuszu, więc szybko wstał i podszedł do biurka pod oknem, gdzie stała butelka z wodą. Wypił dobre kilka łyków prosto z gwinta, patrząc przez kraty w oknie na dziedziniec posterunku. Zebrała się tam już spora grupka mieszkańców. Niektórzy płakali. Byli też chyba jacyś dziennikarze, sadząc z kamer i aparatów.

Kiedy się odwrócił, inspektor Christer Petersen właśnie wchodził do pokoju, niosąc jego aparat fotograficzny. Lars Olsson poczuł natychmiastowy skok adrenaliny. Nie mógł sobie przypomnieć, czy po przerzuceniu zdjęć rowerzystki do komputera skasował je w aparacie.

– Wypuszczam pana do domu – oświadczył Petersen ze źle skrywaną złością w głosie. – Oczywiście tylko na razie. Nie wykluczam ponownego przesłuchania – dodał nagle zmęczonym głosem i podał mu aparat.

Przez moment stał bez słowa, patrząc fotografowi prosto w oczy, jakby w myślach dobierał słowa, jakich ma użyć. Wreszcie odezwał się obrażonym tonem.

– Dlaczego nie powiedział pan, że przez całe popołudnie spacerował pan z naszym kolegą Stefanem Gustavssonem?

– Nie pytał pan o to.

– To, że chce pan robić ze mnie durnia, nie znaczy, że nim jestem. Żaden uczciwy człowiek nie zataja faktu, że ma żelazne alibi. Dobrze, że Gustavsson obserwował pana przesłuchanie – szybkim, niemal mimowolnym ruchem głowy Petersen wskazał ścianę z weneckim lustrem –

i od razu skorygował pana zarozumiałstwo, które mogło nas odciągnąć od prawdziwego sprawcy. Proszę tego nie robić. Szukamy mordercy, a nie bawimy się w uprzykrzanie panu życia. To, że jest pan jako tako znany, nie oznacza, że jest pan ponad prawem.

– Zrobiłem trochę zdjęć na placu – odezwał się Lars. – Chętnie je udostępnię, chyba że już je nielegalnie przechwyciliście. – Olsson starał się panować nad głosem, tak by wydawał się spokojny i nie budził żadnych podejrzeń.

Udało mu się. Petersen schylił się i z szuflady biurka wyciągnął wizytówkę.

– Niech pan mi je przyśle. Wszystko, co pan tam napstrykał. To ja podejmę decyzję, co jest ważne.

– Dobrze, że policja nie dokonuje rewizji bez nakazu. Zawartość swojego aparatu traktuję tak samo jak zawartość zamkniętej szuflady. – Olsson starał się grać pewnego siebie.

– Mam jednak nadzieję, że niewiele ma pan takich szuflad, które musi zamykać przed innymi na klucz.

– To, co chcemy ukryć przed innymi, nie zawsze jest sprzeczne z prawem.

– O tym, co jest sprzeczne z prawem, a co nie, to my decydujemy – odparował Petersen. Chyba spociły mu się dłonie, bo wytarł je w nogawki beżowych spodni. – Proszę iść do domu, ale mam nadzieję, że przez najbliższe tygodnie nie będzie pan chciał wrócić do cywilizacji. A jeżeli jednak, to proszę nas powiadomić.

– Nas? – zapytał Lars tonem, jakby mówił do dzieciaka.

– Policję – odpowiedział Petersen z aż nazbyt słodkim uśmiechem.

Lars wyszedł, uniknąwszy kontaktu z jego spoconą dłonią ani nawet nie kiwnąwszy mu na pożegnanie głową. Szybko zdał sobie sprawę, że zostanie mu to poczytane za przejaw arogancji ze strony mordercy.

Przeraźliwie chciało mu się palić. W momencie gdy opuszczał posterunek, jeden z inspektorów wygłaszał właśnie krótkie oświadczenie dla prasy. Żadnych konkretów, same banały w stylu: „Zrobimy wszystko co w naszej mocy”, „Sprawiedliwości musi stać się zadość”, ale dzięki temu Lars Olsson mógł spokojnie przejść przez grupę gapiów, nienarażony na to, że ktoś go zobaczy, zrobi mu zdjęcie i zada kilkanaście kretyńskich pytań.

Idąc w kierunku stacji benzynowej, przypomniał sobie moment, w którym jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem tej małej Azjatki. Nie był do końca pewien, ale odebrał je jako prośbę o pomoc. Wyczuwał bezradność i całkowity brak zawiadanej bezczelności, którą zademonstrowała, kręcąc biodrami przed jego kuchennym oknem.

W sklepie zaopatrzył się w duży zapas papierosów, litrową butelkę coca-coli, ser pleśniowy oraz kilka bułeczek cynamonowych. Kupił też kawę z automatu; nigdy mu nie smakowała, ale coś go zawsze do tej lury ciągnęło. Pił ją powoli, niespiesznie, gawędząc z napotkaną Ingrid. Pamiętał ją z dzieciństwa. Trudno zapomnieć jedyną albinoskę w szkole. Teraz sprząta w rezydencji Frostensonów. Powiedziała, że Karin wstawiała sobie w Niemczech silikonowe implanty piersi i zagęszczała włosy. Podobno kilka razy jeździła do Sztokholmu, by zrobić sobie replikę błony dziewiczej. Jej mąż to uwielbiał, potaknęła smutno głową.

Kiedy Lars wychodził, zaproponowała, że może u niego posprzątać. Tak się narzucała, że nie miał siły odmówić. A niech sprząta!

Po powrocie do domu długo brał prysznic, który miał go oczyścić z myśli o Karin Frostenson. Przypomniał sobie, co o niej mówił Gustavsson. Ze względu na pieniądze i urodę grała rolę lokalnej celebrytki. Pomimo bogactwa była jednak lubiana. Nikt jej nie zazdrościł, bo każdy pamiętał, że jej ojciec był pijaczyną i awanturnikiem, a ona do osiemnastego roku życia chodziła ciągle w tych samych tanich łąskach. Ale odkąd przestała być Kopciuszkiem, zawsze w Nowy Rok urządzała na swojej działce wielką fetę dla dzieciaków. Było mnóstwo jedzenia i każdy wychodził z prezentem. Po narodzinach długo wyczekiwanego dziecka wyprawiała dla mieszkańców noc ogni bengalskich. Było piwo z beczek, kiełbaski z grilla i sałatka z owoców morza. Wszystko gratis. Już nawet nie śmiano się z imienia córeczki – Paris.

Owinął szlafrokiem mokre ciało i usiadł na białej sofie w salonie. Zauważył, że Polka opiekująca się sąsiadką jak zwykle podgląda go zza drzewa. Musiała być trochę pijana, bo tym razem niezbyt starannie zamaskowała się za liśćmi topoli.

Ann-Britt, właścicielka sklepu z artykułami dla zwierząt, nie ujawniła, że w dniu morderstwa policjant Stefan Gustavsson znajdował się zaledwie o kilka minut drogi od miejsca znalezienia zwłok. Był jej najwierniejszym klientem. Kupował drogie karmy i potrafił spędzić przy regale nawet ze

dwie godziny. Powtarzał, że czuje się tu jak słoń w składzie porcelany. Sklepek zawsze wydawał mu się zbyt ciasny. Nic dziwnego, mieścił się w małej przybudówce na tyłach domu. Dawniej, kiedy właścicielka nie była jeszcze wdową, można było w nim kupić wszystkie akcesoria potrzebne wędkarzom. Teraz były tu tylko nowe wynalazki dla domowych pupili. Psia i kocia sucha karma, wymyślne piszczące i grzechoczące zabawki, obroże i szelki, nawet dla chomików i domowych szczurków. Gustavssona jednak przyciągał tylko narożny regał wypełniony pokarmem dla domowego ptactwa. Nigdy nie odważyłby się kupić go przez Internet, chociaż w sieci miał większy wybór i niższą cenę. Musiał dokładnie przestudiować opakowanie, sprawdzić zawartość, gruntownie przemyśleć każdy zakup. Nie wynikało to ze skąpstwa, ale z wielkiego szacunku, jakim darzył swoje papugi.

Ann-Britt doskonale znała zwyczaje policjanta. Pamiętała go jako chłopca, który przychodził z ojcem do sklepu po przynętę, i zazwyczaj zostawiała go samego na długie kwadransy. Kiedyś zapytała o jego ptasią menażerię, ale Gustavsson poczerwieniał, zawstydził się i wydukał tylko kilka ogólnikowych zdań. Więcej się nie dopytywała. Nabrała tylko pewności, że Stefan niewiele się zmienił od najmłodszych lat. Zawsze myślała, że nieśmiałość małego chłopca była spowodowana tym, że jego ojcu od rana mocno cuchnęło z ust alkoholem. Ojciec moczymorda, pośmiewisko całej okolicy, naznaczył go niepewnością na całe życie. Stefan nigdy z niej nie wyrósł.

Zostawiła go na dobre dwadzieścia minut, a kiedy przyszła, on nadal nie mógł się zdecydować. Wahał się i wahał. Wybrał kolby, chociaż podobno niektórzy producenci lakierują je jakimś chemicznym świństwem, opowiadał, a Ann-Britt udawała, że słucha go z zainteresowaniem, chociaż odczuwała już lekki spadek cukru i chciała odejść, by zrobić sobie zastrzyk.

W dniu morderstwa Gustavsson wydał jej się jeszcze bardziej spięty niż zazwyczaj, ale nigdy nikomu nie zwierzyła się ze swojej obserwacji, a kiedy wieczorem policjant, chyba aż z Kalmaru, przyszedł zbierać informacje, skłamała, mówiąc, że dzisiaj nikt u niej nie kupował. Ponieważ wyglądała na bardzo starą i nosiła krzyżyk na piersi, nie zajrzał do kasy fiskalnej ani do drewnianej skrzynki czy do zeszytu na ladzie. Ann-Britt była pewna, że to właśnie wiek i wisiołek przypieczętowały jej wiarygodność. Poza tym nie lubiła ofiary – ten, kto ją zabił, może i zrobił

dobrze. Uważała, że Karin nosi się zbyt krótko i ma zbyt kościste kolana, żeby nimi świecić. Nigdy nic u niej nie kupiła, a miała podobno koty syjamskie, zatem Ann-Britt nie zamierzała pomagać w schwytaniu mordercy kogoś, kto nie był jej klientem. Nie po to płaci podatki, żeby jeszcze im wszystko ułatwiać czy się spowiadać, ile dziś zarobiła.

Jednak zataiła przed policją wizytę nie tylko Gustavssona, ale również młodego wędkarza, który wetknął głowę do sklepiku i z północnym akcentem dopytywał się o drogę na zachód, w kierunku tej nowej osady. Kiedy mu wszystko rozrysowała na kartce, chyba z grzeczności i w podziękowaniu za informację kupił dwie kocie puszki z tuńczykiem, bo, jak wyznał, smaczniejsze to i lepsze na chleb niż te konserwy udające pasztet. Roześmiała się, a on jej zawtórował. Ach, jakże on się jej spodobał! Tak dawno nie śmiała się razem z mężczyzną. W dodatku był przystojny i elegancko ubrany, choć jej zdaniem zbyt grubo jak na parny letni dzień. Nad szarymi kaloszami dostrzegła grube wełniane skarpety kończące się aż pod kolanami.

Zapłacił bilonem, a wychodząc, odwrócił się i puścił do niej oczko. Aż się jej zrobiło gorąco, bo już od czterdziestu z górą lat żaden mężczyzna tak jej nie potraktował. Tak bardzo ją to uradowało, że nie wiadomo kiedy spryskała wodą i zamiotła cały dziedziniec przed domem, a nie mogła się do tego zabrać od samego świtu. I może dlatego nie wspomniała o jego wizycie.

Przed snem przypomniała sobie jeszcze, że Gustavsson wyjątkowo nie zapłacił kartą. A zawsze tak robił. Tym razem wyjął gotówkę.

– A więc nikt do pani dzisiaj nie zaglądał? – upewnił się policjant, zbierając się do wyjścia i odkładając na półkę gumową piłkę dla młodych psów.

– Do mnie się nie zagląda, u mnie się kupuje.

Uśmiechnął się.

– Czy ktoś już pani mówił, że wygląda pani jak Pippi Langstrumpf? – zapytał życzliwie

Ale ona nie lubiła tych porównań. Była zawsze sobą. Ann-Britt od urodzenia. I taka pozostanie w trumnie.

– Nie. Tylko pan – skłamała, siląc się na milusi grymas.

– To dziwne. – Znowu się uśmiechnął, a zęby miał białe i równe jak jakiś celebryta. – Jest pani bardzo do niej podobna.

– Mówią mi co innego – odpowiedziała i poprawiła piłkę, którą policjant odłożył na złe miejsce. – Gadają, że to ja jestem Pippi! Każdy w końcu musi się kiedyś zestarzeć. Również Pippi. – Cmoknęła i podważyła językiem sztuczną szczękę. Wiedziała, że ludzie nienawidzą tego widoku.

Policjant skrzywił się, ale zaraz potem uśmiechnął, a zadowolona Ann-Britt uznała, że tacy jak on powinni reklamować pastę do zębów.

– Nie każdy się zestarzeje. Na przykład ta, którą dzisiaj zamordowano, zawsze pozostanie młoda i piękna.

Wyszedł ze sklepu i zamknął drzwi za sobą, ale usłyszała, że aż jęknął, poczuwszy uderzenie parnego powietrza.

Kiedy Gustavsson skończył przesłuchania w terenie, wrócił na posterunek. Tam koledzy poprosili go, by odwiózł Fridę Andersson i jej matkę do domu. Wychodząc, minął męża ofiary. Tomas wyglądał na przybitego, cały czas poprawiał grzywkę, której nie miał, jako że przedwcześnie wyłysiał.

– Trzymaj się – wydusił Stefan.

– Dopiero wróciłem ze Sztokholmu. Idę na przesłuchanie.

– Może najpierw weź prysznic. Powiem chłopakom, żeby trochę poczekali.

– Nie, wolę teraz. Ale mam jedną prośbę.

– Tak...

– Żeby mi nie mówili, jak on jej to zrobił... I jak wygląda. Bez zdjęć.

– Nie robią ci tego. Zwłoki zidentyfikowała już twoja szwagierka.

– Tak... tak...

Pożegnali się pośpiesznie, obydwaj onieśmieleni. Tomas ponownie odrzucił niewidoczną grzywkę i odszedł wąskim jak rękaw korytarzem.

Gustavsson wyszedł na parking i zobaczył, że lokalne azjatyckie piękności już czekają przy jego samochodzie. W milczeniu, daleko od siebie. Jakby się w ogóle nie znały.

– Podwiozę panie. Zabawię się w osobistego szofera gwiazd – powiedział. Nieśmiałość zawsze prowokowała go do idiotycznych kwestii.

– A gdzie rower? – zapytał Fridę

Spojrzała na niego jak na kosmitę.

– Na miejscu zbrodni, panie policjancie. Jak zdejmiecie z niego ślady, dostanę go z powrotem – prychnęła i poprawiła spadające ramiączko

stanika.

Gustavsson otworzył im drzwi jak rasowy szofer, z należnym ukłonem. Nie doceniły tego. Nadal miały obojętne, nawet naburmuszone miny. Pani psycholog z domu starców usiadła obok niego, a mała wskoczyła na tylne siedzenie. Skuliła się tam zaraz i przez całą drogę skubała koraliki na bransoletce. Usta drażniła kolczykiem, który miała w języku, co nasuwało Stefanowi skojarzenia z seksem oralnym. Nadal nie wydawała się jednak przerażona wydarzeniem na placu, sprawiała wrażenie dzikiej i nieufnej. Pomyślał, że nie trzeba być fachowcem od ludzkiej duszy, by zauważyć, że obecność matki ma na nią negatywny wpływ.

Anchee pachniała dziwnymi perfumami i cały czas popatrywała na jego rozporek. W pewnym momencie i on musiał tam zerknąć, nie wierzył bowiem, że jest nim zainteresowana, i myślał, że ma niezapięty suwak, ale wszystko było jak należy. Przyszło mu do głowy, że musi na nią działać jak facet na babkę. Natychmiast przyspieszył. Prowadził z pewną dawką brawury, na jaką oczywiście pozwalała mu legitymacja policyjna i ostro wijąca się między drzewami droga.

A Anchee nadal spoglądała w kierunku jego krocza. Robiła to bez najmniejszego zażenowania, jak gdyby mu składała całkiem jawną propozycję. Był jej zachowaniem zadziwiony. Pomimo że jako nastolatka nieźle balowała, teraz miała opinię niedostępnej i chłodnej. Zawsze była piękną, a jej uroda nadal go onieśmiałała. Aż do domu Anderssonów nie odezwał się słowem, a one również milczały.

Kiedy wysiadały, zdążył tylko zauważyć, że zarówno matka, jak i córka mają wściekłe miny. Nie były wystraszone czy przygnębione morderstwem Karin. A dobrze pamiętał, że swego czasu, jeszcze jako dziewczynki, Anchee i Karin się przyjaźniły. Były w jednej paczce. Dziewczyńskiej bandzie. Wszędzie chodziły razem, czy to na lodowisko, czy też popływać w jeziorze. Ale Karin i Anchee się wyróżniały. Stanowiły dopełniającą się parę: córka doktora – niższa i ciemnowłosa, druga – blondynka, wyższa, odrobinę pulchniejsza. Potem banda się rozpadła i w ogóle nie utrzymywały kontaktu. W każdym razie już nigdy nie widział ich razem. Anchee po powrocie ze studiów zadzierała nosa i trzymała się od wszystkich z daleka. Podobno umie znaleźć wspólny język ze starcami w Naszym Brzegu, ale personel uważa ją za niedostępną i zarozumiałą.

Kiedy wykręcał z powrotem, w głębi posesji zobaczył wdowę po doktorze Kristoffie Anderssonie. Nie pamiętał, jak ma na imię, ale uderzyło go, jak bardzo się postarzała. Patrzyła posepnym wzrokiem starej Azjatki i nie ruszała się z miejsca. Jej mina nie wyrażała troski, nie drgnął ani jeden mięsień na twarzy, ale wzrok uparcie podążał za córką i wnuczką. Spojrzenie nie miało nic z macierzyńskiej troski. Było jak lufa nabitego karabinu śledząca ruchomy cel.

Gustavsson nie przypuszczał, że te kobiety dzieli taka dziwna wrogość. Niewypowiedziana, ale okrutna. Poczuł się zmrożony, jedynie na nie patrząc. Ten rozdarty wewnętrznie kobiecy klan Anderssonów budził w nim przedziwne uczucia. Stara przypominała wiedźmę, od której lepiej trzymać się z daleka. Długie, całkiem siwe włosy i żółty kolor skóry były podkreślone przez ciemne ubrania, nakładane jedno na drugie, nawet w upalny dzień.

A młodsze pokolenie... Anchee i Frida, wstyd wyznać, pociągały go w równy sposób, ale w to instynktowne, ślepe pożądanie wdzierał się coraz silniejszy lęk. Pomimo silnego pragnienia seksu Gustavsson wołał trzymać się od nich z daleka. Jednak już za kilka dni nie dochowa tego postanowienia.

Był już wieczór, dobre kilka godzin po odnalezieniu zwłok, kiedy mąż Karin, Tomas Frostenson, przybył do domu teściowej.

Zuza Wolny widziała go do tej pory zaledwie kilka razy, ale zawsze budził w niej jak najlepsze uczucia. Może dlatego, że nie wywoływał żadnych kosmatych myśli. Niewysoki, w drucianych okularach, z tikiem w prawym oku. Cały czas poprawiał nieistniejący kosmyk włosów na czole. Szybko mówił, co również było objawem nerwowości.

– Nie mogę w to wszystko uwierzyć. To straszne, straszne. Bardzo mi przykro. – Zuza złożyła mu kondolencję, a on pokiwał tylko kilka razy głową, jakby powiedziała coś, co słyszał już zbyt często tego dnia.

Od razu przeszedł w głąb mieszkania i usiadł na kuchennym krześle.

– Na razie będzie pani tu pracowała, ale nie wykluczam, że może przeniosę Agnes do domu opieki – wyznał zmęczonym, ale stanowczym tonem.

– Do Naszego Brzegu? – zapytała Zuza przestraszonym głosem.

– Do naszego albo do nie naszego, albo do całkiem innego. Co za różnica?! – zirytował się. – Jak tylko wszystko się wyciszy, zamierzam

sprzedać dom i całą resztę i wyprowadzić się jak najdalej stąd. – Przerwał na moment i przeciągnął językiem po suchych wargach. – Tu już zawsze wszystko będzie mi się kojarzyło z Karin. Jak tylko sprawa się wyciszy. Wyciszy... – powtórzył szybko, prawie wyszeptał, jakby mówił do siebie.

– Wyciszy, czyli jak znajdą mordercę? – dopytała Zuza bez cienia ironii.

Spojrzał na nią wzrokiem wyrwanego ze snu i pospiesznie dodał:

– Oczywiście, oczywiście... A jak inaczej?

– Pana żona obiecała mi, że będę mogła sprowadzić tu brata – skłamała Zuza.

– Jakiego brata? Co znowu?!

– Co w tym złego?

– Nie złego, tylko nowego. Karin nic mi o tym nie mówiła.

– To chyba nie moja wina. Zgodziła się, żeby tu pomieszkał. Wniósłby trochę życia do tego domku.

– A gdzie jest teraz?

– Z moją matką, w Polsce. Tylko na wakacje.

– Rozumiem, ale sytuacja się zmieniła. Nie może do pani przyjechać.

Płacze pani?

– Chyba mogę. Mój brat...

– I jeszcze się dowiem, że jest pielęgniarzem.

– Muszę go mieć przy sobie.

– Też bym chciał, żeby jak najszybciej ujęto mordercę mojej żony. Ale na pewne sprawy nie mamy wpływu. Jako opiekunka chorych musi pani mieć tego świadomość – przemówił oficjalnie, schłodzonym głosem. Według Zuzy zbyt obojętnym jak na sytuację, w której się znalazł. Ale ona sama też wydawała się sobie żałosna. Wiedziała jednak, że musi sprawiać wrażenie bardziej bezbronnej i głupkowatej niż w rzeczywistości.

– Mój brat jest jak wieczne dziecko. Ma zespół Downa – przemawiała powoli, z wielkim napięciem. – Długo już nie pożyje – wyznała i jak zawsze, gdy wypowiadała to zdanie, czuła, że brzmi jak z tandetnego serialu. Ale nic nie mogła na to poradzić. Każdemu przecież przytrafiają się melodramatyczne wypowiedzi wywołane przez autentyczne uczucia.

Nagle rozpląkała się na cały głos. Zdziwiła się. Zaskoczyła samą siebie. Nie wiedziała już, czy to prawdziwe emocje po tym ciężkim i okrutnym dniu, czy może rola, jaką sobie narzuca w niewiadomym celu. W obu przypadkach na pewno czuła litość dla samej siebie. Nie mogła się jej

pozbyć, z dala od domu, w obcym kraju, skazana na towarzystwo osoby, która umiera na raty, nie odzywa się, patrzy tępo w przestrzeń i nie wie, że ktoś jest ciągle obok i się o nią troszczy. A ta, która jej pomaga, sama wymagała pomocy. Ale nikt tego nie dostrzegął! I żal narastał. Czuła się uchodźcą bez wsparcia, imigrantką bez współczucia. Miała jednak silną świadomość, że musi przetrwać. To był chyba ten instynkt dobrej siostry, kazał jej zarabiać, zaciskać zęby i marzyć o sprowadzeniu brata do lepszego kraju. Lepszego, ale nie bardziej kochanego.

Płakała, jakby zapomniała, że nie jest sama. Zawsze się pilnowała, żeby nie mieć chwili słabości w obecności innych ludzi, nawet bliskich. A tu ten atak! Tomas Frostenson patrzył na nią jak osłupiały. Kobięca histeria zawsze go przerażała. Wszystko, tylko nie to.

– Proszę przestać płakać! – krzyknął.

Zerwał się z krzesła i wybiegł z domu, ale nie do samochodu, tylko do ogródka. Zapalił papierosa, widziała przez okno. Palił, tak jak mówił, szybko, bez przyjemności. Zgasił peta, energicznie pocierając go butem, i wrócił do domu.

– Przepraszam. Nie powinienem był podnosić głosu. Jestem zdenerwowany. Wracam prosto z przesłuchania. Ten ich krzyżowy ogień pytań... Zupełnie jakbym sam jej to zrobił.

– Mnie też przesłuchiwali – mówiła już spokojnie. – Przyszli tu. I też nie byli mili.

– No tak – odpowiedział bez sensu, ale widać było, że jej słowa go uspokoili.

– Na początku każdy jest podejrzany – dodała. Chciała, żeby się rozluźnił, żeby poczuł się komfortowo w jej towarzystwie.

Chyba zdołała to osiągnąć, bo spojrzał na nią i jego twarz nie była już taka napięta.

– Ma pani miesiąc. Wypowiadam pani...

– Na wyprowadzkę?! Nie zdążę, proszę... – zaczęła płaczliwie.

Przerwał jej oschłym głosem.

– Na znalezienie mordercy.

– Chyba pan...

– Nie żartuję. Dla ułatwienia dodam, że to nie ja. Na pewno. Nie ja zamordowałem swoją żonę. Chociaż już od dawna łączyły nas tylko interesy. No i Paris. Tak, przede wszystkim Paris... nas łączyła.

Zuza Wolny poczuła się, jakby grała w tandetnej telenoweli. Dialogi, w jakie sama się wkręcała, rozśmieszały ją i przerażały.

– Mam poszukać mordercy? Skąd ten pomysł? Jestem tylko pielęgniarką. Słabo znam szwedzki.

– Proszę nie przesadzać. Radzi sobie pani dobrze. Jest pani tu obca. Potrafi na wszystkich spojrzeć świeżym okiem. No i nikt nie będzie pani brał serio.

– Ale ja nigdy tego nie robiłam.

– No, mam nadzieję, że to pierwsze morderstwo w pani życiu – rzucił, znowu poprawiając niewidoczne włosy. – Ja też go będę szukał. I też nigdy tego nie robiłem – dodał niemal ze złością.

– To szaleństwo. Czyste szaleństwo. Jak pan może mnie o to prosić? – Dopiero kiedy zamilkła, zorientowała się, że zaczęła szeptać. – Dlaczego?

– Chyba chce pani mieć tu dożywotnią posadę? Przy moich funduszach nawet po śmierci Agnes mógłbym coś pani znaleźć. A pani syn...?

– Brat.

– Brat nie brat, to biedne dziecko... Chyba czas je sprowadzić. Może pani rezerwować bilet. W razie czego... jakby pani nie znalazła tego drania... – oznajmił i zaczął pocierać ręką kark. Zbyt mocno i mechanicznie, by było to dla niego przyjemne.

– Domyślam się, kto zabił pana żonę – oznajmiła może zbyt oschle, kompletnie bez emocji. Jakby chodziło o kogoś, kto wybrał konfitury ze słoika.

Przez moment Tomas nic nie powiedział, ale przestał się drapać i uważnie na nią popatrzył. Zuza zauważyła, że ma małe, ale bystre oczy. Jego wzrok był mocny, napakowany testosteronem – jak mogła tego wcześniej nie wychwycić?

– Chyba wiem, kto zabił – powtórzyła odrobinę głośniej, ale ciągle jeszcze szeptem.

– Szybko pani działa.

– Ten z przeciwka. Fotograf... jak mu..?

– Lars?

Pokiwała głową, ale Tomas tylko się zaśmiał, szybko i rozpaczliwie.

– Olsson! Kulawy Lars. To nie jest dobry trop. Zapewniam panią. Ale jeśli będzie pani miała jakieś dowody na poparcie tej hipotezy, na pewno jej nie wykluczemy.

– Znajdę je. Spróbuję.

– Nie chodzi mi o pomszczenie Karin, tu idzie o Paris. Nie mogę znieść, że ktoś uczynił ją sierotą. Sam straciłem oboje rodziców w wypadku i wiem, co to znaczy być samemu. Ciągnie się to potem za człowiekiem przez całe życie. Z wczesnego sieroctwa nie wyrasta się jak z krótkich spodenek – mówił odrobinę wolniej niż zwykle.

Zuza miała wrażenie, że cytuje fragment artykułu z jednego z kobiecych pism, które notorycznie kupowała jego żona, a które potem łądowały u niej. Miała ochotę zapytać, czy „wczesne sieroctwo” ma związek z niemożnością pokochania drugiej osoby, bo wydaje się niezbyt poruszony zbrodnią dokonaną na jego żonie, ale chyba nie był to dobry moment na takie dociekania.

– Czy mogę prosić chociaż o dwa miesiące? – zapytała, wykorzystując chwilę słabości Tomasa.

Myliła się, nie był aż tak sentymentalny, bo wykrzyknął oburzony:

– Chyba pani żartuje?! Nie jesteśmy w Sztokholmie. Kilkadziesiąt domów. W jednym z nich mieszka morderca. Pani ma go namierzyć.

– A jeśli to ktoś przyjezdny?

– To tutejszy. Obcy od razu rzuciłby się w oczy. Na policji powiedzieli, że według pierwszych ustaleń nikt obcy tu się nie szwendał.

– Czy Karin miała wrogów?

– O to mnie już pytali. Tysiąc razy. Klasyka gatunku – wycedził. – Każdy ma wrogów, każdy normalny człowiek.

– Możemy być jak najbardziej normalni, ale co do naszych wrogów...

– Może to Lars, może to ktoś inny – przerwał jej w pół zdania. – Ale to na pewno ktoś stąd – rzucił, wychodząc z domu. Jednak zaraz wrócił, ale tylko po to, by powiedzieć: – Mam nadzieję, że szukając mordercy mojej żony, nie znajdzie pani siebie.

– Podejrzewa mnie pan? – zapytała Zuza dziwnie spokojnym głosem.

– To komplement. Biorę panią za tutejszą. Chociaż może to nadużycie z mojej strony, bo jest pani wyjątkowo urodziwa. A to rzadkość w tych stronach – zakończył, nie patrząc jej w oczy, i wyszedł.

– Chyba przyda się panu prysznic – krzyknęła za nim. I zdumiała się, jak bardzo radośnie i niestosownie w dniu zabójstwa zabrzmiał jej głos.

Kiedy tylko usłyszała, jak opony mercedesa Tomasa chrzęszczą na zwirowym podjeździe, przyszło jej na myśl, że chyba jednak nie tak

wygląda żałoba po żonie. Nie tak przejawia się rozpacz. I ból. Dlatego wpisała Tomasa Frostensona na listę podejrzanych. Na drugim miejscu, zaraz po Larsie Olssonie.

Podreptała do kuchni, gdzie było najchłodniej w całym domu. Tu najlepiej jej się myślało. Postanowiła mimo wszystko działać. Wyciągnęła z lodówki słoje z herbatą miętową i zaczęła się zastanawiać, kto mógłby coś wiedzieć na temat tej zbrodni. Kiedy schodziła do piwnicy po cytrynę, przyszło jej na myśl, żeby zadzwonić do Ingrid. Miała tu być dopiero pojutrze, żeby zrobić cotygodniowe sprzątanie, ale chyba dobrze by było zaprosić ją już dziś. Ktoś, kto pierze brudy w wielu domach, wie więcej niż lekarz czy pastor.

6



Niewielka osada rozrzucona wokół jeziora Skiresjön wydaje się jakby siłą wciśnięta pomiędzy gęsty las. Tworzy ją chaotyczna, luźna zabudowa kilkudziesięciu drewnianych domów, bliźniaczo podobnych, o bielonych futrynach, zielonych dachach i bejcowanych ścianach w kolorze ciemnej purpury. Z zewnątrz mogą wyglądać na ciasne i nienowoczesne, ale na dachach niektórych połyskują anteny satelitarne, a z otwartych klap drewnianych garaży wystają zady całkiem dobrych samochodów. Mieszkańców jest zaledwie około stu, a prawie drugie tyle liczy obsługa i pensjonariusze domu opieki. I jedni, i drudzy dumni są z małego średniowiecznego kościółka, do którego klucze wiszą na wielkim zardzewiałym haku przy wejściu. Do tego plac Dzieci z Bullerbyn. Zdziczały teren, od lat niekarczowany, z monstualnym żywopłotem, który jak wąż oplótł dawny teren szpitala. Mógł przypominać tajemniczy angielski ogród, ale tylko ludziom o dużej wyobraźni.

Kto nie kocha naszych małych domków w kolorze ciemnej cegły? Bielone okiennice tworzą ramy dla maleńkich lampek, świeczników, starych zabawek, bielonych lampionów. Dbamy o nasze otoczenie i dlatego, nie da się ukryć, okolice zbrodni wyglądają jak z bajki.

Takie właśnie słowa wystukała na swoim laptopie Frida i podpisała się „Little Rose”. Ten pseudonim na moment poprawił jej humor.

Po powrocie z przesłuchania wzięła szybki lodowaty prysznic i wskoczyła w wirtualną przestrzeń. Zatrzymała się na znienawidzonej stronie, którą założył ktoś z sąsiedztwa, żeby do woli plotkować i podjudzać. A wszystko w słodkim sosie życzliwości dla ludzi.

Jeszcze tego samego dnia, kilka godzin po morderstwie, na stronie internetowej miasta pojawiła się kakofonia rozmaitych wpisów – od kondolencji do wyrazów wściekłości, przerażenia, smutku i lęku. Większość, podpisująca się mniej lub bardziej udanymi pseudonimami, uważała, że Karin zabił jakiś zbrojeniec, który jechał do parku rozrywki

Astrid Lindgren, ale z niewiadomego powodu skrzył do ich osady, by tu pofolgować swoim niecznym instyngtom. Przecież nikt, kto znał dobroć pani Frostenson, nie podniósłby na nią ręki. Internauci byli zgodni: to typowy mieszkanić dużego miasta, zatruty rywalizacją, stresem i pośpiechem. Ktoś, kto może sam był prześladowany. Na przykład przez okrutnego szefa. „Człowićk przecież nie rodzi się zły, tylko uczy się zła od innych” – jak wpisał się ktoś o nicku „Dobrodziej”.

Było dużo złorzeczeń, grózb i niewybrednych epitetów pod adresem sprawcy, ale również sporo konkretnych wiadomości, których Frida poszukiwała najbardziej. Dziwne, ale nic nie pamiętała z momentu odkrycia zwłok. Jakies strzępy obrazów z Paris, wilgotny piasek w okolicy głowy Karin, zapewne nasiąknięty jej krwią. I jeszcze wzrok tego fotografa, i chyba wspólne wahanie: dzwonić po pomoc czy uciec i niech kto inny ich wyręczy. Gdyby nie obecność płaczącego dziecka, być może przysłoby im nawet do głowy, żeby uciec i nie mieć z tą sprawą nic wspólnego. Owo wahanie trwało tylko chwilę, ale nie wiedzieć czemu była pewna, że we dwoje odczuwali rodzaj wspólnoty, osobliwej bliskości, którą bali się nazwać.

Po przyjeździe policji miała wrażenie, jakby wydarzenia na placu były filmem kryminalnym oglądanym bez fonii. Nic nie słyszała, ludzie pracowali, zdejmowali ślady, lekarka dała jej coś do wypicia i ktoś narzucił na nią koc z folii aluminiowej, bo pomimo upalnego dnia trzęsa się z zimna. I dopiero z wiadomości internetowych się dowiedziała, że Karin została uduszona drutem kolczastym owiniętym plastrem opatrunkowym.

Wzrok Fridy przebiegał po kolejnych wpisach, aż znieruchomiał na najnowszym. Bezpośrednio nawiązującym do jej anonimowego, pełnego ironii wpisu na temat ślicznych okolic miejsca zbrodni. Ktoś zostawił dla niej wiadomość:

Hej, Mała Różyczko, może powinnaś się nazywać Black Rose – oto imię wymarzone dla ciebie. Wiem, że masz kolce, i już nie mogę się doczekać, kiedy ich dotknę, aż do krwi.

Serce Fridy przyspieszyło. W ustach zrobiło jej się sucho, a dłonie stały się mokre od potu. W odruchu dziecinnej samoobrony zacisnęła powieki, a kiedy je otworzyła – wpis zniknął. Był w sieci zaledwie pół minuty, czy nawet kilka sekund. Dokładnie tyle, by zdążyła go przeczytać. Ona i nikt inny.

Szybko wstała, zamknęła okno i zaciągnęła zakurzoną roletę do samej krawędzi parapetu, aż pospadały ustawione tam szminki, kredki do oczu i pudełeczka ze sztucznymi rzęsami. Nie podniosła ich, tylko czubkiem buta przesunęła je pod ścianę, by niczego przypadkiem nie nadepnąć. Potem szybko i możliwie najciszej przemknęła do przedpokoju. Chowając się za framugą, dostrzegła matkę w jej zaciemnionej storami sypialni. Leżała płasko na łóżku, podświetlona blaskiem, który bił z laptopa.

Frida pobiegła zamknąć drzwi wejściowe i wszystkie okna. Minęła babkę śpiącą przed telewizorem. W kreskówce dla dzieci dziwna fioletowa postać biegła i biegła. Zupełnie jak ja teraz, przemknęło jej przez głowę. Rzeczywiście czuła się jak nierealna postać z komiksu, trawiona potężnym lękiem, z którym nie sposób cokolwiek zrobić.

Przez moment chciała wtargnąć do pokoju matki i zabezpieczyć okno, ale zrezygnowała, bo musiałaby się tłumaczyć ze swojego nerwowego zachowania. Wróciła do siebie i usiadła przy komputerze. Wiedziała, że powinna wyjść z sieci. Wziąć kolejny zimny prysznic i kolejną dawkę Lady Gagi. To by ją rozluźniło. Ale coś ją ciągnęło do sieci, choć przeczuwała, że może się w niej zaplątać na dobre.

Nacisnęła pierwszy lepszy klawisz i ekran się rozjaśnił. Na stronie przybyło kilka wpisów i zdjęć Karin z noworocznej zabawy. Po chwili pojawił się kolejny wpis:

Hej, Mała Różyczko, pewnie jesteś ciekawa, jak wyglądam. Stań przed lustrem i wysuń język. Jestem jak metalowa czaszka wciśnięta w twoje miękkie mięsko.

Chwilę później również i ten wpis został usunięty przez autora.

Kto wiedział, że to ona wybrała sobie ten kretyński nick „Little Rose”?! W ogóle do niej nie pasował.

Kto wiedział?! Zaczęła się bać. Naprawdę bać. Było to dla niej nowe uczucie. Dobrze znała rozpacz, poczucie beznadziei, moment paniki, w którym wiedziała, że zaraz matka weźmie swoją miksturę proszków przeciwbólowych, osunie się na podłogę, a po jakimś czasie mocz wycieknie z niej strugą. Aż za dobrze poznała te wszystkie obrzydliwe i lepkie uczucia, które szły za nią krok w krok jak wierne psy. Ale takiego strachu nie znała. Prawdziwego. Mocnego. W stanie czystym. To już nie był ten dygot, który nakazywał jej uciekać pod taflę jeziora. I pływać aż do utraty tchu. Teraz to była siła, która wypchnęła ją jak korek na

powierzchnię i kazała patrzeć na to, czego widzieć nie chciała. Nie знаła dotąd takiego strachu. Kiedyś bała się siebie. Teraz bała się kogoś innego.

Zerwała się i wpadła do pokoju matki. Chciała wtulić się w jej ciało, jak szczeniak, który po długich poszukiwaniach wreszcie odnalazł sukę. Jednak podbiegając do łóżka, dostrzegła, że matka czyta tę samą stronę.

– Ty to napisałaś, tak! To ty! – krzyknęła.

Anchee skoczyła na równe nogi, po czym szybko zamknęła laptop. Frida chwyciła za jego krawędź i przez kilka chwil się mocowały.

– Mam hasło! I tak go nie otworzysz! Nie znasz hasła! – krzyczała Anchee, skacząc po rozbebeszonej pościeli. Teraz patrzyła na córkę z góry i choćby tylko to dawało jej przewagę.

– Dlaczego mi to robisz?! Dlaczego mnie straszysz? – piszczła Frida.

Obie całkowicie zignorowały babcię, która stanęła przy drzwiach i zaczęła walić w kłamkę kijem od szczotki, żeby przywołać córkę i wnuczkę do porządku. Po chwili zrezygnowała i poszła oglądać kreskówkę. Zanim zatopiła się w starej sofie, maksymalnie wzmocniła głośność. Odgłosy zwierzątek i kosmitów miksowały się z rodzinną awanturą.

– O co ci chodzi? O co? Zabronisz mi przebywać w sieci? To ja jestem twoją matką! Ja mogę ci zabraniać, nie ty mnie! – krzyczała Anchee.

– Ty sadystko! Zabroń mi żyć! No, dalej! Tylko tego chcesz. Żebym zdechła! Żałujesz, że to nie ja byłam na miejscu Karin! Nie prosiłam się na ten świat i mam nadzieję, że mnie też ktoś udusi – wykrzyknęła Frida i uciekła, żeby zamknąć się w łazience.

Kiedy siedziała na krawędzi wanny i słyszała, jak matka się dobija do zamkniętych drzwi, pomyślała, że musi iść do tego fotografa. Musi skomleć o jego uczucie, wyblagać, żeby się nią zajął. Niech będzie dla niej, kim chce. Ojcem, kochankiem, pornofotografem. Zgodzi się na każdą rolę. Wszystko lepsze niż mieszkanie z tą szaloną lekomanką. Postanowiła poczekać, aż matka się naćpa – wtedy wyjdzie z domu.

Wróciła do swojego pokoju, założyła słuchawki na uszy. Jej ciało przeszył pisk Lady Gagi:

She's like revenge in a bucket. And she won't look at you, won't look at you. She hides through love. A super seal. She got a halo around her finger. Around you.

Kiedy Lars Olsson wrócił po przesłuchaniu do domu, cały dygotał. Jak zwykle uspokoił się, buszując w sieci. Internet był dla niego w równym stopniu nalogiem jak antydepresantem. Zdziwiły go wpisy na forum ujawniające szczegóły zbrodni. Było też trochę adnotacji rodem z kiepskich kronik kryminalnych czy folderów turystycznych sławiących sielski nastrój okolic jeziora Skiresjön, którego nic nie zdoła zniszczyć, nawet wybryk jakiegoś zwyrodnialca z górki.

Chodziło o niego. Jego dom stał przecież na wzniesieniu. Wydawało się łagodne, ale ktoś, kto pokonywał drogę do jego siedziby samochodem, a szczególnie rowerem, wyczuwał dość znaczną stromiznę.

Potem zahaczył wzrokiem o wpis, który zaraz został przez autorkę skasowany. Zarówno treść, jak i pseudonim zdecydowanie wskazywały na płęć nadawcy. Lars chyba się nawet domyślał, kto kryje się pod tym nickiem w realu.

Przez moment walczył ze swoim autodestrukcyjnym pociąganiem do hazardu w relacjach damsko-męskich. Wkrótce jednak skapitulował i poszedł na żywioł.

Wrzucił do sieci notkę:

Hej, Mała Różyczko, może powinnaś się nazywać Black Rose – oto imię wymarzone dla ciebie. Wiem, że masz kolce, i już nie mogę się doczekać, kiedy ich dotknę, aż do krwi.

Odczekał, licząc do dziesięciu, i skasował wpis. Ufał, że „Mała Różyczka” zdążyła go przeczytać. Ta nadzieja bardzo go podnieciła. Niebezpieczne gry sprawiały, że znów czuł się bezpiecznie sam ze sobą.

Ingrid przybiegła do domu Agnes Hermansson dopiero kilka godzin po telefonie od Zuzy Wolny. Nie miała siły iść na miejsce zdarzenia, ale wiedziała o wszystkim. Była na stacji benzynowej, piła tę ich mocną kawę, zagryzając owsianym ciasteczkiem, które dodają gratis do każdego kubka, i nasłuchiwała się tych okropnych szczegółów o plastrach, ściągniętych majtkach, no i o drucie, który zboczeniec zacisnął na szyi ofiary.

Wyglądała na spłakaną, miała czerwone oczy. Zuza przypomniała sobie, że Ingrid nie tylko sprzątała u Karin, ale też znały się od dzieciństwa, były rówieśnicami, chodziły do jednej klasy.

Nagie stopy na kamiennej posadzce stanowiły orzeźwiający kontrast dla dusznego wieczoru. Ingrid czuła się w domu Agnes Hermansson jak u siebie. Sprzątała tu od dobrych kilku lat, jeszcze zanim gospodyni dostała udaru. Zuza nie musiała więc pełnić roli pani domu. Usiadła przy

kuchennym stole, oparła się o drewniany blat i obserwowała krzątanicę Ingrid. Ta nastawiła kawę w starym ekspresie przelewowym, który Agnes kupiła chyba jeszcze w latach osiemdziesiątych. Napój wydobywał się z niego niespiesznie, za to z miłym sykiem.

Potem Ingrid sprawnymi ruchami przyrządziła trzy jajka sadzone, ostro przyprawione papryczką chilli. Zawsze kiedy przychodziła tu pracować, lubiła coś szybko upichcić. Tak więc i tym razem nie mogły sobie odmówić wspólnego jedzenia i plotkowania. Dzięki niej Zuza znała prawie wszystkich mieszkańców, mimo że rzadko wychodziła z domu. Ingrid dużo mówiła o innych ludziach i zawsze były to same dobre rzeczy. Nie wyszła za męża, ale zalecał się do niej Kalle Wilhelmsen. Miał już co prawda swoje lata, był dobrze po sześćdziesiątce, ale jeśli przez kilka najbliższych lat nikt lepszy jej się nie oświadczy, Ingrid zdecyduje się na związek z Kalle. „To pewne” – tym zwrotem kończyła każdą wzmiankę o swoich planach matrymonialnych. „Ma bardzo wesołą naturę” – mówiła rozpromieniona. Lubił puzzle i układał na jej cześć wierszyki, których ona za nic nie ośmieliłaby się powtórzyć, bo były nieprzyzwoite i nie nadawały się „dla ludzi”, jak powtarzała. Spotykali się u niego tylko w soboty. Oboje wiele nie potrzebowali od życia, trochę śmiechu i czegoś gorącego do zjedzenia, a towarzyska natura Ingrid sprawiała, że praca sprzątaczką była dla niej wprost wymarzona.

– Co mówi Kalle? Kto mógłby skrzywdzić Karin?

– Kalle nic nie mówi. Jest u syna, aż w Storuman. Wraca dopiero za miesiąc. Pomaga mu dobudować dwa pokoje od strony ogrodu. Kalle zostanie dziadkiem i bardzo to przeżywa – wyjaśniła z taką dumą, jakby i ona miała zostać babką.

– Powiedziałaś mu o Karin?

– A jak!

– I co?

– Prawie płakał. To dobry człowiek – powiedziała Ingrid, a Zuza skreśliła Kallego z listy podejrzanych.

Patrzyła, jak Ingrid przeciera blat stołu. Uniosła ręce, by mogła to zrobić dokładnie. Bardzo ją polubiła i miała do siebie żal, że się jej nie zwierzyła, że chce sprowadzić tu brata. Nigdy nie mówiła o swoim życiu w Polsce.

– Przyniosłam też wino – oznajmiła Ingrid, wyciągając z wielkiej zamszowej torby butelkę i wrzucając ją do zamrażalnika.

Od razu poprawił im się humor. Nie pierwszy raz raczyły się wspólnie alkoholem. To też zbliżyło je do siebie.

– Nie wiem, co się z nami stanie. Tu już się nie da tak mieszkać jak kiedyś. Musiał to zrobić ktoś z nas – powiedziała Ingrid po chwili milczenia, przekładając jajecznicę z patelni na talerze. – Żal mi Karin, dwa razy do roku dostawałam od niej wór z ciuchami. Prawie nieużywany. Nosimy ten sam rozmiar. Trzydzieści osiem. Tyle że ja mam naturalne piersi, a ona zrobiła sobie nowe. I włosy...

– Mówiłaś już to wszystko, Ingrid.

– A, właśnie – westchnęła. – Taka ładna, a została zamordowana – powiedziała takim tonem, jakby tylko brzydkie kobiety bywały ofiarami zbrodni.

Kiedy kończyły kolację, Zuza odważyła się zapytać:

– A ty... znasz tu wszystkich... nie domyślasz się, kto to mógł zrobić?

– Podobno miała kochanka, i to nawet miejscowego – obwieściła Ingrid, wycierając resztki jajecznicy pajdą chleba.

– Co?! – Zuza zbyt głośno wyraziła swoje podekscytowanie, ale Ingrid, jak na rasową plotkarę przystało, wprost uwielbiała takie reakcje.

– Co się dziwisz? Myślisz, że tylko w Sztokholmie ludzie mogą się łądaczyć i zdradzać?

– No nie, ale chyba była szczęśliwa z mężem.

– A co to ma do rzeczy? Była, ale może chciała jeszcze więcej szczęścia. Tego to nigdy za wiele. I pomyśleć, że właśnie ją to spotkało! To ona wymyśliła cały ten biznes. Tomas ma dwie lewe ręce, a ona miała nie tylko głowę na karku, ale też zdolności plastyczne.

– To znaczy?

– Wymyślała wzory. Renifery z filcu, girlandy na okno, przecierane na biało drewniane gwiazdki... takie drobiazgi. Styl skandynawski... ludzie to teraz lubią.

– Sprzedawała to przez Internet, tak?

– Na cały świat.

– A może Tomas ją nakrył... Dowiedział się, że ma kochanka, i...

– Tyle że on odwoził lekarkę. Nie było go od świtu. Wrócił już po znalezieniu zwłok. Koszmar. Był w takim szoku, że chcieli nawet odłożyć

przesłuchanie do jutra.

Zuza zastanawiała się, czy ujawnić, że był tu i wcale nie wyglądał na zrozpaczonego. Ale nie była pewna, czy Ingrid zachowa tę wiadomość dla siebie. Zamiast tego zapytała:

– A morderstwo na zlecenie?

– No co ty? Mów, co chcesz, ale ja nad naszym jeziorkiem nie widzę płatnego zabójcy...

– A widzisz dużo, prawda?! – przerwała jej ze śmiechem Zuza.

Ingrid fuknęła jak niezadowolona kotka, a potem poszła wydobyć butelkę z zamrażalnika. Była już lekko oszroniona.

– Mam nadzieję, że złapią tego łotra, bo jak mam teraz sama wracać do domu...? – powiedziała Ingrid i rozlała do szklanek białe wino. Powinno być bardziej zimne, ale nie miały ochoty dłużej czekać, bo musiały jak najszybciej przepić okropną wiadomość.

Przy drugiej lampce Zuza wyznała, że ten sąsiad fotograf wydaje się jej odrobinę podejrzany. Taki samotnik, dzikus, a przecież mógłby mieć niejedną.

– Słuchaj, a może to on zamordował Karin...? – zapytała niepewnie.

Ingrid niezadowolona wykrzywiła twarz i zdecydowanie obwieściła, że nie mógł tego zrobić.

– To gnida, ale lubi dręczyć tylko żywych. Mięczak! I wielki tchórz. Niby jeździł po tych wszystkich wojnach, ale portki miał cały czas pełne ze strachu.

– Skąd wiesz, że to tchórz? Znasz go dobrze? – zapytała Zuza, licząc na jakieś wiadomości o przystojniaczku.

– Tchórz i tyle, a w dodatku gdyby planował kogoś ukatrupić, toby nie sprowadzał mnie do swojego domu, prawda? Spotkałam go wczoraj na stacji benzynowej i poprosił, żebym wpadała raz czy dwa w tygodniu, bo nie daje sobie rady z prowadzeniem domu. Czaił się z tą propozycją, jakbym była jakąś królową, a przecież ja sprzątam u wielu ludzi. Również u Gustavssona. Tego policjanta. Straszny flejtuch. Nic dziwnego, że nie ma kobiety.

– Nie ma kobiety? – powtórzyła zbyt radośnie Zuza.

– Nie bierz się do niego. Wiesz, że nie ma nerki?

– Chyba nie w nerce cała zabawa – rzuciła Zuza i roześmiały się, zapominając na moment o strasznym wydarzeniu.

– Oni się bardzo przyjaźnią – powiedziała Ingrid, dolewając wina i mrugając do Zuzy porozumiewawczo.

– Kto?

– Stefan i Lars. Są tacy, co mówią, że oni nie tylko ze sobą rozmawiają, ale też... no wiesz.

– Bujda. Lars lubi dziewczynki.

– Coś o tym wiesz? Skąd?! Przecież żyjesz jak zakonniczka.

– Ale okna mojego klasztoru wychodzą na jego okna.

– Powiesz coś więcej, czy mam skoczyć po drugą butelkę?

– Widziałam, jak dziś rano robił fotki tej małej skośnookiej i bardzo się ślinił.

– Żartujesz! Córce Anchee?!

– Ani trochę. Tak, tej małej!

– Przecież to dziecko!

– Ale cycki już ma!

– Jesteś okropna!

– Za to twoje wino jest całkiem dobre.

– Pobiegnę po drugie.

– A ja umyję naszą leżącą. Czasami dobrze jest utracić świadomość. Przynajmniej nigdy się nie dowie, jak zginęło jej ukochane dziecko.

– „Ukochane”. Przesadzasz.

– Przesadzam?! Znowu o czymś nie wiem?! Idź po butelkę i wróć szybko. To miasteczko zaczyna mnie interesować.

Opowieść snuta przez Ingrid przy drugiej butelce hiszpańskiego białego wina uzmysłowiła Zuzie, że coś jednak łączyło fotoreportera Larsa Olssona, policjanta Stefana Gustavssona i ofiarę Karin Frostenson. Może było to tylko błahe powiązanie bez żadnych konsekwencji. A może klucz do zabójstwa Karin Frostenson.

W każdym razie Zuza Wolny była już trochę pijana i motywy morderstwa mnożyły jej się w głowie bez logicznego uzasadnienia.

Potem weszła pod prysznic i stała pod zimnymi biczami dłuższą chwilę. Kiedy przebierała się w białą sukienkę, zatęskniła nagle za miastem. Za kawiarniami, tłokiem, nawet za smogiem. Nie mogła nic poradzić na to, że jest miejskim karaluchem.

Lars Olsson zauważył, że jeszcze tego samego wieczoru około jedenastej pojawiły się na stronie miasteczka amatorskie, źle skadrowane

fotografie miejsca zbrodni. Towarzyszyła im dłuższa notatka. Jej autor mógł być policjantem albo dziennikarzem. Albo administratorem witryny, który tym razem podpisał się jako „Poinformowany”. Sugerował to podobny styl, nagle obudzone zamiłowanie do bycia kimś na wzór kronikarza, donosiciela albo twórcy kryminałów.

Zarówno lekarz, jak i prokurator wahali się, czy wyeliminować również tło seksualne. Obnażone krocze i wygląd ocalałego dziecka mogły sugerować związek zbrodni z realizacją popędu płciowego. Ale ofiara nie została zgwałcona. Nasz informator miał wgląd do świeżych dokumentów z prosektorium, które niezbitnie poświadczają, że waginy denatki nie spenetrowano żadnym przedmiotem, a w drogach rodnych, odbycie i na ciele nie znaleziono plemników.

Śladów spermy nie udało się również wyróżnić w miejscach zdarzenia: na trawie, żywopłocie, kamieniach czy korze pobliskich drzew. Nie zdołano odszukać brakującej garderoby, zarówno ofiary, jak i dziecka.

Lars zatrzasnął klapę laptopa, zapalił papierosa i zaczął spacerować w kółko po domu. Jak fala powracała do niego twarz uduszonej Karin. Oczy i usta na wpół otwarte. Widać było, że śmierć zdybała ją w momencie wielkiego strachu. Ale ponieważ od wczesnego dzieciństwa nauczyła się pokrywać każde, nawet największe cierpienie maską grzeczności, na jej martwej twarzy Lars odnalazł też pokorę wobec ostatniego ciosu.

Zgasił papierosa, powrócił do lektury.

Nie natrafiono również na drut kolczasty, chociaż skrupulatnie przeczesano cały plac Dzieci z Bullerbyn oraz jego najbliższe okolice. Niestety, nie znaleziono niczego, co mogłoby mieć związek z morderstwami, w pobliżu dzikiego skrawka zieleni z rzekomym kamieniem runicznym wikingów, z którego cała nasza społeczność była taka dumna, a który pewnego dnia okazał się zwykłym obeliskiem, niegdyś przyniesionym przez nieznanego żartownisia, zapewne pod wpływem alkoholu, z zapomnianej części cmentarza. Podobnie bez jakichkolwiek efektów zbadano odchodzącą od bramy placu sieć wąskich leśnych drózek upstrzonych drewnianymi domkami.

W tym momencie przypomniał sobie rozmowę z Petersenem, odszukał jego wizytówkę i wysłał mu maila ze zdjęciami z miejsca zbrodni. Sam nie chciał ich oglądać, ale utworzył dla nich osobny folder: **KARIN_OSTATNIE ZDJĘCIA**. Musiał przyznać, że robił je w jakimś transie. Teraz zupełnie nie pamiętał tej sesji z martwym ciałem. Nie próbował również zadawać sobie pytania, jak był w stanie naciskać migawkę. Oglądał tyle zmasakrowanych ciał, że przywykł do ich widoku. To, że osobiście znał ofiarę, nic nie zmieniło.

Powrócił do czytania internetowej strony miasteczka. Pod opisem umieszczono fotografię miasteczka godną turystycznego folderu. Była tam jeszcze fotografia skośnookiej rowerzystki. Dziewczyna stała na tle ekipy technicznej, wyglądała na spoconą, potwornie zmęczoną i przez to znacznie starszą.

Lars Olsson skopiował to zdjęcie na dysk swojego laptopa i umieścił je w nowym folderze, który zatytułował CZARNA RÓŻYCZKA. Potem, z nadzieją, że uśnie, wziął kąpiel. Ale nie pomogło. Przyciemnił więc światło, opuścił wszystkie rolety i ponownie wszedł do sieci. Założył całkiem nową skrzynkę pocztową na fikcyjne nazwisko i przesłał tam plik DZIEWCZYNIKA oraz w załączniku zdjęcia zrobione rowerzystce przez kuchenne okno.

Potem przez dobre kilkanaście minut kasował wszystkie zapisy z ostatniej doby, jakie pozostawił na laptopie. Nauczył się tego od swojej sąsiadki ze Sztokholmu, Leny, która przez kilka lat była dziewczyną hakera. Wpoila mu, by nie traktował komputera jako notesu. „To tak, jakbyś bazgrał na murze. Każdy może przeczytać”.

Na koniec położył się na twardych deskach podłogi i zaczął rytmicznie napręzać mięśnie szkieletowe. Ból pleców zdawał się ustępować. Nagle usłyszał pukanie w szybę od strony ogródka. Podniósł się i bezszelestnie zbliżył do zaciągniętej rolety. Po drugiej stronie widział tylko słaby cień. Pukanie powtórzyło się, ale było wyraźnie słabsze. Zaczerpnął głęboko powietrza i szybkim ruchem podciągnął roletę. Zobaczył tę małą, córkę Anchee. Stała w kręgu światła padającego z ogrodowej latarni. Ktoś mógł ją tu zobaczyć.

Szybko otworzył okno. Upalny dzień przeszedł w piekielną noc. Żar buchnął w niego jak z pieca.

– Dobry wieczór. – Uśmiechnęła się, a wtedy Lars zobaczył trupa czaszkę na języku.

– Czego chcesz?

– Przez to morderstwo nikt nie śpi. Wszyscy stoją w grupkach przed domami. Chyba więc będzie lepiej, jeśli mnie szybko wpuścisz – powiedziała spokojnie, ale stanowczo.

Nie był to głos dziewczynki. Podobnie jak oczy – patrzyła na Larsa wzrokiem dorosłej kobiety. I tylko ciało, w jednoczęściowym kostiumie

kąpielowym przepasanym w talii indyjską chustą, wydawało się nie całkiem jeszcze pozbawione dziecięcego uroku.

Uchylił drugie skrzydło okna. Bez problemu przeskoczyła parapet:

– Matka woła na mnie Frida – wypaliła, nie wyciągając ręki.

– A na mnie wołała Lars – odpalił zaskoczony i skoncentrował się na udawaniu obojętnego na jej nielegalne wdzięki. – Lars Olsson.

– Andersson – odbiła błyskawicznie, jakby grała z nim w ping-ponga.

Nie miał pojęcia, jak powinna wyglądać czternastolatka, która kilka godzin wcześniej znalazła uduszone zwłoki i prawdopodobnie pierwszy raz w życiu widziała martwego człowieka. Ale coś mu mówiło, że ta mała nawet w najmniejszym stopniu nie pasuje do tego wizerunku. Nie żeby była radosna, ale z całą pewnością nie była też przerażona. Raczej naburmuszona. Już samo to, że zdecydowała się przyjść mglistą nocą do jego domu, oddalonego o dobre dziesięć minut drogi od ostatnich zabudowań, uświadomiło Larsowi, że albo nie boi się mordercy, albo nie boi się śmierci. Zarówno jedna, jak i druga hipoteza wydała mu się tyleż pociągająca co upiorna.

Zuza Wolny dokładnie sobie zakodowała, że Stefan Gustavsson pojawił się w domu Larsa Olssona chwilę przed północą, krótko po tym, jak weszła tam ta lolitka przebrana w kostium kąpielowy z kolekcji, która mogłaby nosić nazwę „Obudź w sobie Napaloną Zdzirę”.

Policjant, parkując, kilka razy przestawiał samochód, zanim z niego wysiadł. Dlatego Lars miał czas wepchnąć nastolatkę pod łóżko. A Zuza zyskała pięć minut, by wybiec z domu pani Hermansson, nadrobić drogi i niepostrzeżenie podejść do północnej ściany domu fotografa. Dużo nie widziała, ale za to słyszała wszystko. Nadśłuchiwanie niepokojących odgłosów obłożnie chorej wyostrzyło jej słuch do granic ludzkich możliwości.

Lars pomyślał, że Gustavsson musi już być po pierwszej naradzie na posterunku. Był ciekaw wstępnych hipotez, ale wiedział, że nie może ujawniać zbytniego zainteresowania.

– Wpadłem tylko na chwilę – powiedział policjant, ledwo przekroczył próg. Od razu usiadł na kanapie, odchylił głowę do tyłu i przez moment głęboko oddychał, jakby chciał się pozbyć wewnętrznego napięcia.

W sztucznym świetle małej lampki wydał się Larsowi jeszcze bardziej otyły i zagubiony. Czuć było od niego alkohol; nie wypił dużo, dwa czy

trzy piwa, nie był pijany, tylko bardziej rozmowny. Jeszcze przez moment siedział bez ruchu, trzymając dłoń w okolicy splotu słonecznego. W końcu poprawił się na kanapie i usiadł wyprostowany, jakby gotowy do walki.

– Lars, słuchaj uważnie – zaczął zbyt głośno. – Historia jest taka. Byłem u ciebie w południe. Gadaliśmy o tych wszystkich wojnach, na których byłeś. Potem zjedliśmy kilka jajek na twardo w sosie chrzanowym i odprowadziłeś mnie na dół, prawie na sam cypel, okay? Ja skręciłem w prawo za molo, a ty poszedłeś w stronę placu i usłyszałeś, jak ta mała drze japę nad zwłokami Karin, okay?

– Jak chcesz – odpowiedział Lars, rozmyślając o Fridzie schowanej pod łóżkiem. Musiała wszystko słyszeć.

– Nie będę ukrywał: biorą cię za mordercę. To głupcy, ale kogoś muszą wytypować, by nie było, że są do niczego. Dlatego ci pomagam.

– My, dzieci pijaków, musimy się trzymać razem – zakpił Lars. Wizyta Fridy wprowadziła go w niestosowny do sytuacji szampański nastrój. – Dzieci pijaków wszystkich krajów, łączcie się! – prawie krzyknął, mając nadzieję, że mała doceni jego poczucie humoru.

– Śmiejesz się. A śmieję się, śmieję. To wszystko z nerwów. Też tak czasami mam. – Gustavsson smętnie skwitował popisy Larsa. – Posłuchaj, ta historia to twoje alibi. Żelazne alibi. Dlatego przestań się głupio uśmiechać i słuchaj. Byłem u ciebie, przyszedłem prawie w samo południe, a wyszedłem po trzeciej. Rozumiesz? Jeszcze raz, byłem u ciebie w południe – mówił, jakby się wszystkiego nauczył na pamięć. – Gadaliśmy o tych wszystkich wojach, na których byłeś. Zjedliśmy kilka jajek na twardo w sosie chrzanowym, odprowadziłeś mnie na sam dół, skręciłem w prawo przy sklepie z żarciem dla zwierzątek, a ty poszedłeś w stronę parku i wtedy usłyszałeś, jak ta mała drze japę, zapamiętasz? – Westchnął ze zmęczenia i zrobił zrezygnowaną, ponurą minę.

– Wychodzi na to, że dałeś mi alibi, którego nie potrzebuję, prawda? – zapytał Lars. – Ale i tak jestem czysty jak łąza.

– Wiem. Jesteś niewinny, ale nie daliby ci spokoju.

– Może masz rację. Trudno mieć świadków na to, że się siedziało samemu w domu. Ale są chyba ślady w komputerze, bo trochę przebywałem w sieci.

– No właśnie, razem przebywaliśmy w sieci. Razem.

– Okay, okay, nie denerwuj się.

– Nie denerwuję się, tylko jestem zmęczony, potwornie zmęczony – wzdychał Gustavsson. – A jakby się przyczepili do ciebie, to śledztwo poszłoby nie w tym kierunku co trzeba, rozumiesz? Lepiej dam ci alibi i szybciej schwytały zbrojceńca.

– Może masz rację...

– Tylko nikomu nic, że ja tobie...

– Wiadomo.

– Chyba by mnie zwolnili. Na pewno! Policjant daje fałszywe alibi swojemu kumplowi. I to w sprawie o zabójstwo.

– No właśnie.

– Masz kawę? Taką mrożoną, jak zwykle robisz, z cynamonem i tymi innymi cudami.

– Nie zaśniesz po niej – ostrzegł Lars, bo chciał, żeby Gustavsson wreszcie wyszedł. Ta mała Andersson i tak już się za dużo nasłuchiwała.

– Nie zasnę, nawet nie ma mowy. Mam spać po takim dniu, mowy nie ma.

Gustavsson opadł na miękkie plecy sofy. W tej pozycji obserwował, jak kumpel krząta się po kuchni. Otwiera lodówkę, wyjmuje dzbanek z mrożoną kawą. Rozlewa do kubków, dodaje zimnego mleka, tylko trochę, bo wie, jaka jest najlepsza proporcja, żeby nie zabić cierpkości arabiki.

– Masz jakieś ciastka? – zapytał Gustavsson, patrząc na torebkę z bułeczkami cynamonowymi rzuconą na kuchenny blat. Przypominał obślinionego psa gapiącego się na kiełbasę.

Lars ze źle skrywaną złością rozerwał folię i poczęstował przyjaciela. Wyglądało na to, że wizyta się przedłuży, a on uświadomił sobie, że coraz bardziej chce być sam na sam z tą bezczelną Fridą.

– Jakieś twarde. Mam takie jeść? – Policjant zaśmiał się krótko i jakoś smutno.

Może wyczuł irytację Larsa; zazwyczaj był on serdeczny, a nie na siłę gościnny jak teraz. Nie widział też go w takim stanie. Jeszcze niedawno sztucznie rozbawionego, teraz dziwnie spiętego, jakby spłoszonego. Nic nie pozostało z tamtego zarozumiałego fotografa ze Sztokholmu, jakim objawił się na posterunku. Gustavsson patrzył, jak wrzuca ciastka do mikrofalówki i nastawia program. Śledził każdy jego ruch.

W końcu Lars nie wytrzymał:

– Co tak mi się przypatrujesz?

- Jesteś taki jakiś...
- Markotny?
- Bez urazy. Wyglądasz, jakbyś srał w gacie.
- Wciąż mam przed oczami szyję Karin.
- Przecież widziałeś tyle trupów na wojnie.
- To co innego.

– Może i tak – powiedział niepewnie policjant i duszkiem wypił lodowaty płyn. – No to pójde. Trochę pornosów do rana i do roboty.

Podniósł się ciężko z sofy, a mijając Larsa, poklepał go bratersko po ramieniu. Fotograf pomyślał, że Stefan powinien używać mocniejszego dezodorantu, szczególnie przy swojej tuszy.

Gustavsson nacisnął kłamkę, uchylił drzwi i z uśmiechem na ustach zapytał:

- Nie podziękujesz mi za alibi?
- Dzięki, ale to nie ja zabiłem.
- A wiesz, przesłuchaliśmy już tę maleńką. Fridę. Lokalnego kurwisonka.

– Chyba przesadzasz – jęknął Lars, lecz ta reakcja tylko nakręciła Gustavssona.

– Już się grzeje do chłopów, wyobrazasz sobie? Nie żeby mi nie stawał na jej widok, ale...

– Późno już, powiesz mi kiedy indziej – przerwał mu Lars. I tak za dużo się nasłuchała.

– Dobra, dobra... Już idę, ale powiem ci tylko, że jeśli myślisz, że to niewiniątko... to się mylisz.

– A co, jeszcze dzień, dwa i się przyzna, że to ona udusiła Karin? – Lars próbował żartować.

– Nie mów, że ci się ta żółta małpka nie podoba – odparł Gustavsson. – Kiedyś to tak wyglądały osiemnastki, a teraz trzynaście, czternaście lat i seks w oczach. I co zrobisz? Tak już jest. Wszystko przez telewizję. Nie lalki im w głowie, tylko ciupcianie. I co ty na to? No, powiedz! – Miejsce Gustavssona miśka zajął Gustavsson pitbull.

- Ale o co ci chodzi?! – bronił się Lars.
- Tylko pytam? Posunąłbyś ją czy nie?! – prawie krzyknął.

Lars doszedł do wniosku, że jednak musiał wypić więcej niż dwa piwa.

- A ty?! – spytał zaczepnie.

Zamiast od razu odpowiedzieć, popatrzył tylko Larsowi w oczy. Potem przestąpił próg i dopiero wtedy rzucił na odchodnym:

– Zrobiłbym to co ty! – zapewnił. – Dokładnie! Zadowolony? – Wyszczrzył zęby w przebiegłym uśmiešku.

Frida wyszła spod łóżka, jak tylko zamknął za sobą drzwi. Gdyby Gustavsson, jak porucznik Columbo, zawrócił, by o coś dopytać, zastałby ją na środku salonu. W samym kostiumie, bo chusta zaczepiła się o stelaż i została pod materacem.

– Ja też chcę tej mrożonej kawy – oznajmiła, jak gdyby nigdy nic. Wskoczyła na sofę, jeszcze ciepłą po wielkim cielsku policjanta.

– Ciasteczko? – Lars nalał jej kawy, która została w dzbanku.

– *No, thanks.*

Pospiesznie upiła łyk. Odstawiła szklankę na stolik pod lampką. Bez pytania sięgnęła po paczkę papierosów, poczęstowała się jednym.

– Nie przypalisz damie? – zapytała, wkładając papierosa do ust. Patrzyła mu prosto w oczy.

Natychmiast sięgnął po zapalniczkę. Kiedy dzielił ich płomień, obrzucił ją szybkimi spojrzeciami. Bardzo szczupła, miała ostry profil. Włosy błyszczące, twarde, dużo ich, jakby nosiła perukę. I te rozognione oczy. Dodawały jej lat.

Przysiadł na krawędzi obrotowego krzesła, z trudem utrzymując równowagę. Czuł – ciało płonęło mu jak w gorączce, skwierczało w nocnym upale. Ta mała bez najmniejszego problemu wyciskała z niego pożądanie, a jeszcze wczoraj wydawało mu się, że jego największa tajemnica – afrykańska przygoda – skutecznie go wykastrowała. Przez moment zdziwił się, że ciało potrafi doznawać przyjemności, pomimo że umysł jest obolały od przeżuwania myśli o Karin i jej naciętej szyi.

– Pan policjant miał rację. Chyba nie jesteś niewiniątkiem, co? – odezwał się w końcu, ot tak sobie.

Musiał coś powiedzieć, bo Frida przestała macać oczami wewnątrz i skupiła się na nim.

– Pan policjant to stary zboczeniec – wycedziła. – Cały czas zerkał mi tu... – Rozchyliła nogi.

Lars mocno się pilnował, żeby tam nie zerknąć. Przecież miała tylko czternaście lat i jego pożądanie nie powinno się ujawniać.

– Chociaż może jestem zepsuta... kto wie? – Zaciągnęła się dymem. W tym geście wiele było z dziecka naśladowującego dorosłych palaczy. – A może tylko mężczyźni chcą mnie taką widzieć – dodała.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Teraz zaczęła palić inaczej, zaciągając się z dużą wprawą. Najwyraźniej bawiła się jego kosztem. Myliła tropy. Raz grała dziewczynkę, innym razem dorosłą kochankę.

– Mam nadzieję, że skasowałeś te zdjęcia. – W jej tonie wyczuł naburmuszenie.

– Dlatego tu przyszedłeś?

– A jak myślisz?

– A po co się tak rano wyginałaś przed moim oknem?

– Zawsze się tak wyginam rano. Gimnastyka poranna. – Prychnęła zdrowym śmiechem. – Dobra dla duszy i ciała. Skandynawska odmiana tańca brzucha. Nie podobało ci się?

– Ach, więc to był taniec? A ja byłem pewny, że łańcuch ci się zepsuł.

Roześmiała się znowu. Tym razem krótko, ale za to spontanicznie. Lars zdał sobie sprawę, że już dawno nie słyszał takiego śmiechu. Tylko taki gardłowy, nie do końca radosny, zmieszany z lękiem. Tak śmiał się i on, i wszyscy, których znał.

– Ile masz lat? – Starał się nie przemycić w pytaniu zbytnej ciekawości.

– Potrzebuję chyba jeszcze czterech, żeby seks ze mną był legalny.

– Bezczelna jesteś.

– Raczej czytam w myślach – oznajmiła bez cienia ironii.

– Ale na pewno nie w moich.

– Daj spokój, przecież właśnie to chciałeś wiedzieć.

Podniosła się i poszła do sypialni. Był pewien, że zrzuci kostium i wskoczy w zmiętą kołdrę. Ale tylko uklękła i oswobodziła zaczepioną chustę. Przez moment widział jej tyłek przedzielony wąskim paskiem materiału wciśniętym w rowek. Był mały i twardy jak niedojrzała wiśnia. Spoczęły mu się ręce.

Kiedy go mijała, rzuciła tylko:

– No to cześć, weteranie wojenny. Takie piękne lato, a ty... Spójrz w lustro. Musisz się trochę opalić. Człowiek jest blady przed śmiercią. – Zasyczała i pokazała koniuszek języka z wizerunkiem trupiej czaszki.

Ciągle pod wrażeniem sposobu, w jaki wyciągała chustę, nie zdążył nawet odpowiedzieć. Ale kiedy przeskoczyła przez parapet, ich spojrzenia

się spotkały. Poczuł, że nie mogą się od siebie oderwać, jakby wzrok był lepki i ciągliwy. Wszystko to trwało zaledwie sekundę, w końcu Frida uciekła na ścieżkę, wyciągnęła z przydrożnych krzaków rower i popedałowała w kierunku domu. Wypadł za nią, ale była już daleko, prawie na dole. Jeszcze długo tak stał i patrzył w szary rękaw drogi upstrzony nikłym światłem latarni. Jasna noc przypominała zamglony, jakby nierealny dzień.

Kiedy wracał do siebie, odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Z bardzo bliska. Odległość wydawała się tak niewielka, że gdyby wstrzymał oddech, usłyszałby, jak podglądacz nabiera powietrza. To chyba ta Polka, uspokoił się. Zakasłał kilka razy bez potrzeby, wszedł do domu. Drzwiami. Jak mężczyzna w średnim wieku. Chociaż okno było otwarte, a parapet jeszcze ciepły od śladów Fridy.

7



Po powrocie do domu Zuza Wolny była pewna, że między Larsem Olssonem a tym nastoletnim dziwadłem zaczyna się jakaś historia. Nie poprawiło jej to humoru. O nie! Dobrze, że na dnie butelki zostało jeszcze trochę wina Ingrid. Wypiła je szybko, zbyt ciepłe, prosto z gwinta. Kiedy zachłysnęła się i zaczęła kasłać, usłyszała sygnał przychodzącego SMS-a.

Wiadomość wysłał zaszyfrowany NUMER PRYWATNY. Treść była krótka: **KONTO INTERNETOWE. WEJDŹ.** Pospiesznie wykonała polecenie. Stan jej konta powiększył się o sporą sumę. Przelew wyszedł z rachunku Tomasa Frostensona.

W tytule transakcji wpisał: **A DODATKOWE LEKI DLA TEŚCIOWEJ. NIECH SZCZĘŚCIE NIE OPUSZCZA NASZEJ MISJI.**

„Niech szczęście nie opuszcza naszej misji”. „Naszej”, a więc stali się w jakimś sensie współnikami i powiernikami – Zuza uśmiechnęła się do tej myśli, ale równocześnie do jej umysłu wkradł się niepokój. Jak na świeżo upieczonego wdowca, którego żona kilka godzin wcześniej została bestialsko uduszona, Frostenson działał niesamowicie sprawnie. Logistyka nie została w żaden sposób zaburzona przez rozpacz czy choćby głęboki, paraliżujący smutek.

To bardzo dziwne. Pamiętała, że kiedy jej ojciec zginął w wypadku samochodowym, cała rodzina, nawet ta najdalsza, tkwiła w stuporze; nikt nie potrafił się skupić nawet na najbardziej oczywistych i mechanicznych czynnościach. No ale, skarciła się w myślach, dajmy każdemu prawo do przeżywania żalu i żałoby na swój sposób,

Wysokość transferu wyraźnie poprawiła jej humor. Zamiast wykreślać kolejne puste dni w kalendarzu, będzie działać. Ale od czego miała zacząć? Przecież nie mogła, ot tak, po prostu pukać do obcych ludzi, prowadzić konwersacji o pogodzie, problemach polskiej i szwedzkiej gospodarki

i przy okazji węszyć, typując gospodarzy na potencjalnych morderców lub skreślając ich z listy podejrzanych. Swoje śledztwo na pewno poprowadzi metodą chałupniczą, ale najpierw musi się dobrze wyspać, dopiero potem przygotuje plan działania. Jutro praca, dziś przyjemność. Poczwała impuls do natychmiastowego wydania tego dochodu ekstra i przez następne godziny buszowała w sklepach internetowych. Kupiła sobie kilka kompletów nowej bielizny, bardzo wyzywającej i nawet odrobinę ekscentrycznej, a już na pewno nie wygodnej. Ostatecznie w czasie pościgu za mordercą na pewno będzie miała okazję poznać wielu mężczyzn.

Stanik pod nazwą „Uciekające Cycuszki”, pas do pończoch „Ostatnie Tango w Paryżu” albo majtki z dziurką na pupie i z angielskim napisem z przodu **WEJŚCIE SUROWO WZBRONIONE** na pewno maksymalnie zwiększały pole rażenia seksapilu. Nie mogła się doczekać zarówno przesyłek z nową garderobą, jak i momentu jej publicznej prezentacji. Ostatni raz była z mężczyzną prawie osiem miesięcy temu. Był to rosły Håkan Tidning, właściciel komisju meblowego w pobliskiej miejscowości, rudawy blondyn, żonaty i brzydko pachnący pod pachami. Ten kiepski zapaszek zaczął się z niego wydzielać dopiero w trakcie ruchów frykcyjnych i było już za późno, by mogło to ją zniechęcić. A potem nawet jej się spodobało, że on cuchnie jak kozioł, ona zaś nadal się dla niego pluska i perfumuje. Może była to część gry, której nawet sobie nie uświadamiali: niewolnica z dawnego bloku komunistycznego i jej pan z kraju higienicznej wolności. Ale była zadowolona, że on ma ją właśnie taką, pasywną i na wyłączność. Rola ożywionego seksmanekina, gumowej lalki z Polski uszczęśliwiała ją i dodawała jej energii do pracy.

Odwiedzała Håkana przez dobre kilka miesięcy. Z ochotą i za każdym razem, jak tylko zadzwonił. Zawsze musiała być przygotowana, wygolona pod pachami i na pipce, obsypana lawendowym talkiem, wyspana i chętna do eksperymentów. Z czasem seksnowinki się przejadły i Håkan wypracował drogę na skrót do orgazmu. Przechodzili do rzeczy od razu, ledwie weszła do komisju. Rzucił ją na używaną holenderską kanapę, której skóropodobna tapicerka obcierała ciało, nic zatem dziwnego, że zdejmowali tylko majtki i robili to bardzo szybko i w milczeniu, jak zwierzęta.

Potem przestał do niej dzwonić, nagle, z tygodnia na tydzień. Wysłał tylko SMS-a, że jakby miała kłopoty, to zawsze może na niego liczyć.

Wolała myśleć, że to prawda. Że zawsze będzie jej na swój sposób oddany. Jak to powtarzały w jej rodzinnych stronach doświadczone kobiety: „Stara miłość nie rdzewieje”.

Trzymała się tej pociechy nawet wtedy, kiedy zobaczyła, jak Iwona, pielęgniarka z domu starców, nowy i ładny nabytek z Polski, zaczyna regularnie, dwa razy w tygodniu, przejawiać zainteresowanie holenderskimi komodami i bufetami. Na szczęście w kilka tygodni po tym bolesnym odkryciu do pustego domu obok wprowadził się ten mężczyzna. Lars Olsson. Nigdy z nim nie rozmawiała, unikał ludzi. Ale kiedy mijali się na drodze, pozdrawiał ją szczerym uśmiechem. Wtedy zobaczyła, że ma ładne białe zęby. Dostrzegła również drobną szramę na policzku, o której zdarzało jej się fantazjować w bezsenne noce. Wkładała tam palec i drażniła do bólu, a on prosił o więcej.

Chciała, żeby był w jej śnie, nawet byle jak, ale odkąd przestała pracować w domu starców, a zaczęła u pani Hermansson, nic jej się nie śniło. Jałowość jawy nie potrafiła się przełożyć na żadne oniryczne wizje.

Po zakupach położyła się spać bardzo późno i nie zmrużyła oka do samego rana. Powód? Gość w domu fotografa. Mała w kostiumie kąpielowym. Czas wizyty: wystarczający, by odbyć stosunek seksualny. Jednak to nie zazdrość napędzała bezsenność Zuzy, tylko świadomość, że morderstwo Karin, niczym odskakujące denko na zepsutej konserwie, wydobyło ohydę skrytą pod eleganckimi strzechami miasteczka. Zamknęła wszystkie okna i do rana dusiła się w parnym zaduchu i odorze chorego ciała pani Hermansson.

Po wyjściu Fridy Lars wypił resztki mrożonej kawy, jaka została w jej kubku. Potem otworzył butelkę wina, usiadł i wolno popijał cierpki płyn, patrząc przed siebie, gdzieś w głąb pokoju. Natrętnie rozmyślał o Fridzie, o sposobie, w jaki rozchyliła nogi, żeby zademonstrować miejsce, na które zerkał Gustavsson w czasie przesłuchania. Rozmyślał również o jej języku zwieńczonym trupa czaszką, o chłodzie metalowej kulki, którą mógłby poczuć na swoich udach. Czuł oszołomienie, zaskoczenie, wstręt do siebie, czuł wszystko. Wszystko co najlepsze i wszystko co najgorsze.

W końcu wstał i nastawił radio. Nie wiedział, czego słucha, a mimo to przełączał stacje. Nie pasowała mu ani żadna muzyka, ani rozmowy, nawet proste skoczne piosenki, które zwykle zapadają głęboko w pamięć i masakrują świadomość przez następne kilka godzin. Ale tym razem nie

było na nie miejsca w umyśle Larsa. Była tam tylko Frida. To ona jak kluczyk otwierała i zamykała kolejne fantazje.

A może to nie była Frida, tylko ktoś, kogo spotkał dawno temu. Kiedy w pierwszą miłość wkrada się ból, trudno potem te dwie rzeczy od siebie oddzielić.

Poszedł wziąć zimny prysznic. Kolejny tej doby. Nie całkiem wytarty, wprost spod natrysku poczłapał do salonu. Usiadł na kanapie i zaraz przyszło mu na myśl, że ta Frida, ta czarna różyczka, to przecież tylko mała odnóżka tej, którą chciał ściąć gołymi rękoma, nie zważając na kolce i ból. Anchee, pomyślał i dopiero wtedy się zorientował, że wymówił jej imię na głos. Dziwnie zabrzmiało w pustym domu wypełnionym dusznym powietrzem nocy.

Było już po drugiej, kiedy ugotował sobie makaron, odcedzone kluski oblał karczochami w oleju, a całość posypał resztką parmezanu znalezionej na dole lodówki. Wmusił w siebie zbyt dużo jedzenia, które popił sporą ilością wody. Poczł ciężki i jeszcze bardziej wewnętrznie obolały.

Sen nie przychodził. Około trzeciej nad ranem Lars wyszedł przed dom, usiadł na jednym z pieńków i zaczął palić papierosa za papierosem.

Było już dobrze po północy, kiedy Stefan Gustavsson wrócił do domu po wizycie u Larsa. Przeżył ciężki dzień, tak niespodziewany i trudny, że miał ochotę zażyć się na śmierć. Gdyby nie jego ukochane ptactwo, pewnie by to zrobił.

Zapalił górne światło w salonie, co nie spodobało się papugom. Przymknęły powieki, ni to w sennym stuporze, ni to we śnie. Nawet nie dały znaku życia, kiedy zmienił im wodę i zamieszał dłonią piasek na dnie klatki. Nikt nie chciał jego troski.

Zgasił światło i zapatrzył się w przestrzeń. A więc tak wyglądała naga, pomyślał o Karin Frostenson. To straszne, że widzi ją martwą, bestialsko pozbawioną życia, a mimo to patrzy na jej krocze nie jak śledczy, ale jak napalony samczyk. To wstrętne, skarcił się, ale nadal rozmyślał o Karin. Nie jako o ofierze, ale o kobiecie, o nagiej ślicznej kobiecie. Zapamiętał jej uda, wąskie biodra, talię. Nie przechował żadnego obrazu naciętej szyi.

Wydawało mu się również, że na miejscu zdarzenia nie było kropli krwi. Dopiero gdy unieśli zwłoki, już po zdjęciu śladów, zobaczyli, że

wsiąkła w piach na wysokości karku. Zrobiło się z tego niezłe błoto, jakby ktoś wylał dwa wiadra ufarbowanej na czerwono wody.

Podniósł się z jękiem i zapalił światełka nad akwariem, po czym, przygryzając orzeszki, długie minuty patrzył, jak rybka welonka wdzięczy się do niego przez szklaną tafłę. Poczłapał do barku, szczęknął zamkiem, włożył rękę pomiędzy butelki polskiej wódki i słowackiego piwa, wyjął drewniane pudełeczko. Otworzył je z nabożną miną, wydobył dwie zdrapki, na stojąco poszurał paznokciem po nieparzystej liczbie kwadracików. Uśmiechnął się – nic nie wygrał – rozluźnił się natychmiast. Zamknął pudełeczko, barek i poszedł do kuchni wyrzucić zużyte zdrapki.

Ale kilka godzin później, kiedy zbawczy efekt skrobania paznokciem po tekturkach już się ulotnił, spięty moczył się w wannie z zimną wodą. Wyszedł z niej wielki i ociekający wodą. Sunąc przez mieszkanie, pochwycił swoje odbicie w lustrze. Wyglądał jak ponury potwór z Loch Ness. Okrutne monstrum.

Wrócił do łazienki, usiadł na brzegu wanny, wsunął smętnego fiutka między uda, by na niego nie patrzeć. Rozpłakał się.

Rano, zanim pojechała do pracy w pensjonacie Nasz Brzeg, Anchee Andersson obesza dokładnie tereny zielone, gdzie znaleziono ciało Karin. Tak jak przeczytała w Internecie, żadnych śladów gwałtu, szamotaniny, walki, wygniecionych miejsc, trawy chrzczonej krwią, połamanych gałązek, prezerwatyw. Tylko plama wilgotnego piasku. Niektóre ziarna wydawały się bordowe, inne tylko różowe.

Zagłębiała się w park, upał napierał. Tereny placu zabaw znała na wskroś; nie pamiętała, by kiedykolwiek przychodziła tu z matką, ale była tu kilka razy, odkąd ogródek jordanowski stał się chlubą jej ojca, znanego ginekologa. Kiedy kilka lat temu, zaraz po przejściu na emeryturę, spadł z balkonu i zmarł w karetce na szpitalnym dziedzińcu, teren zaczął dziczeć, zarastać chwastami i popadł w zapomnienie. Podobnie jak sam doktor Kristoff Andersson i jego idea „Rodzić dla szczęścia”. Z dnia jego pogrzebu Anchee zapamiętała, że nowe półbuty parzyły ją w pięty, a matka przez cały czas skubała z drobin tytoniu landrynkę wyciągniętą z kieszeni. Mowa pastora była długa, źle napisana, a zdania podrzędnie złożone usypiały żałobników.

Teren zalany był światłem. Wysokie temperatury spowodowały, że liście zaczęły przedwcześnie żółknąć i spadać. Te, które się ostały,

pokrywała politura z kurzu. Jakby rośliny uzbroiły się w śniady oręż. Zieleń wyrzuszała się w stronę metalowych dzid ogrodzenia, podchodziła pod miasto, chciała je pochłonąć.

Przyrządy na placu zabaw stały beczynnie w chwastach, a jęk karuzeli, kiedy Anchee ją pchnęła, był jak uderzenie w twarz. Nie spodziewała się, opór metalu mocno chwycił jej ciało, uwięził w lepkim uścisku, po czym szarpnął i puścił, aż się zatoczyła i upadła, uderzając o krawędź kosza na śmieci. Poczowała odór starego jedzenia i ciche brzęczenie nazartych much. Dźwignęła się, uspokoiła oddech, wyjęła z torebki plastikowe rękawiczki i zanurzyła rękę w koszu.

Był prawie opróżniony, zapewne jego zawartość, podobnie jak wszystko, co się znajdowało na obszarze zieleńca, zostało dokładnie opisane w aktach sprawy. Ale na dnie leżała książka. *Ciąża i pielęgnacja noworodków*. Okładka była przetarta, zniszczona, a niektóre strony na wprost wydarte. Całość wysmarowana masłem, które teraz jełczało w słońcu, wabiąc muchy. Stan papieru i niemodne rysunki bobasków z wielkimi łysymi głowami świadczyły o wieku poradnika. Sprawdziła, wydrukowano go ponad piętnaście lat temu.

Anchee wyjęła z torebki plastikową saszetkę i wrzuciła do niej znalezisko. Zemdlilo ją od smrodu kosza. Po urodzeniu Fridy odbierała świat zapachów szczególnie intensywnie, jak policyjny owczarek. Zaraz potem poczuła gęsty płyn w ustach, splunęła, a w płwocinie rozpoznała krew. Zawsze latem krwawiła z ust. Bała się sierpnia, w tym miesiącu zginął ojciec, wtedy też niezmiennie powracało wspomnienie choroby matki. Przypominało jej, jak leżała całymi dniami w łóżku. Smutna, w kałuży moczu pochłaniającej z minuty na minutę kolejny obszar prześcieradła. Nie chciała z nią rozmawiać. Kiedy tylko do niej wchodziła, żeby pokazać, co znalazła nad jeziorem, matka odwracała głowę do ściany. Anchee pozostał w pamięci widok strzykawek i ampułek, które ojciec lubił długo turlać otwartą dłonią, zanim obwiązał gumką udo żony, zacisnął pętlę i wbił igłę, mocno, ukośnym lotem zakrzywionej ręki.

Anchee miała wrażenie, że nie uśmierza bólu matki, tylko ją zabija. Kiedy podpatrywała go z przedpokoju, wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy pokątnie ścinał świerk na Gwiazdkę w założonej przez siebie szkółce leśnej. Schylony, z nielegalnym narzędziem w dłoni.

Ojciec mógł kupić cały las, lecz wolał ukraść jedno drzewo. Zamiłowanie do adrenaliny musiałam odziedziczyć po nim, pomyślała Anchee.

Kiedy doktor Andersson zmarł, jego żona przestała się skarżyć na wędrujące bóle. I nigdy już nie kładła się w dzień do łóżka. Ale jej stany przeszły na córkę. Frida dorastała i Anchee wydawało się, że już nic w jej życiu się nie wydarzy. A jednak.

Wieczorem, po powrocie z pracy, zamknęła się w swoim pokoju, wyciągnęła folię ze znaleźskiem i zaczęła wertować stary poradnik dla kobiet w ciąży. W rozdziale poświęconym czwartemu miesiącowi, na stronie z ryciną ukazującą rozwój płodu, znalazła wklejony napis, utworzony z liter wyciętych z tanich kolorowych pism dla kobiet: **NIE BĘDZIESZ GOTOWAŁ KOŹŁĘCIA W MLEKU JEGO MATKI.**

Słowo **MATKI** zostało wycięte z jakiegoś tytułu prasowego. Ponad literami zachowała się data wydania: dwudziesty pierwszy lipca 2011 roku. Ktoś zrobił tę wycinankę miesiąc przed zabójstwem.

Anchee jeszcze raz obejrzała stronę. „Czwarty miesiąc ciąży”. Ten zwrot był jak klucz. Otworzył drzwi, które dawno temu zatrzasknęła i zabarykadowała, by nigdy się nie otworzyły. Ale teraz się otworzyły. Z hukiem i impetem. Tym razem nie zdoła ich zamknąć – ktoś inny już miał do nich klucze.

Czwarty miesiąc ciąży – tytuł rozdziału kojarzył się Anchee tylko z Karin. To wtedy tak bardzo ją skrzywdziła. Nie bezpośrednio, ale czy ktoś, kto pośredniczy pomiędzy jednym katem a drugim, może pozostać niewinny?

8



Od śmierci Karin Frostenson minęło półtorej doby. Czas nie przyniósł przełomu w śledztwie, wszyscy mieszkańcy okolic jeziora Skiresjön zostali przepytani przez parę policjantów chodzących od domu do domu. Zero śladów. Zero hipotez. Tak jakby sama Karin podcięła sobie gardło. Tylko jak miałyby się uporać z tymi innymi rzeczami: plastrami, szelkami od dziecięcego wózka?

Przeprowadzono również rozmowy z pracownikami jej firmy. Okazało się, że jest to wypróbowana grupa około trzydziestu osób. Każdy miał alibi i wyglądał na autentycznie wstrząśniętego śmiercią szefowej. Nikt nie został zwolniony, nie było żadnego niemiłego incydentu w rodzaju posądzenia o kradzież. Biznes się kręcił. Nadal trwały rozmowy z kontrahentami. Z Rosji, Włoch i Francji. Były to zazwyczaj małe spółki prowadzone przez kobiety z pasją do urządzania wnętrz.

Na razie cały czas trzymano się hipotezy, że morderca jest znad jeziora Skiresjön.

– Wygląda na to, że ten facet mieszka na miejscu. I nie jest do końca normalny – ogłosił Gustavsson na koniec spotkania podsumowującego dotychczasowe ustalenia.

– Widziałeś normalnego mordercę? – zapytała Lisa, poprawiając makijaż.

– Wszyscy byli normalni. Oczywiście zanim zabili – odpowiedział tak nabożnym tonem, że wszyscy się roześmieli.

Obducent nie skończył jeszcze raportu, ale wiedział już, że ofiara została uduszona. Około czternastej po południu.

– Czyli... leżała w parku całkiem krótko.

– I nikt nic nie widział.

– Ni cholery. – Lisa grzebała w torebce.

– Ani ta mała, ani ten pan fotograf „strasznie dumny” – porządkował myśli Petersen.

– Wygląda na to, że zarówno ona, jak i on znaleźli się tam przypadkowo. Niezależnie od siebie – dopowiedział Gustavsson.

– Może się zmówili? – rzucił Petersen.

– Wszystko jest możliwe. – Lisa wreszcie znalazła mascarę. – Udusili, odczekali cholerne pół godziny i zadzwonili pod alarmowy – powiedziała i zaczęła malować rzęsy, wysuwając przy tym koniuszek języka. Nie było w pokoju mężczyzny, który by jej nie obserwował.

– Dobrana para sprytnych bestii – skomentował jeden z policjantów, wywołując śmiech pozostałych.

– Jutro będzie pełny raport – powiedział obducent. – I jeszcze jedno.

Przyspilił do korkowej tablicy portret ofiary. Karin leżała na stole sekcyjnym przypominającym staroświecką umywalkę. Gustavsson zauważył, że była do siebie kompletnie niepodobna. Nawet do tej, jaką zapamiętał z miejsca zbrodni.

– Tak... – zaciekawiał się Petersen.

– Piękna blizna po cesarce.

– Rzeczywiście, bardzo mała. Takie cacuszko da się łatwo ukryć pod bikini. – Lisa włożyła mascarę do torebki, a wyjęła z niej gumową kaczuszkę, którą w następnej chwili ze złością wrzuciła z powrotem. Potem znowu wyciągnęła tusz do rzęs i zaczęła nim potrząsać jak termometrem.

– Fakt. U mojej blizna jest wielka jak po bliźniakach – próbował zażartować Petersen, ale sam skrzywił się na swoje słowa i zaraz schował zdjęcie ofiary do szuflady. – Może pojedziesz nad jezioro i jeszcze się pokręcisz – zaproponował Gustavssonowi. – W końcu znasz okolicę lepiej niż my wszyscy.

– Mam tam budkę po ojcu nad samym brzegiem. Wiecie, taki domek rybacki.

– Tylko bądź grzeczny i nie zabawiaj się w ciągnięcie szałwika. Chyba wyszedłeś z wprawy i cholerna żyłka może ci pęknąć – zapiszczała Lisa i znowu wszyscy się roześmieli.

Gustavsson popatrzył na nią z namysłem.

– Mogę ci odstąpić tę chatkę – zaproponował wyjątkowo grzecznym tonem. – Miałabyś idealną budkę łęgową.

Znowu parsknęli śmiechem, bo Lisa w trzecim roku małżeństwa dorobiła się już czwórki dzieci.

– Idziemy do kantyny? – zaproponowała lekko obrażona. Właśnie skończyła poprawianie urody.

Gustavsson podniósł się z krzesła. Miał chandrę, a tępy ból głowy nie opuszczał go od wczesnego ranka. Może i pojedzie na miejsce zabójstwa, ale nie teraz, nie w ten upał. Pod wieczór jest tam ładnie, wykąpie się. Może natknie się na Anchee. A jak będzie miał szczęście, to nie tylko jej wzrok, ale również jej ręka powędruje w stronę rozporoka.

Świadomość rychłego neglizżu przed azjatycką pięknnością sprawiła, że zrezygnował z rostbefu i ciasta migdałowego. Zjadł tylko zbyt dojrzałego banana i popił gorzką kawą. Od dawna nie jadł tak odrażającego posiłku. Od dawna nie był tak głodny, wstając od stołu.

Od czasu znalezienia zwłok Frida Andersson mniej jeździła na rowerze po okolicznych polach. Powodem był nie strach, tylko raczej zmęczenie wielotygodniowymi upałami. Częściej schodziła do jeziora, żeby popływać. Robiła to, skazując się na nieprzyjemne uczucie. Pielęgnowała w ten sposób to, co nazywała masochistyczną rozkoszą. Od dziecka, podobnie jak matka, nie lubiła zamkniętych akwenów. Dokuczał jej lęk przed topielcem, o którego mogłaby zaczepić łydkami. Niepokój nie wiązał się z żadnym wspomnieniem, był irracjonalny, może dlatego jej nie odstępował. Paraliżował ją, a jednocześnie zmuszał do wystawiania się na to cierpienie.

Jezioro wydawało się dziś prawie nieruchome. Jakby to nie była żywa woda, tylko obrazek, kiczowaty, śliczny obrazek, jakich pełno w pokoju babki. Frida rozebrała się, przez moment chodziła przy samym brzegu, aż w końcu zdecydowała się wejść. Kiedy woda obmyła jej kolana, poczuła się jak królik wrzucany do terrarium z węzami. Jednak dzielnie stąpała w mule, stawiała chwiejne kroki coraz dalej i dalej, dopóki woda nie sięgnęła jej pod szyję – wtedy popłynęła.

Musiało minąć dobre kilka minut, zanim go zobaczyła. Oddaliła się już od brzegu na tyle, że trudno jej było rozróżnić rysy mężczyzny. Dopasować sylwetkę do znanej postaci. W dodatku patrzyła pod słońce i przykucnięta postać przeszukująca pozostawione przez nią na brzegu ubranie była zacieniona.

Po jego zachowaniu poznała, że to nie żaden złodziejasek. Nie miał nerwowych, szybkich ruchów. Nie zerkał w stronę jeziora, sprawdzając, czy

go nakryła. Przeszukiwał kieszenie spodenek i torebkę bardzo spokojnie. Jakby miał obmyślany i wypróbowany plan na wypadek, gdyby ktoś go nakrył.

Nie bał się jej. To pewne. Nie tylko dlatego, że była w wodzie. Czuł się swobodnie i po przeszukaniu zaczął patrzeć w jej kierunku. Trwało to długo, bo męczyła się z własnymi myślami: płynąć z powrotem czy ryzykować utratę sił i uciekać na drugi brzeg? Nie była dobrą pływaczką. W dodatku odkrycie osoby grzebiącej w rzeczach odebrało jej resztki energii. Osłabła i wiedziała, że musi wracać. Powoli zaczęła płynąć w kierunku brzegu. Wtedy ten ktoś zaczął do niej machać ręką. Spokojnie, z godnością, ale w tych majestatycznych, pełnych powagi ruchach było coś okrutnego. Coś, czego nie można zracjonalizować ani ominąć.

Bała się. Wolniej przebierała kończynami, prawie szła na dno. Strach ważył więcej niż wór z kamieniami u szyi. Kiedy już całkiem osłabła, postać zniknęła. Frida nie była pewna, czy intruz odszedł, czy ukrył się za drzewami i tam na nią poczeka.

Wyszła na brzeg. Zbliżało się południe, upał narastał, a ona trzęsa się ze stresu. Zgarnęła rzeczy, starając się nie patrzeć w stronę sąsiednich drzew. Miała wrażenie, że ściana lasu zbliża się do jeziora, prawie wyrasta z wody. Czuła olbrzymie napięcie psychiczne zmieszane z potwornym fizycznym zmęczeniem.

Po powrocie do domu podgrzała sobie mleko, ale nadal odczuwała przenikliwe zimno i dreszcze. Jednocześnie coś ją intrygowało. Nie dawało spokoju. Pozdrawiająca ją postać miała w sobie jednak coś znajomego. Sposób chodzenia, pochylania się, coś charakterystycznego. Coś, czego Frida nie potrafiła jednak do końca rozpoznać i przypisać do konkretnej osoby.

Poszła do pokoju babki, chciała z nią porozmawiać, ale ta spała z otwartymi ustami przed włączonym telewizorem. Trwał teleturniej: prowadzący z ciemnym tupecikiem na czubku głowy pokazywał jakieś plansze z literami, a wymęczony uśmiech nie schodził mu ze sztucznie opalonej twarzy.

Frida zerknęła na plastikowy termometr w kształcie sówki. Trzydzieści dwa stopnie. A ona się czuje, jakby biegła nago po śniegu. Jakby każdy centymetr ciała miała obłożony lodem.

To tylko nerwy, głupie emocje. Machał do mnie ręką, i co z tego? Nie dam się nastraszyć. Zresztą na pewno chciał mnie poderwać, a nie zrobić mi krzywdę, próbowała się uspokajać.

Zamknęła się w pokoju i przebrała w inne ciuchy. Czarny podkoszulek i kuse pomarańczowe spodenki z wyciętymi dziurami w kształcie gwiazdek. Założyła również nowe kolczyki: metalowe, gotyckie i ciężkie. Na koniec zamszowe buty na platformach. Nadal nią telepało, ale w tym stroju czuła się jak Lady Gaga wojowniczką. Chwyciła laptop, umościła się na materacu w gąszczu poduszek i włączyła komputer. Wiedziała, co ją uspokoi. Świadomość, że inni mają jeszcze gorzej. Kliknęła w zakładkę ULUBIONE: witryna ze zdjęciami post mortem. Ludzie zczadzeni, zastrzeleni, utopieni, porzuceni w lesie, a potem rozszarpani przez zwierzęta, albo ci spokojnie i w wielkiej ciszy rozkładający się długimi tygodniami we własnym domu: czerwie w brzuchu, robaki w nosie, larwy w zagłębieniu ust, białe wilgotne gąsienice ryjące dziąsła. Zwłoki nabrzmiałe, prawie bordowe, zielonkawe, turkusowe, ciemnożółte, pokryte wielobarwnymi plamami.

Stefan Gustavsson niczego się nie dowiedział. Po całym dniu chodzenia wzdłuż brzegu jeziora wrócił głodny do domu, do swoich papug. Parkując, zauważył, że upał zelżał. Pojawił się lekki powiew. W nocy długo nie mógł usnąć, słuchał szumu lodówki. Chciał z kimś porozmawiać, ale nie miał z kim.

Lars Olsson nie lubił pytań w stylu: Co się stało z moim życiem? Chciał w Gustavssonie widzieć prostego policjanta z lekką nadwagą i problemami z podejmowaniem decyzji. Dlatego Stefan grał przed nim taką rolę i tylko nocą, kiedy zdejmował teatralny kostium, czuł się naprawdę źle w swojej skórze.

Rozmyślał też o tych, których kiedyś pożył. O Karin, Anchee i od kilku dni o tej małej Fridzie. Albo go uwodziła podczas przesłuchania, albo ma halucynacje napalonego samca. Jednak dziś te wątpliwości zostały rozstrzygnięte na jego korzyść.

Kiedy wszedł do domku rybackiego, otworzył okna i starą gazetą zaczął uprzątać martwe komary i pająki, zauważył zdjęcie wetknięte pomiędzy stare narzędzia ojca. Było zrobione polaroidem. Przedstawiało Fridę. Patrzyła w obiektyw i wyglądała na znacznie młodszą niż w rzeczywistości.

Może dlatego, że jej usta wydawały się po dziecięcemu zabrudzone, wymazane czymś czerwonym... jakby dżemem truskawkowym.

Wyszedł na zewnątrz, żeby złapać więcej światła, zmrużył oczy i odkrył, że to wcale nie dżem. Mogła to być farbka wodna do malowania. Mogła to być krew. W pierwszym odruchu ogarnął go wewnętrzny śmiech, że i Fridę porwała nastoletnia moda na wiarę w wampiry. Potem przyjrzał się fotografii raz jeszcze, dokładnie i w skupieniu. Zauważył, że mała Andersson wcale nie wygląda jak syta i zadowolona wampirzyca. Wygląda raczej jak skaleczona. Jakby ktoś ją zranił do tego stopnia, że krew utoczyła jej się ustami.

Od pierwszej chwili, kiedy wziął fotografię w dłoń, poczuł się do niej bardzo przywiązany. Chowając ją do portfela, wiedział, że nigdy jej nie zniszczy ani nikomu nie pokaże. Bo i po co?

I rzeczywiście nie było to zwykłe zdjęcie. Po powrocie do domu wyjął je i położył na łóżku. Kiedy sam usiadł obok, materac ugiął się pod jego ciężarem, a portret Fridy ześlizgnął się i zatrzymał przy jego udzie. Stefan patrzył na nią. Nadal wyglądała na zranioną, ale jednocześnie coś mu mówiło, że właśnie to ją uszczęśliwia. Ból.

Pierwsze dni po śmierci Karin Zuza Wolny spędziła jak we śnie. Wiedziała, że musi działać, nawiązywać nowe znajomości, szukać mordercy, znaleźć sposób na dotarcie do prawie jej nieznanymi mieszkańców domów nad jeziorem.

Miała tylko cztery tygodnie na to, by zmienić swoje życie i los brata Oskara, a nie robiła nic. Pozwalała, by ogarniała ją coraz większa tęsknota za Polską. Godzinami patrzyła na wiszącą u sufitu lampę projektu Johannesena Andersena. Wracała myślami do studiów w Warszawie, do tych miesięcy, kiedy pisała pracę magisterską na temat wzornictwa duńskiego czasów modernizmu i kiedy liczyło się tylko zbieranie dokumentacji o krzesłach Poula Kjærtofta, spotkania towarzyskie oraz dużo taniego alkoholu i wyrafinowanego seksu.

Od tamtych dni wszystko się zmieniło. Najpierw znajomi ze studiów wsiąkli w życie rodzinne, potem kac coraz silniej dawał się we znaki, seks był nudny. Kiedy zlikwidowano jej etat w Muzeum Wzornictwa Przemysłowego, zarejestrowała się jako bezrobotna, by nie stracić ubezpieczenia zdrowotnego, a potem przez pół roku szukała pracy, łudząc się, że znajdzie coś zgodnego z jej kwalifikacjami. Nie mieli dla niej

propozycji, niczego, co choć w najmniejszym stopniu mogłoby w niej obudzić zawodową pasję. Żadnego zajęcia, które pozwoliłoby jej ciężko tyrać, ale jednocześnie dużo zarobić i stać się niezależną. W końcu podpowiedziano jej, by skorzystała z pomocy unijnej i skończyła kurs dla opiekunów ludzi starszych i przewlekle chorych. Zawsze myślała, że boi się krwi, ale z lęku przed igłą i strzykawką wyrasta się jak z chorób wieku dziecięcego. Przynajmniej tak było w jej przypadku. Bez paniki, za to całkiem sprawnie i pewną ręką, nauczyła się robić zastrzyki, nawet dożyłne. Poznała dogodne dla kręgosłupa pozycje, odpowiednie dla ludzi unieruchomionych lub pogrążonych w śpiączce. Potrafiła fachowo zająć się odleżynami, wrzodziejącymi ranami, założyć wenflon i podać pokarm przez PEG. Umiała znacznie więcej niż zwykła opiekunka. W szpitalu nie pozwolono by jej na wykonywanie czynności zarezerwowanych dla średniego personelu medycznego, ale w praktyce bywało różnie i skoro już mogła, wolała się nauczyć wszystkiego.

Zdobyła doskonałe kwalifikacje, potwierdzone odpowiednimi papierami, i tylko wciąż nie było dla niej zajęcia, które pozwoliłoby jej opłacić wynajęcie mieszkania i opiekunkę dla Oskara. Wymagał stałego nadzoru i specyficznej opieki kogoś, kto umiałby pohamować jego napady wilczego głodu. Jak na razie umiała to tylko ona i jej matka. A ta z roku na rok była coraz starsza.

Gdyby Zuza pracowała w systemie zmianowym w szpitalu, byłaby nadal zależna od pomocy matki i skazana na jej kapryśne nastroje. Kiepska pensja w państwowej służbie zdrowia nie pozwoliłaby na zatrudnienie profesjonalisty, który zająłby się Oskarem. Na lepiej płatną pracę w prywatnych ośrodkach nie miała szans. Za duża konkurencja. W dodatku nie była przecież pielęgniarką po kilkuletniej szkole, tylko osobą przyuczoną, mogła więc liczyć na takie zajęcie, którego nikt z prawdziwym dyplomem nie chciałby się podjąć. Pomyślała, że musi mieć dyplom, a nie świadectwo ukończenia kursu, i kupiła go od jakiegoś Rosjanina na bazarze. Ale z fałszywym dyplomem było zbyt niebezpiecznie pracować w Polsce, a Zuza chciała pracować, bo bezczynność wywoływała u niej nawracające ataki zespołu jelita drażliwego oraz nasilała chroniczne poczucie przygnębienia i smutku, które przyplątało się wraz z utratą pracy.

Po kilku miesiącach życia tylko z zasiłku porzuciła marzenia o realizowaniu zawodowych pasji. Pragnęła przede wszystkim zarabiać.

Zabrać brata na wakacje, kupić mu ubrania, wreszcie w normalnym sklepie, a nie w second-handzie. Nie mogła dłużej słuchać jego płaczu, kiedy zobaczył cukiernię, a jej nie było stać na zwykłego loda. Gdyby miała wystarczające fundusze, Oskar na pewno chodziłby na jakieś zajęcia plastyczne lub garncarskie, ćwiczyłby w szkółce dzudo. Lubił prace manualne i lubił towarzystwo. Serce jej się ścisnęło z bólu, kiedy widziała, jak siedzi w piaskownicy z kilkulatkami, które zresztą albo od niego uciekały z obrzydzeniem, albo go wyśmiewały. Gdyby miała godziwą pracę, brat nie czułby się aż tak inny.

W dodatku relacje z matką się skomplikowały. Korzystanie z jej mieszkania przez następne kilka lat nie wchodziło w rachubę. Czy całe życie miała spędzić w swoim dzieciennym pokoju? W końcu po kolejnej awanturze z matką, która jej wypomniała, że wypala zbyt dużo światła, a to ona płaci rachunki, postanowiła działać. Sama sobie musi rzucić koło ratunkowe. Po kilkunastu dniach wertowania rozmaitych ogłoszeń trafiła na firmę poszukującą personelu do szwedzkich domów opieki. Zadzwoiła, poszła na spotkanie. Przewodnicząca komisji była nią zachwycona. „Wreszcie ktoś z inteligentną twarzą i mądrymi oczami!” – wykrzyknęła.

I tak Zuza przeszła skrócony kurs szwedzkiego, umiała się przywitać i przedstawić, wiedziała, jak jest po szwedzku „teraz zmierzę ciśnienie / poziom cukru”, „proszę się nie ruszać” „poziom jest za wysoki / za niski”, „proszę się podnieść / obniżyć / unieść / złapać / zacisnąć / podać”, „zaraz przyniosę lekarstwa / termometr”, „zmienię pampers / piżamę” czy „zaraz zawołam lekarza”. Jej fałszywy dyplom zyskał porządne, notarialnie poświadczone tłumaczenie. Stał się przez to bardziej prawdziwy.

Wyjazd do Szwecji i rozstanie z Oskarem było straszne. Nie chciał nawet, żeby go objęła. Wolał obierać ziemniaki. Niczego nie rozumiał. Myślał, że po prostu tylko wyjdzie i zaraz wróci. Jak co dzień. Jak zawsze.

Przepłynęła Bałtyk promem. Przez całą podróż nawet nie zdjęła kupionego specjalnie na nowe życie anoraku i futrzanej rosyjskiej czapy. Tak bardzo się bała tego, co ją czeka. W portfelu, obok równowartości dwustu dolarów, miała zdjęcie Oskara w niebieskiej bejsbolówce. Wyglądał jak „normalny chłopak”. Nie lubiła tego określenia, ale takie właśnie miał spojrzenie na tej fotografii.

Zadziwiająca, ale dopiero teraz, wpatrując się w wizerunek brata, zauważyła, jak bardzo jest do niej podobny. Pomimo specyficznych oczu,

charakterystycznych dla osób z zespołem Downa.

Na drogę otrzymała również błogosławieństwo matki, która wreszcie pozbyła się kłopotliwego dziecka. Oskar był dla niej idealnym synem. Uwielbiał ją, obsypywał pocałunkami, chętnie z nią sprzątał, zmywał naczynia i pomagał obierać ziemniaki. Jego atutem było również to, że nie czytał po nocach starych kryminałów, tylko szedł spać tuż po zmroku. Z takim lokatorem matka naprawdę mogła zaoszczędzić na rachunkach za prąd.

Szwecja okazała się wcale nie taka świetlista, eko i higieniczna. Malmö przypominało jej polskie wybrzeże, a gdy pojechała pociągiem do Jönköping, poczuła się prawie jak na ojczystej wsi. Oczywiście wyczuwało się tu większy dobrobyt, ale nie miała poczucia wyobcowania i niższości. Po dwóch tygodniach szkolenia wylądowała niedaleko jeziora Skiresjön, w prestiżowym domu starców Nasz Brzeg. Pracowało tu dużo Polek i to jej trochę przeszkadzało. Każdy się dziwił, dlaczego taszczyła z Polski tę dziwną lampę. Nie miała ochoty im opowiadać o Johannesie Andersenie. Nie chciała dzielić się żadnymi szczegółami ze swego dawnego życia. Robić z siebie pani kustosz na przymusowej emigracji. Wolała grać rolę prostej cudzoziemki. To była jej mimikra oraz sposób na uniknięcie długich tłumaczeń. Była to również jakaś forma smutku i tęsknoty za krajem.

O dziwo, szybko i z przyjemnością uczyła się języka. Zamiast dusić się w piekiełku rodaków, oglądała po pracy telewizję i wychodziła na papierosa ze szwedzką kucharką. W efekcie błyskawicznie zaczęła płynnie mówić po szwedzku, a tym samym pokonała barierę wstydu i nie żenowała jej myśl, że wysławia się niepoprawnie czy wręcz śmiesznie. Ważne, że się dogaduje, myślała. Potrafię rozśmieszyć rozmówcę albo go zasmucić. To wystarczy.

Po roku pracy w Naszym Brzegu niespodziewanie dostała propozycję od Karin Frostenson, mieszkanki sąsiedniej willi. Miała opiekować się jej matką po udarze mózgu, nie w placówce, ale w domu chorej.

Pensja była znacznie wyższa, pracodawczyni sprawiała wrażenie konkretnej i miłej, a Zuza miała do dyspozycji właściwie cały drewniany domek. W dodatku nie musiała ani sprzątać, ani pracować, bo to należało do obowiązków innej osoby, Ingrid Borg. Nie bez znaczenia był też fakt, że podopieczna nie mówi i nie chodzi, co paradoksalnie gwarantowało mniejsze zaangażowanie i dawało poczucie większej swobody.

Właśnie tego było jej trzeba po latach mieszkania z matką. Wreszcie mogła być kobietą, a nie córką.

Jak inni miewają zgage, tak Frida Andersson zawsze po jedzeniu miała napady smutku. Te osobliwe ataki melancholii nasiliły się, odkąd poznała Larsa Olssona. Chciała mieć kogoś takiego w swoim życiu, bardzo blisko i na każde zawołanie. Coraz częściej myślała o ojcu.

„Czy to prawda, mamó? Utopił się? I nawet nie odnaleziono ciała?”

Raz czy dwa zadała jej to pytanie łamiącym się od płaczu głosem. Dlaczego ryczy, skoro nigdy go nie poznała? Zalewa się łzami, jak gdyby troszczył się o nią od urodzenia i dopiero wczoraj wyszedł z domu i już nie wrócił.

„Poszedł pod wodę jak kamień. Tak mi powiedzieli. Za dużo alkoholu” – z uporem informowała ją matka, zwięzłe i bez emocji. Można było pomyśleć, że mówi o życiu pchły na ogonie psa sąsiadów. „Nie żałuj, że go nie poznałaś. Wystarczy już, że ja żałuję, że go znałam” – dodawała piskliwie. Jak zawsze, kiedy nie mówiła prawdy.

A więc Mikael był super, pachniał obłędnie i nie miało się na jego widok mdłości, fantazjowała Frida. To po nim musiałam odziedziczyć wzrost, bo w wieku czternastu lat jestem już o pół głowy wyższa od matki. Mam też dużo pieprzyków na plecach i dwa na twarzy, blisko siebie, tuż pod lewym okiem, a matka nie ma żadnych przebarwień oprócz letnich piegów, które pojawiają się zwykle w czerwcu, a we wrześniu nie ma już po nich śladu.

Co jeszcze mógł mi przekazać? Nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Na razie to niewidoczne znaki, ale z biegiem lat na pewno je odkoduję, pocieszała się i żyła z dala od męskiego świata zagraconego głupimi gadżetami telefoniczno-motoryzacyjnymi, prasą z biuściastymi blondynkami i nadającym przez całą dobę kanałem sportowym. To faceci lubią, o tym już wiedziała i chyba nie miała okazji na wzbogacenie swej wiedzy. Może kiedyś się zakocham, ale na pewno nie teraz, wszyscy chłopcy ze szkoły są głupi. A potem wyrastają na jeszcze bardziej nieprzydatnych.

Tylko raz matka przyprowadziła do domu jakiegoś faceta. Przez pewien czas był lekarzem w domu starców. Przyniósł Fridzie wielkie różowe pudło „Barbie pielęgniarca”. Laleczka była w skąpym fartuszk, pod którym

sterczały obfite piersi. To była jej pierwsza i ostatnia plastikowa lalka, zawsze wolała misie wypełnione miękkimi pakułami.

Przez pierwszy tydzień Frida łudziła się, że kolega mamy będzie jej tatusiował, że to taki prezent od losu na dziesiąte urodziny. Ale pan doktor nie chciał z nią wcale rozmawiać, tylko gapił się na jej spodenki od piżamy. Teraz jest pewna, że najchętniej zabawiłby się z nią w doktorka. Dobrze, że długo nie zagościł, odszedł po wielkiej awanturze, wyjechał na północ i na dobre zniechęcił matkę do tak zwanej miłości.

Teraz Frida ma przynajmniej tylko jeden kłopot na głowie: własną matkę. I wystarczy. A ten fotograf... Przecież może z nim zagrać w taką grę, że będzie o nim myślała jak o ojcu, a on może sobie o niej myśleć, co chce. Nauczy się nie prowokować jego pożądania i nie odbierać żadnych seksualnych sygnałów, jakie mógłby jej wysyłać. Wyłączy kobietę w sobie i mężczyznę w nim.

Lars Olsson. Bardzo chciała mieć takiego ojca. Może stanie się tak jak w tych marnych serialach – Lars okaże się dawnym kochankiem matki i jej biologicznym ojcem. Ta myśl była tak słodka, że aż zemdliło ją od marzeń. Roześmiała się na głos. I zaraz przywołała się do porządku.

Hola, hola, znalazłaś trupa na placu. Biedna Karin poszła do nieba lub do piekła, a ty chichrasz się i masz dobry humor. Wstydz się i dwa razy wbij sobie spinkę w udo. Bo jak nie, to los cię jeszcze bardziej pokarze, niż już zdołał!

Wyjęła spinkę z włosów i zdecydowanym ruchem zagłębiła ją w udo. Syknęła krótko, widząc krew, i powtórzyła uderzenie. Krew szybko zakrzepła, a ona poczuła się mniej smutna. Jednego brakowało jej do szczęścia. Założyła słuchawki i maksymalnie pogłośniła muzykę.

Don't call my name. Don't call my name, Alejandro. I'm not your babe. I'm not your babe, Fernando. Don't wanna kiss, don't wanna touch. Just smoke one cigarette more. Don't call my name. Don't call my name, Roberto. Alejandro. Alejandro. Ale-ale-jandro. Ale-ale-jandro.

Rozmyślając o wszystkim i o niczym, Gustavsson zmienił wodę papugom, zjadł dwie paczki słonych orzeszków i niespiesznie wypił cztery butelki słowackiego piwa. Doskonale pamiętał, jak jeden z dyżurujących w szpitalu urologów zalecał mu picie piwa. „Oczyszcza nerkę” – powiedział i twarz mu pojaśniała. Patrząc na lekarza, Gustavsson był pewien, że ten systematycznie i szczerze czyści sobie nerki

Potem postanowił wziąć prysznic i zapić alkohol mocną herbatą. Podobno pomaga na upały, nawet nieschłodzona. Została mu jeszcze ta wędzona, cierpka i dobra. Dostał ją od sąsiadki z dołu, kiedy znalazł jej kota kilka ulic dalej.

Żując żelki przy stole w kuchni, naraz zaczął coś przeliczać. Prawie wytrzeźwiał, ale nie na tyle, by ostro widzieć za kierownicą. Nawet nie nastawił czajnika, tylko ubrał się i wybiegł z domu prosto na parking. Starał się prowadzić niezbyt wolno i niezbyt szybko, by nie wzbudzić podejrzeń kolegów z drogówki. I tak nieraz już przymykali oczy na jego poalkoholową jazdę.

W komendzie było kilka osób. Przywitał się, podając rękę, by nie chuchać im w twarz, i zamknął się w swoim pokoju. Myjąc dłonie, zobaczył się w lustrze. Nie musiał chuchać, wystarczyło spojrzeć: oczka rozbiegane, twarz rozpalona, spocona. Wszystko przez lato stulecia. Umyte rano włosy sprawiały wrażenie nieświeżych i lepkich od potu.

Otworzył akta i pozakładał długopisami odpowiednie strony. Potem włączył komputer. Wygoogłował stronę domu opieki Nasz Brzeg, w którym umieścił ojca. Przebiegł oczami po cikliwym wstępniaku w stylu: „Złote lata waszych rodziców nie muszą upłynąć na samotności w czterech ścianach...”, mającym wyciszyć poczucie winy i otworzyć portfel.

Wszedł w zakładkę PERSONEL, kliknął na PSYCHOLOG i zobaczył zdjęcie Anchee Andersson. Patrzyła prosto w obiektyw, ze skruszoną miną zawstydzonej Azjatki. Coś w nim drgnęło, ale szybko wstał i przemył twarz zimną wodą. Chwilę stał przytulony plecami do ściany, zanim uruchomił wentylator – jego szum dobrze na niego działał. Zapalił papierosa. Wypuszczał dym, unosząc głowę i patrząc, jak wiatrak tnie dym na siwe kłaczki, które zaraz znikają pod sufitem.

Zalał peta wodą z kranu, wrzucił do kosza, wytarł dłonie w spodnie i znów usiadł przed komputerem. Z ekranu nadal patrzyła na niego pani psycholog Anchee Andersson. Na fotografii zrobionej kilka lat temu wydawała się młodsza. Miała krótko przycięte włosy, prawie po męsku, gdyby nie dłuższa grzywka dzieląca czoło, odrzucona aż za płatek ucha. Na szyi łatwo zauważył dwie żyłki, nabrzmiałe tak mocno, że można by na nich badać puls. Nie szpeciły portretu, wprost przeciwnie – dodawały mu życia, iluzji, że Anchee jest bardzo blisko, za szybą komputera. Cerę miała

bladą, zbyt bladą, niemalże chorowitą, oczy zmrużone, tak samo przymknięte jak wtedy, kiedy się z nim zegnała. Teraz pomyślał, że nie musiały oznaczać dobrze skrywanej furii, równie dobrze mogły być smutne. Macał oczami jej wąskie ramiona obciążone ciemną bluzką z delikatnym dekoltem. W końcu zmusił się i skierował kursor niżej, na biogram. Zgadzało się, rok urodzin był taki sam.

Może w ten sposób dopadnie panią psycholog, jeżeli oczywiście zadziała efekt nostalgii. Jeżeli oczywiście jego pomysł jest dobry. Małe osady, niestety, potrafią być czasami zadziwiająco wielkie. Ludzie od dziecka uczą się trzymać swoje sekrety głęboko zakopane. Chwycił za telefon i zadzwonił do Gösty Nesesera, który pracował w ratuszu w wydziale ewidencji ludności.

Gustavsson jako inspektor policji mógł prosić go o informacje drogą służbową, choć niekoniecznie dzwoniąc do niego po dziesiątej wieczorem. Ale od pewnej nocy, kiedy miał z Göstą tak mocną stłuczkę, że odpadły zderzaki i dekle z przednich kół, mógł dzwonić, kiedy tylko chciał, i to na prywatną komórkę.

Po prostu obaj byli wtedy tak nachlani, że zamiast wzywać drogówkę, woleli poznać się odrobinę bliżej. Wypadki łączą ludzi, niekiedy w zadziwiający sposób. Po szybkim przeglądzie szkód w obu samochodach Neseser wdzięcznym krokiem zafalował do bagażnika nissana, skąd wyjął po dwa skromne piwa na głowę. Z otwieraczem również nie było problemu – nosił go jako breloczek przy kluczykach do samochodu. Był to użyteczny, choć tandetny gadżet. Metalowa brunetka z zębatym żeliwem zamiast dupki.

Wypili na poboczu i dopełnili wódką dwie przecznice dalej w domu Gösty. Gustavsson zanocował u niego w salonie, a jego ford stał przed ich domem cały weekend. Żona Gösty miała na imię Lisa i co kwadrans przysięgała, że urodziła się w Moskwie jako Tania, a jej ojciec oddał życie za pierestrojkę. Smażyła najlepsze grzyby na bekonie, z grubymi talarkami cebuli i garścią marynowanych kaparów podlanych ostrym octem.

Gustavsson pomyślał, że nic dziwnego, że Gösta ostro pił, bo po takim śniadaniu kac wcale nie był dokuczliwy. Lisa, pichcąc, śpiewała stare piosenki Abby i popijała piwo prosto z butelki. Od czasu do czasu robiła obsceniczne miny, popatrując przy tym na męża. Widać było, że bardzo się kochają, i Gustavsson od ich szczęścia zrobił się smutny. Pomyślał, że

dobrze byłoby mieć w domu taką głośną kobietę. Ich zapaćkana kuchnia mogłaby się okazać wyzwaniem nawet dla Ingrid czyściochy, co też mu się podobało w Lisie/Tani.

Gösta odebrał dopiero po kilkunastu sygnałach. Gustavsson znał go z tego, dlatego czekał aż do skutku. Po głosie poznał, że Gösta jest pijany, ale nie aż tak, żeby mu nie pomóc. Oddzwonił po czterdziestu minutach i podał mu adres. Pożegnali się, umawiając na wino.

– Aha... jeszcze coś... – dorzucił Gösta, kiedy Stefan chciał się rozłączyć. – Tania chce ci coś powiedzieć.

W słuchawce coś zaszemrało. Gustavsson usłyszał głośny oddech, jakby ktoś szykował się do rentgena klatki piersiowej, a zaraz donośny śpiew: *Waterloo – Promise to love you for ever more. Waterloo – Couldn't escape if I wanted to. Waterloo – Knowing my fate is to be with you. I feel like I win when I lose.* To śpiewała Tania, fałszowała tylko odrobinę, ale rozczulająco, czuć było, że jest już po kilku butelkach piwa.

– Jesteś cudowna – powiedział Gustavsson, ale chyba nie usłyszała komplementu, bo w połowie refrenu ostro się rozłączyła. Po jej popisie cisza pokoju wydała mu się osaczająca i smutna. Nie pomagał nawet szum wentylatora.

Gustavsson spojrział na zapisaną informację. A więc Anchee Andersson nadal mieszkała z matką. Szkoda. Był pewien, że kupiła któryś z opustoszałych domów i że go wyremontowała.

Niecierpliwie wyłączył komputer, potem wentylator i zamknął szafkę na kluczyk. Prawie pobiegł do samochodu, jak wielki, spasył hipopotam tnąc cielskiem żar powietrza.

Dopiero późno wieczorem Frida Andersson zauważyła kartkę na szortach. Ktoś przymocował ją spinaczem do tylnej kieszeni. Zwykłą białą kartkę. A na niej nic. Żadnego napisu. Tylko jej kolor wydawał się dziwny, jakby została nienaturalnie postarzona. Ochra, ale rozłożona nie równomiernie, lecz z zaciekami. Jakby nadawca wiadomości czymś ją oblał.

Podniosła dłoń do nosa i powąchała. Herbata. Oblał kartkę herbacianą esencją. Co to ma znaczyć i czy to jest istotne? – pomyślała i uniosła głowę. Jej wzrok już miał się zatrzymać na pniach trzech starych sosen zasadzonych zbyt blisko domu, gdy zobaczyła coś innego. Na parapecie stała puszka po herbacie. Wydawała się zardzewiała i stara.

Frida wolno podeszła do okna i dotknęła skorodowanego metalu. A więc dobrze odgadła zapach i kolor. Ktoś z premedytacją potraktował kartkę herbacianą esencją. Chciał się z nią zabawić.

Nie odważyła się zajrzeć do środka. Potrzasnęła metalowym pudełkiem. W środku coś było, puszka wydawała odgłos jak dziecinna grzechotka.

Ciekawość wzięła jednak górę nad ostrożnością. Frida spróbowała podważyć wieczko paznokciem palca wskazującego, ale nie dała rady. Pomógł dopiero pilniczek. Bez namysłu i nieopatrznie wysypała zawartość na dłoń.

Przez moment nie wiedziała, co trzyma w garści. Dopiero potem się zorientowała, że to kilka par zasuszonych żabich oczu. Wydawały się żywe do tego stopnia, że zamiast od razu spuścić je w sedesie, wybiegła i zakopała je za domem. Tak jak w dzieciństwie zakopywała pisklęta, które wypadły z gniazda, zdechłe myszy, a nawet rozdeptane przez matkę pająki.

Wróciła, zamknęła okno i poszła się myć. Puskę schowała do pudełka po butach, które wcisnęła w welurową poduszkę w kształcie serca leżącą na samej górze szafy. Potem jeszcze wetknęła kilka nitek do szuflad i po kąpieli była pewna, że matka znowu przeszukiwała jej pokój.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Nie myślała, kto jej to podrzucił na parapet. Była tego pewna: to ten człowiek znad jeziora. Nie przeszukiwał jej ubrań, tylko mocował spinaczem kartkę.

Żabie oczy sprawiały wrażenie zarówno żywych, jak i martwych. Miały w sobie tę dwoistość. Jednocześnie do złudzenia przypominały oczy małych dzieci. Czy to jest ta wiadomość, którą jej przysłano? Co ma o tym wszystkim myśleć? Starczy jej wyobraźni i wiedzy, czy musi poczekać na dalsze wskazówki?

Nad ranem, kiedy sen się nie zjawiał, pomyślała, że może chodzi o jej oczy. O to, co się z nimi stanie po śmierci. Że ktoś ją udusi i pozostawi na słońcu. Cała wilgoć z niej wyparuje, a ciało zacznie przypominać rzemień. Oczy zaś będą jak te żabie. I po stworzeniu tego okropnego scenariusza, o dziwo, zwinęła się w kłębek i usnęła.

Zuza Wolny doszła do nieciekawego wniosku. Stefan Gustavsson to następny podejrzany. Może nawet to on jest tym kochankiem Karin, o którym mówiła Ingrid. Może chciał, żeby zerwała z mężem i wyszła za niego. Przecież najpiękniejsze uczucie bywa czasem motywem najbardziej odrażającej zbrodni. Romantyczny morderca. Zbrodnia z miłości. Mord

w afekcie. To by pasowało do szwedzkiej natury. Odkąd przyjechała tu do pracy, odkryła, że ludźmi Północy targają wielkie latynoskie namiętności. Jediną różnicą jest to, że Skandynawowie wstydzą się je okazywać. To ukrywanie tylko podgrzewa temperaturę uczuć. Aż do niebezpiecznej kumulacji i w końcu eksplozji.

Rozważając miłosne motywy zabójstwa Karin, nie wiedzieć czemu zawsze zaczynała myśleć o sąsiedzie. Głos Larsa... matowy, gardłowy... bardzo na nią działał. Nawet kiedy go odtwarzała jedynie w wyobraźni. Nawet kiedy podsłuchiwała jego rozmowę z Fridą Andersson. Zwłaszcza wtedy. Miała wrażenie, że Lars moduluje tembr, robi pauzy, zawiesza głos w pół zdania. Wszystkie te sztuczki odbierała jako piekielnie seksowne. I przysłówek „piekielnie” był w tym wypadku jak najbardziej uzasadniony.

Na razie musi jeszcze raz przeczytać wpisy na forum i na podstawie plotkarskich doniesień o szczegółach morderstwa stworzyć profil mordercy. Praca ze starszymi, nieustannie śpiącymi i nierozmawiającymi ludźmi ma jeszcze jedną zaletę: pozostawia dużo czasu na oglądanie telewizji. A większość filmów to kryminały.

Zaczęła chodzić po domu, pozornie bez celu, lepiej jej się wtedy myślało. Nagle zatrzymało ją coś, co widziała codziennie podczas posiłków, ale dopiero teraz to zobaczyła.

W kuchni – nad stolikiem z pojemnikiem do chleba – wisiało sporych rozmiarów zdjęcie oprawione w prostą sosnową ramkę zabejcowaną na biało. Młoda, trzydziestoparoletnia Agnes Hermansson. Z zagniewaną miną, którą niekiedy udawało się odnaleźć na jej obecnej, starej już twarzy, patrzyła prosto w obiektyw.

Po dłuższym wpatrywaniu się w portret pani domu Zuza jednak odniosła wrażenie, że to nie jest żadna harda mina, tylko nieudana próba uśmiechu. Agnes trzymała na kolanach kilkuletnią Karin o gładko zaczesanych na bok lnianych włosach. Dziewczynka miała na sobie jasną sukienkę, prostą, niemal przasną, a w ręku trzymała zrobionego ze szmatek króliczka.

Zuza zdjęła obrazek ze ściany. Przetarła go szmatką; o dziwo, zebrało się tam dużo kurzu. Chyba Ingrid kompletnie o nim zapomniała. Potem poszła do pokoju Agnes, zdjęła widoczek z pagórkami wiszący vis-à-vis łóżka chorej i zawiesiła tam jej rodzinną pamiątkę. Pani Hermansson, jak co dzień, patrzyła bez wyrazu na wprost, jednak na linii wzroku miała teraz

siebie z córką, no i przeszłość, która bezpowrotnie uciekła. Zuza była pewna, że ujrawszy to zdjęcie, jej podopieczna przez moment walczyła z grymasem cierpienia, który chciał zawładnąć jej twarzą. Jakby rozpoznała fotografię i nie było to przyjemne odkrycie. Ale kiedy Zuza podeszła bliżej łóżka, twarz Agnes była nieruchoma, jakby pokryta żółtym woskiem.

Ingrid przyszła następnego dnia, przygotowała pralkę, przystawiła stołek do okna w sypialni gospodyni i zaczęła zdejmowała zasłonki. Wtedy zauważyła zmianę na ścianie.

– Dasz wiarę, że ja mam w domu identyczne zdjęcie! Takie samo tło, ten sam płot, krzesło i ta sama poza – roześmiała się.

– Kiedyś się takie robiło. Pozowane.

– Nie jestem aż tak stara.

– Chciałam powiedzieć, że telefony komórkowe nauczyły nas spontaniczności w pozowaniu – poprawiła Zuza, a Ingrid aż cmoknęła, usłyszawszy to zdanie.

– Rzeczywiście jest bardzo sztywne. Ustawiane. To jeszcze nie jest złe. Na tym moim matka i brat wyglądają, jakby fotograf miał dokonać na nas egzekucji. – Parsknęła śmiechem.

– Masz młodszego brata? – Zuzie od razu przypomniał się Oskar.

– Starszego. O trzy lata. Ma na imię Gunnar. Przeniósł się z matką do Örebro.

– Kto was tak po kolei uwieczniał? – zapytała, chociaż wiedziała, że moment jest idealny, by wreszcie zwierzyć się Ingrid ze swojej rodzinnej sytuacji.

– To było chyba w wigilię nocy świętojańskiej... – Ingrid zmarszczyła nos, próbując sobie przypomnieć. – Tak, to Lars... Oczywiście, to on! Był nadwornym portrecistą wszystkich mieszkańców.

– No co ty? Przecież miał wtedy chyba z jedenaście lat.

– Właśnie. Odkąd pamiętam, zawsze biegał z aparatem. Wszystkich fotografował. Od mojej matki nieraz dostał za to ścierką w twarz. Chyba ta fotka powstała zaraz po tym, jak kupili mu pierwszy aparat. To jego matka chodziła z nim od domu do domu i oferowała darmowe portrety. Coś mi się tak kojarzy...

– Jak na pierwsze prace dzieciaka... są zadziwiająco dobre... Nieprześwietlone... Nieporuszone... Nawet ta kompozycja kadru... Już wtedy był zdolny...

– Co chcesz, tacy jak on nie rodzą się na kamieniu! – odpowiedziała Ingrid, zeskoczyła ze stołka i parsknęła śmiechem.

Gustavsson siedział naprzeciwko Anchee Andersson w jej gabinecie w Naszym Brzegu. Pani psycholog wydawała się speszona, co dodało mu odwagi. Jej bliskość przypominała mu kawałki porno z pieprzonymi się Azjatkami. Uwielbiał patrzeć na ich skruszone minki w czasie orgazmu. Wyglądały, jakby przepraszały, że mają przyjemność.

– Domyślam się, że pensjonariuszom podoba się taka oryginalna uroda. Mama Azjatka to... – zaczął mówić, ale nie pozwoliła mu skończyć.

– Ale tata był czystej krwi Szwedem – przypomniała odrobinę znużonym tonem.

– Wybuchowa mieszanka, mam rację? Patrząc na ciebie, wiem, że nie mogę się mylić – powiedział i pomyślał, że nieźle nawija.

– Jak pan sobie życzy, panie inspektorze Gustavsson. – odpowiedziała i złapała jego natrętny wzrok na swoich piersiach.

Miała błękitną sukienkę w bladożółte kwiatki, prostą, skromną, z kretonu. Pewnie kupiła ją w dziale dziecięcym, pomyślał. Jej płaski brzuch i wąskie uda doskonale wślizgiwały się w numerację dla dwunastolatek. Mogłaby mieć większy biust, ale uważała że ten pasuje do jej drobnej postaci. Patrzył i patrzył, chociaż w sumie nie było na co. Piersi miała małe, zapewne o wydłużonych brodawkach przypominających wczesne bladuróżowe poziomki. Uśmiechnął się do tego porównania. Dzięki niemu rozmiar stanika Anchee nie rozczarował go tak bardzo. Zauważył, że podchwyciła jego zadowoloną minę i natarczywy wzrok.

A wszystko szło tak gładko. Dał jej się wypowiedzieć na temat jego ojca. Wyraził żal wrażliwego syna i nic nie mógł na to poradzić, że kiedy ona mówiła o psychofizjologicznych uwarunkowaniach braku kontroli popędu płciowego u osób starszych ze zdiagnozowaną chorobą wieńcową tętnic szyjnych, on rozmyślał: Czy Anchee Andersson w łóżku jest bardziej Anchee czy Andersson? Czy ma cudną skruszoną minę, gdy pruje na grzywie orgazmu, krzycząc na cały regulator?

Poprawiła się na krześle i profesjonalnym, wypranym z emocji głosem zapytała:

– Odnoszę wrażenie, że przyszedł pan chyba w sprawie służbowej, ale zamiast tego chciałby pan ze mną realizować popęd płciowy. Mam rację, panie inspektorze Gustavsson?

– Nie rozumiem.

– Myślałam, że wyrażam się jasno. Realizować popęd płciowy. Skoro nic to panu nie mówi, wyrażę się inaczej. Otóż odnoszę wrażenie, że chciałby mnie pan przelecieć.

Gustavsson się spieszył. A więc jest bardziej szwedzka niż azjatycka. Żadna kobieta Wschodu nie odezwałaby się w ten sposób do mężczyzny.

– Źle pani zinterpretowała moje zamyślenie, pani psycholog. Rozmyślałem nad morderstwem.

– Nasi pensjonariusze też już się dowiedzieli. – Skinęła głową bez cienia emocji. – W tym wieku ludzie są szalenie wrażliwi, kilkakrotnie musieliśmy wzywać psychiatrę.

– Anchee, ze względu na stare czasy... Potrzebuję kogoś... profesjonalistę... kto spojrzy świeżym okiem na zgromadzone materiały. Jesteś w końcu psychologiem...

– Nie nadaję się do tego – powiedziała szybko. Zbyt szybko. Wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie. – Przykro mi, ale moja specjalność to geriatria i nie chciałabym tego zmieniać, nawet w tych szczególnych okolicznościach.

Zauważył, że zmrużyła swoje skośne oczy. Musiała być zła.

– Umiesz być asertywna. Mam nadzieję, że dla swoich podopiecznych jesteś bardziej uczynna. Przecież w tym wieku ludzie są szalenie wrażliwi.

Również wstał i wyciągnął rękę. Był wściekły, że ma spocone dłonie. Pewnie było jej niemiło poczuć jego wilgotną łapę. Jej dłoń była wąska i drobna, prawie dziecinna.

– Mam nadzieję, że nie będziesz mi przeszkadzał w pełnieniu obowiązków – powiedziała, otwierając drzwi na korytarz.

Przez moment miał nawet wrażenie, że się uśmiechnęła albo zmusiła do uśmiechu. Prawdopodobnie była to jej wersja wrednego uśmiešku.

Ojciec czekał na Stefana przed drzwiami. Pomimo wczesnej pory był w pasiastej piżamie. Miał nabrzmiąte powieki pokryte sitem bordowych żyłek. Wilgotne oczy zdawały się rozsadzać nabrzmiąłą, żółtą twarz. Spojrzenie posyłał mgliste, rozmyte, typowe dla słabo widzących. Z rozporka wystawał mu członek jak kawałek sianej szmatki.

– Tato, dlaczego paradujesz z tym swoim korniszonkiem po korytarzu?

Ojciec przebierał nogami, ale wciąż stał w miejscu. Przypominał kogoś, kto się zagubił. Stefan zrobił dwa kroki w jego kierunku i poprawił mu

spodnie. Ojciec zacisnął usta. Znieruchomiał. Przez twarz przeszedł mu skurcz, zaraz zastąpiony łagodnym uśmiechem.

– Nie każdy ma taką dobrą pamięć, żeby wiedzieć, co wkładał do gęby. – Mówił jakby z przymusu. Wydawało się, że walczy z rozlanym po całym ciele zmęczeniem. – Nie każdy ma taką dobrą pamięć, żeby wiedzieć, co wkładał do gęby – powtarzał cicho, bezskutecznie próbując wyciągnąć uwięzioną w kieszeni piżamy dłoń.

– Chodź, tato, pójdziemy na mały spacer – powiedział Stefan, biorąc go pod ramię.

Z tygodnia na tydzień ojciec wydawał się coraz mniejszy i mniejszy. Nie inaczej było teraz. Twarz miał zaciśniętą, poważną. Stefan zapragnął go rozśmieszyć.

– Znam cię, tato. Chodzisz z ptaszkiem po prośbie. Może któraś się skusi, co?

Ojciec spojrział na niego jak na obcego, przestraszonym wzrokiem. Pojękiwał, z sykiem wypuszczał powietrze.

– Tato, nie poznajesz mnie? To ja, Stefan, tato...

– Przecież wiem, kim jesteś – oburzył się ojciec, ale dopiero po dłuższym czasie. Zareagował na tyle gwałtownie, na ile starczyło mu sił, opluł się i delikatnie posikał. Pasiasty materiał upstrzyło kilka plamek. – Jeżeli myślisz, że jestem starym sklerotykiem, to się mylisz – dopowiedział, uciekając z jego uścisku. Twarz mu nabrzmiała. Wilgotne oczy schowały się w fałdach skóry.

Jednak już po chwili, jak gdyby nigdy nic, dał się spokojnie poprowadzić na taras. Kiedy usiedli w wiklinowych fotelach, zbliżył dłoń do oczu, zaledwie na kilka centymetrów. Oglądał supły sinych żył i brązowe plamy, uśmiechał się. Nie wiadomo, co go tak cieszyło w tej starczej fakturze dłoni.

Obserwując ojca, Stefan poczuł, że musi zapalić. Walczył ze sobą, ale w końcu nie mógł już odroczyć przyjemności. Przeprosił ojca, który i tak nie zwracał na niego uwagi, i truchtem dobiegł do bramy wjazdowej.

Wypalił łąpczywie papierosa, wrócił i zaprowadził starca do jego pokoju. Z okna widać było zwirowy podjazd, wysoką bramę uzbrojoną w oko kamery, która nigdy nie była włączona.

Ojciec usiadł w rogu łóżka, nieśmiało, z bojaźnią, jakby nie należało do niego. Materac ugiął się tylko nieznacznie.

Stefan wypakowywał rzeczy, które mu przyniósł, głównie desery dla dzieci w małych słoiczkach, trochę gazet. Wtedy ojciec odezwał się cicho. Powiedział że chciałby mieć yamahe.

– Jaką znowu yamahe, tato? – zapytał Stefan zniecierpliwionym tonem, bo zaczęło mu dokuczać miejsce po usuniętej nerce. Skóra swędziała, kłuła.

– Motor – odpowiedział stary Gustavsson, patrząc w twarz syna. – Czarny ze srebrnymi błotnikami.

– Okay, okay, – Stefan miał wrażenie, że rozmawia nie z ojcem, ale z rozpieszczonym dzieciakiem.

Wychodząc, przez moment zapragnął zobaczyć Anchee, ale powstrzymał się i szybko odszedł w stronę samochodu. Na samą myśl, że ona jest kilkadziesiąt metrów od niego, w swoim gabinecie psychologa, drżały mu ręce i szumiało w uszach. Czuł się tak, jakby poziom glukozy w jego krwi spadł do zera.

Słońce prażyło. Las nie chronił przed upałem. Wprost przeciwnie, Mieszkańcy odnosili wrażenie, że korony drzew uniemożliwiają choćby minimalną cyrkulację powietrza i tworzą coś w rodzaju dusznego namiotu.

Frida Andersson nie ruszała się z domu. Tkwiła w swoim pokoju zaplątana w wirtualną sieć. Korzystała z tego, że matka całe dni siedzi w pracy, a babka godzinami chrapie przed telewizorem.

Niektóre fotografie, które oglądała, były tak sugestywne, że czuła zapach zwłok. Kwaśną, duszącą woń. Brr... Myślała, że widziała już wszystko, a tu taka niespodzianka! Zrobił je chłopak, który pracuje w kostnicy. Frida dodała jego blog do **ULUBIONYCH**. Będzie tu często zaglądać.

Ale dzisiaj natrafiła na amerykańską witrynę „Zwłoki, które zmieniły bieg historii”. Znajdowały się tam ryciny przedstawiające otrutych lub zgilotynowanych władców, a także całkiem współczesne zdjęcia prasowe zastrzelonych tyranów z Bałkanów i Rumunii, wojowników o pokój, więźniów politycznych, działaczy praw człowieka. Przy niektórych fotografiach znajdowały się linki odsyłające do autorów zdjęć czy historii ich powstania. Tak właśnie wpadła na trop Larsa Olssona.

Oczywiście figurował pod znanym nazwiskiem. Nie uśpiło jej również to, że w CV dodał sobie kilka lat, ani nawet to, że zdjęcie pokazywało go z nagą czaszką, spaloną przez tropikalne słońce. Twarz wydawała się

krańcowo wychudzona, rysy się wyostrzyły, a oczy wydawały się pełniejsze i bardziej ekspresyjne. Nic nie mogło wyprowadzić jej w pole. To był on. Lars Olsson sprzed kilku lat. Wymęczony podróżami, nieustanną pracą w ekstremalnych warunkach.

Frida patrzyła na wizerunek całej postaci, charakterystycznie wspartej na jednej nodze. Tej zdrowej, która poprzez charakterystyczne zgięcie w kolanie musiała utrzymać ciężar całego ciała. To po tym go rozpoznała.

Kiedy przemieszczał się po domu, nie powłóczył nogą aż tak bardzo. Stawało się to widoczne, gdy stąpał po nierównym podłożu, na przykład po leśnych ścieżkach koło jeziora, albo gdy przyspieszał i starał się iść bardzo szybko. Lub gdy długo stał w jednym miejscu, pozował, tak jak na tej fotce.

W pierwszym odruchu, chciała poszukać informacji, czy urodził się z krótszą nogą, czy może miał jakąś kontuzję. Ale po chwili zrezygnowała. Sama nie lubiła, jak zadawali jej pytania o kolczyk, dziwny makijaż czy pomalowany w paćki rower. Jedno nie ulegało wątpliwości: wyłowiony z sieci mężczyzna to nikt inny, tylko Lars Olsson we własnej osobie.

– A więc mam cię – wyszeptała i zakodowała w myślach jego pseudonim artystyczny.

Było już dobrze po trzeciej nad ranem, kiedy skończyła przeszukiwać wirtualny świat pod kątem informacji o sąsiedzie. Szczególnie interesowały ją dyskusje na forach. Było tam pełno niesprawdzonych informacji, plotek i wiadomości wyssanych z palca, ale również elementy prawdy. Frida chciała do nich dotrzeć.

Ucieszyła się, że jest tak dużo komentarzy na jego temat. Obejmowały one wpisy entuzjastów czy nawet wyznawców jego fotoreportaży. Rozpisywano się o instynkcie autora, jego siódmym zmysłem, czułej intuicji, nadwrażliwym oku czy wreszcie humanizmie, odwadze i brawurze.

Natknęła się też na wzmiankę, że był ranny w Ruandzie. Postrzelono go w kolano i pomimo kilku operacji staw nie wrócił do formy. A więc zagadka się rozwiązała, pomyślała z uśmiechem. Mimowolny inwalida wojenny.

Nie brakowało też negatywnych wpisów mówiących o jego dwuznacznym zachowaniu w afrykańskich wioskach. Kiedy ktoś zwracał dyskusję w tym kierunku, pojawiały się natychmiast adnotacje, że wpis został usunięty przez administratora. Ktoś był wulgarny w swoich ocenach,

pomyślała. Może zasugerował albo ujawnił coś drastycznego. Coś, co godziło w dobre imię Larsa Olssona lub go znieważało.

W końcu dotarła na stronę, na którą nie powinna była wchodzić, bo wiedziała z ostrzeżeń internautów, że jest monitorowana przez szwedzką policję. Od kilku miesięcy znajdowała się na serwerze poza granicami kraju i nie można było jej zamknąć. Czasami już na nią wchodziła, bo przedstawiane były tam losy jej rówieśniczek, które siedziały na krzeselkach pośrodku klitek z obdrapanymi ścianami i smętnie patrzyły w obiektyw. Albo w wulgarny sposób lizały czerwone lizaki. Za każdym razem chciała im jakoś pomóc, uwolnić je z rąk sutenerów, a tym wszystkim alfonsom powyrywać jaja z korzeniami!

Według wyszukiwarki tu również była wzmianka o Larsie. Szukając jej wzrokiem, Frida miała wrażenie, że poci się z taką siłą, jakby wylegiwała się w kozuchu na brzegu jeziora. Przeczytała wszystkie zamieszczone na stronie posty o osiągnięciu orgazmu poprzez duszenie partnera. Instrukcja obejmowała kilka punktów. Pierwsze dwa były opisem zwykłego stosunku seksualnego, elementy podduszania partnera pojawiały się później. Na samym końcu znalazła uwagi ostrzegawcze: kiedy skończyć, jakich granic nie przekraczać, by nie doprowadzić do śmierci partnerki.

Były też wpisy znanych amatorów seksu z podduszaniem. Michaela Hutchence'a, nieżyjącego lidera zespołu INXS, kilku polityków, jednego sportowca i... Larsa Olssona pod jego pseudonimem artystycznym. To jeszcze nie koniec. Całość wieńczyła adnotacja, że podobno dwa lata temu spartaczył seksgrę, w wyniku czego nastolatka z równikowej wioski nie została odratowana.

Frida pospiesznie wyszła ze strony, otworzyła zakładkę HISTORIA i skasowała wszystkie ścieżki swojego internetowego śledztwa. Zamknęła laptop i próbowała zasnąć choć na kilka godzin, mimo że wiedziała, iż sen i tak nie nadejdzie.

Nie myślała nawet o Larsie Olssonie. Od pierwszego spojrzenia wiedziała, że mu się podoba. Była absolutnie pewna, że kiedy rozbierze się i pochyli, zasypując go pocałunkami, uczyni zeń swojego erotycznego niewolnika.

Bardziej zajmowała ją myśl, gdzie, u licha, może kupić drut kolczasty. Lokalne sklepy nie wchodziły w rachubę. Podobnie internetowe. Nie

pozostaje jej nic innego, jak tylko włożyć stare, porządne ubranka, farbowane włosy ukryć pod bejsbolówką, wyjąć kolczyk z języka i pojechać gdzieś dalej, by kupić co trzeba.

Ale zanim to zrobi, musi się wyciszyć. Próbowwała złożyć mordercze puzzle. Lars pewnie był umówiony z Karin na pustkowiu. Chyba próbowali już przedtem stosunku z podduszaniem ręką, potem miękkim paskiem, ale cały czas musieli dodawać kolejną dawkę niebezpieczeństwa, żeby zabawa nadal ich rajcowała. Dodali więc pejzaż – miejsce w środku osady. I ryzyko – ktoś mógł ich nakryć.

Czy zabezpieczony plastrem drut wszedł zbyt głęboko w szyję Karin, czy może jej śmierć nie była wcale taka przypadkowa?

Chciał ją zabić – może z jakiegoś powodu musiał – i wykorzystał w tym celu jej seksualne upodobania.

Fridę ciekawiło jeszcze, ile lat mogła mieć uduszona przez Larsa Afrykanka? I jak po jej śmierci udało mu się uciec z wioski? Mogło być tak, że nie został postrzelony na froncie, tylko przez współplemieńców ofiary.

Ucieczka Larsa Olssona od odpowiedzialności okazała się pozorna, rozmyślała z satysfakcją. To ona wytropiła i namierzyła amatora niebezpiecznych zabaw. Jest tylko kwestią czasu, kiedy zarzuci mu druciane lasso. Bardzo tego chciała. Teraz nawet bardziej niż biletu na koncert Lady Gagi.

9



Od czasu morderstwa wiele osób cierpiało na bezsenność. Lars Olsson obserwował migoczące między drzewami światełka w oknach. Miasteczko w nocy wydawało się większe. Popatrzył w stronę domu starców, również i tam paliły się światła. Zaczął rozmyślać o ojcu. Kiedy kilka lat po śmierci żony stary Olsson przewrócił się i wylał na siebie wrzątek, zadzwonił do syna i zdecydował, że chce, by mu załatwić miejsce w Naszym Brzegu. Wtedy Lars wrócił do miasteczka, by uporządkować rodzinne szpargały i przygotować dom do sprzedaży.

Stefan Gustavsson przychodził do niego prawie każdego wieczoru, siadał na stopniach ganku i patrząc przed siebie, palił papierosa za papierosem. Nie mówił dużo. Nigdy nawet słowem nie wspomniał, że nie chce, by Lars likwidował dom, ale on to wyczuł. Stefan czuł się tu samotny. Wyglądał jak samotny, odżywiał się jak samotny i ubierał jak samotny. Nic nie mogło go wyrwać z tej beznadziei, nawet praca policjanta okazała się przewidywalna i nudna. Wykroczenia drogowe, domowe awantury i drobne sąsiedzkie złośliwości, jak się przed nim żalił.

W końcu powiedział Larsowi wprost, że po co ma sprzedawać dom, skoro i tak nie potrzebuje pieniędzy, a o kupca wcale nie będzie łatwo. Nikt o zdrowych zmysłach nie kupuje nieruchomości w okolicy, gdzie nic nie ma, nawet porządnego deptaka z kebabem i beczkowanym piwem.

– No i będziesz się miał gdzie zatrzymać, jak przyjedziesz odwiedzić ojca – doradził na koniec. Całkiem sensownie.

Potem pomógł załatwić dla starego Olssona miejsce w Naszym Brzegu, znanym w całej okolicy domu starców, którym szczyliło się miasteczko. Na stronie internetowej placówka chwaliła się klimatyzacją, jednoosobowymi pokojami z łazienką przystosowaną dla niepełnosprawnych i wykwalifikowaną kadrą, którą stanowią lekarki z Polski. Już w pierwszym dniu pobytu ojca Lars się przekonał, że z wyjątkiem jednej, która już

doskonale znała szwedzki, pracują one jako sprzątaczk i pielęgniarki. Za każdym razem, kiedy pytał ojca: „No i jak cię tu traktują?”, ten rozpromieniał się, a potem długo i niezbornie zachwalał urodę Polek.

Dla Larsa było ważne, żeby ojciec pozostał na swoim terytorium. Placówka w Sztokholmie nawet nie wchodziła w grę. Ale po dwóch miesiącach ojciec zasłabł w czasie posiłku i zmarł. Rozległy zawał serca.

Ojciec Stefana Gustavssona bardzo to przeżył. Mieszkał w sąsiednim pokoju. Byli kumplami przez całe życie. Po śmierci Olssona zamknął się w sobie. Nie chciał rozmawiać z innymi pensjonariuszami – dla niego liczyły się tylko stare znajomości. Proces demencji zaczął przyspieszać.

Po pogrzebie ojca Lars dał Stefanowi w prezencie oryginalną amerykańską wojskową kamizelkę kuloodporną. Obdarowany miał łyzy w oczach. A kiedy w czasie remontu starego domku Lars rozpiął koszulę i pokazał bliznę na karku, pamiątkę po kulce, którą dostał w Sarajewie, odniósł wrażenie, że Stefan jest z niego dumny. Jak młodszy brat ze starszego brata. Ale nie dał mu tego odczuć wprost. Potrafił być bardzo skryty. Nic nie powiedział, tylko zagwizdał dwa razy. Mocno i krótko. Tak samo gwizdał jego stary, kiedy przychodził po ojca Larsa i razem szli w pole chlać wódkę.

Przeprowadzając się do rodzinnego domu, Lars miał nadzieję odnaleźć dawne klimaty i choć trochę zapomnieć o grozie pracy na froncie. Jednak powrotowi w stare dekoracje towarzyszyła jedynie świadomość własnego przemijania. Wnętrze domu, zamiast nieść swojską wygodę, wydało mu się szkaradne i kiczowate. Wyburzył ścianę pomiędzy kuchnią a stołowym. Przywiózł industrialne lampy ze Sztokholmu i, o dziwo, wyglądały tu ciekawiej niż w jego lofcie.

Minęło już kilka miesięcy, odkąd tu przyjechał, i nadal nie wiedział, czy ma zostać, czy wyjechać. Teraz, kiedy został przesłuchany w sprawie zabójstwa, wiedział, że choćby chciał, to i tak nie dadzą mu wyjechać. Dochodziła czwarta nad ranem, Lars poczuł mdłości: za dużo papierosów i zbyt ciężka oliwa z karczochów.

Wchodząc do domu i zamykając drzwi na zamek, pomyślał, że wprawdzie Stefan Gustavsson dał mu alibi, ale w ten sposób on również udzielił alibi jemu.

Wybrał numer komórki.

Gustavsson odebrał po dwóch sygnałach, jakby nie spał.

– Kiedy masz dyżur? – zapytał Lars, nie siląc się na wstęp.

– Jaki dyżur?

Lars pomyślał, że może jednak spał, a on go obudził.

– Na posterunku. Taki, że siedzisz i czekasz na zgłoszenia, i zawsze się nudzisz, i żresz, i tyjesz, bo nie ma z kim pogadać, a nikt niczego nie zgłasza.

– No, nie wiem... Chyba we wtorek, ale...

– Sprawdź to.

– Poczekaj... – powiedział Gustavsson. – W środę.

– Czyli za trzy dni.

– Ale po co ci...?

– Myślałem, że wybierzemy się w czwartek jasną nocką na wspólny spacer, ale jak pech, to pech.

– Jesteś pijany, Lars, chyba sobie ze mnie żartujesz...

– Jak mógłbym żartować sobie z kogoś, kto dał mi wymarzone alibi – przerwał mu Lars i rozłączył się.

Zaraz potem ktoś rzucił surowym jajkiem w kuchenne okno. Zanim Lars wybiegł na drogę, sprawcy już nie było.

Ktoś w miasteczku myśli, że to ja zabiłem, pomyślał.

Incydent powtórzył się jeszcze nad ranem, kiedy Lars już prawie pokonał bezsenność. Kilka odgłosów słyszanych z głębi sypialni zabrzmiało niczym wystrzały. Zerwał się i skulony pobiegł do kuchni. Ale tym razem to również były jajka. Szyba cuchnęła, jedno musiało być zepsute.

Może nie tylko jedna osoba ma mnie za mordercę.

Przez następny dzień nic się nie działo. Jedynie do ogródka Larsa wrzucono parę plastikowych woreczków z ludzkimi odchodami. Jajka musiały się napastnikom albo skończyć, albo znudzić. Pomyślał, że gówno ma tę przewagę nad nabiąłem, że nic nie kosztuje, a jego wyprodukowanie niekiedy sprawia przyjemność. Próbował zachować resztki poczucia humoru, chociaż wspomnienie twarzy Karin Frostenson pociągnęło za sobą całą galerię zabitych, których widział na wojnach. I tę jedną twarz, ciemną i wystraszoną, o której zawsze myślał z miłosnym bólem.

Zuza Wolny weszła do sieci. Na lokalnej stronie pojawiło się nowe forum o placu Dzieci z Bullerbyn. Bardzo ją zaciekało. Miała niejasne przeczucie, że scena zbrodni nie jest przypadkowa. Plac powstał na

pogorzeliśku po spalonym szpitalu położniczym. Wpisy świadczyły o tym, że jeszcze przed morderstwem Karin ludzie zaczęli traktować to miejsce jako przeklęte.

Mnożyły się wersje przyczyn pożaru. Ogień miała podłożyć jedna z pacjentek. Powodem podobno była śmierć dziecka w wyniku nieudanej akcji porodowej. Byli i tacy, którzy mogli przysiąc, że nieszczęśliwa matka nie była wcale dorosła. Miała to być dziewczynka, prawie dziecko, którą jakiś mężczyzna napadł i – jak brzmiał wpis – „siłą wepchnął jej dziecko do brzucha”. Inne wersja: podpalaczka była szalona już wcześniej, od dzieciństwa, albo coś jej się pomieszało w głowie podczas ciąży. Kolejne doniesienia informowały dla odmiany, że kobieta była całkiem normalna, tylko jej mąż na miesiąc przed rozwiązaniem zaparł się mającego przyjść na świat dziecka. Były też scenariusze, że nikt nikogo nie porzucił, lecz dziecko urodziło się z końskim kopytkiem zamiast dłoni i dlatego jego matka krzyczała cały dzień i noc. Bili ją po twarzy, żeby się uspokoiła, ale ona nadal krzyczała, aż wreszcie sama z siebie zamilkła. Zwinęła się ciasno w kłębek, udając, że śpi, a w nocy po kryjomu wstała i zaczęła zapalać zapałki. Jedną po drugiej wsadzała do wnętrza poduszki, patrząc, jak zajmują się ogniem.

Zuza weszła w zakładkę **HISTORIA JEZIORA SKIRESJÖN**. Sądząc z fotografii, szpital przypominał drewniany pałacyk, trzypiętrowy, z fantazyjnymi załamaniem dachu oraz obszernymi werandami od strony południowej. I jak wszystkie okoliczne budynki pomalowany był na bordowo i miał białe okiennice.

Według świadków zdarzenia palił się zadziwiająco szybko, niczym kopka suchego chrustu. Znikał w jasnej łunie, która wysoko na niebie zmieniała się w spiralne pakuły grafitowego, prawie czarnego dymu. Jakimś cudem las nie zajął się ogniem, zwęgleniu uległo tylko kilkanaście drzew.

„Taniec ognistych jezorów” – jak to określił jeden z internautów – można by nawet uznać za ładne, a na pewno spektakularne zjawisko, gdyby nie fakt, że w pożarze zginęło wtedy kilka osób. Dwa wcześniaki w inkubatorach, noworodek z matką i jedna pielęgniarka. Tragedia sprawiła, że szybko zdecydowano nie odbudowywać szpitala. Zamiast tego

powiększono porodówkę w Skanska, dobudowując do istniejącego budynku dwa nowe skrzydła.

Dlaczego morderca zaatakował właśnie w tym przeklętym miejscu, w centrum osady, w środku dnia? – pomyślała Zuza. Dlaczego tu, a nie na przykład na drodze do domu Ingrid? Pustej i mniej widocznej. Może w ten sposób chciał zademonstrować nie tylko bezwzględność, ale i władzę, bezkarność. Albo dopisał ciąg dalszy do historii szpitala położniczego.

Zarówno na ciele Karin i Paris, jak też w okolicy nie znaleziono żadnych odcisków palców, plam krwi, włókien mogących pochodzić z jego ubrania. Niczego, co mogłoby posłużyć do wytypowania DNA sprawcy, jak twierdził „Poinformowany” internauta.

Morderca lubi się bawić w kotka i myszkę, bo wie, że to on jest kotem. W dodatku bardzo czystym, nauczonym porządku. Tak, to musi być przebiegły kocur, pomyślała o zabójcy. Nie ociera się o łydki i nie je whiskas. On chodzi na łowy.

Nad jezioro Skiresjön zjechali się dziennikarze. Nie ci poważni, bardziej prawdziwi, tylko rasowe hieny z prasy brukowej. W pogniecionych ubraniach, z brudnymi torbami wypchanymi aparatami fotograficznymi. Wypijali hektolitry kawy na stacji benzynowej, zaczepiali ludzi, zachodzili im drogę i kusili zdjęciem w gazecie. Niektórzy byli gotowi nawet zapłacić za informację.

Ingrid zadzwoniła do Zuzy i powiedziała, że kilku dziennikarzy spało w samochodzie przed domem Karin. Tomas jest wściekły, a Annika zadowolona, wreszcie czuje się gwiazdą. Oczywiście udaje nadąsaną i pogrążoną w żałobie, a tak naprawdę wreszcie czuje, że żyje. Mniej popija i nawet wstaje w nocy do płaczącej Paris. Wyobrażasz to sobie?!

Kiedy Ingrid zmywała schody, jeden z paparazzich przeskoczył przez ogrodzenie i zrobił zdjęcie basenu, wielkiej sauny i monstualnego fikusa w drogiej francuskiej donicy.

– Coś takiego! Może i ty będziesz w gazecie. No to masz przechlapane – odpowiedziała Zuza. Ale już za godzinę na stronie internetowej jednej z popularnych gazet oprócz noty o morderstwie i zdjęć rezydencji ofiary znalazła również swoją fotografię.

Musiano zrobić ją z ukrycia, kiedy szpiegowała fotografa. Uchwycono ją na tarasie, dziwacznie przechyloną, z ręką niemal wykręconą do tyłu, jakby kończyła posiedzenie na sedesie i właśnie się podcierała. Twarz miała

starą, nabrzmiałą, a włosy niechlujnie spięte do tyłu. Na drugim planie widać było profil „nieutulonej w żalu matki ofiary”. Agnes Hermansson wyglądała jak dostojna dama, a fragmenty wózka inwalidzkiego mogły równie dobrze sprawiać wrażenie oparcia fotela w stylu Ludwika XIV.

Zuza Wolny opuściła sieć z poczuciem niesmaku. Jak to się stało, że nie zauważyła paparazziego? I dlaczego stała się aż tak nefotogeniczna? Poszła do łazienki i zrobiła kilka pokazowych min przed lustrem. Pyszczek, uśmiech i grymas orgazmu. Wszystkie wydały jej się sztuczne, jakby doczepione, nie pociągające, ale po prostu śmieszne. W dodatku wyostrzyły zmarszczki i opuchliznę twarzy.

Potem przesunęła ręką po włosach i cofnęła palce niemal z lękiem. Ujrzone z bliska usta były naznaczone siatką ostrych nacięć i nieustannie zaciskały się w grymas niezadowolenia, jakby cały czas coś jej brzydko pachniało. Może to własne życie zaczęło się psuć i cuchnąć. Wypukły brzuch zmuszał ją do noszenia luźnych rzeczy. W trapezowatych sukienkach i swetrach wydawała się jeszcze bardziej niska, przysadzista i pozbawiona seksownego wcięcia w tali. A kilka lat temu, po wyjeździe z Polski, potrafiła śmiać się z byle czego i zawsze bezczelnie w głos. Cieszyła ją własna doskonała pamięć, szwedzki szedł jej najlepiej z całej grupy pielęgniarek. I nie było bardziej pogodnej i dynamicznej osoby w domu starców niż ona. To dlatego dostała tę atrakcyjną finansowo propozycję zajęcia się matką zamożnej Karin Frostenson.

A teraz to wszystko przepadło. W jednej chwili poczuła się stara, niekochana i w jeszcze gorszej sytuacji niż niedołączna, siedemdziesięcioletnia pani Agnes. Co z tego, że co miesiąc odkładała sporą sumę na koncie, skoro ta jedna chwila nagości przed lustrem pozbawiła ją apetytu na wydawanie, bo na mieszkanie w Polsce, w rodzinnej Gdyni, nawet na najmniejsze, nie uda jej się odłożyć. Ceny poszybowały w górę, Gdynia z portowej osady stała się kurortem, miejscem luksusowego wypoczynku i biznesu. Polskim Miami.

Tak bardzo tęskniła za swoim miastem, za zapachem morza, odgłosem klapek na deptaku, a musiała siedzieć w zapyziałej dziurze i modlić się, żeby pani Hermansson wegetowała jak najdłużej. Kolejny miesiąc jej życia to kolejny czek dla niej i kolejne marzenia, na co kiedyś wyda te pieniądze. Tylko to jej zostało: snucie scenariuszy z myślą o czasie, kiedy wreszcie zerwie się ze smyczy. Zacznie żyć, a nie tylko udawać, że żyje.

Wracając ze sklepu, Zuza dostrzegła Stefana Gustavssona. Bez munduru wydawał się mniejszy i jakby przestraszony. Zobaczył ją w ostatniej chwili i odniosła wrażenie, że wolałby uniknąć tego spotkania. Pierwsza więc go pozdrowiła głośniejszym głosem, niż wymagała tego odległość między nimi – i zatrzymała się, by wymóc na nim choć krótką rozmowę.

Gustavsson bez ciekawości zapytał, jak się miewa pani Agnes, a potem zainteresował się kondycją jej opiekunki. To również uczynił wyłącznie z grzeczności, bo kiedy Zuza zdawała mu pospieszny raport, tak by przedłużyć przypadkowe spotkanie, on uciekał wzrokiem w bok, a jego twarz wydawała się świadczyć o tym, że jest pochłonięty innymi rozmyślaniami.

– Czy są już jakieś ustalenia? – zapytała Zuza, rozpinając, niby mimochodem, guzik sukienki na wysokości biustu.

Gustavsson matowym wzrokiem omiótł jej wdzięki i jak zahipnotyzowany grzecznie udzielił odpowiedzi, zbyt wyczerpującej jak na poufność śledztwa.

– Prawie nic. Żadnych śladów szarpanych, DNA sprawcy pod paznokciami ofiary, nic. Tyle że na pieluszce Paris była odciśnięta jej twarz. To znaczy, że kiedy morderca dusił matkę, nie chciał, by dziecko na to patrzyło. Mimo że było zbyt małe, by cokolwiek z tego zrozumieć czy zapamiętać.

– Oznacza to, że mamy do czynienia z wyjątkowo wrażliwą bestią – powiedziała Zuza, a Gustavsson zareagował miną, która mogła oznaczać tylko jedno: powstrzymanie się od uśmiechu.

– Muszę już iść – rzucił, bo domyślał się, że oglądanie takich polskich piersi w taki upał jest zabronione przez kardiologów.

– Może pan mnie odwiedzi. Zrobię pyszne ciasto. Specjalność mojego rodzinnego kraju. Sernik na zimno.

– Sernik na zimno. My też mamy taki – wydukał, a wyglądał, jakby czegoś się nagle przestraszył.

Ciasta czy zaproszenia?

Tego Zuza nie chciała rozstrzygać, dodała tylko dla zachęty:

– Biskopt z białym serem. Serwowany prosto z lodówki. Nie tuczy, tylko sprawia rozkosz.

Słowo „rozkosz” wymówiła w zwolnionym tempie i zrobiło to na Gustavssonie duże wrażenie. Wyglądał, jakby się natychmiast podniecił.

I chyba rzeczywiście tak było, bo skłonił się i odszedł, popatrując na swój rozporek.

Zuza była tak z siebie zadowolona, że nie wiadomo kiedy pokonała stromą drogę do domu w trzydziestostopniowym upale.

Twarz dziecka na pampersie. Sierocy całun. Co to, u diabła, oznacza? W żadnym filmie kryminalnym tego nie widziała. Musiał to być zatem autorski pomysł zabójcy Karin. Sprawilo mu to przyjemność czy w ten sposób chciał nam coś przekazać?

To było jej zadanie na długi wieczór, kiedy pani Hermansson będzie już umyta i upudrowana. Wtedy można rozmyślać. Pielucha zakrywająca twarz świadka morderstwa była dla Zuzy przejawem poczucia winy mordercy. Albo wyjątkowo lubił dzieci, albo znał zarówno ofiarę, jak i jej dziecko. Co, umówmy się, nie jest niczym nadzwyczajnym w przypadku zabójstwa w małej społeczności.

Po wypiciu zmrożonego earl greya z sokiem z limonki i dwiema łyżkami cukru trzcinowego poczuła w sobie *esprit* domorosłej psychoanalizy. Przyszła jej do głowy jeszcze jedna hipoteza: morderca sam czuje się dzieckiem; identyfikuje się z dziecięcą bezbronnością i niewinnością, dlatego było dla niego ważne, by jej nie naruszyć.

Czemu czuł się dzieckiem na poziomie wrażliwości i emocji? Czy w dzieciństwie został skrzywdzony tak mocno, że nie mógł rozwinąć w sobie dorosłej postaci? Skrzywdzone dzieci często pozostają dziećmi na zawsze. Dużymi dziećmi. Ale infantylna natura może być bardzo okrutna i zadawać innym ból, a nawet śmierć.

Zuza była z siebie dumna. I żałowała, że zrezygnowała z pomysłu studiowania drugiego kierunku – psychologii. Nurkowanie w odmęty ludzkich namiętności wydawało się o wiele bardziej ekscytujące niż zakładanie kroplówki.

No, ale teraz może się chociaż wykazać. Musi szukać kogoś, kto sprawia wrażenie miłego, infantylnego i sympatycznego. Kogoś, kto swoją krzywdę i swoje rany nosi głęboko ukryte.

Zadanie wydawało się niezwykle trudne, prawie niewykonalne. Była tu obca, no i nie znała szwedzkiego na tyle dobrze, by uchwycić wszystkie niuanse. Na szczęście gra ciała była kodem uniwersalnym, rozpoznawalnym pod każdą szerokością geograficzną. Postanowiła być szczególnie wyczulona na mimikę i gesty.

Wiedziała, że nie może w swoich rozważaniach odbiegać zbyt daleko od tego, co ten potwór zostawił po sobie na miejscu zabójstwa. To był jego osobliwy podpis. Piekielna sygnatura. Szyfr, który można złamać.

„Po czynach mnie poznacie” – ta zasada działa również w przypadku morderstwa.

– Po morderstwie Karin mnie poznacie. – Niespodziewanie dla siebie samej powiedziała to zdanie na głos, a jego dźwięk w pustym domu był jak odpowiedni sznurek, który pociągnął nić dalszych rozważań.

Czy fotograf Lars Olsson ma w sobie coś infantylnego? Czy sprawia wrażenie zagubionego dziecka we mgle? Tak, odpowiedziała sobie krótko i pewnie.

Czy Tomas, mąż ofiary, może być zranionym chłopcem? Ta sama odpowiedź.

Czy policjant Stefan Gustavsson nosi w sobie niezabliźnioną ranę? Trzeci raz „tak”.

Wszyscy trzej wyglądają jak zagubieni chłopcy we mgle. Mgła jest tak gęsta, że w rękach emocjonalnego dziecka nie widać drutu kolczastego owiniętego plastrem. Ten, kto idzie z naprzeciwka, zobaczy go dopiero w ostatniej chwili. Ale będzie już za późno.

Nie inaczej było z Karin Frostenson. Przecież na jej ciele nie było żadnych śladów walki czy szamotania. Musiała znać swego mordercę. Co więcej, rozpoznawała go tylko w jego bezpiecznej i rozkosznej dziecięcej postaci.

Zuza była pewna: musi być bardzo czujna. Również i ona może iść we mgle na spotkanie tego wrażliwego mordercy, nic o tym nie wiedząc.

Oczywiście mgła nie istnieje naprawdę. To metafora naszej ufności do tych, którym przyzwalamy podejść do siebie bardzo blisko, nawet się nie domyślając, że chcą nas skrzywdzić.

Nie mogła zasnąć. Noc była jasna, ale spowita gęstą, ciężką poświatą. Przypomniało jej się, jak pewnego dnia Karin karmiła Paris z butelki, siedząc na krześle przy łóżku matki. Śpiewała: „Jestem małym króliczkiem” i „W domku na skraju lasu”. Głos miała nienaturalnie ściszone, jakby bała się wydobyć fałszywe nuty. W tym cichym uspokajaniu córki było niewysłowione, mocne piękno.

Zuza pomimo upału naciągnęła kołdrę na głowę. Jakby chciała się obronić przed tęsknotą za bratem, matką, za wszystkim, co musiała

zostawić. Zasnęła dopiero po kilku godzinach.

Stefan Gustavsson pojawił się u Larsa Olssona w środę wczesnym wieczorem. Przystanął na progu i skrzywił się, zasłaniając nos.

– To chyba jakiś środek czyszczący? Jakbym się w nim kąpał – powiedział gospodarz.

– Mówiłem, żebyś nie brał Ingrid. Ona nie sprząta, ona wymiata wszystko – odrzekł, nadal skwaszony. – O co chodzi z tym moim dyżurem? – zapytał niemal od progu takim tonem, jakby chciał jak najszybciej poznać złą nowinę i mieć to z głowy.

– O nic. Lepiej mi powiedz, czy już coś wiadomo.

– Nic.

– Nie chcesz gadać. Czyli nadal jestem na liście podejrzanych. To może mi lepiej powiedz, jaki mam motyw.

– Przestań. Prawda jest taka, że do jakichkolwiek motywów jest jeszcze daleko. Nic nie mamy.

– Nic nie mamy, czy nic nie chcesz powiedzieć?

– Nie ustawiaj mnie po drugiej stronie barykady, okay?

Stefan był nadzwyczaj spokojny, zmęczenie wykasowało mu nerwy. Ale nie apetyt. Podszedł do kuchennego stołu, uchylił serwetę i zaczął skubać ciasto drożdżowe, które upiekła Ingrid.

– Uważam, że morderca musiał ją znać – powiedział Lars.

Stefan w ogóle nie zareagował na te słowa, przeżuwał ciasto, pomiędzy jednym kęsem a drugim rzucił tylko:

– A to ci nowina! Wszyscy się tu znamy i wszyscy jesteśmy do siebie podobni jak psie gówna. Dlatego taka robota już śmierdzi na kilometr.

– Posłuchaj, uważam, że w jakiś sposób nawet lubił Karin. Albo szanował. Albo mordując ją, czuł się przed nią głupio. Rozumiesz?

– Nie – rzucił Stefan i uśmiechnął się do wizji Larsa.

– Uważasz, że bredzę.

– Z czego to wnioskujesz?

– A z tego, że nie udusił jej rękami, tylko drutem czy czymś tam. Sprawca dusi rękoma ofiarę, której nie zna. Używając narzędzia, sznura, kabla, czegokolwiek, ustanawia jakiś symboliczny dystans.

– Skąd to wiesz?

– Z Internetu. Nie patrz tak. To nie musi być bzdura.

– Ale może.

- Może. Wszystko może być nic niewarte. Każda hipoteza.
- Morderca ją zaskoczył?
- Może – powtórzył Gustavsson, starając się nie zdradzać ustaleń śledztwa.
- Może nie swoim czynem, tylko tym, kim był.
- I ty myślisz, że mi te twoje historyjki pomagają. Nic a nic. Nie pomagają.
- Czuję się, jakbym znowu miał siedemnaście lat i robił jej zdjęcia.
- Wszystkie fotografowałeś. Anchee chyba najbardziej. – Gustavsson chętnie by poprosił przyjaciela o jedno z tych zdjęć, ale nie miał odwagi. Zapytał tylko: – Masz je jeszcze? Te zdjęcia Anchee.
- No co ty?! – skłamał Lars.

Rozmowa ze Stefanem tylko nasiliła natrętnie myśli o Anchee. Dawne wspomnienia były mocnym koktajlem czułości, pożądania, walki i cierpienia. Żaden z tych składników nie mógł się pojawić wraz z obrazem Anchee w jego umyśle pojedynczo. Podobnie rzecz się miała z pierwszymi latami życia. Dobre wspomnienia nieustannie przykrywał ból. Tak intensywny i ciągle żywy, że zarówno dla Larsa, jak i dla Stefana śmierć Karin nie była tylko zabójstwem znajomej osoby. Była przerwaniem życia kogoś, kto był taki jak oni.

Ich ojcowie razem, w trójkę, zapijali się na śmierć. Najczęściej w polu, dwa kilometry od miasteczka, w leju po dawnej żwirowni. Siedząc na którymś z wielkich kamieni.

Kiedy Lars wracał ze szkoły, widział, jak stary Gustavsson leży zaszcpany przed furką do domu. Wtedy był już niemal pewien, że za kilka minut, tuż za skrzętem na podjazd do ich małego gospodarstwa, zobaczy swojego ojca. Zazwyczaj leżał na brzuchu, charczał, aż ziemia pod nim dudniła, a żylaste dłonie kurczowo trzymały zsunięte do połowy tyłka mokre spodnie.

Lars nigdy nie rozmawiał ze Stefanem o pijaństwie ojców. To był ten rodzaj wstydu, który nie potrzebuje, by o nim gadać, ale może właśnie to on ich do siebie ciągnął. Za każdym razem, kiedy fotograf wracał z paromiesięcznej wyprawy na inny kontynent i przyjeżdżał odwiedzić rodziców, młody Gustavsson zjawiał się zawsze następnego dnia, przeglądał najnowsze zdjęcia, słuchał o podróżach, o dziewczynach, no i o wojnach, które Lars fotografował.

Nigdy nie rozmawiali też o Karin Frostenson. Aż do czasu, kiedy znaleziono ją martwą na placu. Była od nich trochę młodsza. Kiedy oni popalali pierwsze papierosy w komórcie z królikami, ona w parku robiła babki z piasku.

Ojciec Karin, w przeciwieństwie do ich starych, nie dał się nikomu przyłapać pijany. Podobno miał słabą głowę i wystarczyło kilka łyków, żeby urwał mu się film. Zaczynał wtedy jęczeć, bredzić, ale zaraz potem szybko zasypiał, najczęściej w żwirowni kilka kilometrów za miastem. Lubił też zapijać się w domu. Wtedy pił zawsze na smutno, stawał się głośny, agresywny, krzyczał i sztucznie pobudzony biegał po całym domu. Ale nigdy, nawet najbardziej schlany, nie zapomniał wcześniej nastawić na cały regulator radia. Skoczne piosenki miały tłumić wyzwiska, a wszyscy sąsiedzi mieli myśleć, że u Hermanssonów zawsze jest wesoło.

Lars Olsson widział pijanego ojca Karin, jak wszyscy w miasteczku, tylko raz. Było to tuż przed jego śmiercią. Ponad dwadzieścia lat temu. Leżał na schodach do sklepiku z drewnianymi dziecięcymi zabawkami, a z jego ust sączyła się wąska struga śliny, z każdą sekundą coraz mocniej zabarwiona krwią. Tuż obok niego, na jednym ze schodków, siedziała mała Karin. Musiała mieć wtedy nie więcej niż dziesięć lat. Była smutna i skulona, chudziutkimi ramionami obejmowała podkurczone nogi. Jak każde dziecko pijaka siedziała grzecznie tuż przy głowie swojego starego i bała się odezwać. Nie powiedziała nawet słówka do ciotki, która siłą chciała ją odciągnąć dalej, by nie patrzyła, co robi z ciałem jej ojca najpierw lekarz, a potem pracownicy firmy pogrzebowej. Wiedziała, że kiedy ojciec jest w pobliżu, musi być bardzo grzeczna. Tak grzeczna, że aż niewidzialna. Dlatego coraz tłumniej gromadzący się gapie mogli ją uznać za wyjątkowo krnąbrne i uparte dziecko. Ale ona zacisnęła usta i za nic nie pozwoliła się ruszyć nawet na krok.

Może wciąż czekała, że ojciec otworzy oczy, otrząśnie się i poczołga do sklepu, żeby kupić jej różowe klocki. Przecież obiecał, a ona była grzeczna.

Czy równie grzeczna była dwadzieścia lat później, w środku upalnego dnia, na wyludnionym placu?

Następnego dnia Lars zadzwonił na policję.

– Tu inspektor Stefan Gustavsson, czym mogę służyć? – usłyszał znużony głos w słuchawce.

– Jesteś jeszcze w komendzie?

– Lar... To ty...

– Mam ochotę na piwo. Co ty na to?

– Tak... – odrzekł niepewnie Stefan, a Lars pomyślał, że jest idiotą, powinien być profesjonalny, bo przecież wszystkie rozmowy są nagrywane.

– Zaraz przyjadę.

– Oczywiście, bardzo proszę – odpowiedział Gustavsson na siłę chłodnym, profesjonalnym tonem.

Lars w dwadzieścia minut pokonał drogę z domu do komendy. Gustavsson był sam. Pił dużo wody i pocił się obficie. W pewnym momencie poszedł do toalety, Lars za nim. Stopą zatrzymał drzwi do kabiny.

– Stefan, przyszedłem tu po to, żebyś mi pokazał taśmę z przesłuchań tej małej.

– Oszalałeś!

– To nie ma nic do rzeczy. Puść mi ją.

– Jest zabezpieczona.

– To ją odbezpiecz.

– Nie ma mowy – rzucił, kopnął Larsa w stopę i zamknął kabinę na zasuwę.

– Pokaż mi to – nalegał Lars przez drzwi. – Słyszysz...?

– W co ty grasz?

– Jeszcze nie wiem, ale wiem, że ta gra zaczęła się kantem.

– Jakim kantem, jaka gra?

– Z moim alibi, które, tak się składa, jest też twoim alibi.

– To znaczy?

– Nie udawaj, że nie rozumiesz! Dając mi alibi, dałeś je również sobie.

– Bzdury – wydusił cicho Gustavsson

Słysząc było, jak mocz wychodzi z niego opornie, słabym, niekończącym się strumieniem.

Lars zdążył umyć i osuszyć dłonie, a Gustavsson nadal nie wychodził z kabiny. Było cicho, żadnych odgłosów. Musiał tam po prostu stać.

– Stefan... – Olsson zapukał do drzwi.

Stefan otworzył po kilku minutach. Podeszedł do umywalki i odkręcił kran. Długo mydlił i mył ręce. Jakby chciał z nich zmyć coś więcej niż tylko zwykły brud.

Kwadrans później Lars oglądał wideo z przesłuchania. Od razu przyszło mu na myśl, że ta mała Frida jest skończoną pięknoscią, jak jej matka. I już.

Kiedy wracał z posterunku po zgłoszeniu rzekomego włamania do samochodu, zadzwonił Gustavsson. Oczywiście ze swojej prywatnej komórki.

– I co zobaczyłeś?

– Nic. Tylko że za bardzo się śliniłeś na widok świadka.

– Tak to może wyglądało. Po prostu było mi gorąco.

– Okay.

– A ona?

– Jak to małolata.

– Na moje oko to w ogóle się nie przejęła tym, że znalazła ciało.

– Na pewno całymi wieczorami czyta te sagi o wampirach zakochanych w nastolatkach. Uwielbia horrory i teraz z satysfakcją myśli, że przydarzyło jej się coś podobnego, i to w samym środku nudnych wakacji.

– Może i tak – powiedział Stefan i zamilkł, ale się nie rozłączał.

– Coś jeszcze?

– Jestem czysty – wyznał cicho, zbyt cicho jak na ucho Larsa.

– Chciałbym tego.

– Jestem czysty. Mówię ci, bo wiem, że gdybym był w to umoczony, i tak byś mnie nie wydał.

– Dlaczego tak myślisz?

– Po prostu to wiem.

– I chyba masz rację – skłamał Lars.

Zuza Wolny miała w głowie moc pomysłów i nie wiedziała, jak je racjonalnie rozważyć, eliminując te gorsze, a skupiając się na sensownych. Ale przecież nie jestem tu sama, pomyślała, przypomniawszy sobie o pani Hermansson. Będę mówiła na głos; kiedy się siebie słyszy, łatwiej karczować głupie hipotezy.

Wzięła butelkę wody mineralnej, salaterkę czipsów jabłkowych, bez których nie wyobrażała sobie dobrego wieczoru, i zasiadła w wygodnym angielskim fotelu z wysokim zagłówkiem naprzeciwko łóżka gospodyni. Ta wydawała się wiecznie spać; wprawdzie co jakiś czas jęczała i sapała albo ziewała mocno jak znudzony dzieciak, ale żadne z tych odgłosów nie były w stanie przerwać potoku słów Zuzy.

Już samo głośne wypowiedzenie wszystkich danych dotyczących morderstwa pozwoliło Zuzie wprowadzić trochę logiki w chaos umysłu sprawcy. Morderca był nie tylko znany Karin, ale także dobrze zorganizowany. Nie zostawił śladów. Znał się na tej robocie. Być może tak jak Zuza był nałogowym oglądaczem seriali kryminalnych. Tyle że śledził je nie dla przyjemności, ale dla instruktażu.

Co jeszcze? Próbowwała nakreślić jego portret psychologiczny. Jest pomysłowy, sprytny. Działał z zimną krwią. Zaplanował morderstwo, a nie uwikłał się w nie przypadkowo. Nie dostał ataku szału, nie torturował ofiary, chciał ją tylko zabić. „Tylko”. Nie zależało mu na okaleczeniu zwłok, raczej na pozbawieniu Karin życia.

Jeżeli ja miałabym kogokolwiek zabić, chyba też zrobiłabym to szybko i nie znieważałabym zwłok. Martwe ciało przeraża i odstrasza.

Morderca nie różni się tak bardzo od innych. Pozornie nie odstaje od pozostałych mieszkańców. Nie jest sadystą. Nie wypatroszył Karin. Nie obciął jej piersi, nie wyciął macicy, nie włożył do środka starego buciora. Nie wziął sobie na pamiątkę jej uszu, gałek ocznych czy serca.

Rana na szyi była jedyną. Wystarczyła, by pozbawić ofiarę życia. Skutecznie i w miarę szybko. Świadczy to, że w trakcie duszenia ofiary morderca nie był silnie wzburzony. Metodycznie, racjonalnie wykonywał swój plan. Nie dał się ponieść emocjom. Nie uległ nastrojowi chwili. Zrobił dokładnie tyle, ile zaplanował.

Nie okaleczył jej twarzy, a zatem pragnął, dywagowała, żeby po śmierci Karin pozostała sobą. Przypuszczalnie to ona była jego celem i nie skusiłby się na byle jaką kobietę, przypadkowo namierzoną na udającej plac polanie.

I po jaką cholere poszła tam w taki upał? Przecież tak bardzo chroniła Paris przed słońcem. Musiała być umówiona z mordercą! Tak! Wyznaczyli sobie spotkanie! I było ono dla niej na tyle ważne, że nie odwołała go z powodu wysokiej temperatury, nie zmieniła miejsca, nie zaprosiła mordercy do domu. Wolą być z nim w odludnym miejscu, osłoniętym przed ludzkimi spojrzeniami. Nie bała się. Nie przeczuwała zagrożenia. W grę wchodziła więc chyba tylko randka. Erotyczne spotkanie. Może nawet próba zerwania, skoro wszystko skończyło się tak tragicznie. Musieli pokłócić się już wcześniej – morderca wiedział, że idzie zabić. Był przygotowany. Wszystko, co zrobił, wydaje się nieprzypadkowe.

Jest nadzieja, że dobrze ułożę puzzle, które on porzucił. Gorzej, gdyby morderstwo było wynikiem impulsywnej i spontanicznej żądzy.

A może było to jednak przypadkowe spotkanie? Chciał zabić, nosił przy sobie drut i plastry, tyle że szukał kobiety, która by wpasowała się w jego pragnienia. I oto idzie i spotyka ładną panią z miłym bobasem. Jest to cudowny obrazek, który z jakiegoś powodu wywołuje w nim pasję zabójstwa. Dusi więc panią i już nie jest tak miło, ale on czuje ulgę. Do tego stopnia czuje się zrelaksowany i podniecony spadkiem napięcia, że nie obchodzi go, czy zostawił jakieś ślady na miejscu zdarzenia. Nie zacierza obecności, a jeżeli już to robi, to niechlujnie i nieprofesjonalnie.

Morderca planujący zbrodnię nigdy by sobie na takie partactwo nie pozwolił. Zabójca Karin obmyślił scenariusz dokładnie i z wielkim wyczuciem. Zuza jest pewna: morderca Karin chciał być mordercą Karin. I tylko jej. To jego znak szczególny. Pierwszy. Przynajmniej na razie.

Nie chciał, by po śmierci była kimś innym. Nie przebrał jej, nie nałożył obcych ubrań, peruki, nie umalował. Nie pragnął, by na przykład zastąpiła jego dawną kochankę, która go porzuciła. Nie mścił się za kogoś z przeszłości.

Obnażył jej krocze. Niech będzie taka, jaka jest naprawdę! Niech będzie obnażona, a nie schowana za ładne szmatki. Symbolicznie mogło to oznaczać: niech się ujawni.

Był dobry dla jej dziecka. Wystarczająco dobry – zachował je przy życiu. Ale to było jedyne emocjonalne „zadośćuczynienie” za zamordowanie matki. Innych tego typu świadectw nie było. Morderca nie przemył z krwi szyi ofiary, nie ułożył zwłok jak do snu, nie podsunął czegoś pod głowę, choćby kocyka z wózka, tylko pozostawił Karin w niedbałej pozycji, z rozrzuconymi rękami i nogami.

Zuza przypomniała sobie, że będąc na studiach, napisała opowiadanie kryminalne, w którym właścicielka motelu zabiła dziecko swoich gości, bo matka chłopca okazała jej wyższość. Chcąc wynagrodzić zamordowanemu ten czyn, podłożyła mu pod głowę swój ulubiony jasiek, postawiła obok puszkę coca-coli i kawałek pizzy, a rączki małego złożyła jak do modlitwy. I właśnie to zmyliło śledczych, bo takie elementy zadośćuczynienia występują zazwyczaj w wypadku zbrodni w rodzinie, gdy między ofiarą a zabójcą istnieją więzi pokrewieństwa lub gdy zabójca dobrze zna ofiarę, a ona jego.

A tu? Czy Karin zabił ktoś z rodziny? Mąż, siostra?

Nie było oznak żadnej dominacji czy kontroli. Karin nie została zgwałcona, pobita, zakneblowana czy związana. Motyw mógł być seksualny. Jej obnażone ciało było podnietą, a śmierć stanowiła środek do celu.

Zuza zapamiętała zwierzenia pewnego sadysty z jakiegoś kalifornijskiego serialu, którego grał cudownie niewinny blondyn. Torturowanie ciała nie było upustem agresji, ale rodzajem seksualnej przyjemności. Kobieta nie została zgwałcona, ale wyrwano jej łechtaczkę i wsadzono ją pod język. To manipulowanie ciałem zamordowanej wyprowadziło w pole detektywa, który wykluczył motyw seksualny, sądząc, że za zabójstwem stoi bezpłciowa agresja.

– A co z goleniem włosów z głowy i naklejaniem ich na krocze? – zapytała na głos. – Co pani o tym sądzi, droga pani Hermansson? Ta pasja fryzjerska to chyba nie rodzaj okrucieństwa. Raczej notatka służbowa. Rodzaj wiadomości, którą morderca wysłał w świat. Musiało mu to sprawić ulgę. Jego krzywda czy fantazja musi więc być w jakiś sposób związana z włosami.

Na razie jednak mord wyglądał na zaplanowany akt zemsty. Tu na sprawcę bardziej pasował Lars Olsson. Albo Stefan Gustavsson. Motywy mogły sięgać dzieciństwa. Nie można wykluczyć, że Karin była przeszkodą w realizacji jakiegoś celu. Tomas mógł poznać inną kobietę albo dowiedzieć się, że żona zamierza go zostawić.

Stefan i Lars też by się dobrze odnaleźli w tej wersji. Gdyby grali rolę kochanka Karin. Zuza aż się zezłościła, wyobrażając sobie jej nienaganną figurę w sypialni fotografa. Mniej na kochanka pasował Stefan Gustavsson. Ale może bez munduru wyglądał znacznie lepiej. Chociaż ta zasada zawsze działała w odwrotną stronę. W mundurze – przystojniejszy.

Nagle postanowiła, że zrobi sernik. Ale poczęstuje nim nie tylko Gustavssona, lecz także pozostałych mieszkańców. W ten sposób, chodząc od domu do domu, może się dowiedzieć o wiele więcej. Powinna była zrobić to wcześniej. Nie czekając, aż jej pracodawczyni zostanie zamordowana. Może wtedy nie czułaby się taka samotna. Oczywiście ceną za pozyskanie towarzystwa może być spotkanie twarzą w twarz z mordercą.

10



Pole po drugiej stronie drogi numer 40 z daleka wydawało się równiną, ale kiedy Zuza Wolny postanowiła pójść tam na wieczorny spacer, by zebrać myśli, była zaskoczona, że zamiast iść po prostym, nieustannie się wspina na nierówne małe wzniesienia. Wcześniej nie zapuszczała się dalej niż do linii lasu, jednak tym razem tak bardzo zamyśliła się nad sprawą Karin Frostenson, że zwolniła dopiero przy pierwszych drzewach. Właśnie wtedy go zobaczyła.

Lars Olsson siedział na wielkim głazie narzutowym. Wydawał się smutny i wcale niezdziwiony spotkaniem z sąsiadką. Zuza zorientowała się, że musiał ją obserwować od dłuższego czasu, jak idzie wprost na niego, coraz bliżej i bliżej, niczego nieświadoma, potwornie zmęczona i spocona.

– Witam – pozdrowił ją krótko, nie siląc się na okolicznościowy, choćby fałszywy uśmiech.

– Witam – powtórzyła jak echo i dopiero teraz uzmysłowiła sobie, jak nieseksownie jest zdyszana. Głos ledwo wydobył się spod ciężaru wydychanego z płuc powietrza.

– Myśli pani, że już skończył? – zapytał Olsson.

– Kto?

– Morderca. Morderca Karin – wymruczał, rozgrzebując czubkiem buta suchy mech.

– Nie wiem. Staram się o tym w ogóle nie myśleć.

– Czyżby?! Mam w sobie detektor kłamstwa i jeżeli chodzi o kobiety, zawsze wiem, kiedy kłamią – zabrzmiał prawie groźnie.

– Przy pani Agnes Hermansson jest dużo pracy. Nie starcza mi siły, żeby rozmyślać o tym okropnym zdarzeniu.

– I znowu w moim umyśle zapala się czerwona lampka.

– Wcale nie kłamię – wyznała zbyt gorliwie, jakby on ją przesłuchiwał, a ona nie wiedzieć czemu zaczynała się bronić. W dodatku byli całkiem

sami. Na skraju lasu.

– A ja myślę, że to nie koniec – wyznał dobitnie Lars Olsson i wstał z kamienia. Jedną ręką sięgnął do kieszeni.

Bała się, że wyjmie drut i zarzuci jej na szyję. Ale od strachu silniejszy był zachwyty. Uderzyła ją uroda Larsa. Piękna, szlachetna twarz. Zniszczona od tropikalnego słońca, ale przez to jeszcze bardziej męska. Wzbudzał lęk, ale równocześnie chciała, by wszedł w nią, nie pytając, czy może.

Z kieszeni luźnych szortów w kolorze khaki wyjął nie narzędzie zbrodni, ale papierosy i zapalniczkę. I to właśnie w momencie, kiedy Zuza przestała marzyć, a całkiem na trzeźwo pomyślała o bracie. Co z nim będzie, kiedy znajdą ją uduszoną, daleko, setki kilometrów od Gdyni, w suchym lesie. Chyba nawet nie wypłacą matce odszkodowania. Była ubezpieczona, ale przecież nie ma tam klauzuli o morderstwie. Zamiast więc dusić, mógłby ją przejechać samochodem. Wtedy z jej śmierci byłaby jakaś korzyść.

Ale fotograf najwyraźniej odwlekał moment egzekucji. Zaciągał się mocno dymem, pokasływał od czasu do czasu i otwarcie na nią popatrywał.

– Wczoraj na stacji benzynowej spotkałem Tomasa. Zabrakło mu papierosów. Wypaliliśmy razem chyba z pół paczki i z tej wspólnoty palaczy... – zawahał się na moment. – No, mówiąc w skrócie, coś mi wyznał.

– To znaczy? Niech pan mówi – ponagliła, kiedy zbyt długo milczał.

– Że to ktoś z tutejszych. Wszyscy są podejrzani. A zwłaszcza ja. Może nawet pani mnie podejrzewa. Rzuca odchodami w moje drzwi – zawiesił głos wyczekująco.

– Ja?! Akurat!

– Oczywiście. Przecież ma pani na moim punkcie bzika. Śledzi mnie pani dzień i noc.

– To jakieś wymysły.

– I znowu włącza mi się czujnik kłamstwa. Ale to nieistotne. Ważniejsze wydaje mi się coś innego. Ja wiem, że nie zabiłem. I wiem od Tomasa, że to pani ostatnia widziała Karin żywą.

– Przedostatnia. Ostatni żywą widział ją morderca. I zapewniam pana, że to nie ta sama osoba – oświadczyła, nabierając pewności siebie.

Na moment zaległa cisza. Lars wypalił papierosa, rzucił peta na ziemię i zgrabnym ruchem stopy przysypał go piaskiem.

– I co, czy znowu błyska panu w głowie czerwona lampka, a syrena wyje i potwierdza, że kłamię?

– Nie. Tym razem mam w głowie kompletnie inne myśli.

– Jakie?

– Nieprzyzwoite.

– Mam nadzieję, że nie jestem ich adresatką.

– A ja mam nadzieję, że pani tej nadziei nie ma. – Zaśmiał się bez przekonania.

Zuza odwróciła się i starając się nie biec, ruszyła w kierunku domu Agnes Hermansson.

Miała kolkę w prawym boku, zaschło jej w ustach. Wiedziała, że nie może się obejrzeć. Jednak to zrobiła. Zatrzymała się i obejrzała.

Lars stał nieporuszony w takiej samej pozycji, w jakiej go opuściła, i gapił się na nią. Była już jednak zbyt daleko, żeby się zorientować, czy jego spojrzenia są pożądliwe, czy mordercze.

Anchee Andersson po matce Azjatce odziedziczyła niewysoki wzrost i kruche kości – ości, nie kości, jak kiedyś mawiał jej lekarz rodziny, stary, dziwnie kaszlący Gunnar Grundt. Nordycki blond ojca zmieszany z ciemnymi włosami matki sprawił, że włosy Anchee, szorstkie i grube, miały osobliwy kolor mlecznej czekolady. Uważano, że jest śliczna, ale ona sama była innego zdania. Nie podobał jej się zwłaszcza azjatycki nos osadzony w europejskiej twarzy. Wyglądał na jeszcze bardziej płaski, z profilu był prawie niewidoczny. Przykrywały go policzki, wypukłe i zawsze zaróżowione. Teraz, kiedy skończyła trzydzieści jeden lat, jej dziewczęcość nie chciała przeminąć, lecz ona myślała, że zamiast uwodzić, straszy. Zachowała gibką dziewczęcą figurę, ale skóra z każdym latem traciła jędrność i sprężystość. Anchee była pewna, że zestarzeje się przedwcześnie i coraz bardziej będzie przypominać laleczkę z twarzą pokrytą spękany szkliwem.

Za to jej córka Frida stawała się coraz bardziej zjawiskowa. Nikt w rodzinie nie był tak zachwycający. Jeszcze niedawno Anchee lubiła z nią jeździć do Sztokholmu na szybkie zakupy, ale odkąd odkryła, że mężczyźni zezują już nie na jej egzotyczną urodę, tylko na córkę, szybko zaprzestała wspólnych wypadów.

Zresztą Frida też nie chciała z nią wyjeżdżać. Najchętniej kupowała ciuchy przez Internet, a wielkie miasto nudziło ją i nie wabiło swoimi

atrakcjami. Powoli, ale nieubłagalnie stawała się odludkiem, jak wszystkie kobiety w rodzinie. Lubiła samotne wyprawy rowerowe, zamykanie się w pokoju i słuchanie płyt.

Anchee zauważyła jednak, że w przeciwieństwie do niej córka jest dumna ze swojej egzotycznej urody, a chodząc, lekko kołysze biodrami, choć jeszcze rok temu podskakiwała jak dziecko. I te jej weekendowe ubrania, kuse, dziwaczne, cekiny, agrafki, dziwaczne buty na wielgaśnych koturnach zamawiane chyba na gotyckich czy rockowych witrynach... Do tego jeszcze kolczyk w języku, pamiątka z ostatniej wyprawy do miejskiej dżungli, i tona brokatowego żelu w każdym paśmie włosów. Strąki, nie fryzura.

Wiedziała już, że żadna, nawet najbardziej nasączona agresją awantura nie odmieni gustu córki. Pozostała nadzieja, że z tego, tak jak z dziecięcych chorób zakaźnych, również się wyrasta. Ale ile ma czekać? Czy da radę? Przecież ze sobą też ma kłopoty. I to coraz większe. Upływający czas wcale nie uczył, jak żyć, jedynie pokrywał stare kłopoty patyną melancholii i zniechęcenia.

„Patyna melancholii”, spodobało jej się to określenie. Zapisała je w eleganckim kalendarzyku w skórzanej obwolucie, który kupowała sobie w prezencie na każdy nowy rok. Od kilku lat nie było w nim żadnych zapisów. Czasami tylko krzyżyki przy dniach ferii Fridy albo obok daty przeglądu fordą. Nic poza tym, żadnych spotkań, randek, planów, celów, postanowień. Same czyste kartki.

Ten nowy zapis przypomniał jej, że w wieku Fridy pisała wiersze. Musiały być zapewne bardzo dziewczęce, w równym stopniu uduchowione jak głupie, naiwne i koślawe stylistycznie. Z rymami i niezbyt przemyślane. Może więc i dobrze, że pisanie poezji też przemija jak różyczka czy wietrzna ospa.

Powróciły wspomnienia.

„To świadczy, że jesteś bardzo wrażliwa – powiedział jej ojciec, kiedy matka podzieliła się z nim nowiną, że rośnie nam w domu wielka poetessa. I krojąc sztukę mięsa, zaraz dodał: – Chociaż nie jest to najlepsza prognoza. Dobry lekarz nie powinien być zbyt czuły”.

„Ale ja nie chce być lekarką!” – prawie krzyknęła Anchee, parząc się wkładanym do ust kartoflem.

Ojciec nie był aż tak impulsywny jak ona. Najpierw niespiesznie przeżuł wołowinę, a dopiero potem spokojnie oznajmił:

„Będziesz ginekologiem. Chyba nie pozwolisz, żeby gabinet się zmarnował. Fotel sprowadziłem aż z Niemiec. Najnowszy model, pełna regulacja. Starzeję się i chyba nie sądzisz, że za kilka lat odstąpię go byle komu po okazyjnej cenie. Mowy nie ma. Moja córka na pewno na to nie pozwoli”.

A jednak pozwoliła – nie została ginekologiem, a ojciec nigdy jej tego nie wybaczył.

Po latach przywołał ją przed kominek, na sąsiedni uszak, który zwykle zajmowała jego ukochana jamniczka, i obwieścił kpiąco:

„Co to za studia ta cała psychologia?! Grzebanie w durnych głowach ludzi, którzy zbyt dużo rozmyślają i żyją niehigienicznie” – wycodził, śliniąc się obficie. Z dolnej wargi zwisały mu kłaczki białej śliny.

Anchee z obrzydzeniem spuściła wzrok.

„Patrz na mnie, jak do ciebie mówię. Trochę szacunku dla starego ojca – wysyczał. – Psychologia! I jakich ty będziesz miała pacjentów? Chyba pokroju swojej matki. Żyje bez żadnej dyscypliny. Brak snu, gimnastyki, papierosy i chyba jakiś alkohol, bo zbyt często czuję od niej te drażetki miętowe” – zaśmiał się na koniec.

Doktor Andersson mógł tylko kpić. Po pożarze szpitala położniczego przestał być ordynatorem i musiał dojeżdżać prawie godzinę do przychodni w Skanska, gdzie był jedynie szeregowym położnikiem. W dodatku tego roku, kiedy został zdetronizowany, Anchee miała siedemnaście lat i właśnie zaszła w ciążę z autostopowiczem, który podróżował wraz z siostrą – miłośniczką powieści Astrid Lindgren. Przyjechali aż z północy, żeby zobaczyć rodzinne strony Pippi Langstrumpf, rozbili namiot w pobliskim lesie, głęboko, żeby nikt nie wypatrzył, ale Anchee nakryła ich, jak podbierali jajka w kurniku sąsiadki.

To tam się pierwszy raz kochali. Po dwóch dniach znajomości. Było jak w filmie, a nie w przestrojach starszych koleżanek. Nie czuła bólu, nie wyciekło z niej wiadro krwi. Sama przyjemność. Mikael rozdziewiczył ją powoli i umiejętnie. I miał taki ciepły głos. Śmiał się głośno, trochę przy tym pobekując jak mała owieczka, ale to było takie cudowne.

Po kilku tygodniach, w sierpniu, było już mniej upojnie. Siostra okazała się jego dziewczyną, ale co to przeszkadza, po coś chyba wymyślono wolną

miłość, *make love, not war*. Anchee zatrzymał się okres, a ukochany zniknął.

Ojciec omal jej nie udusił, matka wzruszyła ramionami. Frida urodziła się równo dziewięć miesięcy później. Poród był jak nagroda za trudną ciążę: szybki, bez komplikacji.

Doktor Andersson powiedział do kolegi, który odbierał poród: „Złe picze rodzą szybko”. Takie oto niebanalne wyznanie wyszło z ust dziadzia.

Cud, że matka Anchee zajęła się Fridą, a ona zaważyła tylko jeden rok. Potem bez problemu skończyła szkołę i wyjechała na studia do Göteborga.

Nie zamierzała wracać, za nic na świecie. Chciała się urządzić, poznać miłego chłopaka i sprowadzić Fridę do siebie. Ale miała tylko niezobowiązujące romanse, wiodła chaotyczne życie seksualne bez większych uniesień, a praca w ośrodku dla młodocianych przestępców znudziła jej się już po kilku miesiącach. Całkiem niespodziewanie dla siebie podjęła wówczas decyzję o powrocie nad jezioro Skiresjön. Po prostu tak się stało. Czasami najważniejsze decyzje podejmujemy bez szacowania ryzyka, a te drobne rozważamy w nieskończoność. Taka jest uroda życia.

Może wróciła, bo zwolniła się posada psychologa w lokalnym domu opieki. Kilka lat później zmarł ojciec. Zdejmował gałąź jabłoni, która podczas burzy spadła na balustradę, poślizgnął się i zleciał z balkonu. Był jeszcze przytomny przez dwa tygodnie w szpitalu, ale dostał rozległego zawału serca i zmarł na dzień przed wypisaniem do domu.

Na jego pogrzebie było wiele pacjentek. Okazało się, że swego czasu przyjmował prawie wszystkie porody w okolicy. No tak, dobremu lekarzowi nadmiar serca tylko przeszkadza, pomyślała.

Dlaczego nie kupiła jednego z tych pustych domów, tylko zamieszkała z matką? Przecież nawet się nie lubiły. A jednak zajęła piętro, matka zaś wymościła sobie terytorium na parterze w dawnym gabinecie ojca.

Szybkie i kłopotliwe dorastanie Fridy, spowodowane zapewne brakiem ojca, wywoływało u Anchee coraz większe napięcie. Zaczęła mieć kłopoty ze snem, w pracy często bolała ją głowa. Nie miała już tej dawnej cierpliwości do pensjonariuszy. Straciła zainteresowanie ich opowieściami i skargami; potakiwała mechanicznie, udając że ich słucha.

Oczywiście bywały dni, kiedy wszystko układało się wspaniale, a ona miała ochotę skakać z radości jak beztroska dziewczynka. Ale przyczyna była zawsze ta sama. Wstydliva. Te dni musiały się zacząć od koktajlu

leków na śniadanie, zrobionego bardzo wcześnie, niemalże po omacku, jeszcze w oparach snu, przed pierwszą kawą. Kiedy nie zaserwowała sobie tego sekretnego menu, świat wydawał się szkaradny, mulisty i wrogi. Po wypiciu mikstury nie było już wrednego życia. Lewitowała w cudownym tunelu, objając się o bajeczne, oniryczne obrazy. Tak sobie wyobrażała życie po śmierci. Nie jako niebyt, ale jako błogostan. Coraz częściej, patrząc na cierpiących pensjonariuszy w Naszym Brzegu, łapała się na myśli, że jedyne, co może dla nich zrobić, to zadać im śmierć. Szybko, bezboleśnie, najlepiej przez uduszenie, kładąc na twarz poduszkę i dociskając ją przez pięć minut.

Gdyby w czasie lekomańskiego seansu mogła wyjść ze swojego ciała i stanąć obok, nakryłaby siebie poduchą i trzymała ją mocno dociśniętą przez całą noc. Nie chciała żyć tak, jak żyła. Czy jest ktoś, komu mogłaby się z tego zwierzyć? Nie. Zaraz by mówili: „Jesteś matką, a matka nie powinna mieć takich myśli. Patrz, jak dorasta twoja córka, i bądź szczęśliwa”.

No to patrzyła, jak Frida pięknie dorasta, i czuła się z tego powodu szczęśliwa, a jednocześnie dręczył ją piekielny ból, na który mogła pomóc tylko dociśnięta do twarzy poduszka.

Tego dnia Olssona wyjątkowo obudził dzwonek u furtki. Przyszedł młodziutki policjant, żeby zdjąć jego odciski palców.

– To formalność – przekonywał. – Musimy mieć linie papilarne wszystkich świadków.

Wypytywał go trochę o Afrykę, bo zawsze chciał jechać do RPA i zostać poszukiwaczem diamentów. Kiedy był zajęty przy masce samochodu, Lars poszedł do domu i przyniósł swój album z dedykacją. Były tam zdjęcia, które zrobił w czasie przeróżnych wojen i walk plemiennych.

– To bardzo ciemna twarz Czarnego Lądu – powiedział, siląc się na koturnowy ton. – Ale może się panu spodoba.

– Ojej! Dzięki!

Potem zapalili wspólnie papierosa i obdarowany wyjawiał, że nic nie mają. Sprowadzili sporą ekipę dochodzeniową, która przeczesła okolicę, ale na nic nie natrafiła.

– Mimo że leżała z gołym dupskiem, to chyba nie było tła seksualnego. Tak mówią. Teraz podobno każdy morderca wyjmuje cycki ze stanika

i wkłada coś do cipki, żeby zasugerować motyw seksualny. – Uśmiechnął się. – No i jeszcze założył skarpety na buty.

– Sprytna bestia.

– Ograna sztuczka. I do tego nie chodził we własnych butach, tylko w za dużych buciorach. Że niby wielki z niego potwór.

– Może nie chciał jej zabić, tylko nastraszyć, albo żeby straciła przytomność.

Policjant spojrział badawczo na Larsa.

– To już nie moja sprawa. Ważne, że Karin nie żyje, a dyrektor domu starców wydzwania codziennie na posterunek i trzęsie portkami, że ludzie przestaną mu tu podsylać rodziców na dożywocie.

– Może być wprost przeciwnie – powiedział Lars, ale policjant nie pojął aluzji.

Wtedy przyszła Ingrid. Na widok policjanta znacząco przewróciła oczyma. Lars zauważył, że jest spłakana i wygląda, jakby całą noc nie zmrużyła oka. Ale już za chwilę w domu dał się wyczuć zapach świeżo przygotowanego pasztetu sojowego ze śliwkami.

Kiedy policjant poszedł, Ingrid wymyła wszystkie okna, przetała szafki kuchenne, wyrzuciła okruchy z tosterka, wyszorowała rury w łazience i powiesiła zasłonki, które przyniosła z domu. Według Larsa szkaradne, w męczące oczy popartowskie wzory z lat siedemdziesiątych. Wolałyby chronić się przed upałem za zwykłymi roletami, ale ugryzł się w język i nic nie powiedział. Przecież chciała mu sprawić przyjemność.

Była albinoską. Białe włosy, brwi i rzęsy. Miała zwinne, giętne ciało, które jednak przypominało mu raczej apteczną gumę niż kobietę. Jeden jedyne raz, kiedy wyjątkowo dokuczał mu kręgosłup i nie miał siły na spacer, został z nią w domu. Leżał na sofie, a Ingrid ścierała kurze i paplała o wszystkich. Jakże jej nienawidził! Szczerze zamarzył, żeby można było ją wyłączyć jak radio.

Kiedy przyszła pierwszy raz, na dobry początek podarował jej francuską apaszkę z jedwabiu, drogi jak cholera kawałek szmatki od Hermès, który kiedyś kupił w strefie bezcłowej na lotnisku w Amsterdamie, a wczoraj dostała mały flakon perfum o kwiatowej nucie. Zarumieniła się i szczęśliwa jak dziecko szybko schowała zdobycz do torebki. Pomyślał, że nawet się nie domyśla, iż są droższe niż dobra whisky. Już następnego dnia wyczuł ten zapach w sypialni, zaraz po jej wejściu.

Ingrid skończyła sprzątanie i zajrzała do niego, żeby się pożegnać. Wtedy odważył się ją zapytać, skąd to powszechne przekonanie, że morderca jest z miasteczka.

– Bo nikt do nas nie wjeżdżał ani stąd nie wyjeżdżał. Jak zresztą zwykle.

– Jesteś pewna?

– Możesz spytać Larissy. Pamiętasz ją? Taka wielka, piegowata, dużo włosów.

– Przecież wiem. Kto jej nie zna!

– Przezywali ją Troll.

– A tak – przypomniał sobie. Również to, że bardzo ją lubił. Sprawiała wrażenie dzikiej i nieufnej. Jako dziecko miała też najpiękniejszy domek na drzewie.

– Wspinała się do niego jeszcze nie tak dawno temu. Dopóki tyłek jej nie urósł – dopowiedziała Ingrid i widać było, że ta szczerość bardzo ją cieszy. – Larissa przyszła wczoraj pod dom Karin, bo tam się zeszli wszyscy z okolicy – raportowała Ingrid, nie przestając uklepywać poduszek na sofie. – I jest pewna, że nikt wtedy do nas nad jezioro nie przyjeżdżał.

– A ty jak sądzisz, Ingrid? Znasz tu wszystkich. Kto mógłby to zrobić?

– Pytasz serio? – Przestała się krzątać, stanęła prosto i popatrzyła w głąb kuchni.

Roześmiał się krótko i skinął głową.

– Prawdę mówiąc, to są tacy, którzy twierdzą, że to ty.

– Ja?

– Właśnie.

– Ale ja pytałem nie o to, co inni twierdzą, tylko o to, co ty myślisz – podpuścił ją.

– Moje zdanie jest takie: jeżeli ty to zrobiłeś, Lars, to chciałabym wiedzieć dlaczego.

– Taka jesteś ciekawa? – zarechotał, ale ona pozostała poważna.

– Bardzo jestem ciekawa – odpowiedziała, przechodząc do sypialni. – Mężczyzna powinien wietrzyć po nocy pościel – oznajmiła.

– Czuję się nieswojo, kiedy to, co miałem pod tyłkiem, powiewa na płocie i każdy może to obejrzeć – odparował ze śmiechem.

– A jak się czuła Karin, kiedy każdy mógł sobie obejrzeć jej tyłek i całą resztę, nie pomyślałeś – powiedziała i Lars nie wyczuł na końcu tego

stwierdzenia pytajnika.

Kiedy wychodziła, miała obrażoną minę, a Lars czuł się jak morderca.

Sernik się udał, ale degustacja nie posunęła śledztwa ani o krok. Mieszkańcy domków nad jeziorem okazali się w większości małżeństwami z wieloletnim stażem. Dzieci przeniosły się do miasta, a oni wynajmowali ich dziecinne pokoje polskim pielęgniarkom i salowym.

Nikt nie odmówił poczęstunku. W każdym domu Zuza wypła kawę albo szklankę wody, w każdym wymieniła prawie identyczne wspomnienia i wyrazy ubolewania z powodu śmierci Karin, w każdym usłyszała złorzeczenia na mordercę i usłyszała komplementy pod adresem jej znakomitego szwedzkiego. Musiała też podziwiać domowe zwierzęta, robótki ręczne czy kwiaty na rabatkach.

Po tym gastronomicznym tournée czuła się wypełniona kofeiną i spragniona samotności. Nikt nikogo nie podejrzewał o zabójstwo albo nie chciał się do tego przyznać.

Istotną wiadomością wydawało się to, że dokładnie w tym czasie, kiedy zostało popełnione morderstwo, w domu starców trwało właśnie przyjęcie urodzinowe na cześć pana Magnusa Ludvigssona. Ten mieszkaniec Göteborga, który od ponad dekady przebywał w Naszym Brzegu, skończył akurat dziewięćdziesiąt lat. Uroczystość obchodzono wyjątkowo hucznie i w obecności wszystkich członków personelu. Stawili się nawet ci, których zmiana wypadła w nocy. Wszystko za sprawą hojności syna pana Ludvigssona, znanego producenta muzycznego mieszkającego obecnie w Los Angeles. Przesłanych przez niego pieniędzy starczyło nie tylko na urodzinowe frykasy, wystrój ogrodu i dziewięćdziesiąt balonów, ale też na prezenty dla każdego pracownika.

– Czy naprawdę byli wszyscy? – pytała Zuza i za każdym razem otrzymywała odpowiedź twierdzącą.

Jedynym wyjątkiem była kucharka z domu starców, Maria Lundberg, która przełykając zbyt duży kawałek sernika, rzuciła beztrasko:

– Wszyscy. Oczywiście prócz Anchee Andersson.

– Jest pani tego pewna?

– Całkowicie. Dyrektor poprosił mnie, żebym zaniósła jej kawałek tortu i podarunek. Mieszkam tuż obok.

– Dlaczego nie przyszła? Tłumaczyła się jakoś?

– Ona? To nie w jej stylu się tłumaczyć. Poza tym nigdy nie pracuje w niedzielę. Poświęca się wtedy wychowywaniu Fridy. Jest samotną matką, więc to w sumie zrozumiałe.

– O której zaniósła jej pani prezent?

– Wieczorem, dopiero wieczorem, bardzo późno. Jak wróciła z przesłuchania.

– Chyba mieszka z matką?

– Doktorowa nigdy nikomu nie otwiera. Ani do nikogo się nie odzywa. Jak ją mijasz, to nawet nie odpowiada na pozdrowienia, tylko prycha jak zła kotka. – Maria uśmiechnęła się szeroko i zapytała: – Dostanę przepis na to ciasto?

Zuza podyktowała jej składniki i poszła do następnego domu. Mieszkały tam panie Andersson. Furka była uchylona. Zuza weszła i zapukała kilka razy do brązowych drzwi. Nikt jej nie otworzył. Anchee i Fridy zapewne nie było w domu, ale słyszała jakieś szurania i prychnięcia. Musiała to być stara Andersson.

Wtedy przyszło jej na myśl, że musi odwiedzić dom Karin. Zawróci i pójdzie prawie kilometr w stronę asfaltu.

Lars Olsson coraz bardziej lubił okolice jeziora Skiresjön, mimo że jako dzieciak alkoholika uważał kiedyś to miejsce za najgorsze na świecie. Zimą wygląda jak pozbawione ludzi, a latem wcale nie jest lepiej. Leży na trasie do Świata Astrid Lindgren, ale miłośnicy pisarki musieliby omyłkowo zjechać z autostrady o kwadrans wcześniej, niż powinni, żeby znaleźć się w miasteczku. Tylko właściwie po co? Nic ich tutaj nie zatrzyma na dłużej. Odkrywszy swój błąd, czym prędzej zawrócą. Nie ma tu ciekawych ruin, interesującego muzeum, nie urodziła się tu również żadna znana osoba.

Czasami jakiś zbłąkany turysta trafia w te strony, ale nie zatrzymuje się na długo. Zaledwie na kwadrans, dwa, akurat tyle, by pobiec truchtem do toalety na stacji benzynowej albo kupić w sklepiku bułeczki cynamonowe, butelkę wody mineralnej czy kubek zbyt cierpkiej kawy.

Co bardziej uważny przybysz może zwrócić uwagę na oryginalną urodę tutejszych kobiet, zazwyczaj o jasnorudych włosach, nabrzmiąłych ustach, sprawiających wrażenie wiecznie nadąsanych, i ramionach piegowatych jak skorupy jaj błotnego ptactwa.

Tak właśnie wyglądała zamordowana Karin. Płoworude włosy, mleczna skóra upstrzona rdzawymi kropkami na opalonych partiach ciała. Martwe

usta pozostały lekko rozwarte i „wyglądały na lekko zdziwione, ale na pewno nie zdeformowane krzykiem przerażenia”, żeby zacytować jeden z lokalnych dzienników.

Nic szczególnego nie dałoby się natomiast powiedzieć o wyglądzie tubylców płci męskiej. Nie byli bowiem dostępni dla przejezdnych. Żaden nie pracował w którymś z oddalonych o kilka kilometrów od miasta przydrożnych punktów gastronomicznych. A gdyby samochód wymagał nagłej naprawy czy holowania, pomoc drogową obsługiwała córka właściciela warsztatu samochodowego, Larissa Edwardsson, prawie czterdziestoletnia walkiria, chowająca wielki tyłek pod workowatymi drelichem. O miedzianych włosach, zazwyczaj zasepiona, nie wiadomo, ze smutku czy z wkurwienia. O dużych nierównych zębach domagających się usunięcia kamienia.

Każdy, kto wyjeżdżał z miasta czy do niego wracał, zawsze widział Larissę w jej starym jeepie. Była niczym portier tej miejsciny. Miała oko na wszystkich, którzy chcieli się tu zakraść albo stąd uciec.

Przecież to ją trzeba wypytać o dzień morderstwa. Ten pomysł całkiem niezależnie przyszedł do głowy zarówno Stefanowi, jak i Larsowi.

Annika miała mocny, zdecydowany uścisk dłoni. Ingrid powiedziała, że od zabójstwa siostry przestała popijać i cały czas opiekuje się Paris.

– Przyniosła pani ciasto! Jaki wspaniały pomysł na rozpoczęcie znajomości! Przypominają mi się te cudowne amerykańskie filmy! – wykrzyknęła, zapraszając Zuzę do przestronnego salonu. Szła przodem, tuląc Paris, ubraną w kwiecistą sukieneczkę w stylu Cath Kidston.

Rzeczywiście było tu pięknie. Trochę Prowansji, Toskanii, surowych mebli gustawiańskich i szezlong w stylu Bauhauusa. Całkiem udana chińska reedycja, oceniła Zuza Wolny.

Annika nie miała urody swojej młodszej siostry. Karin była szczupłą, ona chuda. Tamta miała piękne jasne włosy, a te Anniki wydawały się kruche, łamliwe; z ciemnymi meszkami przy skórze przypominały odrosty, co nadawało jej zaniedbany wygląd. Dzielili je różnica ośmiu lat. Annika zaraz po szkole średniej wyjechała do Kopenhagi i wcześniej wyszła za mąż. Małżeństwo okazało się dość szczęśliwe, ale trochę nudne. Mąż dawał jej dużo wolności i kiedy po latach, w momencie sukcesu zawodowego Karin, zechciała znowu spędzać wakacje w Szwecji, pozwał jej tu zniknąć na dwa miesiące. Dopiero teraz, gdy nie musiała już mieszkać w domu matki,

dobrze czuła się w rodzinnych stronach. Na co dzień zajmowała się promocją rodzinnej firmy poza Skandynawią, bo doskonale znała francuski.

Kiedy ta Polka, która się opiekowała jej matką, wstąpiła, by poczęstować ją i Tomasa polskim ciastem, poczuła się nieswojo. Mąż Karin mówił, że pielęgniarka jest gruba i mało rozgarnięta. Tymczasem siedziała przed nią apetyczna kobieta w sukience Soni Rykiel, w paski, fantazyjnie noszonej na lewą stronę według wskazań kreatorki.

– To Sonia Rykiel, prawda?

– Tak, wygrzebałam w second-handzie.

– Znakomita. Nie lubię dzianin, ale Rykiel to Rykiel.

– To specjalna włóczka, jedwabna. Nadaje się na upały, chłodzi.

Wymiana zdań była tylko pozornie przyjacielska. Zuza zauważyła, że Annika bacznie się jej przygląda, jakby była klaczą, którą zamierza kupić. Miała wrażenie, że mruży oczy, by ocenić, czy nadal ma wszystkie zęby.

– Szkoda, że Ingrid już wyszła. Zrobiłaby nam kawy. – Gospodyni pokiwała głową.

– Wpadłam tylko na chwilę. Poza tym, chodząc tak od domu do domu, chyba już przedawkowałam kofeinę.

– Skąd ten zwyczaj? To jakieś polskie...

– Cierpię na samotność. – Ton Zuzy był prawie wesoły.

– Czy moja mama jest grzeczna?

– Bardzo – odpowiedziała. Zdumiał ją przymiotnik „grzeczna” w odniesieniu do chorej po udarze.

– To dobrze. Bo całe życie trenowała nas w grzeczności. Chyba było to dla niej najważniejsze. Nie miłość, tylko posłuszeństwo. Nie odwiedzam jej, bo... wolę ją pamiętać w lepszej formie, rozumie pani?

– Chyba tak.

Zapanowała cisza, a Zuza pomyślała, że musi się zrewanżować jakimś podobnym zwierzeniem z dzieciństwa.

Na szczęście Annika przerwała milczenie.

– Lubię też Vivienne Westwood – oświadczyła obojętnym tonem.

– To jej szaleństwo może być inspirujące. Mam nadzieję, że szybko nadejdzie jesień i będę mogła włożyć różowe rajstopy w turkusowe kokardy. To chyba w jej stylu.

– Rzeczywiście. – Annika zmrużyła oczy. – Podobno ma pani syna? – zapytała.

Polka poprawiła się nerwowo w ludwikowskim fotelu z tapicerką z szarego płótna. Surowość tkaniny łamała wykwintne kształty.

– Mam brata Oskara, ale traktuję go jak syna. Oskar jest... – zaczęła trochę niepewnie, nie wiedziała bowiem, w jakim stopniu Tomas ją we wszystko wtajemniczył.

– Oskar! Fantastyczne! Jak nagroda filmowa – skomentowała z fałszywym entuzjazmem Annika.

Zapadła dość nieprzyjemna cisza. Zuza spróbowała coś na to zaradzić.

– Karin opowiadała mi, że kiedy była w ciąży... to był wspaniały czas... – W tym momencie spostrzegła, że Annika bardzo czule opiekuje się Paris. Trzyma ją blisko piersi, od czasu do czasu całuje w główkę.

– Czyżby? Moja siostra była wobec pani bardzo szczerą. Ze mną nigdy nie wymieniła choćby zdania na temat swojej ciąży. Odniosłam wrażenie, że nawet nie chciała o niej wspominać. Ale to tylko wrażenie.

– Ma pani dzieci? – zapytała Zuza, mimo że nie lubiła zadawać kobietom takich pytań. Zawsze wiązało się to z jakimś elementem bólu, przypominało o niezaradności Oskara, o tym, że być może kogoś jej zastępuje.

– Niestety, nie, ale w tej sytuacji stałam się mamusią Paris. – Annika uśmiechnęła się do dziecka i ułożyła usta w zabawny ryjek.

– To właśnie dobre strony tragicznych sytuacji – wydusiła z siebie Zuza, zbyt mocno gładząc podłokietnik fotela.

Poczuła, że zaczyna się pocić. Chciała już wyjść.

Annika odprowadziła ją do drzwi. Kiedy Zuza naciskała klamkę, odwróciła się. Nowa „mamusia”, z pochyloną głową, czule głaskała dziecko po plecach.



Stefan Gustavsson zaparkował swojego forda obok samochodu Larissy. Dopiero kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, przypomniał sobie, że chodzili do jednej klasy. Zapomniał o tym, bo Larissa nigdy nie była w jego typie. Wprawdzie zdarzało mu się zagapić na jej piersi, ale tylko dlatego, że były wielkie i puszyste; przypominały nadmuchiwane balony i mógłby przysiąc, że pękłyby mu przed samym nosem, gdyby tylko dotknął ich palcem.

Larissa nie kwapiła się wysiąść z szoferki, żeby swobodnie z nim porozmawiać. Nie chciał nalegać, wyjmować legitymacji, ale ona w odpowiedzi na jego sugestie tylko poprawiła się na siedzeniu i spojrzała mu prosto w oczy, wkładając do ust połowę jajka na twardo.

Od razu wyczuł, że jest zdenerwowana, i postanowił pójść na całość.

– Denerwujesz się, prawda? – zapytał bez ogródek.

– A bo co? – wysyczała.

Dziwne, miała mocny głos, ale nie było w nim siły. Raczej lęk.

– Bo tak przełykasz ślinę.

– Pić się chce. Gorąco.

– Gorąco – potwierdził. – Widziałaś kogoś? No... wtedy... no wiesz, jak to się stało.

– Co?

– Morderstwo.

– Morderstwo... morderstwo... – powtórzyła, jak gdyby próbowała odświeżyć sobie pamięć.

– Zgrywasz się. Nie udawaj, że...

– Widziałam – przerwała mu.

– Kogo? No, kogo? Kogo widziałaś?!

– Tego twojego wafla.

– Jakiego znowu?

– No, mówię: wafla – powtórzyła. – Przyjaciela od serca, rozumiesz, to ciacho ze Sztokholmu, fotografa. Zemdliły go własne sukcesy, rzygać mu się zachciało, to wrócił do miasteczka.

– Gdzie go widziałaś?

– Chodził po lesie, ale do drogi nie doszedł. Cały czas trzymał się jeziora. Nie kąpał się, nic z tego. Nie wiem, czego szukał. Kręcił się i kręcił w ten upał. I tak w kółko łąził. Jakby miał...

– No dobra. Tylko jego widziałaś?

– I jeszcze tę małą. W skąym ubranku i na drogim rowerku.

– A, Fridę... Ona znalazła ciało.

– Nie dziwię się.

– Jak to?

– Tak się wierciła na siodelku, jakby ją coś swędziało. Zgadniesz co?

– I co z tego?

– To, że takie, co je swędzi, łążą tam, gdzie nie trzeba.

– To znaczy?

– Znaczy, że jak wtykasz nos w nie swoje gówno, to nie dziw się, że sam zaczynasz capić. – Przerwała na moment i zerknęła na Stefana. – Nic nie kumas. Jest tak, jak mówi ojciec.

– Co mówi?

– Że same debile w policji pracują.

– Może i masz rację.

– To tatuś ma rację.

– Może i ma. A teraz mi powiedz, co znaczy, że „łążą tam, gdzie nie trzeba”.

– O rany, na plac, wiadomo.

– I tylko ją widziałaś? Nikt obcy nie wjeżdżał do miasteczka?

– Wiesz, że jak taka jedna od was, mundurowa, mnie wypytywała w dzień zabójstwa, to jej powiedziałam, że po południu to całe hordy tu gnały. Karetki, samochody...

– To ekipy dochodzeniowo-śledcze z całej okolicy, Ingrid. Myślisz, że sami damy sobie radę? To morderstwo, do cholery, a nie kradzież batonika w sklepie.

– Morderstwo. Też tak myślę, że to morderstwo, bo życie było jej chyba jeszcze miłe – powiedziała tonem, jakby zapewniała, że się nie myli.

– Ale ja pytam o ranek, południe... Co? Nie widziałaś nikogo... Na pewno? Przed morderstwem.

– Nie, ale... – zawahała się. – I coś ci jeszcze powiem...

– Co?

– Jak czegoś chcesz, to mnie przesłuchaj na posterunku, a nie w moim miejscu pracy, bo tu mi tylko przeszkadzasz.

– Przecież nic nie holujesz. Nie ma żadnego samochodu, a co dopiero takiego, który potrzebowałby pomocy technicznej!

Przez moment milczała, a potem powiedziała spokojnie, bez emocji:

– Nie denerwuj mnie, bo jak się wkurzę, to sam będziesz potrzebował pomocy technicznej. I medycznej. I sądowej. I usta-usta. I sztucznego oddychania – wyrzucała z siebie słowo po słowie, krztusząc się zdrowym, prząśnym śmiechem.

Wtedy przypomniał sobie, że Larissa umiała się śmiać najgłośniej z całej szkoły. Ale, jak mówili, chyba już od dawna nie jest jej do śmiechu.

Nie wiadomo, czego miała się prędzej spodziewać: pretendenta do jej ręki, który w starym gruchocie rozkraczy się na autostradzie, czy może menopauzy, już czyhającej za pierwszym zakrętem.

Frida znowu podnosi rower porzucony na trawie w ogródku i pedałuje po wysuszonych skalistych pagórkach. Wszystko jedno dokąd, gdzie oczy poniosą, byle daleko od apteczki matki, od tej drewnianej białej skrzynki z czerwonym krzyżem, od jej puzderka, relikwii, od tego, co jest dla niej ważniejsze od własnej córki.

Nie, nie będzie płakała. Wiele razy darła się z całych sił albo bezgłośnie ryczała w poduszkę – i co to dało? Nic. Co zmieniło? Kompletnie nic. Dlatego od dziś nie uroni nawet jednej łzy, a już na pewno nie tu, nad jeziorem Skiresjön, gdzie każdy na każdego czyha za firankami, patrzy w twarz przechodnia i sprawdza, czy ten na twarzy ma radość, czy może – oby! – smutek.

Dlatego ona będzie jak inni, jak ci wszyscy oszuści z sąsiedztwa: przyklei sobie na mordzie uśmiech, wielki banan od ucha do ucha. Niech będą zawistni, niech jej jeszcze bardziej zazdrozczą, bo każdy chciałby mieć jej czternaście lat, orientalną urodę po babci, ciemne grube włosy, migdałowate oczy i skórę, jakiej nie dostanie się w najlepszym solarium świata, na najpiękniejszych tropikalnych wyspach. Zazdrościcie mi? Zazdrościcie, proszę! Oto daję wam do tego powód: uśmiech na twarzy!

I tak nigdy się nie dowiecie, że każdej soboty, kiedy matka nie wychodzi do pracy, chce mi się wyrwać z głowy te piękne włosy, wyszarpać oczy i pociąć żyłką atlasową cerę. O nie, tego nigdy się nie dowiecie. Chyba że pewnego dnia wejdzie napruta tymi swoimi prozkami do mojego pokoju i spod sterty pluszaków z dzieciństwa wygrzebie swoją zapomnianą córkę, bez włosów, oczu i z ponacinanym ciałem. Wtedy się może dowiecie!

Oddana i wyjątkowo zrównowazona pani psycholog. Nigdy nie podnosi głosu, niełatwo ją znudzić czy zadziwić, wysłucha każdego przedśmiertnego zwierzenia. Wbrew temu, co można by sądzić z udokumentowanych kwalifikacji, jej specjalnością wcale nie jest psychopatologia wieku starczego, tylko terapia wsparcia, cudowny kojący głos oraz uśmiech dający radość i siłę w ostatnich latach życia. Ale ten uśmiech to w gruncie rzeczy sztuczny grymas, rodzaj profesjonalnej maski, którą zdejmuje w domu. A wtedy zostaje jedynie prawdziwa gęba, na której widok ma się ochotę krzyczeć ze strachu. Jej córka często to robi.

Być może ta dzisiejsza nierozsądna wyprawa rowerowa przy ponad trzydziestostopniowym upale to właśnie jedna z tych niby-ucieczek z domu, kiedy nie ma się już nawet siły krzyczeć. Pozostaje tylko zwiewać. Jak najdalej.

Naciska na pedały nawet wtedy, kiedy mija samochód Larissy, a ta pozdrawia ją krótkim okrzykiem przypominającym szczekanie tłustego psa. Frida nie odpowiada, zbyt dobrze pamięta, jak dobre kilka lat temu ta tłuściocha zaszła jej drogę i zapytała:

„Chcesz dowiedzieć się prawdy o swojej mamusi? Nie myśl, że była tylko puszczalską. Ma krew na rękach. Ale to u was dziedziczne. Pilnuj się, mała, bo skończysz jak ona”.

Kiedy Gustavsson skończył w gruncie rzeczy jałową i upokarzającą rozmowę z Larisą, zobaczył, że w ich kierunku idzie Lars Olsson.

- Co tu robisz? – zapytał.
- Chcę pogadać z Larisą – powiedział Lars.
- O czym?
- Czy czegoś nie widziała w dniu morderstwa.
- Widziała.
- Co?
- Ciebie.

– To pięknie. A oprócz mnie?

– Prowadzisz śledztwo?

– To ty prowadzisz śledztwo, ja chcę dorwać tego skurwysyna, który to zrobił małej Karin.

– Nie była już taka mała – włączyła się do rozmowy Larissa.

– Dla mnie zawsze będzie tą małą na schodach przy ojcu pijaku – powiedział zbyt głośno Lars.

Stefan przygryzł górną wargę.

Ale jadę kiczem, pomyślał Lars i podszedł do szoferki od strony Larissy. Zauważył wahanie przyjaciela: zostać czy nie? W końcu jednak Gustavsson zdecydował się odjechać.

Kiedy policyjny samochód wykręcił, obrzucając Larsa mleczną kurzawą, ten otworzył drzwi szoferki.

– No i co teraz? Wystawiłaś mnie, Larisso. Ładnie to tak? – zapytał, siląc się na uśmiech. Zawsze był przesadnie miły wobec kobiet, które mu się nie podobały. I w tym samym stopniu szorstki wobec ślicznotek w jego typie.

– Nic ci nie zrobią. Nie znajdą dowodów – powiedziała Larissa i włożyła do ust jajko upačkane w czymś dziwnym.

– Skąd wiesz?

– Bo żadnych nie ma. Jeśli człowiek jest niewinny, to nie ma dowodów, no nie? Pan ze Sztokholmu powinien takie rzeczy wiedzieć.

– Sprytna jesteś.

– To komplement?

– W tym kontekście raczej nie. Kogo kryjesz?

– Nikogo.

– Musisz kogoś osłaniać, skoro mnie wystawiasz.

– Po prostu chcę opóźnić śledztwo.

– Coraz lepiej. Może w ogóle nie chcesz, żeby złapali mordercę.

– Mam takie marzenie, żeby sprawę umorzyli. Ale dotąd żadne z moich marzeń się nie spełniło.

– Aż tak go lubisz?

– Kogo?

– Mordercę.

Larissa nie odpowiedziała, ale skrzywiła się nieznacznie i wytarła brudną dłoń o drelichowe spodnie.

– Nie martw się. Jak go zapuszczają, to od czego są widzenia w pierdłu? Nawet takie intymne. Tylko on i ty, spleceni w miłosnym uścisku na jednej pryczy.

– Taki jesteś światowy, a nic nie rozumiesz – prychnęła jak roztyta kocica.

– To mi wytłumacz. Wytłumacz mi, Larisso.

– Nie chcę, żeby złapali tego, kto to zrobił tej suce. Nie chcę.

– Aż tak?

– Nie chcę, żeby go złapali – powtórzyła mocniej, jakby chciała zakłść rzeczywistość.

– Dlaczego?

– Bo mnie wyręczył. Zrobił to, o czym ja bałam się myśleć.

– Chciałaś udusić Karin? – Lars niemal udławił się śliną od tego szczerzego wyznania.

– Nie chciałam jej udusić, bo nie wiem, jak to się robi. Ale chciałam ją przejechać. Raz przejechałam po starym łosiu, dwa razy po psie i lisie. Dlatego wiem, że dałabym radę z Karin. Już nawet miałam to dokładnie zaplanowane. Ale tylko dwa czy trzy razy. No i spudłowałam. Albo ja miałam zły dzień, albo ona zbyt dobry. Nie udało się. Raz zepchnęłam jej kabriolet do rowu, ale wyszła na czworakach, ze spódnicą na głowie, a potem zeznała drogówce, że musiała zemdleć.

– Chroniła cię.

– Możesz i tak to nazwać.

– Dlaczego?

– Dlatego.

– To wszystko, co masz na ten temat...

– Całe dzieciństwo, jak ją ojciec walił po mordzie, to uciekała do nas, czasem na całe noce.

– Nie mów, że twoi rodzice tak bardzo ją polubili, że poczułaś się zazdrosna i chciałaś, by zginęła, i tak ci zostało na resztę życia.

Roześmiała się. Czystym, donośnym rechotem.

– Po co tu przyszedłeś? Chcesz, żebyśmy powiedziała, że wcale nie łąziłeś naelektryzowany po polach w tym dniu, kiedy ona zginęła? Przecież odkąd to się stało, to cię nosi i nosi.

– Myślałem, że powiesz mi prawdę. Że coś jednak widziałaś w dniu morderstwa.

– Gównu widziałam. Kurwiszonka z fanklubu Lady Gagi. Pannę Fridę Andersson.

– Jest fanką Lady Gagi?

– Nie widać? Te złote majty, łańcuchy i grzywka. Każdy w mieście to wie. Rok temu, jak była młodsza, zbierała podpisy pod petycją, żeby ją tu sprowadzić na koncert. Ale teraz przestała się odzywać do ludzi. Zrozumiała jak mamusia. – Ponownie zarechotała. – Lady Gaga nad jeziorem Skiresjön! Ryby by się potopiły z rozpaczy. Lady Gaga nad naszym bajorkiem. Tak, ta mała Anderssonów jest świruską. Ale to u nich rodzinne. Lady Gaga u nas. To tak, jakby zaprosić weterynarza, żeby pojechał na drugi koniec świata i zaśpiewał przed krowami.

Lars udał, że się śmieje – chciał, by poczuła do niego sympatię – a zaraz potem zapytał.

– Dlaczego tak nie lubiłaś Karin?

– Czy lubi się tych, którym kiedyś zrobiło się jakieś świństwo?

– Aha... To prawda.

– Ale nie licz na więcej zwierzeń.

– Myślałem, że jesteś głupsza.

– Mimikra. Muszę być niewidoczna. Wtopić się w otoczenie.

– Znasz się na przyrodzie.

– Całą zimę oglądam Animal Planet. – Uśmiechnęła się, ale minę miała taką, jakby za chwilę znów miała zarechotać.

– A do jakiego fanklubu ty należysz? – zapytał, szybko wyciągnął z jej ucha słuchawkę iPod'a i przytknął do swojej małżowiny. – Kurt Cobain?

– Bingo.

– Lepszy niż Lady Gaga?

Przez moment nic nie mówiła, ale jakby się nad czymś zastanawiała. W końcu spojrzała przez boczną szybkę, lecz od strony miejsca dla pasażera, tak by Lars nie widział jej twarzy, i zapytała:

– Może życzyłbyś sobie trochę seksu?

– Z tobą?

– Niestety, innej tu nie uświadczysz. – Spojrzała mu w twarz.

– Nie bierz tego do siebie, ale nie, dziękuję.

– Tak myślałam.

– Bez obrazy. Po prostu byłem ranny w Afryce, jestem impotentem.

– Nawet nie walisz konia przy pornosach?

– Zero konia.

– Szkoda – powiedziała bardzo smutno i wykorzystując okazję, że on też poczuł się niekomfortowo, szybko oburącz złapała go za głowę i pociągnęła w dół, w kierunku swojego krocza. Cuchnęło. Na szczęście ścisnęła go tak mocno, że prawie nie mógł nabrać powietrza. – Widzisz ten zwitek?! No, widzisz tę kulkę z papieru?

Lars obmacał oczami podłogę samochodu i zajęczał, co miało być potwierdzeniem.

Potrzymała go jeszcze, a potem puściła tak, że aż się zatoczył.

– To się nią poczęstuj.

Chwycił zmięty papier i stanął prosto. Rozwinął go, nabierając powietrza, chociaż paliło żarem.

W środku był odręczny napis, bardzo niechlujny, musiał długo się starać, by wreszcie przeczytać: *Jestem obrzydliwy, ale spoko, bo Ty jesteś nie lepsza.*

– Co to jest? – zapytał, jeszcze oszołomiony.

– To cytat. W dniu morderstwa ktoś podrzucił CD Cobaina przed bramę domu Karin. Zamiast okładki był ten świstek.

– Co tam robiłaś w dniu morderstwa?

– To co zawsze. W każdy wtorek przywoziłam im skrzynki wody mineralnej i kartony mleka.

– Pracowałaś u niej?

– A jak! Przeplącała mnie.

– Ty jej zrobiłaś świństwo, a ona cię przeplącała? Wygląda na to, że również ona zrobiła jakieś świństwo, a ty byłaś świadkiem. Albo odpłaciła ci pięknym za nadobne, a potem się tego wstydziła. Chyba że była święta.

– Myślisz, że nakłonisz mnie do zwierzeń tymi nędznymi hipotezami? Mylisz się. I nawet gdybyś mnie rznął przez dwie godziny, niczego byś się nie dowiedział.

– A, więc prawda jest aż tak okrutna.

Roześmiała się tubalnie i dorzuciła:

– Masz za dużą wyobraźnię. Będzie ci przeszkadzała w śledztwie.

– Może Karin płaciła ci za milczenie?

– Myślisz, że CD podrzuciła ta mała latawica? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Karin lubiła Kurta Cobaina?

Roześmiała się.

– Nic o niej nie wiesz. Słuchała tylko włoskich piosenek. Italo disco, te sprawy.

Znowu głośno się roześmiała. Wychyliła się z szoferki, żeby złapać za klamkę. Zatrzasnęła drzwi i odjechała.

Patrząc w stronę kurzawy, jaką zostawiał za sobą stary nissan Larissy, Lars Olsson zapalił papierosa.

Nie był do końca pewien, czy Larissa Edwardsson ma zbyt wybujałą wyobraźnię, czy też zna klucz do zagadki. A może dałoby się ją otworzyć byle drucikiem, bo tajemnica morderstwa Karin jest w rzeczywistości nieskomplikowana. Tyle że trudno ją odkodować. Jak wszystko, co jest prostsze od naszych fantazji.

Morderstwo Karin znów wtłoczyło w umysł Anchee, jak natrętną piosenkę, myśli o mężczyznach jej życia. Papcio, ojciec jej dziecka i Lars. Nacięcia na sercu paprzą się do dziś. Nie ma na nie opatrunku, żadnych plastrów. Koktajl z leków pozwala na chwilową amnezję, jest jak morfina dla wspomnień, sprawia, że przestają się pojawiać. Przynajmniej na kilka godzin.

Teraz, po latach, Mikael nie kojarzył jej się już z odkrywaniem seksualnych eksperymentów, tylko raczej z wyrzutami sumienia wobec córki. Po co właściwie go uśmierciła? Mogła przecież jej wyznać, że na wieść o ciąży uciekł gdzie pieprz rośnie i tyle go widziała. Przecież dla Fridy świadomość, że ma ojca tchórza, byłaby lepsza niż przekonanie, że w ogóle go nie ma. Ale w tamtym czasie Anchee wolała się posłużyć scenariuszem z kiepskich seriali, zamiast odważnie zmierzyć się z prawdą, jak miała w zwyczaju zawsze powtarzać swoim pacjentom.

Może jednak czeka ją happy end i jej dawna miłość wjedzie do miasta w blasku zachodzącego słońca na białym koniu albo w czarnym porsche i wyzna gardłowym, seksownym głosem: „Przez te wszystkie lata myślałem tylko o tobie. Kocham cię i nic tego nie zmieni. Już nie hipisuję. Założyłem małą firmę, podhodowałem ją do imponujących rozmiarów, a potem sprzedałem gigantowi korporacyjnemu. Przyjechałem tylko na pół godziny. Tyle właśnie masz czasu, żeby spakować siebie i naszą piękną córeczkę Fridę. Zabieram was do swojego paryskiego penthouse’a w Szesnastej Dzielnicy. Taras z widokiem na wieżę Eiffla i mnóstwo chwil we dwoje zrekompensują stracone lata”.

Takie pani psycholog miała gówniane, pospolite marzenia. Wstyd się przyznać, lecz ciągle jeszcze, spacerując samotnie, układała w głowie scenariusze niespodziewanej odmiany losu. Ale w jej życiu już od dawna nie było ani akcji, ani tym bardziej zmian. Wiedziała jednak, że aby nie zwariować od tych kłótni z Fridą i jałowej pracy, musi sobie codziennie pomarzyć. To był jej psychojogging, mentalna siłownia, sposób na higienę psychiczną.

Jednak tej niedzieli cudowne wizje zostały pokonane przez nerwowe dywagacje na temat jej wielkiej miłości. Rzeczywistość zapewne była bardziej prząsna. Mikael, jeżeli nie miał zapaści po skrętach, pewnie żyje z jakąś flancą z zasiłku, ma braki w uzębieniu i śmieje się nie jak mała owieczka, ale jak stary cap.

Gdyby jednak było choć odrobinę lepiej, gdyby mogła do niego zadzwonić, zrobiłaby to i powiedziała by po prostu: „Przyjedź. Chcę się do ciebie przytulić. Po tobie nie potrafię sobie znaleźć nikogo. Nikt nie może ciebie zastąpić. *Nothing compares to you*”.

Taka śpiewka grała w jej sercu. Nieustannie i ciągle, jak płyta, która się zacięła. Refren tyleż ładny, co irytujący.

Tatusiu mojego dziecka, jest mi smutno. Gdyby nie leżał zamroczony tanim winem, na pewno jechałby całą noc, żeby wziąć ją w ramiona. Taki spontan mógłby pasować do starego hipisa.

Przypomniała jej się kolejna piosenka. O facecie, który całą noc jedzie do swojej ukochanej. Czy nie śpiewał tego Bruce Springsteen tym swoim seksownym głosem? Nie, to była Cindy Lauper.

Czy Mikael mógłby być naprawdę bohaterem podobnej śpiewki? Chciała wierzyć, że jednak tak.

A co zaśpiewa jej Lars? Jego twarz pamiętała lepiej niż twarz Mikaela. Zastygła w niej jak flesz. Znów wrócił, by wszystkich dręczyć.

Wstała. Na złe myśli zawsze robiło jej dobrze przeszukanie pokoju Fridy. Tym razem we wnętrzu czarnej welurowej poduszki w kształcie serca znalazła swoją starą puszkę po herbacie. Poczwała, jak traci oddech i nie może nabrać powietrza. Skąd ona ją wytrzasnęła? I która to?

Przemyła twarz zimną wodą, oddech miała nadal płytki i urywany. W takich momentach pomagała jej zawsze ostatnia płyta Cobaina, ale gdzieś ją zgubiła.

Poszła do salonu i położyła się obok matki. Razem obejrzały dwa bloki filmów rysunkowych i teleturniej, w którym można było wygrać mercedesa, ale wszyscy zdobywali tostery i noże elektryczne do mięsa. Pomyślała, że chciałyby mieć w domu ten największy, do rozbierania dziczyzny. Pierwszy raz od lat poczuła pokusę, by porozmawiać z Mathilde.

Stefan Gustavsson otarł czoło wierzchem dłoni i popatrzył na wentylator pod sufitem. Podczas tych długich, beznadziejnych godzin spędzonych nad aktami sprawy zdążył już się przyzwyczaić do jego cichego warkotu.

Od czasu do czasu spoglądał w górę, sprawdzając, czy urządzenie działa. Wypijał codziennie kilka litrów wody i przez to pocił się jeszcze bardziej. Teraz czuł, jak po bokach jego batystowej koszuli spływa pot i zatrzymuje się dopiero gdzieś w okolicach paska.

Być może małą tolerancję na wysokie temperatury odziedziczył po ojcu. Właśnie dzwonili, że znowu to zrobił: obnażony od pasa w dół paradował po tarasie. Ubrali go, pewnie skrzyczeli na osobności, żeby nikt nie wniósł skargi, a on znowu ściągnął spodnie, tym razem siadając do obiadu.

Gustavsson pomyślał, czy on też skończy tak samo, paradując z wiotkim fiutkiem wśród pensjonariuszy. I kto go będzie odwiedzał?

Miał jednak nadzieję, że z jedną nerką tak długo się nie żyje.

Jeżeli życie obrzydnie mu do końca, po prostu przestanie kontrolować poziom potasu i zacznie się obżerać serem. Lekarka prowadząca cały czas mówiła o potrzebie kontroli poziomu potasu i białka. Przynajmniej, nie będzie wyglądało, że zdezerterował. Po prostu zachorował i umarł, właściciel jednej kiepskiej nerki, a nie żaden tam tchórz.

Nie chciał, by myśleli, że musiał być bardzo nieszczęśliwy, skoro odebrał sobie życie. Dlatego żył nadal, chociaż słabo spał, za dużo palił i lubił szybką jazdę. Jego noce brodziły w słowackim piwie i lepkiej wilgoci od wpatrywania się w skaczące obrazki mechanicznego seksu z przestraszonymi kobietami. Jeśli nawet zasypiał, to na krótko, a sen nie przynosił mu odpoczynku. Budził się zmęczony i rozbity, ale wiedział, że póki ojciec żyje, on też musi żyć.

Powinienem go dziś odwiedzić, zdecydował i wytarł pot z karku. Znowu ma te swoje starcze lęki. Obnaża się, bo chce, by ktoś zwrócił na niego uwagę, porozmawiał z nim. W spodniach jest taki sam jak wszyscy

inni snujący się tuż obok. A ledwo ściągnie majtki w towarzystwie, już staje się gwiazdą.

Gustavsson zamknął ostatnią teczkę i odłożył ją na stertę innych, podobnych, z grubego papieru z recyklingu, zawiązywanych na zgrzebne tasiemki.

Zmuszał się do pracy, do myśli o mordercy z parku. Musi go złapać, on, nikt inny, musi się postarać, nie może być męską wydmuszką śniącą o każdej atrakcyjnej lali, z jaką może porozmawiać, musi być chłopem z jajami, tego wymaga śledztwo, a również jego przyszłość. Przecież nie chce skończyć przed pięćdziesiątką w archiwum, na dyżurach telefonicznych czy na rencie.

Szef powiedział, że bardzo na niego liczy. Właśnie wywalili kasę na ten zagraniczny kurs, który i tak jest bez sensu, bo jak nie ma namacalnych dowodów, to żadne tam psychologiczne wróżby nie pomogą.

– Jak coś pomożesz chłopakom, będziesz mógł z nami zostać – dodał – bo sam wiesz, że z jedną nerką i tym pijackimi jazdami po nocy... W każdym razie były sugestie, żeby znaleźć ci inny stołek.

Gustavsson nie spał całą noc po tej rozmowie.

Nakrył klatkę z papużkami lnianą serwetą i rozmyślał nad słowami szefa. Zjadł kilka paczek słonych orzeszków i grubo po północy zrobił zakupy w sklepie internetowym, za każdym razem patrząc na wagę i objętość produktów.

Kiedy debiutował jako wirtualny klient, cieszył się, jak tu tanio, a gdy rozpakowywał dostarczoną przez kuriera paczkę, zorientował się, że zamówił nie żarcie, tylko próbki. Nie panował też nad kursorem i zafundował sobie dwadzieścia opakowań chrupkiego pieczywa. Starczy do zimy, bo jadł tylko jedną kromkę dziennie, na śniadanie, z dżemem żurawinowym.

Nad ranem, kiedy leżał w wannie, zimna woda przyniosła mu myśl, że musi jechać do roboty i zająć swój stary stołek.

I teraz na nim siedział. Przez moment oglądał sufit i gładząc okładkę segregatora, usiłował nadać sens zebranemu przez chłopaków materiałowi.

Z pozoru miał wszystko, czego potrzeba, by podlać zebrane fakty odrobiną wyobraźni i wpełznąć do umysłu mordercy. Dane o miejscu zdarzenia, mapę placu Dzieci z Bullerbyn, naniesiony żywopłot, krzaki,

dwie ławki, większe kamienie, zdjęcia, raporty, wywiady z rodzinami ofiar, protokoły z nieudanych poszukiwań świadków zdarzenia.

Widać sprawca był dobrze przygotowany. Jakby doskonale wiedział, że nie zostanie zauważony, dokładnie obmyślił miejsce i moment ataku.

Wyjął zeszyt z kursu. Przewertował, połowy nie umiał odczytać, bazgrał jak kura pazurem.

Skoro nie seks i pieniądze...

Przeżuwał myśli, jak gdyby spowolnione tempo dedukcji miało nadać rozumowaniu mocy.

Udusił... odrzucił torebkę na bok... nawet jej nie otworzył... ściągnął majtki... rozłożył nogi... obciął włosy... szybko, ale dokładnie... sprawdzić wszystkich fryzjerów w mieście... eee... tandetna poszlaka... zbyt oczywista... fryzjer codziennie dotyka włosów... ma ich po kokardę... to ktoś, kto tęskni do włosów... potem zaczyna przyklejać plastry... wszystko w gumowych rękawiczkach... dokleja włosy... przedtem albo potem przywiązuje dziecko do matki... albo układa szelki...

Pogrzebał w teczkach, przekartkował strony... A, tak... te szelki były zepsute, nie miały sprzączki... Annika to potwierdziła, Ingrid miała ją przyszyć. Wzięła wózek pomimo tej usterki, choć w piwnicy były jeszcze dwa inne, również bardzo modne i markowe, ale ten w różowe grochy był ulubionym Karin.

Wiedział, że pierwsze godziny czytania akt to rozbieranie gówna na atomy, najczęściej bez powodzenia. Na razie jednak nie pozostaje mu nic innego, musi czytać zeznania i analizować dowody, snuć hipotezy, weryfikować je lub odrzucać, a to niełatwe. Żaden z kolegów nie lubił słuchać jego przypuszczeń. Fakty, tylko fakty do nich przemawiały.

Innym wątkiem wydawała się przeszłość powiązana z tym właśnie terenem, z miasteczkiem, z placem. Coś się tu wydarzyło, o czym sprawca chciał zapomnieć, a może chciał coś dokończyć albo za coś się zemścić.

Mogła to być równie dobrze jakaś historia, którą dzielił wspólnie z Karin, i dlatego chciał ją zamordować. Czyli zemsta? Na idealnej Karin? Bo była idealna? Trochę naciągane...

Wstał wściekły i zaczął chodzić w kółko pod wentylatorem. Jak rozjuszone nudą zwierzę w zoo. W końcu przystanął, podszedł do biurka i nalał sobie kolejną szklankę wody. Miał zamęt w głowie, nie mógł wypracować żadnego planu. Rozpiął guziki koszuli aż do paska, po chwili

zapiął je ponownie, usiadł, było mu niewygodnie, wstał, znowu usiadł, tym razem z szeroko rozstawionymi kolanami. Źle reagował na upały, bezsenność, nerwowość, ból w miejscu po skalpeli; szwy się rozpuściły, ale nadal dokuczały.

Musi zrobić wywiad z kosmetyczką, zapisał na kartce. Depilacja miejsc intymnych. Które kobiety to robią i czy zajmuje się tym jakiś gabinet w okolicy. Trzeba pogadać z Bodill. Pójdzie do niej sam, przecież nie będzie prosił o to Imre. Co innego mówi się kochankowi, a co innego inspektorowi na służbie.

Miał wrażenie, że Bodill jest chyba trochę tandetna, lecz takim rodzajem tandety, który podoba się mężczyznom. Nosila kuse niebieskie bluzeczki, buty na megaplatformach i łańcuszek na kostce. Kiedy stał za nią w dużym sklepie spożywczym w Vimmerby, pachniała tak mocno, że podrażniony wonią jej perfum musiał dwa razy kichnąć. A wtedy odwróciła się i powiedziała z błyskiem na zębach: „Ach, ta air condition, wszyscy mamy od niej katar. Czyż nie lepiej kupować w naszym wiejskim sklepie nad jeziorem? Nie ma tam dużego wyboru, ale człowiek nie jest taki anonimowy”. Paplała bez sensu, pakując zakupy. Zauważył, że ma duże usta. Napompowane, sztywne i błyszczące, przypominały czerwone koło ratunkowe, na którym uczył się pływać. Uśmiechnął się, chciał coś powiedzieć, ale ona już rozmawiała z kasjerką. Patrzył z profilu na jej usta: pozostawały nieruchome, tylko czubek języczka sobie na nich używał.

Bodill, tak, ona też musiała sobie wygolić. Przynajmniej na czas upałów, bo chyba ma to związek z porą roku, bikini, te sprawy. Albo z kochankiem.

On sam ostatnio żadnej nie dotykał, owłosionej czy ogolonej, a z tutejszymi sypiał dobre kilka lat temu. Dlatego wymyślił sobie kobietę. Miała brązowe włosy, tęczówki jak orzechy laskowe i dość zadowolający biust. Mieszkała w Irlandii, prowadziła skromne *bed and breakfast* i jeździł niby to do niej na wakacje, cały czas się bojąc, że ktoś go nakryje w Ystad u brata.

Anna, tak ją nazwał. Anna, imię tyleż pospolite, co pojemne dla fantazji, również tych nieprzyzwoitych. Szczególnie nieprzyzwoitych. O rany, dlaczego wymyśliłem tę historię? Nawet nie chcę się nad tym zastanawiać. „Jak wytrzymujesz to rozstanie? – pytali. – Może ściągniesz ją tutaj albo sam do niej pojedziesz”. Kolegom z pracy odpowiadał

mrugnięciem oka, co dobywało z nich knurze pochrząkiwania, a koleżankom mówił o odległości geograficznej jako romantycznej formalinie dla związku. Wszyscy, i panowie, i panie, mu zazdrościli. Lubił to, bo wcześniej nikt niczego mu nie zazdrościł. To, co niby miał – dobrą pracę, wygodne mieszkanie i domek po ojcu, który mógł sprzedać – było całkiem bez znaczenia. Pragnął czegoś innego, ale nie wiedział, czego tak naprawdę chce.

Dlaczego morderca zaatakował właśnie na placu, w centrum osady, w środku dnia? Bo w czasie upału to najbardziej odludne miejsce, a równocześnie łatwo zwabić tam ofiarę.

Gustavsson zamknął akta do szafy pancерnej i wyłączył staroświecki wentylator. Zdecydował, że na dzisiaj to koniec. I tak było już po szóstej, a upał wcale nie zelżał.

Wyszedł z budynku, odszukał samochód. Jego stare volvo nie miało air condition, Bodill nie nabawiłaby się w nim kataru podczas figli na rozłożonych siedzeniach. Przy okazji ostatniego przeglądu, jeszcze przed wypadkiem, mechanik zaproponował mu klimatyzację, i to ze znaczną zniżką. Nie zgodził się jednak, bo kojarzyła mu się z chłodnią, z prosektoarium. Wolał się pocić i dusić.

Jechał szybko, znowu zapomniawszy zapiąć pasy. Przez uchylone okna drażnił go ostry podmuch. Uchylił usta, żeby się nim schładzać.

W domu zastał Ingrid prasującą koszulę.

– Na kolację jest pasztet na mące bezbiałkowej. Śliwek też dodałam mniej niż zwykle, ich indeks białkowy... – tłumaczyła podniesionym głosem, żeby ją słyszał, bo starając się uniknąć jej towarzystwa, poszedł do kuchni napić się wody z lodem.

Rzucił jeszcze okiem na papugi, miały się świetnie.

– Czy to nadal jest mój ulubiony pasztet ze śliwkami? – przerwał jej ostro, wrzucając kostki lodu do szklanki.

Nie lubił zastawać Ingrid po powrocie do domu. Wolał puste pokoje, senny ruch rybki w akwarium i hałasy z ptasiej klatki.

– Coś za dużo pracujesz – powiedziała, nie odrywając wzroku od śladu po żelazku.

– Skąd wiesz? – zapytał bez ciekawości.

– Coraz więcej butelek pod zlewem.

Zacisnął usta, żeby na nią nie krzyknąć. Łatwo się obrażała, nie przychodziła potem przez kilka dni, musiał dzwonić i usłużnie zapraszać Królową Lodu z mopem do swojego królestwa kurzu, pustych butelek z kwaskowym nalotem na dnie, porozrzucanych majtek i wędrujących skarpetek. Nie cierpiał tego typu kobiet, nadawały się tylko na posługaczki, szybkie, dokładne i niewidoczne.

– Nie musisz ich wynosić. Raz w tygodniu wrzucam je do recyklingu przy poczcie w Vimmerby.

– Muszę je wynieść, w przeciwnym razie czułabym, że mieszkanie nie jest zrobione na biało.

„Na biało” – ulubiony zwrot Ingrid. Gustavsson był pewien, że jej pipka i dupka też są nieustannie zrobione na biało, strach wejść do tych kanałów.

Wyobraził to sobie i zaraz się skrzywił. Złapał się na tym, że odkąd mu nie stawał, więcej myśli o seksie. Czy był to powrót do lat szkolnych, czy andropauza, kryzys wieku średniego, i kto ma mu przepisać viagrę?

– Boli? – zapytała Ingrid.

– Co?

– Szwy. Właśnie się skrzywiłeś.

– Mam tyle roboty, to morderstwo...

– Zboczeniec.

– Tak mówią?

– Że to zboczeniec. Zboczek czystej krwi. Przyjechał ze Sztokholmu, zrobił swoje i wrócił do domu. Jakie to potworne! Z dzieciątka zrobić sierotkę. Chory umysł. I tyle.

– Właśnie, chory umysł, ale jak do niego dotrzeć? Jak zobaczyć tego robaka w dwóch połówkach mózgu?

– Pięknie mówisz. Książki powinieneś pisać. Może romanse – powiedziała głosem wypranym z emocji.

– Jakie tam romanse, o czym, o czym? Przeżuwam te swoje myśli, kto i po co, i nic, cała dedukcja w moim łbie to jak ping-pong ze ścianą, niby trening, ale jałowy. Łatwo odbijać piłeczkę, kiedy jest się swoim przeciwnikiem.

– Ciekawie opowiadasz...

– Gdybym jeszcze znał drugiego takiego, co tak opowiada...

– Psychologa? – bystro podchwyciła Ingrid.

– Marzenie.

– Jakie tam marzenie! A Nasz Brzeg, gdzie twój tata... – Ingrid przerwała, szukając dobrego słowa w miejsce „dogorywa”. – Tam, gdzie twój tata odpoczywa po życiu. Przecież tam pracuje nasza Anchee, miss skośnooka, psycholog.

– Próbowałem...

Kiedy ojciec przestał wychodzić z domu, a potem kolejny raz się potknął, przewrócił i leżał przez kilka godzin, zanim on, wiedziony strachem, że nie odbiera telefonu, do niego przyjechał, zdecydował, że w willi z olbrzymim parkiem i zgrabnym ogródkiem z bezpiecznie wykoszoną trawą będzie mu lepiej.

Decydującym argumentem za wyborem Naszego Brzegu, a nie jakiegoś innego domu, mogło być wypowiedziane przez Ingrid zdanie wieńczące opis pensjonatu: „Jest tam wspaniała atmosfera, ale przyznam, że mogłoby też być nieco czystiej”. I tak Nils Gustavsson, ojciec Stefana, dobił do Naszego Brzegu.

Ingrid złożyła deskę do prasowania zgrabnych ruchem nogi i ramion. Jakby robiła przysiad w menuecie czy innym dworskim tańcu, które pokazują w tych cholernie nudnych francuskich filmach historycznych, pomyślał Gustavsson.

Usiadł i patrzył, jak wieszka koszule w szafie. Zawsze dbała, by białe wisiały przy białych, błękitne przy błękitnych.

Na koniec przebiegła palcami po suchych grzbietach wieszaków, chyba nawet usłyszała, jak westchnęła z radości, przez moment napawała się czystym i kojącym obrazkiem pełnym symetrii i harmonii przechodzących jeden w drugi kolorów, a potem cichym ruchem zamknęła szafę i pogładziła dwukrotnie gałkę, sprawdzając, czy aby nie ma na niej kurzu.

– No to do czwartku, inspektorze. – Zawsze przy wyjściu nazywała go inspektorem. – Kupię chleb bezbiałkowy, znalazłam taki sklepik ekologiczny...

– Czy jaja bezbiałkowe też tam mają? – zapytał i zauważył, że przez twarz Ingrid przeszedł szybki grymas zażenowania.

Odpowiedziała jednak swoim mocnym głosem, bez cienia wstydu:

– Proszek bezbiałkowy jajeczny, mam go kupić?

– Nie, Ingrid. Dziękuję, ale nie. Jeżeli będziesz mnie tak żywiła, wkrótce sam stanę się bezbiałkowy i bezjajeczny.

– Jak uważasz, inspektorze – odrzekła pewnie i chłodno.

Po jej wyjściu przez kilka minut bawił się, chrobocząc kostkami lodu w szklance, aż doszedł do wniosku, że wykrochmalony umysł Ingrid ma rację.

Po prostu najpierw poudaje troskliwego synka i spróbuje jeszcze raz, wciągnie Anchee w rozmowę na temat morderstwa.

Wstał, wyjął piwo z lodówki i przez dłuższą chwilę szukał otwieracza. Znalazł go na ociekaczu nad zlewem, czysty, wypolerowany druciakiem.

Nalał piwa do wody z lodem, ostrożnie, żeby pianka była akurat. W ten sposób będzie mniej pił, taki miał plan na wieczór. Jak zwykle trudny do zrealizowania.

12



Lars Olsson wracał po spotkaniu z Larissą Edwardsson, kiedy niemal pod maskę wpadła mu Annika idąca do domu z paczkami pampersów pod pachą.

Kiedy wysiadł, zobaczył, że bardzo się postarzała i chyba trochę popija. Twarz miała lekko nabrzmiąłą, pokrytą pajęczynką drobnych naczynek, których nie zdołała zamaskować nawet opalenizna. Ale wyglądała elegancko i modnie. Rozmawiała z nim w taki sposób, jakby widywali się codziennie.

– Zauważyłam, że gadasz z Larissą.

– Pracowała dla Karin.

– Jak prawie wszyscy w okolicy.

– Bardzo mi przykro, musi być ci ciężko po stracie siostry – zaczął zwyczajowe kondolencje, ale Annika podeszła do niego zbyt blisko i zamknęła mu usta wnętrzem dłoni. Poczował smak jej potu, delikatny i właściwie zmysłowy.

– Właśnie, pomyślałam... – Annika cofnęła dłoń i zaczęła się jąkać – że skoro... no, nie wiem, jak to powiedzieć... jesteś taki światowy... to może masz jakieś prochy.

– Słucham?

– Nie udawaj niewiniątka. Muszę coś wziąć, bo zaraz zwariuję. Nawet nie wiesz, co to znaczy stracić siostrę. Jakby ktoś ci siekierą odrąbał pół życia.

– Znakomite porównanie.

– Masz te proszki czy nie?!

– Nie. Ale idź do lekarza, każdy wie, w jakiej jesteś sytuacji, coś dostaniesz.

Uspokoila się w jednej chwili, co nie wydało się Larsowi naturalne. Ale błagała o prochy bardzo przekonująco.

– Szkoda, że się nie kumpluję z Anchee. Ta podobno śpi na prochach. No, ale trzeba mieć niezły odjazd, żeby pracować ze starcami, no nie. Zjesz coś? – zapytała nagle łagodnie i nie czekając na odpowiedź, poszła w stronę domu.

Ruszył za nią.

Z ogrodu było wejście prosto do kuchni z kamienną podłogą i kremowymi meblami.

Annika włączyła ekspres do kawy.

Kuchnia była obszerna, z wielką wyspą na środku pokrytą jasnym marmurem.

– Ładnie tu – pochwalił Lars.

– W stylu prowansalskim.

– Gustownie, gustownie – powtórzył, bo nie wiedział, o czym tu mówić.

A może było aż za wiele tematów i dlatego ogarnął go rodzaj zawstydzenia. Jako dzieci chodzili razem na dzudo. Annika była jedyną dziewczyną na zajęciach. Koleżanki śmiały się z jej upodobań, a ona nic sobie z tego nie robiła. Zdziwił się, że z takiej chłopczycy wyrosła tak atrakcyjna kobieta.

– Mieszkam teraz w Danii.

– W Kopenhadze?

– Godzinę jazdy od centrum.

– Lubię Danię – powiedział, by podtrzymać konwersację.

– Wyjechałam. Tak jak i ty. Tylko latem przyjeżdżam. Męża mam z odzysku.

– To znaczy?

– Po rozwodzie. Z wyrzutami sumienia wobec syna. Dlatego całe wakacje podróżują. Takie samcze wyprawy rowerowe. Ja wolę leżak w komfortowej posiadłości rodzinnej – oznajmiła, bawiąc się ramiączkiem sukienki.

Lars Olsson nie był pewny, ale chyba wyczuł ironię w ostatnim zdaniu. Dopiero teraz przyjrzał się Annice i doszedł do wniosku, że nie wyglądała na nieutuloną w żalu po śmierci siostry. Na niewyspaną – owszem, ale nie na pogrążoną w rozpacz.

Nastała chwila nieznośnej ciszy. Właściwie powinien ją zapytać, jak wszystkich, gdzie była i co robiła w dniu morderstwa. Ale krępował się. Patrzył na jej ciemną żalobną sukienkę, zbyt ciepłą jak na takie upały,

i najchętniej w ogóle nie rozmawiałyby o tym, co zaszło na placu nad jeziorem, ale ona sama poruszyła ten temat, smarując herbatniki serem.

– Pytałeś Gustavssona, czy mają już jakiś trop?

– Dlaczego akurat jego?

– Przesiaduje u ciebie. Wszyscy o tym gadają. Uważaj, może lubi chłopców.

– To wybrał zły adres.

– Może i zły – powiedziała bez przekonania. – No i jak, co ci zeznał?

– Chyba nie wolno mu o tym opowiadać.

– Nawet trochę?

– Niestety.

– Nawet po starej znajomości? – dopytywała się, siląc się na miły ton.

– Przykro mi, ale nie.

– Wyciągnij coś od niego. I daj mi znak.

– Już ty pierwsza będziesz coś wiedziała. W końcu należysz do najbliższej rodziny ofiary.

Po jej twarzy przeszedł grymas.

Poczęstowała Larsa dobrą smolistą kawą. Sięgnął po krakersy z owczym serem.

– Dobrze. Też prowansalskie?

– Nie, nasze szwedzkie. Teraz ja tu rządę – oświadczyła hardo. Jakby weszła w posiadanie łupu, a nie zarządzała domem siostry.

– Tomas bardzo cierpi? Mąż Karin... Tomas, tak?

– Tomas... Moja siostra wybrała największego mazgaja w okolicy. Zawsze miała jakiś dziwny lęk przed normalnymi mężczyznami.

– Normalnymi? – zapytał i wyczuł, że się zaczerwienił.

– Z jajami. Najlepiej dwoma. Tomas nawet na dzudo nie chciał się zapisać.

– A wiesz, że nie pamiętam go z dzieciństwa.

– Nic a nic?

– Tylko trochę.

– A ja wszystko. – Przerwała na moment i uniosła głowę, jakby czegoś szukała za oknem. – Ty też chodziłeś na dzudo. Przynajmniej czasami.

– Masz dobrą pamięć.

– Nie tylko to – rzuciła, powstrzymując uśmiech. Wiedziała, że nie jest on stosowny w czasie żałoby, więc szybko pochyliła głowę. – Zawsze

robiłeś zdjęcia i to ci wystarczało – dokończyła i uśmiechnęła się, ale jakoś blado.

Lars włożył krakersa do ust. Chrupał go, rozglądając się po kuchni. Czuł się jakby żywcem przeniesiony do ekskluzywnego pisma o dekoracji wnętrz. Nie przypuszczał, że w tej okolicy można tak luksusowo mieszkać. Z zewnątrz dom Karin i Tomasa był okazały, ale mieścił się w tutejszym stylu. Drewniany, pomalowany na ceglany kolor, z białymi okiennicami. Miał tylko trzy piętra, olbrzymie tarasy, werandy, załamania dachu i wielkie panoramiczne okna.

– Kto by pomyślał! Mówisz, że ten twój szwagier taki mazgaj, a umiał zrobić pieniądze. – Zacmokał z podziwem. Czuł, że zachowuje się sztucznie, jak nie on.

Annika zmarszczyła nos.

– To ona wszystko wymyśliła. Dla Tomasa pieniądze to była zawsze czarna magia, nawet nie umiał ich wydawać. Nie potrafił się nimi cieszyć. Co innego Karin...

– Zabrzmiało tak, jakbyś miała to jej za złe.

– Prawdę mówiąc, od jakiegoś czasu, Nie przepadałam za nią.

– Jak to siostra za siostrą.

Speszyła się tylko na moment.

– Odkąd miała Paris, zrobiła się strasznie zarozumiała. Królowa Matka. Wcześniej, kiedy się leczyła na bezpłodność, była taka zwyczajna. – Przerwała na moment, ale zaraz dorzuciła głośniej: – I wkurzało mnie, że demonstrowała swoją przewagę. Kupowała mi drogie torebki. Nawet kilka razy zabrała mnie na zakupy do Berlina. Ale coś w niej takiego było... No... Może po prostu mi nie pasowała. Inna chemia, rozumiesz?

– Staram się.

– Staraj się dobrze, bo ja tego nie zrobiłam. Wczoraj byłam na przesłuchaniu i Gustavsson tak na mnie patrzył. Czy ja wyglądam na taką, która zabija? Spójrz, jestem drobna.

– Ale trenowałaś dzudo. Miałaś czerwony pas.

– Sam wiesz, że nie uczyli nas tam podrzynać gardeł – zapewniła zbyt gorliwie.

– A powiedz mi, może wiesz, co znaczył ten zielony sznureczek na przegubie Karen.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Jakaś kolejna moda.

– Zaczerwieniałaś się. Chyba coś jednak wiesz.

– Zaczerwieniłam się, bo nagle zacząłeś mnie przesłuchiwać – odparła, wyraźnie zdenerwowana.

– Nie jestem gliną i zapytałem tylko o nitkę.

– A ja ci odpowiedziałam, że nic nie wiem. – Zorientowała się, że podniosła głos, i zaraz złagodziła ton. – Może to jakiś znak ekomaniaków. Co roku dawała mnóstwo kasy na ratowanie tych wszystkich misiów polarnych, małych foczek i takie tam.

– Może masz rację – odparł, nie spuszczać z niej wzroku

– Coś jeszcze, panie inspektorze? – zapytała speszona, ze smutnym uśmiechem.

– Nie, nie mam więcej pytań.

– Chodziło mi o jedzenie. Zjadłeś wszystkie krakersy. Może coś jeszcze? Mam dżem z żurawin. Własnej produkcji. I do tego gorąca babeczka...

– Nie, dzięki.

– Nie opieraj się. Wyglądasz na takiego, który lubi, jak kobieta mu dogadza – zaśmiała się. – Teraz to ty się zaczerwieniłeś – dokończyła, ale bez śmiechu.

– No, to ja poproszę babeczkę.

– Z żurawiną? – zapytała zbyt słodko.

– Własnej produkcji – wysyczał.

Kiedy wracał do samochodu, stała w jednym z tych wielkich wykuszy i patrzyła na niego. Zapinając pasy, przekręcił głowę i zobaczył jej wiotką sylwetkę. Pomachała mu ręką, odpowiedział w ten sam sposób.

Poczuł, że z wrażenia pieką go policzki. Dłonie mu się spociły, pulsowały zaciśnięte na kierownicy. Przyspieszył.

Zajeżdżając do sklepiku na stacji benzynowej, przypomniał sobie, że kiedyś – mieli wtedy po kilka lat – rzucali się śnieżkami, przywalił za mocno, a ona się rozpłakała. Podbiegł do niej, bo nie lubił, gdy ktoś płacze.

Chciał ją szybko uciszyć, rzucił na śnieg, docisnął dłonią jej usta, a wtedy ona zaczęła mu ją całować. Przytrzymał rękę dłużej, tylko zwolnił nacisk, podobało mu się, było przyjemnie. A kiedy cofnął dłoń i przysunął usta do jej ust, to go ugryzła. Do krwi. Szybko i mocno. W górną wargę.

Pani psycholog Anchee Andersson świat wydawał się wyjątkowo nieprzyjemnym miejscem. Nawet we własnym domu czuła się jak na

obcym terenie. Może to te geny matki. Z czasem coraz bardziej ją przypominała. Przykro stawać się osobą, której się nie lubi.

Wszystko się zaczęło od napadów agresji. Kilka lat temu matka rzuciła w nią bez powodu starym butem ojca, a ona, zamiast zbagatelizować ten wybryk starzejącej się kobiety, chwyciła ręcznik, zrolowała go i kilka razy oddała matce. Nie czuła przy tym nic, tylko zmęczenie.

Potem szybko się ubrała i zaczęła spacerować wzdłuż jeziora. Zobaczyła, że dużo tu opuszczonych domów, których właściciele albo umarli, albo przeprowadzili się bliżej miasta i pracy. Mogłaby jeden kupić, zamieszkać w nim i mieć swoje terytorium. Ale na to potrzeba siły, zwykłej siły fizycznej: wizyta w banku, u notariusza, nadzorowanie ekipy remontowej. Nie miała w sobie aż tyle energii. Ledwo starczało jej na poranne wstanie z łóżka.

Wróciła do domu, a matka już siedziała przed telewizorem i oglądała jakiś film przyrodniczy o niedźwiedziach polarnych. Wielki zwalasty samiec przeskakiwał z kry na krę i było w nim coś z ojca Anchee.

„Widzisz, jestem już taka jak ty” – powiedziała i usiadła obok matki.

Zauważyła, że sprężyny sofy domagają się tapicera. A najlepiej kupić nową, ale do tego też potrzebny jest dzień inny niż zwykle. Spojrzała ukosem na matkę. W telewizyjnej poświacie wyglądała trochę jak gejsza, a trochę jak kobieta samuraj.

„Napatrzyłam się na ciebie. Jak mogę być inna?” – dodała już ciszej.

„Jest na to sposób – odezwała się głucho matka. – Drink z leków i miodu. Od razu poczujesz się lepiej” – dokończyła, nie odrywając wzroku od ekranu.

„Czy to najlepszy obok ginu przyjaciel perfekcyjnej pani domu?” – zapytała, chichocząc nerwowo, Anchee, ale matka zacisnęła usta i z miną starego medyka zapatrzyła się smutno w przestrzeń.

A jednak było coś, co odróżniało Anchee od matki. Zamiast miodu używała słodzika dietetycznego.

Teraz poszła do pokoju córki i dokładnie go przeszukała, nie pozostawiając, jak jej się wydawało, po sobie żadnych śladów.

W pewnym momencie poczuła piekielne zmęczenie. Usiadła na łóżku i nałożyła sobie na uszy leżące tam słuchawki. Uruchomiła dźwięk. Cała drgnęła, taki był mocny.

The way she moves. The way she walks. I touch myself, can't get enough. And in the silence of the night. Through all the tears. And all the lies. I touch myself and it's alright. Just give in. Don't give up, baby. Open up your heart and your mind to me.

Głos był jak skalpel. Anchee pomyślała, że tnie ostro, bezlitośnie, ale zdrowo. Podobało jej się. Była w tym jakaś siła. Kobięca moc. Brakowało jej tego. To chyba dostaje się od matki. Ona sama nic takiego nie otrzymała. Może dlatego nie potrafi teraz tego oddać Fridzie.

Na posterunku w czasie narady powtarzali, że morderstwo wcale nie musiało mieć tła seksualnego. Tak przynajmniej wynikało z opinii biegłego seksuologa.

Teraz mordercy są bardzo sprytni, wymądrzał się, często pozorują miejsce zdarzenia tak, by zmylić trop. Ściągają ofierze majtki, żeby fałszywie zasugerować cel seksualny, albo zabierają jej portfel czy biżuterię, symulując motyw rabunkowy.

W wypadku Karin sprawca czerpał erotyczną przyjemność nie z klasycznych czynności seksualnych, ale z duszenia. Poderżnięcie gardła sprawiło mu rozkosz. Być może był impotentem. Agresywnie nastawionym do kobiet.

Jedno zaciekało śledczych. Zabrał Karin naszyjnik z bursztynem, a potem nałożył jej na palec wskazujący inny, bezwartościowy. Dlaczego nie zawiesił go na szyi, tylko na palcu, jakby dokonał symbolicznych zaślubin z ofiarą?

Tomas, mąż ofiary, zeznał, że biżuteria nie miała żadnej wartości, może co najwyżej jakąś sentymentalną, bo odkąd pamięta, Karin zawsze nosiła tę tandetną metalową ozdobę, mimo że miała słabość do markowych i drogich rzeczy.

Nikt z bliskich nie znał pochodzenia wisiorka. A morderca musiał wiedzieć, że ten drobiazg jest dla Karin ważny.

Powstała nawet hipoteza, że to on dał jej ten wisiorek.

Być może w zamian za jej życie.

Były takie noce, że Anchee Andersson wychodziła z domu i włączyła się bez celu wzdłuż jeziora. Dopiero co połknięte proszki uwierały ją w żołądek, ale ból odwracał uwagę od wielu spraw z przeszłości.

Oczywiście odkąd Lars wrócił w rodzinne strony, bardzo się pilnowała i nie łąziła w stronę górki. Spotkanie z nim mogło się źle skończyć. Była

tego pewna.

W dniu morderstwa nie przeżuwała, jak większość mieszkańców, pytania: „Jak to możliwe, że taka rzecz zdarzyła się u nas? To takie spokojne miejsce”. Bardziej przerażała ją myśl, że Frida natknęła się na Larsa. Fakt, że podczas tego spotkania między jej córką a fotografem leżały zwłoki młodej kobiety, wydawał jej się mało istotny.

To był właśnie efekt długotrwałego przyjmowania leków przeciwbólowych. Czuło się ból tam, gdzie nie bolało. A chore miejsce wydawało się całkiem zdrowe. Z czasem ta perspektywa zaczęła dotyczyć nie tylko ciała, ale i całego życia. Anchee wiedziała o tym złudzeniu, lecz jednocześnie mu ulegała.

Lars i jej córka. Azjatyckiej urody nie da się ukryć. Od razu się domyślił, że jest jej córką. Świadomość, że Frida to krew z jej krwi i kość z jej kości, na pewno nie da mu spokoju. Była też przekonana, że nie mógł się zmienić. Z pewnych rzeczy się nie wyrasta. Wprost przeciwnie, zło z biegiem czasu staje się coraz bardziej straszne.

Od zabójstwa wiele się zmieniło. Zwykle kiedy łąziła bez celu po nocy, mogła natknąć się na ludzi siedzących w ogródkach, oglądających gwiazdy i popijających alkohol. Teraz wszyscy pozamykali się w domach. Pomimo upału i czystego nieba. Wydawało jej się, że jest całkiem sama.

Zbliżając się do ogrodzenia placu Dzieci z Bullerbyn, przyspieszyła kroku. Choć życie było jej niemiłe, nie zamierzała go zakończyć z potwornym bólem poszarpanej drutem kolczastym szyi.

Minęła miejsce śmierci Karin, odetchnęła i zwolniła. Zobaczyła koślawą ławeczkę, na której zawsze po szkole plotkowała z koleżankami. Usiadła. Było tu niespodziewanie chłodniej. Być może dzięki jaśminowym krzewom za plecami. I ładnie pachniało. Że też wcześniej nie przyszło jej na myśl, żeby robić tu sobie przerwę w wędrówce.

Ławka stała dokładnie pomiędzy jednymi zabudowaniami a drugimi. Oddalenie zapewniało dyskrecję i izolację.

Naraz Anchee usłyszała szmery za plecami. Odwróciła się szybko i poczuła, że pocą jej się ręce. Odgłosy jednak momentalnie ucichły, więc uznała, że to pewnie jakiś kot. Koty uwielbiają grasować po nocy.

Kot, tak, to kot, uspokajała się w myślach. I była tego absolutnie pewna aż do chwili, gdy z krzaków wysunęła się czyjaś ręka i jak wąż oplótła jej szyję.

Anchee nie zdążyła nawet pisnąć. Została wciągnięta w gęstwinę. Szybko, skutecznie i nie bez bólu. Na ustach poczuła coś wilgotnego i ciepłego. Coś, co działało z taką siłą, jakby chciało wysać jej przez gardło wszystkie wnętrzności.

13



Zuza Wolny weszła w zakładkę **MIESZKAŃCY** lokalnej strony internetowej. Kliknęła kilka razy na nazwisko **NDERSSON ANCHEE**. Jest pełny adres. Szybko przebiegła po nim wzrokiem. Ta ulica jest chyba tuż za sklepikiem z żarciem dla zwierząt, pomyślała. Czasami chodziła tam po puszki dla kotki pani Hermansson.

Nie myliła się, po kwadransie szybkiego marszu była u celu.

Numer należał do zaniedbanego budynku stojącego na wielkiej posesji z pościnanymi drzewami. Wysuszone kępy trawy i nierówne pieńki – oto cały ogród. Spodziewała się czegoś bardziej zadbanego, ze współczesnymi elementami. Gdyby nie światła w oknach, dom sprawiałby wrażenie niezamieszkanego od lat.

Musiała przejść na drugą stronę ulicy, bo na ganku paliło się światełko. Już chciała sięgnąć po papierosa, kiedy w jednym z okien rozbłysła lampa pod sufitem. Zuza zobaczyła kuchnię umeblowaną zniszczonymi sosnowymi szafkami z Ikei. A potem w kadrze okna pojawiła się sylwetka Fridy. Dziewczyna otworzyła jedną z szafek przy okapie nad kuchenką, wspięła się na palce i zaczęła czegoś tam szukać. Kiedy wyjmowała kubek, za jej plecami stanęła matka, Anchee, którą Zuza pamiętała z Naszego Brzegu. Wydawała się teraz znacznie starsza i zniszczona. Z wściekłością chwyciła córkę z tyłu za włosy i szarpnęła ją kilkakrotnie.

Rozległ się jęk Fridy, która w pierwszej chwili sprawiała wrażenie zaskoczonej atakiem, a potem odwróciła się i z wykrzywioną z bólu twarzą zaczęła okładać matkę pięściami. Ta broniła się, ale tylko przez moment, zanim zakryła twarz dłońmi i pozwoliła Fridzie szarpać się za włosy i tłuc po ramionach.

Było coś dziwnego w ich zachowaniu. Jeśli nie liczyć tego jęku, który dziewczyna wydała w chwili niespodziewanego ataku, przez uchylone okno

nie dochodziły żadne odgłosy. Zuza pomyślała, że pomimo silnych emocji obie kontrolowały się na tyle, by nie zbudzić babci. Biły się w kompletnej ciszy. W grę musiał wchodzić jakiś ważny powód, skoro w takiej sytuacji obie pamiętały o wyłączeniu fonii.

W końcu Frida wybiegła z kuchni, a krótko potem rozświeciło się okienko w dachu.

Anchee przez dłuższą chwilę płakała, cały czas w kompletnej ciszy; tylko łzy jej płynęły, a twarz tężała od bolesnych grymasów. Po kilku minutach, może nawet po kwadransie, potarła długą kuchenną zapalną i przypaliła sobie wewnątrz dłoni. Fizyczny ból sprawił, że natychmiast się opanowała i przestała płakać. Potem, niemal już całkowicie spokojna, umknęła z ramy okna. Światło zgasło.

Zuza z dużym trudem przeskoczyła przez balustradę i zaczęła się posuwać na tył domu. Od strony ogródka zakradła się pod jedyne okno na partnerze, w którym paliło się światło.

Zrobiła niewielki krok naprzód, kiedy coś na nią skoczyło, niemal ją przewracając. W ostatniej chwili utrzymała równowagę. Był to młody, mniej więcej dwuletni dalmatyńczyk, wesoły i towarzyski. Zuza, wychowana wśród psów, podrapała go za uchem i poklepała po karku, po czym ponownie zaczęła się skradać ku oknu. Niestety, pies jej nie odstępował.

Zajrzała do środka. Z włączonego telewizora sączył się jakiś miłosny dialog. W łóżku leżał Tomas Frostenson, w samych slipkach, i tępo patrzył w ekran. Obok siedziała Anchee, smarując sobie kremem obolałą twarz. Potem sięgnęła do szuflady nocnego stolika, wyjęła tubkę z innym kremem i zaczęła wcierać go starannie w dłonie. Jej ruchy były pieśczośliwe, sunęły po śliskiej powierzchni palców blisko miejsca, gdzie niedawno przypaliła się zapalną. Wreszcie wysunęła szufladę nocnego stolika, wyciągnęła długi rulon plastra opatrunkowego i zębami, jak zwierzątko, odcięła fragment i przyłożyła do ranki na skórze.

Kto kupuje taki wielki zapas plastra?

Nagle Zuza przypomniała sobie, że Karin została uduszona drutem kolczastym obwiązany prawdopodobnie plastrem opatrunkowym.

Stała przytulona do ściany domu i nie czuła już zapachu kwiatów. Serce biło jej jak szalone. Tych dwoje musiało mieć coś wspólnego ze śmiercią

Karin! To coś nie było nawet luźnym związkiem przyczynowo-skutkowym – to był konkret.

Zuza pragnęła zaczerpnąć głęboko powietrza, by w ten sposób choć trochę się uspokoić. Ale wiedziała, że jeden nieuważny ruch, a zostanie nakryta.

Była pewna, że stoi pięć metrów od mordercy Karin.

Czy jest nim Tomas, czy Anchee?

Obojga bała się teraz w równym stopniu. Nie mniej groźny wydawał się też miły dalmatyńczyk. Machał ogonem i nie spuszczał z niej oczu. Chciała być już w domu, a była w cudzym ogrodzie, w którym mogła zostać pochowana. Jeszcze tej nocy.

Zaskamlała milcząco: Jak mam, u diabła, stąd wyjść?! Ratunku!

Usłyszała męski głos; po jego rosnącym napięciu zorientowała się, że Tomas podchodzi do okna. Czuła, że gdyby nakrył ją na szpiegowaniu, nie miałyby siły ani krzyczeć, ani uciekać. Stałaby tak, sparaliżowana ze strachu, czekając na śmierć.

– Nie chcę, żeby cała okolica słyszała, jak krzyczysz z rozkoszy. Ostatecznie jestem wdowcem. – Zaśmiał się cicho i zamknął okno.

Mogła odejść. Miała nadzieję, że to nie była pułapka i kochankowie naprawdę pozostaną w sypialni.

Rzuciła kamień, a pies pognał za nim jak za piłką.

Kiedy była już przy furtce, nieco spokojniejsza, pomyślała: Czy to nie dziwne, że nie zareagowali na popiskiwanie i drapanie dalmatyńczyka?

Strach zaraz do niej wrócił. Przyspieszyła kroku. Kiedy odemknąwszy drewnianą furtkę, wychodziła na ulicę, przez moment odniosła wrażenie, że z tyłu domu ktoś znowu otworzył okno. Gwałtownie. Jakby ze złością. Mógł to być początek nieoczekiwanej kłótni między Tomaszem i Anchee. Ale równie dobrze początek pościgu.

Przyspieszyła. Postanowiła nadrobić drogi i wrócić do domu od strony pola. Nie wyobrażała sobie, by mogła przejść po ciemku obok placu Dzieci z Bullerbyn.

Kiedy przecinała pole, jej latarnią była lampka, która paliła się przez całą noc w pokoju pani Agnes Hermansson. Wydawało się, że to światło jest bardzo daleko. Dom Larsa był nieoświetlony. Pewnie gospodarz poszedł na stację po papierosy. W razie czego nie mogłaby nawet liczyć na jego pomoc.

Anchee i Tomas. Mogli ją dopaść tu, na środku pola, i załuc na śmierć jak chorego zająca. Dom też przestał być kryjówką. Przecież Tomas ma klucze do mieszkania teściowej.

Zuza znalazła się w potrzasku. Jeżeli ją widzieli, jej szyja musi się już sztywnieć na cierniowy naszyjnik.

A jednak dotarła do domu i odetchnęła, zamknąwszy za sobą drzwi. Napięcie całkowicie z niej opadło, kiedy napiła się zimnej wody gazowanej. Rozpuściła włosy, pochyliła się i poczochnęła je palcami. Ta czynność zawsze ją relaksowała.

Tym razem było inaczej.

– Bardzo ładne włosy – usłyszała za plecami głos Anchee Andersson.

Wyprostowała się natychmiast i odruchowo cofnęła o dwa kroki w stronę spiżarki.

Dzielił je tylko metr czy dwa. Czuli swój zapach, widziały wzajemną nieufność, wrogość, agresję, która tylko czeka, aż spuszcza ją ze smyczy.

– Zdziwiona moją wizytą?

– Nie, przestraszona.

– Przestraszona. Dobrze sobie! To ja się ciebie boję.

– Mnie? Mnie nikt się nie boi. Ja tylko siedzę ze starymi ludźmi. Myję ich i robię dla nich papki warzywne.

– A co robisz dla dorosłych? – zapytała Anchee. – Włazisz im do ogrodu, podsłuchujesz, podpatrujesz i co, myślisz, że masz na sobie czapkę niewidkę? Używasz zbyt mocnych perfum! Od razu cię namierzyłam, jak tylko usiadłam na łóżku w sypialni!

– Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Kiedy pracowałaś w Naszym Brzegu, też się tak perfumowałaś. Poisson. Poczciwy zapach z lat osiemdziesiątych. Mocny wieczorowy bukiet. Powtórzę jeszcze raz pytanie: Robisz z nich papkę, co? Z ludzi. Dusisz i robisz z nich mentalną papkę. Ale dlaczego Karin?

– Słucham?

– To słuchaj dalej. Ja już się niczego nie boję, a jeśli miałabym tak żyć jak teraz, a potem skończyć jak Agnes Hermansson, z rurkami gdzie tylko się da, to wolałabym, żebyś już dziś zrobiła mi kuku.

Zuza poczuła się pewniej.

– O czym ty opowiadasz? – warknęła.

– Był u mnie Tomas, mąż Karin. Podejrzewa cię o zamordowanie żony.

– Co?! Co takiego?!

– Podobno mieliście romans, Karin was nakryła i on z tobą zerwał.

– Nawet mnie nie dotknął. Nigdy bym mu na to nie pozwoliła. To ty jesteś jego kochanką. To ty miałaś motyw. Widziałam, jak w dniu morderstwa włóczyłaś się wokół placu – skłamała Zuza.

Anchee zagryzła wargi i nerwowo poprawiła włosy.

– Powiedziałaś o tym policji?

– Nie.

– A Gustavssonowi? Albo Ingrid? Ona też sprząta u Gustavssona, wszystko mu mówi. Może też mu obciąga, kto ją tam wie. Mówiłaś jej?

– Nic nikomu. Nie jestem kapusiem. Niech szukają ci, co biorą za to kasę.

Anchee nieco się rozluźniła. Usiadła przy kuchennym stole i wyciągnęła nogi. Zaczęła mówić. Jej słowa mogłyby sugerować, że się tłumaczy, gdyby nie ton. Nieznoszący sprzeciwu.

– Nie zabiłam Karin, a z Tomaszem przespałam się tylko dziś. Nie wiem, co mnie napadło. Natknęliśmy się na siebie całkiem przypadkiem. Nawet mnie przestraszył. Zaszedł od tyłu i...

– I...?

– Pocałował. Na siłę. Od razu w usta.

– W usta?

– Zgorszona?

– Nie.

– To dobrze, bo wcale się nie broniłam. Komuś, kto jest w żałobie, należy się przecież odrobina rozkoszy, czyż nie?

– Ktoś, kto jest w autentycznej żałobie, nie myśli o rozkoszy – wymruczała Zuza.

– Nic nie wiesz o bólu, nic a nic, ale to może dobrze. Nie życzę ci tej wiedzy.

– Mój brat ma zespół Downa. Od piątego roku życia biłam się z każdym, kto się z niego naśmiewał. Jeśli chodzi o ból i upokorzenie, to zaliczyłam wszystkie uniwersytety świata.

Anchee Andersson wydawała się zaszokowana, przez moment nic nie mówiła. Potem, jakby nigdy nic, dokończyła wątek z Tomaszem, lecz jej ton nie był już tak oschły.

– Wylądowaliśmy u mnie. Do niczego nie doszło. Nie mógł. Pociężyłam go, że to na pewno wina stresu. Potem trochę pieszczot francuskich. Nie lubię tego. On chyba też. Ale obydwójce dzielnie udawaliśmy, że nas to rajcuje i że mieliśmy orgazm.

– Ach, więc udaje się nie tylko przy mężu? – spróbowała zażartować Zuza.

Anchee uśmiechnęła się blado.

– Tomas chciał numer telefonu psychiatry, który wizytuje pacjentów w Naszym Brzegu. Był zdruzgotany i potrzebował się farmakologicznie wyciszyć.

– Aktor. Tyle że ja się poznałam na jego kiepskiej grze. Był tu zaraz po morderstwie i miał się świetnie.

– Żałuję, że zaprosiłam go do siebie. Trzeba to było zrobić w polu. Jak zwierzęta. Wymacać się i pójść każde w swoją stronę. A tak... Moja córka nas nakryła. Nie było miło. Tomas... może on zrobił to Karin? To głupia myśl, ale...

– Myślę, że to Lars. Znasz go... ten fotograf.

Anchee zeszywniała.

– Trzeba zastawić na niego pułapkę – powiedziała po chwili, wstając. – I muszą to być potężne wnyki. Niech w nie wpadnie i powoli się wykrwawi.

Zuza osłupiała. Powodem aż tak wielkiej nienawiści może być tylko dawna miłość.

– Nie wystarczy znalezienie dowodów dla policji? Chcesz, żeby się męczył?

– Nie wykupi się nawet największymi cierpieniami – odparła Anchee, unikając jej spojrzenia.

Miała tylko jakieś dwadzieścia minut, zanim Olsson wróci ze sklepu, ale kiedy weszła do jego domu, po prostu nie mogła zacząć szukać. Stała jak wryta, macając wzrokiem wewnątrz i wyłapując przedmioty, które dotąd znała jedynie z prasowych i internetowych wizerunków.

Miał sporą kolekcję mebli Poula Kjærholma, ale już pierwsze spojrzenie utwierdziło ją w przekonaniu, że albo sam się zna na wzornictwie, albo miał dobrego doradcę. Zarówno stolik do kawy, jak i trzy krzesła, na których leżały książki, były unikatowe, a komoda należała do tych najbardziej poszukiwanych przez koneserów. Podeszła bliżej,

pogładziła krzesła, wyczuła fakturę teku i odczuła przyjemność, jakby dotykała nie drewna, lecz puchatego zwierzątka. Jej wzrok padł na albumy. Żadnych fotografii, tylko reprodukcje obrazów Balthusa. No tak, nie musiała wertować, by wiedzieć, że pełno na nich dziewczynek w niewinnych i zarazem perwersyjnych pozach.

Było też oświetlenie firmowane przez Poulsena, ale nie przepadała akurat za tymi modelami. Przez otwarte drzwi do sypialni zauważyła nad łóżkiem lampę Lucellino zaprojektowaną przez Ingo Maurera. Jej ozdobą były charakterystyczne anielskie skrzydełka wykonane z prawdziwych gęsich piór. Czy to właściwy design nad łóżkiem macho? A może lampka ma się podobać osobom, które zaprasza do sypialni. Piórka, lekkość, anielskość. Czyż nie są to atrybuty rozkwitających dziewczynek?

Trochę mebli z Ikea, sprzęt kuchenny w stylu vintage. Wszystko to doskonale współgrało z oryginalną stolarką drzwiową oraz starą podłogą z desek. Widoczna patyna tylko wydobywała chrom z innych dodatków.

Podeszła pod okno, to tu go zazwyczaj widywała. Na stole stał laptop, obok krzesło o czystej, wręcz krystalicznej formie. Dzieło anonimowego stolarza ze Skanii mogło się równać z najlepszymi wyrobami dansk modern. Usiadła i zrozumiała, że właśnie za ten smak wygody kocha Szwecję.

Pomimo wewnętrznego napięcia uśmiechnęła się, kiedy pod szerokim parapetem zauważyła krzesło na płozach, słynne RAR projektu Eamesów. Swoją kolekcję zaczynał chyba od tego mebla. Jak wielu.

Stół był przykryty grubym przezroczystym szkłem. Nie lubiła tego, ale między blatem a taflą zauważyła plakat Aage Rasmussena, wykonany na zamówienie Kolei Duńskich w 1950 roku.

Wreszcie dotknęła klawiatury laptopa. Miała rację, stary dureń się nie wylogował. Szybko weszła w kilka plików. Nie zawierały niczego istotnego. Ale już po chwili była w katalogu **MY PAST** i otworzyła plik **PRESSBOOK**. Zrobiło jej się gorąco, chociaż wydawało się, że przy tym upale już bardziej duszno być nie może. Wiedziała, że właśnie ściągnęła maskę z twarzy swojego sąsiada Larsa Olssona. Doskrobała się do jego prawdziwego życia, które z jakichś powodów chciał unieważnić i od którego zdecydował się uciec nad mało atrakcyjne jezioro, do niewygodnego domku po rodzicach.

Usłyszała głosy na drodze i zobaczyła, jak nadchodzi Olsson z Fridą. Panika i strach nie sparaliżowały jej ruchów. Wpełzła pod stelaż materaca, który okazał się niższy, niż sądziła, widząc go z pewnej odległości. Musiała leżeć jak pojmany żołdak, na płasko, z twarzą rozpląszczoną na podłodze. Sukienka jej się zahaczyła, i całą pupę i uda miała na wierzchu.

Lars i Frida rozmawiali o fotografii. Właściwie to on mówił, a ona słuchała. Puszył się i tokował jak samczyk alfa.

Zuza była pewna, że jest napalony na tę małą. Tylko dlaczego ona prawie się nie odzywała, a wychodząc, powiedziała tylko jedno zdanie?

– Muzyka INXS jest taka stymulująca.

Olsson nie odezwał się.

Zuza nie wiedziała, czy mała mówiła do niego szyfrem, czy też wyraziła swój gust muzyczny. Zupełnie nie à propos, ale taka jest młodość. Odzywa się niepytana i mówi, co jej ślina na język przyniesie.



Anchee Andersson otworzyła oczy. Leżała na brzuchu, z dziwnie skręconym tułowiem, na środku swojej sypialni. Ręce pod toaletką, dłonie zaciśnięte w pięść, a stopy pod łóżkiem. Miała na sobie dres i prawie nieużywane adidas. Pamiętała, że biegła od Zuzy całą drogę, by pozbyć się Larsa z głowy, a po powrocie znów ją napadło i zrobiła sobie lekodrinka. Dobrze, że podczas tego sztucznie wywołanego snu mimowolnie nie oddała moczu.

Poruszyła się, żeby wyciągnąć kończyny spod mebli. Wzmógł się odruch wymiotny. Miała wrażenie, że głowa rozpadnie jej się na kawałki jak w tych kretyńskich kreskówkach, których powinni zakazać. Wszystko ją bolało. Ból był nie tylko fizyczny.

Rozmowa o Olssonie ożywiła też inne wspomnienia. W tym dawną sprawę, którą Anchee zaważyła. Ostatnie spotkanie z Karin Frostenson i Mathilde Rosmussen. Właściwie to one pierwsze do niej zadzwoniły, prosząc o spotkanie. Zdziwiła się, bo odkąd skończyły piętnaście lat, przestały nawet na siebie patrzeć. Po śmierci Marie. Z całej paczki zostały tylko tamte dwie. Szczepione ze sobą jak siostry syjamskie.

Kiedy się z nimi spotkała dwa lata temu w dusznej, pseudoprowansalskiej knajpie w Vimmerby, okazało się, że chcą od niej czegoś w rodzaju zaświadczenia czy listu polecającego. Miała napisać, że są odpowiedzialne, czułe, opanowane i zrównoważone, nigdy nie przejawiają agresji, lubią dzieci i zwierzęta.

Kiedy zapytała, dlaczego ona ma to napisać, natychmiast zgodnie odpowiedziały:

„Bo jesteś psychologką”.

„Ale specjalizuję się w pomocy osobom w podeszłym wieku”.

„Co z tego? – Tym razem zabrała głos Mathilde. Była bardziej pewna siebie niż Karin. – Ważne, że masz kwalifikacje i znasz nas od dziecka”.

„Nie wiem, czy mogę to zrobić...”

„Chyba nawet musisz” – odparła Mathilde i spojrzała na nią ostro. Ten wzrok piranii miał dodać jej siły i zmusić Anchee do uległości.

„Dlaczego musisz? Nie musisz. Nic nie musisz”.

„Wykasowałaś sobie wszystko? Masz coś z głową?! Przypomnieć ci?! Przecież to ty przynosiłaś te zdjęcia od niego. Odświeżyć ci to i owo? Jeszcze bardziej? Co?! Razem nas szantażowaliście”. – Mathilde ściszyła głos, ale brzmiał on bardziej opresyjnie. Syczała, nachylając się nad blatem.

„Po co wam te zaświadczenia?” – zapytała Anchee, a one rozluźniły się w jednej chwili, bo jej ciekawość wzięły za znak zgody.

„Nieważne”.

„Skoro miałabym, jak rozumiem, wystawić wam certyfikat zdrowia psychicznego, wolałabym...”

„Nie możemy powiedzieć, wygadasz się”.

„Nic nie powiem”.

„Anchee... – Mathilde znowu pochyliła się nad blatem i zniżyła głos. – Wszyscy wiedzą, że jesteś ćpunką i jak będziesz na haju, wszystko wypaplesz”.

„Nie jestem żadną ćpunką” – zaprotestowała. W swoim głosie dosłyszała płaczliwą nutę.

„Okay, okay. Jesteś lekomanką, tak lepiej? – poprawiła się Mathilde i rozejrzała dokoła, a potem ze sztucznym uśmiechem popatrzyła na Anchee. – Szantażystki tak kończą. Musi być przecież jakaś sprawiedliwość na tym zasranym świecie”.

„Nie możemy ci powiedzieć”. – Głos Karin nie brzmiał pewnie.

„Nikomu nie powiem” – wydusiła z siebie Anchee i poczuła się jak mała dziewczynka, która chce sobie zaskarbić względy koleżanek z piaskownicy.

„Słowo lekomanki, tak jak ćpunka, się nie liczy” – oznajmiła Mathilde, a Karin mitygującym gestem położyła jej dłoń na ramieniu.

„Nie powiem. Przecież tyle lat trzymam nasz sekret”.

„Nasz? Napiszesz czy nie?” – naciskała Mathilde.

Anchee podniosła się i na miękkich nogach wyszła z restauracji. Nie wiadomo, czy była to ucieczka, czy akt samoobrony. Czy może przejaw aroganckiej dumy, o którą jest posądzana przez ludzi znad jeziora Skiresjön.

Tuż przy drzwiach ozdobionych sztucznymi drzewkami oliwkowymi minęła kelnera niosącego sałatkę z kalmarami. Zrobił zdziwioną minę, widząc, że wychodzi przed jedzeniem, i to z naburmuszoną gębą.

Pojechała prosto do domu. Chociaż była pora lunchu, miała wrócić jeszcze do pracy. Aby jednak zapomnieć o słowach Mathilde, że wszyscy uważają ją za ćpunkę i lekomankę, musiała sobie zrobić swojego lekodrinka. Osunęła się po nim na bawełniany chodnik przy łóżku.

Obudziła się późnym wieczorem, a w telefonie było tysiąc nieodebranych wiadomości z Naszego Brzegu. Ten obleśny dyrektor znowu chciał ją dopaść. Wiedziała, że nie poszukuje jej w związku z problemami pacjentów. Chce ją upokorzyć. Zagrozić, że ją zwolni. I dopiero wtedy pójdzie na dno! Za co kupi prochy? Za co wykształci córkę?

Jens Wastberg pełnił rolę jej anioła stróża, pilnował, żeby miała pracę i trzymała się na powierzchni. Chciał za to tylko jednej przysługi. Raz w miesiącu musiała przed nim ukłęknać, wybrać z rozporoka jego żyłatego penisa i włożyć go sobie głęboko w gardło. To wszystko. Nie musiała się ruszać, stękać ani go lizać. Dyrektor tego nie lubił. I tak dochodził szybko. Kiedy był już blisko, chwycił ją oburącz za szyję, dusił, ale Anchee lubiła ten ból. Był to dla niej sygnał, że zaraz wytryśnie, a ona będzie mogła uciec do łazienki i umyć zęby. Chociaż kiedy to robiła, za każdym razem miała wrażenie, że nawet gdyby szorowała wewnątrz ust drucianą szczotką i polewała dziąsła płynem do czyszczenia sedesu, to i tak nigdy już nie będzie czysta.

Tomas Frostenson czuł piasek pod oczami, mrowienie w krzyżu i drętwienie prawej ręki, którą niefortunnie podłożył pod odcinek lędźwiowy kręgosłupa, by zminimalizować dyskomfort. Całą noc spędził na szezlongu. Ta podróbka Corbusiera kosztowała majątek, ale Karin właśnie o coś takim marzyła. Mebel kupili na eBayu, a przyjechał do nich aż z Hanoweru.

Tomas od śmierci żony prawie nie spał. Żałoba zżerała go od środka. Czuł namacalny fizyczny ból w okolicach mostka. Dziwny ból, jakby tęsknota za żoną przybrała postać gryzonia kąsającego go w osierdzie.

Nie przypuszczał, że będzie tak to przeżywał. Od kilku lat nie kochał już Karin. Walka z jej bezpłodnością, nieustanne próby poczęcia dziecka sprawiły, że seks przestał być spontaniczną radością, a stał się pańszczyzną odrabianą według wskazań kalendarzyka owulacyjnego.

Teraz, kiedy jej zabrakło, zrozumiał, że nie była mu obojętna. Może kochał ją bez fizycznego pożądania. Inaczej, bardziej po bratersku, po przyjacielsku, już nie erotycznie. Zmuszał się do każdego stosunku i błogosławił kolki Paris, bo dzięki nim oboje byli niewyspani i zbyt zmęczeni, by udawać, że im zależy.

Ich sytuacja finansowa diametralnie się poprawiła. Mogli spełniać swoje zachcianki, kupować, co chcieli, zmieniać wystrój domu zgodnie z bieżącymi trendami w dekoratorstwie. Ich małżeństwo przypominało doskonale prosperującą firmę, zdradę można było wrzucić w koszty.

Postrzegał Karin jak zaufaną powiernicę. Było to uczucie tak intensywne, że wiele razy chciał jej się zwierzyć, że kochał się z Singrid Petrell, jej ginekolożką. Do zbliżenia doszło w saunie, w noc świętojańską. Stosunek był krótki, a wytryskowi właściwie nie towarzyszyło żadne ekstatyczne uczucie, a jednak serce Tomasa długo jeszcze biło szybko i miłośnie, kiedy patrzył na Singrid, jak odprężona jego pieścizotami przechadza się z kocim wdziękiem wśród innych gości. Była znacznie starsza od Karin, nie miała jej jędrnego ciała, ale efekt nowości z nawiązką to rekompensował.

W dodatku – zauważył to dopiero, dopuściwszy się niewierności – Karin była w łóżku odważna, lecz jednocześnie sztywna. Przypominała gumową lalkę: można było jej wsadzić wszędzie wszystko, ale oprócz przyzwolenia nie otrzymywało się nic. Jej pipka, przez którą nigdy nie przeszło dziecko, była węższa od waginy Singrid, matki dwóch synów, ale odnosił wrażenie, że jest kieszonką z lateksu – ściśle go obejmuje, sprawia rozkosz i jednocześnie ból, bo nie ma w niej dostatecznej wilgoci.

Dziwne, ale od śmierci Karin nie miał ochoty ani się kochać, ani nawet rozmawiać z Singrid. Poczucie winy wykastrowało go skutecznie. Ona tymczasem dzwoniła kilkakrotnie. Za każdym razem Tomas odkładał słuchawkę. Napisał do niej maila z prośbą o podarowaniu mu trochę czasu na przeżycie żałoby.

Singrid Petrell odpisała kilka miłych, krzepiących zdań, że go rozumie i cierpliwie czeka, chociaż myśli, że „żałoba” nie jest tu najważniejszym słowem. Tomas nie wiedział, o co jej chodzi. Przecież każda noc zamiast snu przynosiła mu potworne zmęczenie.

Usłyszał, jak Annika schodzi do kuchni po wodę dla Paris, i szybko zamknął oczy. Niech myśli, że śpi.

Odegrał to tak doskonale, że kiedy szwagierka wracała, spał już mocno, nie śniąc o niczym.

Lars Olsson udaje, że ogląda batony czekoladowe w sklepiku na stacji benzynowej.

Frida udaje, że ogląda gazety na stojaku przy kasie. W głowie huczy jej piosenka, która od kilku dni łązi za nią wszędzie jak pies.

So happy I could die. Be your best friend. Yeah I'll love you forever. Up in the clouds. We'll be higher than ever. Eh-eh. Eh-eh. So happy I could die. And it's alright...

W sklepie jest trochę ludzi, nic nie kupują, piją kawę z plastikowych kubków i rozmawiają o śmierci nad jeziorem.

Dlatego Frida i Lars udają, że są sobie obcy. Ta sytuacja wywołuje w nich przyjemny stan napięcia. Kiedy inni wydają się przygnębieni, oni mają ochotę wybuchnąć śmiechem.

Oczy Fridy mają kształt migdałów. Lars zauważył, że to przez ten wykrój powiek wygląda na smutną, nawet gdy parska śmiechem. Tęczówki ma ciemnobrązowe, bez tej głębokiej, matowej czerni, jaką zapamiętał ze spojrzeń Anchee. Brwi są wydepilowane, a rzęsy pogrubeone tak intensywnie, że nabrał pewności, że muszą być sztuczne.

Ciało ma kruche, kolana kościste, a palce dłoni wyjątkowo ruchliwe. Albo bawi się bransoletkami, albo drapie łydkę, albo poprawia włosy. Piękna, niezwykła, oryginalna, zjawiskowa. Te przymiotniki mógłby ciągnąć w nieskończoność.

Nagle Frida wychodzi, włożywszy do ust rulon gumy do żucia, Lars prawie za nią wybiega. Dziewczyna wskakuje na rower i pedałuje zawzięcie, żeby nie mógł jej dogonić.

Lars uśmiecha się, patrząc na kurzawę, jaką wznosi jej rower na wyschniętym piachu. Wie, że już niedługo wróci. To tylko kwestia czasu, powiada jakiś głos w jego umyśle. Zbyt nienawidzi matki, by dzielić z nią nienawiść do mężczyzny. Anchee tym razem przegra.

Ingrid wyszła w nocy, żeby popływać. Kąpiele w jeziorze zastępowały jej moczenie się w wannie. Pływała zawsze około godziny, dopóki nie poczuła silnego zmęczenia w okolicach barku. Potem rzucała się na piasek i uspokajała oddech po wysiłku. Czuła się czysta, lekka i wiedziała, że szybko i mocno zaśnie.

Tej nocy wydawało jej się, że ktoś ją obserwuje. Stoi za jednym z drzew, całkiem blisko, i szura nogą o igliwie. Albo był to nerwowy, nieświadomiony ruch, albo chciał, żeby go usłyszała. Za każdym razem, kiedy ów szmer dochodził do jej ucha, przebiegał ją dreszcz, lecz bardzo się pilnowała, by tego po sobie nie okazać. Poleżała trochę dla niepoznaki, udając, że nic nie zauważyła. Ale serce biło jej tak szybko jak po dwudziestu minutach krawla.

Potem wstała, zgarnęła rzeczy i poszła w stronę domu. Kiedy już się do niego zbliżała, zdała sobie sprawę, że wraca całkiem nago. Ze strachu zapomniała się ubrać!

Ten strach towarzyszył jej przez całą drogę. Podobnie jak szelest. Za plecami słyszała szuranie o igliwie. Nie weszła do domu, tylko wsiadła do samochodu i zablokowała zamki w drzwiach. Po jakimś kwadransie zaczęło się robić gorąco, ale siedziała bez ruchu. Było cicho, głęboka noc, jasna jak zawsze latem i tajemnicza w swojej poświacie. Kiedy strach ustąpił i nawet pomyślała, że zaraz zaśnie, ktoś mocno uderzył w karoserię w okolicy tylnego zderzaka.

Ingrid podskoczyła i zajęczała ze strachu. Schowała twarz w dłonie. Jak dziecko, które chce być niewidzialne.

W tygodniu, który nadszedł po ucieczce Anchee z restauracji Provence, Mathilde dzwoniła do niej kilkakrotnie, pytając, czy napisze im to, o co prosiły. Za każdym razem Anchee bez słowa odkładała słuchawkę.

Telefony się skończyły, a potem dowiedziała się, że Karin i Mathilde urodziły dzieci. Jednak ponad miesiąc temu ponownie zadzwoniły i chciały się z nią umówić. Głos Mathilde brzmiał jak zwykle bardzo zdecydowanie. Przypominał Anchee głos jej ojca. Nawet ta lekka chryпка. Może z tego powodu nie chciała przedłużać konwersacji i już miała się rozłączyć, gdy Karin szybko przejęła słuchawkę i powiedziała, że nie chodzi o żaden papier, tylko o poradę.

„Psychologiczną?” – wydukała Anchee.

„W pewnym stopniu, ale nie odmawiaj, proszę, to może też dotyczyć ciebie”. – Głos Karin był jak zwykle łagodny, lecz podszyty dziwnym lękiem.

Anchee nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego znowu odłożyła słuchawkę. Może mechanizm ucieczkowy był jedynym przejawem tego, że jakoś funkcjonuje.

Teraz, kiedy Karin nie żyła, chciała to w jakiś sposób naprawić i poszukała numeru Mathilde. Zadzwoiła. Abonent był poza zasięgiem.

Zeszła do pokoju w prawym skrzydle Naszego Brzegu, który zajmowała matka Mathilde, Anne Rosmussen.

– Chciałabym się spotkać z pani córką. Kiedy przyjdzie w odwiedzinach?

– Nieprędko. Mały jest bardzo zajmujący – odpowiedziała pensjonariuszka. Kolorowała obrazki w książeczce dla dzieci małymi woskowymi kredkami.

– Proszę dać mi znać, jak się pojawi.

Staruszka kiwnęła głową i wysunęła koniuszek języka, pomagając sobie w ten sposób w pracy.

Po powrocie do swojego gabinetu Anchee zadzwoniła do pokoju opiekunek i poleciła im, by ją powiadomiły, jeśli panią Rosmussen odwiedzi córka.

Właśnie gdy Lars Olsson zamierzał porzucić mięśnie pleców, zadzwonił telefon.

– Nadal nie masz ochoty na seks? – usłyszał gardłowy głos Larissy. – Jestem prymuską w nurkowaniu między kolana. – Roześmiała się mocno i szczerze, ale krótko.

– Czego chcesz? – odpowiedział odrobinę niegrzecznie, lecz ona wcale nie poczuła się urażona.

– Mam viagrę. Chyba ci pomoże, co? – zachichotała.

– Przestań.

– Nadal bawisz się w Sherlocka Holmesa?

– Chcesz być moim doktorem Watsonem?

– Myślę, że to ty chcesz być moim doktorkiem. Albo Jamesem Bondem, a ja będę twoją dziewczyną Bonda. – Zawiesiła na moment głos, a potem dodała poważnym tonem: – Jeżeli nadal interesuje cię nasza nieodżałowana lokalna święta, przyjedź zaraz na tył warsztatu mojego ojca. – Rozłączyła się.

Był tam szybciej, niż się spodziewała.

Dom Larissy Edwardsson i jej ojca okazał się, o dziwo, dobrze utrzymanym sporym budynkiem z nowo dobudowanym ogrodem zimowym. Konstrukcja była brzydka, aluminiowa, ale na szczęście w znacznym stopniu zasłaniała ją roślinność. Wszędzie było dużo kwiatów, niestety, wszystkie w kolorze, jakiego nie lubił – czerwonym.

Larissa zachowywała się przyzwoicie. Ubrana w granatową sukienkę, rozpuściła włosy i chyba przed przyjściem Larsa pomalowała usta. Jednak ślady szminki były już tylko na zębach.

Olsson usiadł w wielkim pluszowym fotelu, który zapewne, jak wszystko w domu, został kupiony w komisie z meblami holenderskimi.

Larissa zaparzyła dobrą smolistą kawę w małym żeliwnym tygielku i dołała do filiżanek prawdziwej wiejskiej śmietanki.

– Nie mam ciastek ani niczego słodkiego – wyznała. – Dbam o linię – dorzuciła z uśmiechem.

Lars nie wiedział, czy żartuje, czy mówi serio. O jaką linię, skoro jest otyła? Jednak poruszała się energicznie, bez ociężałości.

Chyba czytała w jego myślach, bo dodała:

– Chociaż są podobno kochankowie, którzy to lubią.

– Mężczyźni tylko się modlą w gotyckich kościołach, poza nimi preferują barok – rzucił, żeby się zrewanżować.

Wybuchnęła tym swoim dudniącym śmiechem, ale był pewien, że nie zna się na stylach w architekturze i nic nie rozumiała.

Począł, aż zamilknie, popił kawę, z radością odkrywając, że z każdym łykiem jest lepsza, po czym skierował rozmowę na właściwe tory.

– Czegoś się dowiedziałas o Karin?

– Anchee chyba maczała palce w jej śmierci – obwieściła Larissa i spojrzała mu głęboko w oczy.

– O czym ty mówisz?

– Pamiętasz, jak się przyjaźniły...

– Fakt. Karin patrzyła w Anchee jak w obrazek. Wtedy była biedna, a ta miała wszystko.

– Córeczka doktorka była gwiazdą naszego dzieciństwa. Tego nie da się ukryć.

– Pamiętam... Anchee i Karin zawsze razem, jakby ktoś je zszył.

– A potem rozpruł – rzuciła Larissa i wskazała na niego palcem.

– Że niby ja zniszczyłem wielką kobietą przyjaźń?! Przestań! Żadna mnie nie kochała.

– Wiele razy słyszałam od Karin, że to przez ciebie zerwała z Anchee.

– I co z tego? Nawet jeżeli tak było. Sugerujesz, że kiedy wróciłem w rodzinne strony, miłość Anchee do mnie wybuchła z taką siłą, że ta

eliminuje wszystkie potencjalne kandydatki na damy mojego serca? – Lars mówił wolno, popijał gorzki płyn, a jego głos nie brzmiał ironicznie.

– Pochlebiasz sobie. Ciągłe sobie pochlebiasz, Lars. Nic się nie zmieniłeś. Zarozumialec.

– Bo tak kierujesz rozmową.

– Wrzucam ci tylko swoje przemyślenia.

– No i...?

– To musiała być wielka kłótnia, skoro później już nie podały sobie ręki. My, dziewczynki, często się kłócimy i przepraszamy. – Przerwała na moment. – Wiesz co, Lars, myślę, że to nie było pierwsze morderstwo w naszej pięknej okolicy.

– O czym ty mówisz, dziewczyno?

– Nic nie wiesz. Jeździłeś sobie po świecie i nawet gdybyśmy tu wszyscy skoczyli sobie do gardeł i się podusili, miałbyś to w dupie.

– No dobrze. Okay. Kto jeszcze zginął?

– Stary Andersson.

– Nasz poczciwy lekarz? Ręce, które wynosiły nas z łon matek na ten świat? A więc jego też zamordowano? Czy ktoś o tym wie? – zapytał, robiąc minę, jakby zamierzał się roześmiać, ale po prostu zachciało mu się kichnąć.

– Nie śmieć się.

– Kiedy zmarł?

– Jakieś dwa lata temu. I powtarzam: chyba nie zmarł.

– Chyba. A więc jednak chyba.

– Nie chyba, tak tylko mówię.

– To jakaś puenta?

– Wypadł z okna. Miał siedemdziesiąt dwa lata, był po udarze, chodził z balkonikiem, ale pewnej bardzo srogiej zimy otworzył okno, przeszedł przed parapet i przeskoczył wysoką balustradę.

– Czyli nabrał niespodziewanej krzepy.

– Śmierć musiała go bardzo wołać – powiedziała Larissa strapionym głosem i zaraz znów zarechotała. Wargi odsłoniły zęby i dziąsła, wyglądała jak kobyła, która się śmieje. Tak pomyślał o niej Lars, a jednocześnie poczuł, że bardzo ją lubi. – Mają tam całkiem niezły balkon. Dobra trampolina na tamten świat.

– Czy żona doktora jeszcze żyje?

– Matka Anchee ma się bardzo dobrze.

– Nadal mieszka w tym domu...?

– A gdzie indziej? Nie udawaj, że nie wiesz – powiedziała nagle smutno. – Mieszkają tam gdzie zawsze. Z balkonu doktora Anderssona jest chyba piekielnie piękny widok na plac. – Starła się nadać głosowi poważny ton. – Mało jest tu atrakcji, trzeba je sobie samemu wynajdywać. Ten balkon dobudowali rok przed śmiercią pana domu. I po co? Budowali balkon, a dach wymaga gruntownego remontu – oznajmiła rzeczowo, już bez cienia smutku czy radości.

Skończyli kawę i odprowadziła go do samochodu. W ogrodowej szopie paliło się światło, a na zewnątrz siedział ojciec Larissy. Zgarbiony, rozsypywał kłębowisko starego drutu. Musiał wziąć ich za pokątnych kochanków, bo rozpromienił się na widok Larsa. Jedyne go mężczyzny, który chce jego córki.

Zuza Wolny zobaczyła, jak mała Andersson jedzie poboczem drogi. Z jej szczupłych pleców, niczym niedorozwinięte skrzydła, wystawały łopatki.

– Trzymaj się z dala od domu Larsa – powiedziała, naciskając na hamulec i zatrzymując nastolatkę.

– Bo co? Bo ty chcesz się trzymać blisko? – odpaliła błyskawicznie Frida.

– Bo niewykluczone, że to on stoi za tym morderstwem.

Dziewczyna wykrzywiła usta.

Zuza nie wiedziała, czy to grymas przyjazny, czy wrogi.

– Bo jest stary i zepsuty – dodała.

Frida z bliska wydawała się bardzo podobna do matki. Jak gdyby była jej mniej zużyta kopia.

– Masz dziecko? – zapytała z nastoletnią bezczelnością.

– Nie mam – odpowiedziała Zuza i poczuła, że jej ciało obmywa fala gorąca.

– Akurat. Tam w Polsce, co? Masz?

Zuza pokręciła delikatnie głową.

– Nie zbliżaj się do tego zbrojczy – powtórzyła cicho, automatycznie, bez nadziei, że dziewczyna weźmie sobie tę przestrożę do serca. – Jak się nazywa twój rower? – zapytała po chwili, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Alejandro – odrzekła Frida zdziwionym głosem. Przypominała teraz bardziej dziecko niż krnąbrną nastolatkę. Opadła z niej cała waleczność.

– Mój nazywał się Gucio. To było już tak dawno... Dostałam go od matki, ale powiedziała, że to od ojca. Gówno prawda. Nie kupił mi nawet zgniłego jabłka. Gucio, od Gustaw.

– Gucio, od Gustaw. – powtórzyła Frida, próbując naśladować polską intonację.

Śmiesznie jej to wyszło i Zuza się uśmiechnęła.

Dziewczyna mocno odbiła się od ziemi czubkiem buta i pojechała w stronę pól.

Lars Olsson był w tym domu tylko dwa razy. O jeden raz za dużo. To wystarczyło, by zapamiętał go dokładnie, a szczególnie jego przepastne wnętrza. Teraz dach w jednym miejscu się zapadł, a w drugim wybrzuszył. Wyglądał jak tor dla deskorolek. I te niekończące się wykusze, załamania ścian, kilka tarasów i betonowe kule przy drzwiach wejściowych – znak dawnej świetności. Z czasów, gdy przyjmował tu pacjentów doktor Kristoff Andersson.

Zaczerpnął dwukrotnie powietrza i zadzwonił. Najpierw słabo, a po chwili mocniej. I jeszcze raz. W końcu drzwi się otworzyły, wypadł z nich jakiś biały pies w czarne kropki, lecz zamiast podbiec do gościa, pognął na tył domu.

Lars z każdą chwilą tracił pewność siebie. Stał przed drzwiami i przez kolorowe szybki patrzył, jak idzie ku niemu żona doktora. Drobną, o wschodnich rysach. Doskonale pamiętał ją z dzieciństwa; w Szwecji nie było jeszcze wielu imigrantów i urodą wyróżniała się na tle roślących, płowych mieszkańców.

Kiedyś brał ją za Chinkę. Teraz, po latach podróży, gdy stanął z nią twarzą w twarz, wydała mu bardzo japońska. Miała piękne oczy, lecz typowo japońskie, niewielkie, doskonale wyprofilowane, subtelne jak małe migdały, z powiekami, które miękką linią zasłaniały tęczęwki, i bardzo smutne. Z delikatnym owalem twarzy sprawiała wrażenie kruchej i załęknionej. Zauważył, że zamyka i otwiera oczy jakby w zwolnionym tempie. Być może spała, a dzwonek ją obudził.

Ubrana w kusą halkę z jakiegoś śliskiego materiału w kolorze śmietankowym, lekko uchyliła drzwi, kryjąc się za nimi jak za tarczą.

– Słucham? – zapytała

– Przepraszam. Nazywam się Lars Olsson. Mieszkam w tym domu na górze.

– Wiem, kim pan jest. Pamiętam, jakim był pan chłopcem.

Nie lubił, gdy ktoś wspominał jego dzieciństwo, nawet jeśli nie przytaczał żadnych konkretów.

– Kiedyś miał pan tu wypadek. Rower niefortunnie najechał na jakiś wystający kamień. Było dużo krwi.

– Wypadek przed domem lekarza. Szczęściarz ze mnie.

– To ja pana opatrzyłam. A do kieszeni spodni włożyłam dwa przednie zęby. Na szczęście ładnie odrosły.

Lars stracił impet. Opowiadała o tym tak obojętnie, jakby mogła się wedrzeć do wszystkich jego wspomnień. Zastanowiło go również to, że on sam nie pamiętał tego zdarzenia. Pomyślałby, że ta starsza kobieta z kimś go pomyliła, gdyby w swoim dziecięcym pokoju, w szufladzie komody, nie znalazł kiedyś dwóch zębów, jedynki i dwójki, schowanych w białej kopercie.

– Chciałbym porozmawiać o śmierci pani męża, doktora Anderssona.

– O co dokładnie chodzi? – zapytała, ale, o dziwo, nie wydawała się zaskoczona. – Szczęśliwie nie było mnie wtedy w domu. Razem z córką zafundowałyśmy sobie zimę na Majorce. Nie wiedziałyśmy, że pielęgniarka, którą wynajęłam, cierpi na niezdiagnozowaną cukrzycę. Jak się okazało, mój mąż umiał wykorzystać jej drzemki, żeby robić to, co chciał – mówiła, uchylając drzwi tylko na dziesięć centymetrów.

– Zdaję sobie sprawę, że wracanie do tego wydarzenia może być dla pani bolesne...

– Myli się pan – przerwała mu, nadal nie zapraszając go do środka.

– Czy możemy porozmawiać?

– Przecież rozmawiamy.

– Może zaproszę panią na kawę?

– Nie przyjmuję żadnych zaproszeń.

– To jestem zmuszony zapytać wprost. Czy śmierć męża nie wydała się pani zagadkowa?

– Oczywiście – odpowiedziała z zadziwiającą szczerością.

– Z jakich przyczyn, jeśli można wiedzieć?

– Złego diabła nie bierze. Był w świetnym humorze. Do końca uwielbiał komputerowego pasjansa. Nie wyglądał na kogoś, kto chciałby

się zabić.

– A więc może ktoś mu w tym pomóc? Może jednak ta pielęgniarka?

– Nie wie pan? Była mu bardzo oddana. Ten wypadek fatalnie się odbił na jej systemie immunologicznym. Zmarła na zapalenie płuc w niecały miesiąc po pogrzebie męża.

– Na zapalenie płuc? – W tonie Larsa zabrzmiało powątpiewanie.

– Proszę nie wynajdować łańcuszka zbrodni tam, gdzie nie ma nawet jednego ogniwa.

– Może była z kimś w zмовie?

– Obawiam się, że pańska wiedza wyniesiona z tanich powieści detektywistycznych ma w tym przypadku małe zastosowanie. Z doktorem Anderssonem byliśmy małżeństwem przez czterdzieści lat i zdążyłam się już przyzwyczać

do tego, że nic po nim nie widać.

– To znaczy?

– Kobiety, romanse, flirty i jednocześnie nieustanna adoracja mojej osoby. Kwiaty, prezenty, niespodziewane pocałunki. Robił wszystko, bym się nie domyśliła, że jest notorycznym dziwkarzem. Przeleciałby każdą pacjentkę, ale im chyba się to podobało. Nawet po skrobance wychodziły z zadowolonymi minami.

– Przepraszam, nie chciałem... – wyduśił Lars, zaskoczony zarówno treścią wypowiedzi, jak i językiem pani Andersson.

– Nie ma za co przepraszać! Przecież to nie pan dosypywał mu środek na potencję do purée ziemniaczanego, tylko ja!

– Ach, tak...

– Budził we mnie obrzydzenie. Wolałam, żeby robił te rzeczy poza domem i zasypiał natychmiast po wejściu do małżeńskiego łóżka.

– Jestem wdzięczny za szczerość.

– Jaką znów szczerość! Przecież wszyscy o tym wiedzą. Widać, że jak każdy artysta żyje pan we własnym świecie, odrobinę autystycznym, ale zapewne fascynującym.

– Pochlebia mi pani. Robię tylko zdjęcia cywilów na froncie.

– Znam je, są bardzo wysmakowane. Kiedyś też chciałam fotografować, trochę się na tym znam i podziwiam pana, że może się pan tak zdystansować do cierpienia i bólu, tak pięknie kadrować, łapać światło...

Był zaskoczony, tym bardziej że wdowa po doktorze wcale nie mówiła tego ironicznie. Wolał więc szybko wrócić do zasadniczego wątku.

– Ale to dosypywanie leku, ten seksdoping dla męża cudzołożnika... Jestem pod wrażeniem.

– Dostarczanie przyjemności nie jest chyba jeszcze karalne.

– Ale wypchnięcie z okna chyba już tak.

– Z pewnością. Tyle że, jak ze wszystkim, trzeba mieć trochę szczęścia, by nie zostać złapanym.

– Albo złapaną.

– Albo złapaną – odpowiedziała z łagodnym uśmiechem. – Jest pan bardzo przystojnym mężczyzną.

– Dziękuję.

– Pan kiedyś bardzo dobrze znał moją córkę, prawda?

– Ona nigdy nie dała się nikomu dobrze poznać.

Matka Anchee znowu się uśmiechnęła. A może skrzywiła. Jej mimika była bardzo orientalna, momentami nieodgadniona. Czy tak samo było z popędem? I ile Wschodu przekazała córce, a potem wnuczce?

– Zupełnie jak moja matka – dodał po chwili. – Po jej śmierci okazało się, że nikt jej nie znał.

– Czy ona tego nie zrobiła przez mojego męża? – zapytała wdowa bez cienia sensacji w głosie. Zabrzmiało to jak beznamiętne stwierdzenie faktu.

– Nie, to chyba nie było samobójstwo. Prędzej zmęczenie. Źle rozłożyła siły i wypłynęła za daleko.

– Lars, jest pan zbyt dużym chłopcem, żeby wierzyć w takie bajeczki.

– Będę pamiętał o pani naukach.

– Powinien pan częściej odwiedzać swojego starego ojca – powiedziała z uśmiechem gejszy i skinęła mu na pożegnanie głową.

– Mój ojciec nie żyje.

Przez moment odniósł wrażenie, że chciała coś jeszcze powiedzieć. Otworzyła usta, wyciągnęła do przodu szyję. Wyglądała, jakby śniła na jawie.

Zanim zdążył podziękować, szybko zamknęła zasuwę.

Kiedy obchodził samochód, by usiąść za kierownicą, zauważył, że obserwuje go z okna. Śmietankowa halka wyróżniała ją w mroku wnętrza.

Przystanął i sięgnął po papierosa. Wypalił go do połowy, a ona nie ruszała się z miejsca. Zaciągając się, patrzył w jej stronę. Musiała wiedzieć,

że ją zauważył.

Przez moment przypominała mu ojca. W jej pochylonych ramionach była również jakaś rezygnacja. Ale wiedział już, że często to, co u ojca brał za smutne pogodzenie się z losem, okazywało się przyczajoną furią.

Ze starszą panią Andersson mogło być podobnie.

Zuza wyjęła telefon, włożyła do ucha słuchawkę zestawu głośnomówiącego i nacisnęła w menu numer Gustavssona. Wysłuchiwała kilku sygnałów, zanim odebrał, ale kiedy już to zrobił, nie musiała mówić, że to ona – rozpoznał numer jej komórki na wyświetlaczu.

Musiał mnie sobie wpisać, pomyślała i świadomość, że jest dla niego w jakiś sposób istotna, wprawiła ją w dobry humor.

– Jakies problemy? – zapytał po przywitaniu

– Jeżeli chaos w głowie od nadmiaru bodźców uznamy za problem...

– Coś się pani przypomniało?

– Raczej chciałam panu odświeżyć pamięć.

– To znaczy? – zapytał krótko, ale mogła wychwycić z jego tonu, że zachnął się i stracił pewność siebie.

– O ile lat jest pan starszy od Karin?

– Osiem czy siedem.

– Chyba da się to ukonkretnić.

– Osiem.

– Pamięta ją pan z dzieciństwa?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy mnie pani przesłuchuje.

Zabrzmiało to zabawnie i Zuza się roześmiała, ale jej rozmówcy nie było do śmiechu.

– To nie przesłuchanie. Bardziej prośba o pomoc.

– Aha.

– Całkiem niewinna.

– Czy połączona z zaproszeniem?

– Na policję?

– Skąd! Do pani. Do uroczego domku pani Agnes Hermansson na skraju uroczej miejscowości, którą upodobał sobie morderca młodych kobiet.

Nie zabrzmiało to dowcipnie, choć pewnie taka była intencja.

Zanim Zuza się rozłączyła, powiedziała tylko:

– Zapraszam na dziewiątą wieczór. Wtedy będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

– Czy mogę liczyć na polskie ciasto? – zapytał, ale odpowiedział mu tylko sygnał telefonu. Zuza nie czekała nawet na potwierdzenie.

Ależ mu się to spodobało! Ten brak dobrych manier. Włożył palec między druczane pręty klatki i z zadowoleniem poskrobał drewnianą półeczkę.

– Pan będzie dzisiaj posuwał – powiedział pieszczotliwie, a jedna z papug przekręciła szyję i zamrugała okiem. – Pan będzie dziś jebał, jebał, jebał – powtarzał jak dziecięcą wyliczankę.

Anchee poczuła silne ssanie w żołądku. Nerwowym truchtem pobiegła do swojego pokoju, przekręciła klucz w drzwiach i uklękła przed szafką pomalowaną na turkusowo. Była to szkaradna chińska masówka, która udawała mebel z epoki Ming. Kupiła ją na Allegro bez chwili zastanowienia. Szafka miała jedną zaletę: zamek szyfrowy. Ustawiła go w sobie tylko znany sposób. Potem wydobyla z wnętrza porcelanowy mózdzierz, wiklinowy koszyk z nasadzonym wieczkiem i butelkę oliwy.

Oliwa była droga, gęsta, włoska, z pierwszego tłoczenia. Tylko takiej używała, zamawiała ją dla niej Lisa Handsson.

Już trochę rozluźniona, bo miała w ręku swoje skarby, Anchee usiadła na łóżku. Prostym, z twardym materacem przykrytym zmechaconą taną kapą kupioną wiele lat temu. Sprawnym ruchem wydobyla z koszyka wielobarwne tabletki, dawno wyjęte z oryginalnych opakowań i posegregowane w przeróżnych świecących pudełeczkach, a to po dropsach, a to po czarnych guzikach czy mydle prowansalskim, które dostała od córki jednej z pacjentek.

Z każdego z tych puzderek brała po tabletkę i wrzucała jedną za drugą do mózdzierza. Potem całość rozłupała i zalała kilkoma kroplami oliwy. Łatwo dały się przełknąć, nawet bez popijania wodą.

Na zakończenie schowała wszystko z powrotem do szafki, energicznie wytarłszy przedtem mózdzierz papierową serwetką.

Z zadowoloną twarzą położyła się na łóżku i zapatrzyła w sufit. Ostatniej jesieni zaczął przeciekać dach i w rogu pokoju utworzył się wąski podłużny zaciek w kolorze ochry. Wyobrażała sobie, że to starodawne malowidło, i za każdym razem odnajdywała w nim inny kształt.

Na dole Frida puściła wodę do wanny. Jak każda nastolatka kąpała się kilka razy dziennie. Dlatego przed laty Anchee zrobiła na ich piętrze natrysk, a wannę zostawiła tylko u matki na dole. Dzięki temu mogła spokojnie przeszukiwać pokój córki, kiedy ta się kąpała. Ryzyko, że zostanie na tym nakryta, wydawało się mniejsze.

Poleżała jeszcze dobre kilka minut, obserwując, jak brązowożółty wąż na suficie zmienia swoje kształty i staje się zgrabnym kajakiem. Usłyszała stukot wielgaśnych koturnów Fridy i trzask drzwi na dole. Woda przestała płynąć. Anchee podniosła się i przemknęła do pokoju po drugiej stronie schodów.

Ciągle był tu bałagan i ciągle nic nie mogła znaleźć. Żadnych puszek po piwie wciśniętych pod łóżko, pamiętnika przyklejonego pod krzesłem ani otwartego laptopa z wpisanym już hasłem, co pozwoliłoby jej prześledzić ścieżki Fridy w sieci. Były tylko sterty dziwnych ubrań na podłodze, jaskrawopomarańczowe kozaki na parapecie, sznury tandetnej biżuterii, CD Lady Gagi, jej zdjęcia przyklejone skoczem nad biurkiem.

Magiczny koktajl zaczynał już powoli działać. Anchee robiła się senna i rozkojarzona. O mało się nie potknęła o gotycki buciór rzucony przy złotym stoliczku pokrytym różową panterką. Pomyślała, że gdyby w ostatniej chwili nie chwyciła się gzymsu, mogłaby rozciąć sobie głowę o otwarte drzwi szafy. Resztkami sił pochyliła się, żeby podnieść buciór i rzucić nim ze złością.

Kiedy jednak chciała złapać za grubo ciosany obcas, zauważyła kartkę wciśniętą w środek długiej cholewki. Wsunęła tam rękę prawie po łokieć i wyjęła zdjęcie.

Zawsze uważała, że jeśli Bóg, ten wielki pan od castingu, jak o nim myślała, istnieje i ma dobre serce, to nigdy nie pozwoli, by znowu ujrzała tę fotografię.

Trzy dziewczynki patrzące w obiektyw. Nastolatki. Jedna ciemna i dwie jasnowłose. Ona, Mathilde i Karin.

Anchee przygląda się sobie sprzed lat długo, zbyt długo, a przecież, zanim odnalazła to zdjęcie, była pewna, że umrze, jeśli choć na nie zerknie.

Pochyliła się, wkłada znaleźisko na stare miejsce. Zamyka pokój córki i wraca do siebie. Kładzie się na łóżku i po chwili słyszy, jak Frida idzie po schodach, gwizdząc jak zwykle, i zatrząskuje się w swojej pieczarze.

Anchee powoli otwiera oczy. Chciałaby, żeby zaciek był potworem, który wysunie z sufitu swój gąbczasty jęzor, mlaśnie – i będzie po niej.

Stefan Gustavsson siedział w biurze. Nie mógł się skupić. Raporty leżały przed nim jak sterta niepotrzebnej makulatury. Czytał je już tyle razy i dalej nic nowego nie przyciągało jego uwagi. Jego myśli zaprzętała Zuza. Dawno już nie był zapraszany do domku pani Hermansson. Tak naprawdę to nigdy. Czasami tylko przystawał przy płocie i patrzył na werandę. Gdy matka była w pracy, Karin przysiadowała tam z koleżankami. Śmiały się, szeptały, oglądały kolorowe czasopisma. Przygarbione, malowały paznokcie. Był od nich starszy, ale traktowały go z arogancką wyższością. Podobała mu się Karin. Najmilsza z nich wszystkich. Ale Anchee była najpiękniejsza. Pamięta, jak któregoś dnia wygrzewała się w słońcu, siedząc na schodkach, a ramiączko kostiumu opadło i prawie obnażyło jej pierś. Gapił się jak zahipnotyzowany. Aż go przepędziły. Nie Anchee, przypomniał sobie, ani Karin, ani cicha Marie, tylko Mathilde tym swoim donośnym głosem, który jeszcze długo go ścigał. Mathilde. No właśnie, ją też trzeba przesłuchać. Choć podobno zmieniła się nie do poznania. Roztyła się, siedząc w domu przy dziecku.

Wyciągnął rękę w kierunku telefonu, lecz w tym momencie rozległ się ostry dzwonek. To był Petersen, wkurzony, jękał się z wściekłości.

– Zn-n-należli kolejną bab-b-bkę.

– Co?

– To s-s-seryjny. Przyjedź na b-b-baseny. Jesteśmy od strony t-t-tych starych baraków.

I po wizycie u Zuzy!



Odkryte baseny w połowie drogi między Vimmerby a jeziorem Skiresjön cieszyły się największą popularnością w latach osiemdziesiątych, zaraz po otwarciu. Woda była tu podgrzewana, czysta i nie było wędkarzy, którzy przeganieliby hałasującą młodzież.

Kiedy w 2000 roku wybudowano nowoczesny zadaszony obiekt o gabarytach olimpijskich, z trampolinami, nowoczesnymi szatniami i natryskami, odkryte baseny wydały się niemodne jak zeszłoroczna sukienka. Teraz niszczały opustoszałe. Jak dwie gigantyczne zardzewiałe wanny porzucone w dzikich chaszczach.

To tu znaleziono zwłoki młodej kobiety i kilkumiesięcznego dziecka płci męskiej. Odkryła je para nastolatków, która na dnie pustego zbiornika chciała prawdopodobnie uprawiać seks. Ich wzrok wyróżnił ze śmietniska opadłych liści coś kosmatego, co mogło być zabitym kotem albo wzdętym, rozkładającym się szczurem, a co po chwili zostało zidentyfikowane jako chłopczyk obandażowany plastrami, z naklejonymi długimi puklami brązowych włosów matki.

Dziewczyna pobiegła w kierunku drogi wyjazdowej z miasta. Nie mogła krzyczeć. Pozostała niema przez ponad dobę. Nie mogła też bezpośrednio po odkryciu złożyć zeznań. Jej partner został znaleziony w domu swojej babci kilka kilometrów za miastem. Zamknął się w kurniku. I wyszedł dopiero po rozmowie z psychologiem.

Przyjechały dwa radiowozy, pięciu policjantów i dwie w pełni wyposażone karetki. Jedna po stwierdzeniu zgonu dwóch osób wróciła do szpitala. A doktor z drugiej ekipy czekał na przybycie lekarza sądowego. Dwóch mężczyzn w mundurach otoczyło miejsce zabójstwa prowizorycznym ogrodzeniem z policyjnych taśm. Gapiów nie było.

Stefan Gustavsson podszedł do Lisy.

– Podobno dzisiaj ktoś zgłosił zaginięcie matki z dzieckiem. Wiesz coś o tym?

– Przed godziną było zgłoszenie. Nie chcę nic mówić, ale babka wygląda na rówieśniczkę Karin, a mały ma też prawie rok, jak Paris. Ten sam cholerny zestaw.

Zauważył, że koleżanka czuje ból, kiedy otwiera usta. Za bardzo się spiekła.

Gustavsson założył ochraniacze na buty i lateksowe rękawiczki. Z trudnością się schylił, by przejść pod policyjną taśmą.

Mathilde Rosmussen została uduszona, a jej ośmiomiesięczny syn wyczołgał się z przewróconego wózka i wpadł do pustego basenu. Godziny śmierci nie da się ustalić na miejscu, zwłoki są bowiem w stanie zbyt daleko posuniętego rozkładu. Ciało Mathilde jest odęte, zmienione nie do poznania. Wydziela swoisty zapach będący mieszaniną ludzkiego kału i psującego się mięsa.

Stopy przerażająco brzydkie, koślawe, jak płetwy, genitalia obnażone, zdeformowane przez rozkład w upalnym powietrzu. Usta zapadły się w tej sonej puchlinie, widać tylko czarny język, jeden ząb, zadziwiająco biały, i szeroko otwarte oczy, wytrzeszczone. Nie ma w nich spokoju, jest tylko wyraz zacieklej furii, jakby wściekle walczyła ze śmiercią, ale lekarz w prosektorium będzie innego zdania: zero śladów walki, żadnego obtarcia naskórka, zadrapania, nawet starego sińca. Miała okres. I to wszystko.

Tylko włosy pozostały takie jak za życia, długie, miedzianopłowe, faliste. Zwisają z sekcyjnego stołu całą swoją masą, bezwładnie, momentami można sądzić, że się poruszają, falują, niespodziewanie ozywają.

– Kiedy zaginęła?

– Dwa, trzy tygodnie temu.

– To dlaczego dopiero teraz...?

– Mieszkała sama.

– Nie miała koleżanek, rodziny...

– Na to wygląda.

– Trzydziestoletnia kobieta, a jakby zaginęła osamotniona babcia.

– Co chcesz, czas rodzin wielopokoleniowych skończył się bezpowrotnie. Nie tylko cholerne babcie mieszkają same.

– Okay. Kto zgłosił zaginięcie?

– Nasz Brzeg.

– Jeszcze lepiej. Jak to?

– Ona ma tam matkę, a ta spadła z czegoś czy się poślizgnęła, więc od trzech dni próbowali skontaktować się z córką, ale nie mogli się do niej dodzwonić, ani na komórkę, ani do domu.

Niestety, podobnie jak w przypadku morderstwa Karin świadków samego zdarzenia nie było. Nikt nie widział kobiety spacerującej z wózkiem.

Co skłoniło młodą matkę do spacerowania w trzydziestostopniowym upale wśród nieczynnych basenów, które lata świetności miały już dawno za sobą?

Gustavsson wpatrywał się w zwłoki, a jego umysł pracował jakby na wstecznym biegu. Przypomnił sobie wszystkie rozmowy z Mathilde, mniej lub bardziej przypadkowe spotkania. Była zawsze taka zdecydowana, energiczna, momentami arogancka, wręcz chamska. Niemożliwe, by dała się zabić.

– Kto zgłosił zaginięcie?

– Stefan, do cholery! Przecież już ci mówiłam, że Nasz Brzeg! – zirytowała się Lisa.

– Ale kto konkretnie?

– Nie wiem.

– A możesz się dowiedzieć?

– Mogę.

Odeszła na dwa kroki i rozmawiała z kimś przez komórkę.

Po minucie obwieściła ze skwaszoną miną:

– Niejaka Anchee Andersson. Mówią, że jeśli chce, to potrafi być milutka.

– Anchee, dlaczego nic mi nie powiedziałaś o zaginięciu Mathilde Rosmussen?

– Bo nie wiedziałam, że zaginęła.

– To dlaczego zgłosiłaś jej zaginięcie?

– A dlaczego mnie przesłuchujesz?

– Nie przesłuchuję, po prostu mam wrażenie, że nie wszystko mi mówisz.

– Słuchaj, w przeciwieństwie do ciebie nie wszystko od razu kojarzę z morderstwem. Jedna z moich podopiecznych spadła ze stołka, złamała

sobie obojczyk, a ja nie mogłam się skontaktować z jej córką. Po konsultacji z personelem wydało nam się to dziwne, że nie odbiera telefonu i nie otwiera drzwi.

– Byłaś u niej w domu?

– Nie ja, tylko dwie nasze pielęgniarki, młode Polki, którym wynajmuje mieszkanie po matce. Kiedy ostatnio przyniosły jej czynsz, narzekała, że tu takie upały, a ona nie może wyjechać.

– Czy mogę porozmawiać z matką Mathilde?

– Zawsze można rozmawiać, ale czasami to tylko zwiększa ból – odrzekła Anchee i wiedział, że jej odpowiedź nie dotyczy sprawy Mathilde Rosmussen.

Frida Andersson całe popołudnie spędziła w Internecie.

Wydania internetowe gazet poświęciły drugiemu zabójstwu w okolicy parku rozrywki Astrid Lindgren sporo miejsca. Znalazł się tam opis zwłok i wywiady z mieszkańcami, w większości bardzo starymi, którzy nic nie wiedzieli, bo miesiącami nie wychodzili poza swój płot. Ale w rozmowach z prasą radzili sobie zadowolająco: ubarwiali, konfabulowali i kłamali.

Lektura artykułów nasuwała refleksję, że życie nad jeziorem Skiresjön toczy się w zawrotnym tempie i dlatego nikt tu już nie łowi ryb, bo boi się, że zamiast łososia wyciągnie ludzką rękę.

Jutrzejsze papierowe wydania poświęcą sprawie mniej miejsca. Informacja będzie lakoniczna, rzeczowa. Pozbawiony sentymentalnej i sensacyjnej otoczki fakt zginie pośród komunikatów o kolejnych ofiarach suszy, zasłabnięciach w komunikacji miejskiej, psach porzuconych przed wyjazdem na urlop, dziecku, które się odwodniło w samochodzie, podczas gdy matka była z przyjaciółkami na lodach.

Frida jest pewna, że śmierć Karin i Mathilde zostanie potraktowana jak opróżniona puszka: zdeptana i wrzucona do kontenera. Nie może na to pozwolić.

Matka Mathilde Rosmussen siedziała w rogu łóżka na krawędzi materaca. Zupełnie jak ojciec Larsa, pomyślał Gustavsson.

Jej pokój był tak samo schludny i czysty. Na stoliku widać było zdjęcie czarnoskórego kilkumiesięcznego chłopca z bukietem czerwonych polnych kwiatów.

– To mój wnusio – powiedziała pani Rosmussen.

Jej twarz była wyschnięta. Pomimo upału staruszka miała na sobie kilka bluzek oraz robioną na drutach kamizelkę, którą tworzyły różnobarwne kwadraty. Opowiadała, że córka nie wyszła za mąż. Przytrafiła jej się jakaś miłosna historia w Sztokholmie i zaszła w ciążę. Zdecydowała się zachować dziecko, mimo że nie powodzi jej się najlepiej.

– Co robi?

– Robiła. Ceramikę. Wszystkie te tanie kubeczki w kwiatki, widział pan je?

– Tak, to chyba ceramika charakterystyczna dla sklepu Karin Frostenson. W noc świętojańską każdy dostawał w prezencie filiżankę albo kubek.

– No właśnie. Mathilde jest zdolna, ale wszystko szybko ją nudzi. – Pani Rosmussen zamilkła. Jej usta pozostały uchylone.

– Z czego właściwie żyła pani córka? Czy pani wie?

– Z tego, że mnie tutaj umieściła.

– Ma pani profesjonalną pomoc.

– Podobnie jak pana ojciec, czyż nie? – odrzekła, unikając jego wzroku.

– To prawda. – zgodził się ze smutkiem.

– Mam piękny domek z widokiem na jezioro. Mathilde wynajmowała pokoje tym pielęgniarkom z Polski.

– Nie układało się wam najlepiej.

– Była takim słodkim dzieckiem. Lubiała sobie podśpiewywać, pomagała mi zmywać naczynia, ale szybko stała się dziewczyniskiem.

– Dziewczyniskiem?

– Pyskatym dziewczyniskiem latającym za chłopakami.

– I już nie było tak dobrze.

– Nigdy więcej. Ale wnusio był wspaniały. Bardzo lubię piosenki Paula Anki, to moja młodość, miałam nadzieję, że będzie do niego podobny.

– Czy wie pani, kto jest ojcem pani wnuka.

– Obawiam się, że nawet moja córka miałaby trudności z odpowiedzią na to pytanie.

– Rozumiem.

– Nie wiem, skąd to u niej. Była taka słodka i miała słuch absolutny, wystarczyła jakaś piosenka w radiu, a już ją śpiewała. – Westchnęła i podniosła się z łóżka. Odchyliła jedną nogę, jakby miała zamiar trochę

pospacerować, ale nie puszczała metalowej ramy wezgłowia. Widać było, że złamany obojczyk bardzo jej dokucza.

Gustavsson zauważył, że prawą nogę ma krótszą. Podobną do łykowatej łodygi: wyschniętą, brązową.

– Czy można zapytać, jaki był pani zawód?

– Jaki jest mój zawód – poprawiła go i ponownie usiadła, zmęczona i obolała. – Byłam pielęgniarką.

– Piękny zawód.

– Tak samo piękny jak trudny – odezwała się, zaciskając usta. Jej twarz przybrała wrogi wyraz. – Gdybym przyjęła propozycję pracy z doktorem Anderssonem, życie byłoby łatwiejsze. Ale nigdy nie lubiłam tych prywatnych gabinetów.

Gustavsson zrozumiał, że czas kończyć wizytę. Już się kierował w stronę drzwi, gdy usłyszał skrzeczący głos matki Mathilde:

– Kiedy spłonął szpital... to wtedy wszystko się zaczęło.

Odwrócił się.

– Co się zaczęło?

– Zło. Zło w ludziach. Zaczęło się rozrastać. Jak perz. – Zamilkła. Nie chciała już powiedzieć nic więcej.

Brak wody z zbiornikach ujawnił ukruszone kafelki, zardzewiałe rury, chybotliwe drabinki, na wpeł zrujnowaną wieżę do skoków obwiązaną biało-czerwoną taśmą z tabliczką: **ZAKAZ WCHODZENIA. GROZI ŚMIERCIĄ LUB KALECTWEM.**

A jednak Anchee Andersson wchodzi tam dwa dni później.

Jest sama, umówiła się z Zużą, że pomyszkują tu razem, ale nie mogła wytrzymać i wyrwała się z pracy na godzinę.

Wspina się na wieżę, dwa razy przystaje, by wyrównać zmęczony oddech, po czym idzie dalej. Nie ma jeszcze dziesiątej, ale upał już daje się we znaki. Czuje pot na plecach i w zgięciach kolan. Widok jest piękny, tylko na dole powiewają w słabym wietrze policyjne taśmy rozpięte na krzakach.

Anchee nie bała się wejść na wieżę. Dopiero kiedy z niej zeszła, poczuła się, jakby ktoś kopnął ją w trzewia, w sam środek brzucha.

Dotarło do niej, że podobnie jak na terenie zabaw, tak i tu jest obserwowana, a nawet morderca odgaduje jej zamiary, wyprzedza jej

decyzję. Skąd wiedział, że będzie się wspinała na zamkniętą dla ludzi wieżę?

Nie wiadomo kiedy Anchee zaczyna biec. Pędzi w stronę nowego osiedla, na które składa się kilkanaście domów z zieloną dachówką.

Po powrocie szybko odurza się swoim koktajlem i zasypia mocnym snem na fotelu w salonie. We śnie jest w widocznej, zaawansowanej ciąży na basenie, a potem, czymś przestraszona, zaczyna biec. Biegnie w miejscu. To koszmar. Biegnie, biegnie i boi się, że od tego biegu straci dziecko. Tak bardzo się boi.

Budzi się przerażona i widzi, że Frida stoi nad nią z tym swoim uśmiechem, pogardliwym i ironicznym, a potem odwraca się i bez słowa maszeruje do pokoju.

Anchee wciska się głębiej w fotel, chociaż zaczyna czuć, że zmoczyła tapicerkę. Wie, że już nie śni, że ma płaski brzuch, ale ciągle nie odstępuje jej lęk, czy donosi ciążę, czy urodzi za miesiąc, czy ktoś nie zajdzie jej drogi i nie wytnie włosów z tyłu głowy, by okleić nimi krocze dziecka.

Dobrze, że Frida nie jest już bobasem, myśli, zamykając oczy. Po chwili unosi powieki i w głowie ma tylko jedno: zrobić sobie mocny koktajl. Ale kiedy wstaje, mija chińską szafkę i idzie do telefonu. Zadzwońi do tej Polki i trochę z nią porozmawia.

Larissa Edwardsson coraz mniej czasu spędzała w swoim nissanie. Zaczęła też rano brać prysznic i zamiast drelichowego kombinezonu wkładać do pracy bawełniane spodnie i czerwoną bluzkę. Ojciec powiedział, że bardzo ładnie wygląda i że to jej kolor.

Całe dni chodziła wzdłuż drogi numer 40 tuż przy zjeździe nad jezioro Skiresjön i udzielała logicznych i tylko prawdziwych wskazówek, jak dojechać do miejsc obu zabójstw. Nie skąpiła też nikomu swoich wspomnień o ofiarach. W kilku gazetach ukazały się wywiady zilustrowane zdjęciami, na których wyglądała, jakby chorowała na ospę. Ale Jens, syn sprzedawcy ze stacji benzynowej, powiedział, że główniane gazety drukują na głównianym papierze, bo niczego takiego nie ma, ani na czole, ani na brodzie.

Jeden z tabloidów przeglądała Ann-Britt, właścicielka sklepu z karmą dla zwierząt. Czytała najnowsze wiadomości, najczęściej wyssane z palca, popijając kawę z tekturowego brązowego kubka.

Przyjrzała się przez moment wizerunkowi Larissy i zwróciła jej uwagę, że wygląda niestosownie.

– To znaczy? – zapytała Larissa, mając ochotę ją udusić.

– Nie denerwuj się tak – powiedziała Ann-Britt z przesadną słodyczą, jakby chciała ją jeszcze bardziej wkurzyć.

– Przecież nic sobie nie robię z gadania starych Pippi – odparowała Larissa, rzuciwszy okiem na chudziutkie rudawe warkoczyki Ann-Britt, po czym odwróciła się do niej pupą i poprosiła Jensa o kanapkę z jajkiem na twardo i plastrem wędzonego boczku.

– Po prostu myślę, że opowiadając o zamordowanych przyjaciółkach, powinnaś być bardziej zmartwiona. Lub chociaż poudawać nieutulony żal.

– To nie były żadne moje przyjaciółki – rzuciła Larissa, odwijając bułkę z folii.

– A kto? – zapytała Ann-Britt.

Na moment ich spojrzenia się spotkały i Larissa zauważyła, że ta stara ma oczy Pippi. Prowokuje ją i dobrze się przy tym bawi. To wiedźma. Stara, pomarszczona wiedźma.

Matkę Mathilde zawieziono do prosektorium. Rozpoznała córkę i wnuka. Zacisnęła usta i kazała sobie podać czarną kawę, mocno posłodzoną.

Lekarz wziął to za objaw nagłego spadku poziomu glukozy spowodowanego silnym stresem. Ale ona nie chciała żadnych badań. Chciała tylko kawy z cukrem. Przygotował ją Gustavsson i posłodził czterema łyżeczkami.

Nie rozpoznała go, podziękowała i po pierwszym łyku przedstawiła się z imienia i nazwiska. On zrobił to samo, nie wspominając, że był u niej w Naszym Brzegu, bo mogłoby to wprawić ją w zażenowanie.

– Chciałabym krzyżyk po wnuczku, nosił go od chrztu. Jestem chrześcijanką.

Gustavsson zadzwonił do kolegi, który zabezpieczał dowody.

– Żadnej biżuterii nie było, ani na niej, ani na dzieciaku.

Rozłączył się.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

– Chciałabym ten krzyżyk.

– Przyniosę go pani osobiście, obiecuję – skłamał, żeby ją uspokoić.

Ale dotrzymał obietnicy. Krzyżyk leżał w pokoju dzieciennym w mieszkaniu denatki. Był z bursztynu. Podobny do naszyjnika Karin. Tego, który morderca ściągnął jej z szyi i owinął na palcu. Jak obrączkę.

Frida weszła po wystających gzymsach na pierwsze piętro. Minęła pokój, w którym leżała stara Hermansson. W drugim unosił się zapach tandetnych perfum. Rozpoczęła przeszukanie. W kieszeni walizki upchniętej pod łóżko natknęła się na plik fotografii. Przedstawały tego samego chłopca w różnym wieku. Coś z nim było nie tak. Przyjrzała się bliżej. Zespół Downa. Były też papiery ze zdjęciem Polki, po polsku i szwedzku, tłumaczenie dyplomu. Kilka kserokopii paszportu i różaniec. Coś, co znała z wideoklipu Lady Gagi. Spodobało się Fridzie, że Polka jest katoliczką tak jak jej ulubiona piosenkarka.

Uporządkowała rozgrzebane rzeczy, wskoczyła na łóżko, umościła się między poduszkami, ruchem stóp ściągnęła koturny, odchyliła szeroki pasek przecinający ją w talii niemal na pół, dokopała się do brązowego papierosa i zapalniczki.

Wystarczyło, że zaciągnęła się kilka razy aż po koniuszki płuc, kiedy do pokoju weszła Zuza Wolny. Czubek nosa miała zabrudzony czymś brązowym. W dłoni trzymała prawie zjedzoną tabliczkę czekolady.

Zdjęcie wyglądało na stare. Trzy dziewczynki w dwuczęściowych kostiumach kąpielowych. Karin. Mathilde. Anchee. Bez uśmiechu. Smutne.

– Myślę, że to jest trop – obwieściła Frida.

– Jaki trop?

– Który doprowadzi nas do mordercy.

– Nie żartuj – zaśmiała się Zuza. – W twoim wieku ma się skłonności do fantazjowania. – I zaraz dodała: – Ale, niestety, z tego się wyrasta. Jak z chorób dzieciennych.

Pomimo to długo wpatrywała się w zdjęcie.

– Ależ one są smutne – powiedziała w końcu.

– Raczej przestraszone.

– Strachu nie widzę.

– A ja tak. Znam oczy swojej matki. Wiem, kiedy są wściekłe, kiedy smutne, a kiedy przestraszone.

– I to ma być jakiś trop, tak?

Frida przytaknęła i palcem wskazującym poprawiła kolczyk w języku.

– Na zdjęciu są trzy dziewczynki.

– To mama, to Karin, a to Mathilde – poinstruowała Frida, przykładając palec wskazujący kolejno do odpowiednich główek.

– Muszą być w twoim wieku.

– Młodsze.

– Ciekawa jestem, kto robił to zdjęcie.

– Morderca – odpowiedziała chłodno Frida.

– Zapytamy Anchee? Może pamięta.

– Ona nie wie, że mam to zdjęcie.

– Ktoś ci je dał?

– Wykopałam je.

– Wykopałaś?

– Z ziemi. Kilka lat temu. W antyogródku za domem. Tam, gdzie nie mamy ani ogródka, ani trawy, ani rabatek, ani żadnych innych pięknych, okropnych pachnideł.

– Jak się na to natknęłaś?

– Przez przypadek.

– Chcesz mi powiedzieć, że przez przypadek ryłaś trawnik? Bawiłaś się w kreta?

– Raczej w grabarza. Kopałam dół chomikowi.

– I to zdjęcie tam leżało?

– W puszcze po herbacie.

Zuza zamyśliła się na chwilę.

– Dlaczego mówisz, że mam się trzymać z dala od twojej matki? Wszystko wskazuje, że teraz czas na nią. Jest w niebezpieczeństwie.

– A więc zgadza się pani ze mną, że zdjęcie zrobił morderca?

– Jestem tego pewna.

– Dziwne. Pomyślałam, że to może moja matka je udusiła.

– Zwariowałaś?!

– Dwa czy trzy razy próbowała to ze mną zrobić.

– To znaczy... Frida... No, powiedz coś.

– Pokłóciłyśmy się i jak już myślałam, że o wszystkim zapomniała, że już jest okay, wtedy niespodziewanie zaatakowała mnie od tyłu i chwyciła za szyję.

– Mocno?

– Nie, ale czułam, że się powstrzymuje. Z całych sił się powstrzymuje.

– Dlaczego mi to opowiadasz?

– Jest pani jedyną osobą w okolicy, która zapytała mnie o imię mojego roweru.

Szybkim ruchem podniosła się z łóżka, przebiegła do sąsiedniego pokoju, na werandę i zręcznie ześlizgnęła się po chybotałej rynnie.

Kiedy Zuza podeszła do okna, ujrzała w oddali tylko niewielką postać przemierzającą się na rowerze w kierunku pól. Pomyślała, że ta mała ma wyobraźnię. Dlatego ciągle musi jej niedowierzać. Równie dobrze to ona mogła rzucać się na matkę i ją dusić.

Ta wersja byłaby zresztą bardziej prawdopodobna w moim przypadku, pomyślała. Dwukrotnie nosiła kołnierz ortopedyczny. Dwukrotnie Oskar chciał ją udusić. Za każdym razem chodziło o lody. Musiała kupować je w największych kubełkach. Jadł je prosto z opakowania, łyżką do zupy, jadł i wymiotował, i jadł.

Hipoteza o wyjątkowości tego zdjęcia została potwierdzona już wieczorem. Zuza jak zwykle siedziała przy łóżku pani Hermansson i masowała jej narażone na odleżyny stopy. Zdjęcie dziewczynek oparła o nocną lampkę i popatrywała na nie raz po raz, żeby stymulować wyobraźnię. Co zerwało tę przyjaźń? Rywalizacja o Larsa?

W pewnym momencie, kiedy skończyła masaż stóp i przewracała panią Hermansson na prawy bok, żeby rozmasować jej plecy, wzrok chorej padł na fotografię. Kobieta wydała dziwny jęk, jaki zwykle przypisuje się wielkiemu bólowi, i zacisnęła dłoń na ramieniu Zuzy. Ta oswobodziła się i szybko wyniosła zdjęcie z pokoju. Kiedy wróciła, zobaczyła, że staruszka rozerwała sobie pampers i z całą siłą próbowała wyrwać kropiówkę z żyły.

Pani Hermansson złagodniała dopiero po zastrzyku uspokajającym. Dla Zuzy był to sygnał, że zdjęcie trzech przyjaciółek z dzieciństwa skrywa coś większego niż tylko banalną kłótnię o chłopaka.

Wpatrywała się w dziewczynki. Kostiumy kąpielowe były nadal dziecinne, ale piersi wyraźnie się odznaczały. Anchee była ślicznotką o egzotycznym wdzięku. Karin miała typowo skandynawską urodę i oczy zmrużone od nadmiaru słońca, a Mathilde patrzyła lekko w bok. Wszystkie były jeszcze po dziecięcemu szczupłe, z dużymi, wystającymi pępkami. Na brzuchu Karin, tuż przy linii majtek, widniała blizna.

Lars Olsson zaparkował samochód pod drzewem przy wjeździe do pensjonatu. Metalowy płot był ledwo widoczny spod bluszczu, brama rozplywała się w słonecznym skwarze, zamazywała wśród rdzawych

prętów ogrodzenia. Zaśniedziała furtka wydawała się wiecznie zamknięta. Jakby była atrapą, przez którą nikomu nie uda się wejść. Poza którą nic nie istnieje.

Sięgnął po papierosa. Palił bez pośpiechu, obserwując leniwie, jak pomimo późnej pory dnia słońce rozpała się coraz to mocniej i mocniej, a strugi jasnego światła zdobywają kolejne zacienione miejsca w ogrodzie.

Nacisnął przycisk domofonu i od razu usłyszał sygnał umożliwiający otwarcie furki. I on mógł dobić do Naszego Brzegu.

Zobaczył kobietę ubraną w zimowe buty z futerkiem na cholewach. Chodziła od furty do pierwszego klombu, tam i z powrotem. Przemierzała te kilka metrów spiesznie, drobnymi kroczkami, jak igła krawiecka. Poruszała się ostrożnie, jakby cała w środku była pogruchotana. Głowa niebezpiecznie podskakiwała, nie pasowała do korpusu, sprawiała wrażenie nasadzonej siłą na sflaczałą szyję.

Nagle kobieta się zatrzymała. Zagapiła się na coś, czego Olsson nie mógł wyłuskać wzrokiem, na coś, co prawdopodobnie nie istniało. Tkwiła tak dłuższą chwilę, po czym powróciła do dreptania. Minął ją całkiem blisko, ukłonił się, nie odpowiedziała, zajęta swoim marszem. Lars był dla niej niewidoczny.

Przeszedł na ukos przez przystrzyżony trawnik w kierunku tarasu, wypatrując ojca Stefana.

Pensjonariusze siedzieli na tarasie. Patrzyli przed siebie. Wydawało się, że na coś czekają. Rozkoszowali się słońcem na podobieństwo jaszczurek zastygłych wśród kamieni. Czaszki porośnięte suchymi pojedynczymi włosami. Twarze jakby zszyte z kilku kawałków skóry. Policzki w sińcach, ranach, ropnych zadrapaniach. Bibułkowe powieki. Wzdęte chorobą brzuchy. Pobrużdżone dłonie. Sękate palce. Uda jak żaboty. Zwisające luźno. Chwiejące się z każdym poruszeniem ciała. Oswobodzone z trzewików i pantofli stopy. Koślawe paluchy. Wyrostki. Guzki. Wodniste narośle.

Starego Gustavssona tam nie było.

Lars podszedł do pielęgniarki w średnim wieku o przekrwionych od upału oczach. Poinformowała go, że ojciec Stefana poszedł się położyć.

– Od rana biegaliśmy za nim po całym terenie. Chyba nie muszę dodawać, że był niekompletnie ubrany.

Nie, nie musiała.

Dopytał się jeszcze o panią Andersson, a pielęgniarka wskazała mu pokój psychologa, niską dobudówkę. Żeby do niej dotrzeć, trzeba było wejść do głównego budynku.

W środku puszczano muzykę, ściszoną, irytującą, która być może miała za zadanie nadać przygnębiającej placówce familijną atmosferę. Przypomniawszy sobie, że Stefan, mówiąc o tym miejscu, nazywał je „chatka dla dziadka”.

Korytarz prowadzący do gabinetu był szeroki, upstrzony po bokach malowidłami podopiecznych, infantylnymi bazgrołami: domki o monstualnych kominach, schematyczne wizerunki ludzi i w każdym rogu uśmiechnięte słoneczko. Każdy rysunek podpisany był tylko imieniem, a przy koślawych literach posadzonych przez autora widniały dwie cyfry zapewne odnoszące się do wieku, bo nie było liczby mniejszej niż siedemdziesiąt trzy.

Lars skrzywił się i przyspieszył kroku, by wyjść z tej osobliwej galerii. Jego grymas skrzyżował się z uśmiechem pensjonariusza stojącego tuż przy ścianie pod jednym z obrazów. Mężczyzna pokazał mu brązowe dziąsła, zamknął usta, znowu pokazał dziąsła. Lars szedł dalej, nie mógł jednak się powstrzymać i odwrócił głowę. Mężczyzna patrzył w jego kierunku. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, ponownie zademonstrował brązowe dziąsła.

Niech mnie, pomyślał Olsson, rzeczywiście nazwa pasuje. „Chatka dla dziadka”.

Zatrzymał się, spojrzawszy na wizytówkę na drzwiach. Tylko imię i nazwisko, bez funkcji. NCHEE ANDERSSON.

Poprawił koszulę, wytarł o nogawki spocone dłonie.

Zapukał.



Zuza Wolny już miała zejść do schowka na dole, gdzie stał pojemnik na zużyte pampersy, kiedy usłyszała jakieś szuranie dochodzące z sypialni pani Hermansson. W pierwszym odruchu pomyślała, że to kot, potem – że może Frida jak zwykle weszła przez okno i ma dla niej nowe wiadomości.

– Frida! – krzyknęła wesoło.

Zanim zdążyła się odwrócić, silny cios trafił ją w głowę, tuż za uchem. W jej oczach pojawiły się na przemian jasne i ciemne pręgi. Zdołała wprawdzie chwycić się jeszcze balustrady, ale zamiast zamortyzować w ten sposób upadek, poleciała na sam dół, gdyż naprężona dłoń pociągnęła za sobą całe ciało. Zuza upadła, o ironio, właśnie tam, gdzie zamierzała się udać: przed drzwiami do schowka.

Nie miała pojęcia, jak długo leżała. Kiedy się ocknęła, wstała z trudem, obmacała palcami głowę, obejrzała dłonie. Krwi nie było.

Przez moment nasłuchiwała. W domu panowała idealna cisza. Nawet pani Hermansson przestała wydawać te swoje ciche jęki i westchnienia.

Zuza czuła potężne pragnienie. Jakby podczas upadku straciła całą wodę z organizmu. Wróciła do kuchni i napiła się prosto z kranu. Nie miała siły schylić się po butelkę wody mineralnej ustawioną na dole lodówki.

Powoli, na nienaturalnie wyprostowanych palcach zaczęła wchodzić na piętro. Potworny, głęboki ból, jakby sięgający samego rdzenia kręgowego, jeszcze się spotęgował. Miała wrażenie, że na jej karku siedzi wampiryczne zwierzątko i przy każdym wdechu wbija w nią zęby, rozrywając ścięgna.

W końcu dotarła na górę. Wszystko było tam poprzewracane, szuflady otwarte, łóżko ogołocone z materaca, który leżał rzucony pod parapetem, a prześcieradło zwisało z sufitu, zaczepione jednym rogiem o jej ukochaną lampę. Walizka została wyciągnięta z szafy i ponacinana nożem, chyba w poszukiwaniu schowków. Torebka była wybebeszona.

Podobnie wyglądał pokój pani Hermansson. Ktoś rozerwał paczkę pampersów, rozrucił dodatkowe pledy, pootwierał szuflady, a samą chorą przesunął niebezpiecznie na krawędź łóżka, musiał więc macać pod jej materacem.

Zuza spojrzała na zegar. Za dwadzieścia szósta. O piętnastej karmiła panią Hermansson. Ile czasu jeszcze się krzątała, zanim zmieniła jej pampers? Może godzinę, a może tylko pół. W każdym razie pogrążona była w nieświadomości około dwóch godzin.

Poprawiła panią Hermansson i założyła jej kroplówkę. Napęłniła wannę. Leżąc w lodowatej wodzie, czuła minimalną ulgę w karku.

Potem ostrożnie, tak by nie narażać się na jeszcze większy ból, zeszła do kuchni, zeskrobała na ściereczkę lód ze ścianek zamrażalnika i zrobiła sobie kompres. Potem wypięła rozpuszczone wapno, aspirynę i witaminę C.

Wieczorem było trochę lepiej, ale nie mogła się jeszcze schylać i sprzątanie odłożyła na jutro. Nie wiedziała, czy intruz nie przywłaszczył sobie czegoś z jej rzeczy. Wymacała leżący na podłodze paszport i poczuła ulgę.

Poukładała tylko trochę rzeczy na komodzie, bo mogła to robić na stojąco. Na szczęście zdjęcie dziewczynek w bikini nie zostało skradzione. Ale znalazła też inne, całkiem nowe. Przedstawiało ni to nożyk, ni to szydełko. Przedmiot wyglądał na stary, ale ładny, prawdopodobnie z jakiejś porządnej manufaktury.

A więc dostałam wiadomość, zaszyfrowaną i niepokojącą, pomyślała, kładąc się wolno na sofie w salonie, tak by nie urazić kręgow szyjnych. Musiała spędzić noc na tym niewygodnym, zbyt wąskim meblu, bo nie miała siły wciągnąć materaca na stelaż.

Czy ten ktoś chce mi pomóc w śledztwie? Może to znak groźby. Przedmiot wygląda szlachetnie, ale jest ostry. Co to może być? – zastanawiała się rano, siedząc z kolejnym lodowym opatrunkiem na karku.

Czuła się lepiej i przed przyjściem Ingrid zdołała uporządkować mieszkanie. Znając jej długi język, wołała nie wspominać o napaści. Ale kiedy już złożyły prześcieradła w kostkę i odpoczywały na schodach werandy, sięgnęła do kieszeni sukienki i pokazała jej zdjęcie.

– Nie wiesz przypadkiem, co to jest? – zapytała.

– Nożyk do wydłubywania ikry – odpowiedziała bez namysłu Ingrid i wystawiła twarz ku słońcu.

– Z ryby? – dopytała się z lękiem Zuza.

– Ty chyba nie masz ikry, co? – Ingrid roześmiała się i oznajmiła: – Nie powinnam się opalać, nie przy mojej cerze. Zaraz dostaję uczulenia i temperatury.

Po wyjściu Ingrid Zuza postanawia przeszukać dom Agnes Hermansson.

Znajduje. To, czego intuicyjnie szukała. Zdjęcie podobne do tego, które przyniosła jej Frida. To samo tło. Ale zamiast Anchee, która tym razem prawdopodobnie trzyma aparat, jest jakiś mężczyzna. A więc to on był zapewne fotografem, a teraz zamienił się rolą z Anchee. Stoją trochę inaczej. W innym miejscu. Zuza widzi jeszcze kółko, fragment drewnianej obudowy i dyszel. Wózek do zabawy. W końcu były prawie dziećmi.

Nieznajomy na pewno nie jest mężem Agnes Hermansson. Nie jest podobny do mężczyzny z fotografii rozstawionych w salonie. Jest w nim coś władczego, królewskiego.

Dlaczego te zdjęcia pozostawały w ukryciu i nigdy nie doczekały się ramek? Są przecież bardzo ładne.

Ingrid. Ona będzie wiedziała.

Zuza drgnęła, usłyszawszy szuranie za plecami. Odwróciła się, a serce biło jej jak oszalałe. Odetchnęła z ulgą: w drzwiach stał Stefan Gustavsson. Miał na sobie mundur.

– Przepraszam. Było otwarte.

Powiódł oczami po rozbebeszonych szufladach.

– Coś zginęło? – zapytał, kiepsko maskując ironię.

Nie odpowiedziała. Podniosła się z kolan i poprawiła pasma, które wymknęły jej się z koka. Zauważyła, że policjantowi podoba się ten gest.

– Czy utrzymuje pani z mężem ofiary, Tomasem... stosunki intymne? – zapytał oficjalnie.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała, czując, że się nieznośnie czerwieni.

– Skąd więc ten przekaz pieniężny?

– Sprawdziliście jego konto?

– I SMS-y.

– Zawarliśmy umowę.

– Jaką?

– Nieformalną. Tomas pozwoli mi tu zostać i pracować.

– W zamian? – zapytał Gustavsson, pokonując zawstydenie.

– W zamian...

– Jeżeli moje pytanie wkracza na teren zbyt intymny, to proszę mi tylko powiedzieć. Zrozumiem wszystko.

– Chyba tak.

– Chyba czy na pewno?

– Tak, to zbyt intymne, zbyt osobiste, żebym mogła tak po prostu...

– Nie dziwię się, jest pani bardzo interesującą kobietą. Dziwię się tylko, że tak szybko po śmierci żony. A może już wcześniej... wtedy byłaby pani podejrzana. Kochanka męża zabiła żonę.

Chyba się zdenerwował. Można by sądzić, że przestał być policjantem, a stał się mężczyzną. Jakby był zazdrosny.

– Ja jej nie zabiłam.

– A on... Tomas?

– Przecież ma alibi.

– Niby ma. Ta lekarka Singrid Petrell to bardzo szanowana osoba. Właścicielka kliniki położniczej.

– Może razem to zrobili?

Parsknął śmiechem i zaraz zrobił się znowu bardzo oficjalny. Nadal sprawiał wrażenie onieśmiałonego, ale we wstyd wkradała się już samcza desperacja.

– Właściwie przyszedłem... przechodziłem... byłem u Larsa i pomyślałem sobie, że wpadnę... Tamtego dnia, gdy odkryto drugie zwłoki, zapraszała mnie pani na ciasto... ale teraz to pewnie nieaktualne...

– Teraz nie. Jutro? Nie mam zapasów, ale mogę upiec nowe.

– Proszę na siebie uważać, chciałbym tu przychodzić tylko prywatnie.

Zerknął na fotografie, która odnalazła. Rozpromienił się.

– Czy pani wie, że ten mężczyzna to pierwszy człowiek, którego zobaczyłem.

– To pana ojciec?

Roześmiał się szczerze i głośno.

– To Kristoff Andersson. Wybitny położnik. Zasłużony dla regionu.

– Czy ma coś wspólnego z Anchee Andersson?

– To jej ojciec. Podobno trzymają ją w Naszym Brzegu tylko ze względu na pamięć jej ojca i jego zasługi dla regionu.

– Aż tak źle pracuje?

- Jest lekomanką, nie wiedziała pani?
- A więc to nie tajemnica.
- W plotkach Ingrid jest dużo prawdy.
- Biedna Anchee.
- Dlaczego pani jej żałuje?
- Musi mieć jakiś powód, żeby się tak codziennie znieczulać.

Stefan Gustavsson spojrział na nią uważniej:

– Jest pani bardzo... – zawahał się na moment, a w końcu dodał: –
Bystra?

Roześmiała się:

- Myślałam, że pan powie „wścibska”.
- A co pani sądzi o jej córce Fridzie? – zapytał i wlepił wzrok w twarz

Zuzy.

- Jest równie bystra jak ja. I chyba interesuje się fotografią.
- Pstryka? – Palcem w powietrzu nacisnął niewidzialny spust.
- Nigdy nie widziałam jej z aparatem, ale z fotografem Larsem Olssonem aż zbyt często – powiedziała i dodała w myślach: Wybacz, Frido. Muszę cię jakoś wybawić z łap tego przystojniaczka. Masz jeszcze długie życie przed sobą.

– Wpadłem tylko na moment. Zapytać, jak pani sobie radzi.

Zauważył, że ma na sobie sukienkę z guzikami, które biegną od góry do samego dołu. Miał ochotę je rozpinać, powoli, niespiesznie, jeden po drugim.

– Radzę sobie dobrze – odrzekła, czując jego wzrok na piersiach.

– Pójdę już – powiedział niespodziewanie.

Nie zatrzymywała go, ale podając rękę na pożegnanie, życzyła mu dobrych snów. Rozczuliła go tym. Czy ktokolwiek w dorosłym życiu życzył mu dobrych snów?

Wrócił do domu, pozamykał okna i wypuścił papugi. Zaczęły fruwać z karnisza na szafę, swoją ulubioną trasą.

Kiedy mu się wydawało, że zasypia, zadzwoniła komórka.

– Skłamałam – usłyszał charakterystyczny akcent Polki. – Nie radzę sobie.

– Mam przyjechać? – zapytał

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Zuza szybko wskoczyła pod prysznic, umyła zęby i rozpyliła perfumy na wewnętrznej stronie ud. Była gotowa. Jeszcze tylko kubek szatańsko mocnej kawy – i była jeszcze bardziej gotowa.

Wyczuł to od razu, w progę, kiedy otworzyła mu drzwi. Domyślny z niego gliniarz. I trochę już pijany, poczuła, kiedy wbił jej się w aortę. Pocałunek był zbyt wilgotny, żeby mogła coś odczuć, ale cieszyła się, że nie jest dżentelmenem.

Kiedy zamknęła za nim drzwi, Gustavsson usiadł przed nią i zrolował jej sukienkę aż do samego pasa. Rozchyliła nogi i mocno wbiła się stopami w podłogę. Potem pomogła jej komoda. Filcowy kapelusik pani Hermansson spadł mu na głowę, ale on ledwo to zauważył. Tak zawzięcie pracował biodrami.

Dopiero po seksie skłonny był coś z siebie wydusić. Zuza pocałowała go w płatek ucha. Kolejny raz. Zawsze się przy tym rumienił. Śmieszyło ją to. Choć wolałaby spać z kimś bardziej samczym.

– Smutny jesteś.

– Trochę.

– Przez te zwłoki.

– Straszne.

– Jak umarła?

– Bardzo szybko.

– To znaczy?

– Od rany kłutej. Według patologa śmiertelny cios został zadany w serce, potem nastąpiły inne, w okolicach intymnych.

– Dużo?

– Trzy, cztery. I żadnych innych śladów ani otarć na ciele. Wygląda na to, że się nie broniła. Podobnie jak Karin.

– A może dziewczynki coś razem nabroily i spotkanie z mordercą potraktowały jako zasłużoną karę.

– Albo były osłupiałe z zaskoczenia – dopowiedział Gustavsson, wpatrując się w piersi Zuzy.

– To znaczy, że był to ktoś, po kim najmniej mogły się spodziewać, że weźmie nóż i wbije im go w serce.

– Też idziemy tym tropem.

– Macie jakieś przypuszczenia? – zapytała. – Chyba nie szukacie igły w stogu siana. To nie Nowy Jork. Jeden morderca znad jeziora Skiresjön

wystarczy.

– Wiemy, że to ta sama osoba. Plastry, obcięte włosy, dbałość o niepozostawianie śladów. Zero afektu, żadnego spontanu, tylko skrupulatnie przemyślane działanie. Ale wciąż nie wiadomo, dlaczego akurat one dwie wyzwoliły w nim taką agresję.

– Tyle że tym razem nie poprzestał na matce, sukinsyn musiał zabić też dziecko.

– Chłopczyk umarł znacznie później niż matka. Po kilku godzinach.

– To znaczy dobił go...?

– Nie, mały zginął na skutek upadku do pustego basenu. Szelki się rozwiązały.

– O cholera! – wyszeptała Zuza, bo od razu wyobraziła sobie Oskara. Kiedy wkładała jego postać w scenariusz morderstwa, mogła w minimalny sposób poczuć to samo co bliscy Mathilde. Naraz coś jej się przypomniało.

– Powiedz mi coś o tym nożu, którym zabił. Znaleźliście go?

– No coś ty! Morderca nie zostawił śladów.

– Ale chyba lekarz mógł coś powiedzieć o narzędziu zbrodni. Było duże, małe, z ząbkami czy...?

Wszedł jej w słowo.

– Prowadzisz jakieś prywatne dochodzenie? – zapytał z pobłażliwą życzliwością.

– Można to tak określić – odpowiedziała i zrobiła grymas w stylu „blondynka na tropie”.

– A więc śledztwo jest zakrojone na wielką skalę. Mamy nawet detektywów z Polski. – Uśmiechnął się i pocałował ją w brodawkę.

Nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia, ale wyemitowała z siebie sztuczne westchnienie, żeby Gustavsson poczuł się lepiej w skórze samca alfa.

– Samozwańcza inspektor *from Poland* chciałaby zapytać o ten nóż.

– O rany, nie wiem, czy... No dobra, nazwaliśmy to nożem, ale... – zamyślił się.

Zuza nie była pewna, czy szuka słowa, czy też może cenzuruje swoją wypowiedź.

– No, dalej. Jeżeli wszedłeś w kobietę i wyszedłeś z niej z bożą pomocą, miejże do niej zaufanie.

– Przestań – roześmiał się.

– Powiesz czy nie?

– Sam się zastanawiam, czy to jest nóż.

– Albo coś jest nożem, albo nim nie jest. Chyba że w Szwecji macie takie prawie noże, niby noże...

Przerwał jej. Rozdrażnienie było jego pierwszym, minimalnym aktem dominacji nad nową kochanką.

– Daj spokój, Mathilde zadźgano nożykiem do patroszenia ryb. To właściwie taki haczyk, rękojeść i kadłubek czegoś, co od biedy można by nazwać ostrzem.

– Takim do wyjmowania ikry?

– Bingo, bingo, bingo – potwierdził Gustavsson na słabnącym wydechu, wciąż bowiem czuł zdrowe wyczerpanie po orgazmie. Zamknął oczy i zaczął się zabawiać, po omacku trafiając palcem do jej pipki.

Zuzie zachciało się pić. W grę wchodził tylko alkohol.

W Naszym Brzegu unosił się zapach krochmalonej pościeli. Larsowi przypomniały się soboty z matką, kiedy pomagał jej ściągać ze sznurów i składać na czworo prześcieradła.

To był dobry czas, czas śmiechu, gadania, bez strachu, że ojciec przyjdzie pijany. W takich chwilach czuli się, jakby mieszkali tylko we dwoje.

Za progiem gabinetu pani psycholog nostalgiczny zapach ustąpił miejsca woni jaśminowej świecy. Na małej komodzie vis-à-vis biurka paliły się dwa lampiony, jak dwa znicze. Larsowi natychmiast nasunęło się skojarzenie z Karin i Mathilde. Brakowało tylko ich fotografii.

Anchee udawała, że nie przejmuje się jego odwiedzinami.

On zaś przyglądał jej się z wielką przyjemnością. Nie tyle na nią patrzył, ile pożerał ją oczami, a każdy ruch jego powiek był jak soczyste mlaśnięcie.

– Anchee, Anchee....

– Po co tu przyszedłeś? Chcesz zarezerwować sobie miejsce? Słusznie. Kolejka jest długa. Za dziesięć lat będzie jak znalazł.

– Bardzo śmieszne, Anchee – odparł, poważniejąc. – Widzę, że humor ci dopisuje. Zupełnie tak jak kiedyś. Jako nastolatka byłaś straszną śmieszką. – Zgiął palec wskazujący, by zademonstrować, że nawet to ją bawiło.

– Nie mam powodu do smutku – powiedziała rzeczowo.

- Gratuluję.
- Dziękuję.
- Zapadł nieznośna cisza.
- I po co przyszedłeś? Powiesz mi?
- Chcę się z tobą kolegować, Anchee.
- Kolegować! – parsknęła sztucznym śmiechem.
- Wiem, że nie jest to dobre słowo. Ale kiedyś układ był podobny. Ja zakochany, a ty napalona.
- Przestań! Było odwrotnie.
- Myślałem, że lubisz wspomnienia z sielskiej młodości.
- Daj spokój.
- Dam ci spokój. W tym jestem dobry. Dałem ci spokój, kiedy sytuacja się odwróciła, a napalony był ten przybłąda.
- Wyjdź.
- Nie jesteśmy w twoim domu. Wyjdę, kiedy załatwię sprawę. Do dziś nie mogę się nadziwić, że ty, córeczka ginekologa, nie potrafiłaś się zabezpieczyć. Szlag mnie trafił, jak przyszedł do mnie gdy dawca spermy się ulotnił.
- *Love*. Zawsze jest tylko *true love*, nieprawdaż?
- Nie kpij ze mnie. Nie zasługuję na to. – Ściszył głos i umknął wzrokiem w stronę okna.
- A właśnie, że na to zasłużyłeś. Dlaczego kazałeś mi zanosić i pokazywać te zdjęcia?
- Dla zabawy. Lubiłem patrzeć, jak się mizdrzysz, udajesz skrzepowanie, a jednak posłusznie je pokazujesz. Dziś myślę, że też miałaś frajdę.
- Byłam głupia. Bezmyślna. A rachunek za to przyszedł zbyt późno i był zbyt wysoki.
- Nie miej o to pretensji do mnie, głupiego złotodzioba. Miej żal do swojego ojca. To on to robił, a ja tylko pstrykałem zdjęcia.
- Jak zawsze niewinny. Lars Olsson... Bez skazy, anioł sprawiedliwości. Demaskator zła. Ile razy widziałam twoje zdjęcia, to rzygałam. Jesteś monotematyczny. Tylko trupy i trupy. Sam jesteś trupem!
- Anchee prawie krzyczała.
- Raczej Karin i Mathilde.
- Marie, gnoju! – Wychyliła się nad biurkiem w jego stronę.
- Zabić mógł je tylko twój ojciec. Ale on nie żyje.

Dwukrotnie zaczerpnęła głęboko powietrza i dopiero wtedy zapytała:

– Co ty pierdolisz...?

– Odkąd spalił się szpital i przenieśli porodówkę do Skanska, a on przestał być ordynatorem, to jakoś nie było mu na rękę potwierdzanie kolejnych ciąży. Doktor Kristoff Andersson wolał się skoncentrować na rozwoju nekrobiznesu z siedzibą w jego prywatnym gabinecie. I trzeba przyznać, że logistyka była nieźle obmyślana.

– Jesteś złym człowiekiem, z każdego zrobisz potwora.

– Wiesz, mówiłem ci, że robiłem te zdjęcia ukradkiem, ale to nieprawda. On mnie o to prosił. Był zadowolony z mojej pracy, zawsze byłem mile widzianym gościem w waszym domu. Nie tylko w twojej sypialni, ale również na dole, w jego gabinecie.

– To jakiś absurd! – Anchee prychnęła jak zła kotka. – Sama podkradałam zapasowe klucze do gabinetu.

– I to był jeden z elementów budowania niewinności ojca. Miałaś myśleć, że on o niczym nie wie.

– Czy wiedział też, co robiłeś z tym zdjęciami?

– Wyrażaj się bardziej precyzyjnie. Co ty robiłaś z tymi zdjęciami, kiedy już je wywołałem...

– Wiedział?! – przerwała mu, krzyżąc.

– Śmiał się.

– To nieprawda. Nieprawda, Lars.

– Śmiał się. Czystym, zdrowym śmiechem. Chcesz wiedzieć kiedy..? – zrobił krótką teatralną pauzę. – Kiedy powiedziałem, że Mathilde płakała, całowała i tuliła do siebie zdjęcie.

– Tak właśnie robiła.

– Powiedział, że nic tam nie było.

– Jak to nie było?

– Po prostu nie było, a tylko ona myślała, że tam jest

– A gdzie TO było? – zapytała Anchee z lękiem, którego już nie potrafiła ukryć.

– TEGO nigdy nie było. Przynajmniej w przypadku Mathilde.

– Olsson... – Pierwszy raz zwróciła się do niego po nazwisku. – Olsson, nie wchodź mi w drogę. Nie jestem już taka jak kiedyś.

– Ja też jestem inny. Naprawdę – zaczął zapewniać zbyt gorliwie. – Jestem kimś innym, Anchee, zmieniłem się na dobre.

– Ale ja nie jestem już dobra. Stałam się bardzo zła. Zapamiętaj to sobie.

– To ja decyduję, co pamiętam, a o czym zapominam.

Nacisnął klamkę i wyszedł.

Anchee Andersson została sama. Przez moment siedziała bez ruchu, pozwalając sobie jedynie na serię głębokich oddechów. Niestety, ani trochę jej nie pomogły. Nie poczuła się lepiej.

Wreszcie, z kamienną twarzą, włożyła palce do szuflady i zaraz zamknęła ją z wielkim hukiem. Targnął nią przeraźliwy ból. Zgięła rękę i przycisnęła ją w okolicy splotu słonecznego. Fizyczne cierpienie skutecznie wymazywało wszystkie napięcia psychiczne.

Kiedy poczuła się lepiej, zdała sobie sprawę z jednego. Lars Olsson... On nie zmienił się nic a nic. Zawsze sprawiał wrażenie wrażliwego i roztargnionego. Te dwie cechy znakomicie maskowały to, że jest prawdziwym potworem.

Nils, ojciec Stefana Gustavssona, czekał na Larsa przed drzwiami swojego pokoju. Pielęgniarka go obudziła i poinformowała o wizycie. Okazał radość, ujrawszy gościa, jak posłuszny piesek przywiązany przed sklepem na widok pana.

Lars zauważył, że pomimo wczesnej pory stary Gustavsson jest w pasiastej pizamie. Miał nabrzmiąte powieki pokryte sitem bordowych żyłek. Wilgotne oczy zdawały się rozsadzać nabrzmiąłą, żółtą twarz. Spojrzenie posyłał mgliste, rozmyte, właściwie słabo widzącym. Przebierał nogami, ale wciąż stał w miejscu. Przypominał kogoś, kto się zgubił.

Lars zrobił w jego kierunku dwa kroki, a ojciec Stefana zacisnął usta. Znieruchomiał. Przez twarz przeszedł mu skurcz, zaraz zastąpiony łagodnym uśmiechem.

– Chodźmy na mały spacer – zaproponował Lars, biorąc go pod ramię.

Z tygodnia na tydzień, z każdą wizytą, Nils Gustavsson wydawał się coraz to mniejszy i mniejszy. Nie inaczej było i teraz, twarz miał zaciśniętą, poważną.

Lars zapragnął go rozśmieszyć.

– Znam cię, przebiegły Nilsie.

Starzec spojrział nań jak na obcego, przestraszonym wzrokiem. Potem często pojękiwał, z sykiem wypuszczając powietrze.

Kiedy jednak Lars wychodził z domu opieki, zauważył, że Nils Gustavsson wdał się w ożywioną rozmowę z jedną z pensjonariuszek. Gestykulował i ochoczo uczestniczył w szybkiej wymianie zdań. Z daleka wydawał się całkowicie sprawny intelektualnie i w doskonałej kondycji fizycznej.

Dlaczego udaje zgrzybiałego tetryka? – zasepił się Lars. Coś mu się tu nie zgadzało, ale nie wiadomo dlaczego postanowił zostawić tę zagadkę tylko dla siebie.

– Dlaczego kolejna kobieta dała się tak po prostu zabić?

Marianne Fogler, profilerka oddelegowana ze Sztokholmu, przyjechała tu nissanem micra, który policjantom z Vimmerby wydał się raczej zabawką niż samochodem. Teraz siedziała w pokoju przesłuchań, pijąc kawę z policyjnego ekspresu i krzywiąc usta po każdym łyku. Zapewne przywykła do bardziej wybornych ziaren, pomyślał Gustavsson.

W sekretariacie stały jej dwie walizki z kremowej ekologicznej skóry, na srebrnych kółkach. Widać zamierzała tu zostać na dłużej. Albo nie wierzyła w swój profesjonalny nos, albo z doświadczenia wiedziała, że nie będzie łatwo.

Śledztwo utknęło w miejscu, nie było śladów, nie było mocnych hipotez, właściwie nie było żadnej roboczej teorii, kto zabił i dlaczego.

– Mógłby mnie pan wysłuchać? – zadzwoniła na komórkę Gustavssona, budząc go po siódmej rano.

Oczywiście żadnego „przepraszam, że pana obudziłam”. Dla Marianne Fogler było jasne: dwa trupy i ten sam scenariusz zbrodni, nie czas więc ani na sen, ani tym bardziej na dobre maniery. To nie praca, tylko całodobowa mobilizacja. Jeżeli będą działać w tempie rekreacyjnym, obudzą się z pięcioma czy sześcioma zwłokami na liczniku.

– Niech pan posłucha – powiedziała, kiedy już siedzieli naprzeciwko siebie, pijąc gorącą kawę i skubiąc bułeczki cynamonowe, które Gustavsson kupił w drodze do pracy.

Profilerka, rzecz jasna, nie doceniła tego powitalnego gestu, ale jadła chętnie. Oczywiście nie palcami jak Gustavsson, tylko przez serwetkę. Udała się po nią do sekretariatu.

– Mamy tu wszystko dla specjalnych gości. – Stefan usłyszał sztucznie uprzejmy głos sekretarki Anety. – Może chce pani również filiżankę do kawy, bo w tym kubkach to chyba trochę po prostacku, prawda?

Wyjrzał na korytarz i popatrzył w stronę recepcji. Koniecznie chciał zobaczyć minę monstrualnie otyłej Anety, której upodobanie do turkusowych obcisłych sukienek było zawsze szeroko komentowane.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Fogler. Surowo, bez cienia kurtuazji. – Lubię, gdy coś mnie parzy w palce.

– A, chyba że tak. – Aneta rzuciła Gustavssonowi porozumiewawcze spojrzenie. – Jakie skłonności, takie przyjemności.

Stefan wyszczerzył złośliwie zęby i właśnie na tym złapała go Fogler. Nie uwierzył, ale chyba pierwszy raz spojrzała na niego jak samica na samca. Widać lubi, jak facet ją poniża, pomyślał.

– Dlaczego pozwoliły się zabić? – powtarzała Marianne Fogler drugą godzinę z rzędu.

Patrzył, jak przełyka kolejną kawę, wysoka, szczupła, prawie żyłasta, o jasnej skórze. Wzrok miała męski, ostry, przenikliwy. Nie pasował do reszty ciała, nie było w nim nic miękkiego, delikatnego.

– A więc był pan na kursie profilerów. Dobrze mnie poinformowano?

– Bardzo dobrze. – Gustavsson poczuł się jak na egzaminie.

– Ile trwało szkolenie?

– Prawie dziesięć dni.

– Czyli ledwo tydzień z okładem. I czego mogli was przez ten czas nauczyć? Szkoda fatygi. A potem, gdziekolwiek przyjadę, to same prowizorki. Poppsychologia, profilowanie w stylu tych głupich pism dla kobiet. – Zamilkła, by badawczo mu się przyjrzeć. Mierzyła go wzrokiem niczym nauczycielka nowego ucznia w klasie. – Podobno jest pan na zwolnieniu lekarskim.

– I tak w przyszłym miesiącu miałem już wrócić do pracy.

– Coś poważnego?

Gustavsson zauważył, że stara się być miła i uprzejma, ale głos zdradzał jej prawdziwą naturę – brzmiał szorstko i ozięble.

– Straciłem nerkę – wyznał i zaraz pożałował, że powiedział to sennym, jakby rozmarzonym głosem, który ona na pewno zinterpretuje jako słabość i przeciwwskazanie dla jego dalszej pracy w policji.

– Nerkę! Cóż, bywają gorsze straty, prawda? – Zamierzała chyba go pocieszyć, ale zabrzmiało to, jakby bagatelizowała jego choroby, w każdym razie on tak to odebrał.

Nie znał się na markach, ale wiedział, że jest ubrana w drogie rzeczy. Było w niej coś odświeżonego, jakaś luksusowa nonszalancja. Wysoka, o gęstych blond włosach związanych w kucyk, krzepka i dumna, w białych espadrylach z łańcuszkiem wokół kostki, pasowała do bulwaru z modnymi butikami, a nie do chaszczy nad jeziorem Skiresjön, gdzie roiło się od pajaków i staroświeckich ławek. No i od trupów, pomyślał.

Miała doktorat z psychologii i zapewne mogłaby złowić każdego mężczyznę, którego by zechciała. Gdyby kazano mu ją do czegoś przyrównać, to na myśl przyszedłoby mu wyłącznie światło, bardzo jasne, takie, które raz.

– Jaki możemy mieć motyw? – podjęła dyskusję, którą najchętniej widziałaby jako swój monolog, pełen swady i błyskotliwej dedukcji. – Na początku trzeba ustalić motyw wiodący. Rabunkowy nie wchodzi w grę, bo torebki były nietknięte. Miał halucynacje albo lęki. Schizofrenik, osobowość psychopatyczna czy osobnik z zaburzonym popędem seksualnym? – dywagowała z pewną dozą obojętności, którą zapewne uważała za profesjonalny dystans emocjonalny.

I cały czas powracało pytanie: „Dlaczego dały się zabić?”.

W końcu Gustavsson nie wytrzymał.

– Dlaczego? A pani co, nie dałaby się zabić?

Spojrzała na niego, mrużąc oczy. Myślał, że zaraz prychnie i wyciągnie pazurki, lecz ona tylko odchyliła się do tyłu, jakby jego słowa sprawiły jej przyjemność.

– Bardzo dobre pytanie, inspektorze Gustavsson. Czy ja dałabym się zabić...? Nie możemy wykluczyć takiego prawdopodobieństwa, ale zapewne nie obyłyby się bez walki. – Uśmiechnęła się, delikatnie unosząc kąciki ust.

Zauważył, że musi mieć wybielone zęby. Były za doskonałe, by mogły być prawdziwe.

– A jeżeli napastnik zaatakował znienacka?

– Ja na ich miejscu automatycznie chwyciłabym się za szyję. Atawistyczny odruch obronny. Zwłoki Mathilde znajdowały się w zbyt fatalnym stanie, by to stwierdzić z całą pewnością, ale na ciele pierwszej denatki nie było żadnych skaleczeń czy nawet obtarć naskórka. Ręce miała czyste.

– Sprawdziła pani? – zapytał i natychmiast zdał sobie sprawę, że nie powinien był tego robić.

– A pan nie? – Zamilkła na moment. – Zanim do pana zadzwoniłam, byłam w parku, w kompleksie basenów i w prosektorium.

– Wcześniej zaczęła pani dzień.

– Dzień się jeszcze nie zaczął, kiedy byłam na miejscu pierwszej zbrodni.

– Dzielna z pani dziewczyna.

– Proszę tak się do mnie nie zwracać – odparowała Fogler, wstając i pochylając się nad siedzącym Gustavssonem. Już myślał, że opadnie na niego jak drapieżny ptak, ale ona usiadła i nieoczekiwanie oznajmiła: – Bardzo dobre macie tu bułeczki. Nie za dużo cynamonu, w sam raz.

– Przepraszam – odezwał się Gustavsson. Pomyślał, że chyba najlepiej, jeśli będzie przesadnie grzeczny i całkowicie transparentny.

– A wizyty na miejscu zdarzenia są konieczne. Mam nadzieję, że pan dokładnie obwąchał teren. Baseny są w miejscu odosobnionym, plac w środku miasteczka. Według wstępnego orzeczenia patologa Mathilde i Karin zostały zamordowane mniej więcej w tym samym czasie. Myślę, że możemy przyjąć, iż Mathilde była pierwsza. Karin druga. Oznacza to, że nie chciał, by zwłoki pierwszej ofiary zostały odkryte, nim zabije powtórnie. Obie nie były przypadkowym celem. Działał według precyzyjnego planu. Tylko matki. Dzieci miały być świadkami, ale przeżyć. Śmierć syna Mathilde Hermansson świadczy o tym, że sprawca jest mężczyzną. Nie umie obchodzić się z niemowlakami, nie przejawia wobec nich żadnych uczuć. Pozostawia je żywe. Lecz pytanie następane: dlaczego akurat te kobiety i dlaczego w tym momencie, co było stresorem, który zmusił go do tego czynu? Czy to, że zostały niedawno matkami?

Sięgnęła po teczkę i wyjęła plik zdjęć z miejsca, gdzie odnaleziono Karin Frostenson. Przekładała je jak karty. W końcu zatrzymała się na jednym ze zbliżeń części intymnych.

– Blizna – powiedziała.

– Po cesarskim cięciu – rzucił Gustavsson. – Odnotowana w aktach.

– Mam taką samą – odrzekła. – Ale ta jest znacznie mniejsza. Widać pani Frostenson rodziła w prywatnej klinice. Tam robią nacięcia tak, żeby później pasowały do bikini. – Odłożyła fotografię i sięgnęła po następną. – Żadnych ran kłutych, postrzałowych, tylko ślady na szyi i te dekoracje

z włosami. Silna symbolika. Ale nie wiem, czy więcej w tym okrucieństwa, czy dziecięcej maskarady świadczącej o infantyлизmie sprawcy.

Sięgnęła po teczkę Mathilde.

– Lubi młode matki – wtrącił Gustavsson. – Może skrzywdziła go jego własna, kiedy był dzieckiem – zaczął dywagować, ale grymas na twarzy Marianne Fogler kazał mu zamilknąć.

– Dlaczego zabija...? – zasepiła się na chwilę, po czym wstała i bez słowa wyszła z pokoju.

Zostawiła niedojedzoną bułeczkę i pusty kubek po kawie. A także swoje perfumy, cytrynowe, świeże, ale drażniące nozdrza niedojrzałych emocjonalnie mężczyzn.

Gustavsson pochylił się i włożył jej bułeczkę głęboko do ust. Przeżuwał i mlaskał przesadnie, a rozpuszczające się ciasto nigdy nie było tak dobre jak to ze śladami przednich zębów Marianne Fogler. O czym myślał? Na pewno nie o tym, że mają tu wyjątkowo dobre bułeczki. Jego umysł wypełniały rozmyślenia o cipce profilerki. Czy jest wygolona, sucha, czy może wilgotna od potu?



Po rozmowie z profilerką Gustavsson pojechał do sklepu zoologicznego. Kupił nową kostkę wapienną do ścierania dzioba. Zakupowi towarzyszyło poczucie ulgi, że jest tylko jeden produkt i nie trzeba wybierać spośród rozmaitych odmian ptasiego pumeksu o różnych kształtach i różnych producentów.

Z nowości zauważył tekturową tabliczkę przypiętą pinezkami do półki z mieszankami ziaren: **JEŚLI CHODZI O NAPOJE, TO MOŻE TO BYĆ WODA PITNA, NAJLEPIEJ PRZEGOTOWANA, MINERALNA. WODA Z KRANU RACZEJ SIĘ NIE NADAJE, BO MOŻE ZAWIERAĆ OSAD KAMIENNY.**

Potem pojechał do ojca. Nasz Brzeg wydawał się wyludniony. Była poobiednia godzina i pensjonariusze odpoczywali w swoich pokojach. Pielęgniarki siedzieli pod okrągłym parasolem przy jednym ze stołów na tarasie. Jedli tanie krakersy i popijali sokiem z kartonów, rozmawiali w dziwnym, szeleszczącym języku, prawdopodobnie po polsku.

Nie tak dawno czytał w ogólnokrajowej gazecie, że brakuje pracowników do domów starców i że powstają specjalne agencje, które ściągają opiekunów z Polski i oferują im krótki kurs szwedzkiego, ukierunkowany na zwroty potrzebne przy obsłudze ludzi starszych i schorowanych.

Pozdrowił pielęgniarki, a oni odpowiedzieli mu z silnym akcentem. Mieli uśmiechnięte twarze. Dziewczyny były ładne, o bystrych okrągłych twarzach; mężczyźni, o szarej karnacji i włosach pozbawionych konkretnego pigmentu, wyglądali na zmęczonych. W gruncie rzeczy każdy z nich też mógłby być podejrzanym. Ale tylko Mathilde miała tu matkę. Karin nigdy nie odwiedzała ośrodka.

Odnalazł pokój ojca.

Nils Gustavsson siedział na łóżku, w samym jego rogu, tak jak poprzednio.

Stefan miał wrażenie, że ojciec spędza tak całe dnie. Chciał go zabawić rozmową, rozruszać, ale nie mógł znaleźć odpowiedniego tematu.

– No jak? Forma bojowa? Jakaś dama na horyzoncie? Lars wspominał, że tata ma tu jakąś miłą koleżankę, a ja o tym nic nie wiem – zaczął, siląc się na dobry humor.

– Mam mnóstwo miłości – wydukał Nils, a strużka śliny, niczym pająk na nici, zsunęła się z ust do kościstego kolana.

– Czy jest tu ktoś, kogo jeszcze mi nie przedstawiłeś?

Ojciec nabrał powietrza, by wzmocnić głos.

– Jest, jest całe mnóstwo babć Barbie, jeżeli o to ci chodzi. Całe zastępy pieprzonych utalkowanych istot w pampersach. Ale co to za miłości? Takie miłości to jak kawa bez kofeiny. – Nils zacisnął usta. Znieruchomiał. Przez twarz przeszedł mu skurcz, zaraz zastąpiony uśmiechem.

– Ważne, że są jeszcze marzenia. Są...? – dopytywał się Stefan, wyciskając z siebie fałszywą ciekawość.

– A są.

– No to o czym marzy senior rodu Gustavssonów?

– Przed śmiercią popaćkać Eskimoskę – odpowiedział poważnie Nils. Wilgotne kosmyki oblepiały mu czoło, a krople potu połyskiwały jak cekiny.

– Papa lubi teraz udawać degenerata.

– Degenerata w stanie spoczynku – oznajmił smutno Nils i ruszył do okna. – Kupiłeś mi yamahę?

– Jeszcze nie.

– To na co czekasz, głupi łachudro? – wycedził starzec przez zaciśnięte usta.

Stefan patrzył, jak ojciec zawraca i podchodzi do małego stołu, palcami oplata filiżankę z zimną herbatą.

– Jesteś synem czy łachudrą?! – wykrzyknął Nils zadziwiająco silnym głosem. – Chcę się żenić, a nie mam motoru! Kogo sobie wychowałem?! Łachudrę i ciotę, a nie syna!

W drugim dniu pobytu Marianne Fogler zwołała wszystkich funkcjonariuszy i przedstawiła im profil psychologiczny zabójcy znad jeziora Skiresjön. Białą mężczyzna w wieku od dwudziestu pięciu do

czterdziestu lat. Infantylna osobowość. Mieszka samotnie. Bez silnych związków uczuciowych z otoczeniem. Zamknięty w sobie. Uzdolniony manualnie. Niewykluczone, że w ten sposób zarabia na życie. Być może wyjątkowo brutalnie karany w dzieciństwie goleniem włosów. Być może skrzywdzony w dorosłym życiu przez wydepilowaną kobietę. Kochankę? prostytutkę?

Wyliczała beznamiętnym głosem, a kiedy skończyła, żaden policjant nie odważył się jej powiedzieć, że całe to wymądrzanie zdało się psu na budę. Ani trochę im nie pomogła.

Na nic segregatory z przesłuchań świadków, wyniki sekcji, badań laboratoryjnych, technicznych, raporty, zdjęcia. Grzęźli w niezliczonych kawałkach drobnych ustaleń, hipotez i wniosków taktycznych, ale puzzle ciągle jakoś nie chciały się ułożyć.

Nie było tego, wokół czego można by zogniskować śledztwo. Żadnej wyraźnej poszlaki, żadnej zwartej i przemawiającej do wszystkich teorii.

Przekopali się przez życie Karin i Mathilde i niczego nie znaleźli.

Życie ofiar było proste jak drut. Tu się urodziły i tu zmarły. Wszyscy je kochali i lubili. Nikomu nie uczyniły krzywdy. Ludzie wspominali, że chętnie śpiewały w kościele. Mathilde momentami trochę fałszowała, za to mogła się pochwalić bardziej donośnym głosem.

Miały kilku chłopaków, jak to normalne, atrakcyjne dziewczyny, ale żaden z nich nie został w tych stronach. Wszyscy mieli alibi.

Pogrzebali na Facebooku, nic. Same banalne wpisy. O kosmetykach, modzie, filmach. W ich laptopach też nic nie było. Żadnych wrogich maili, dziwnych wiadomości czy zdjęć.

W końcu zaczęła przeważać hipoteza, że zginęły przypadkowo. Może zrobił to jakiś świrus, niewyżyty zбочek, który przyjechał tu, ulżył sobie, i teraz szukaj wiatru w polu. Na pewno jest już daleko, tylko dlaczego nikt go nie widział? Przecież wiadomo, że wszystkie te stare kaszaloty całymi dniami siedzą w oknach i podglądają. Nie przepuszczą nikomu, kto przemknie między drzewami. A tu nic im się nie przypomina. Albo kogoś chronią, albo, jak to często bywa u starców, pamiętają tylko to, co było w latach pięćdziesiątych.

Kilka osób uważało, że powodem była zazdrość. Obie ofiary uchodziły za wesołe i zadowolone z życia. Może sprawca zazdrościł im właśnie tej normalności? Ale zazdrości prawie każdy, a przed zabójstwem większość

się cofa. Nie o zwykłą zawiść więc chodziło. Raczej o zemstę. Tak to rozumiał Gustavsson.

Od zupełnie jałowej prezentacji osobowości sprawcy, dokonanej przez Marianne Fogler, upłynęły dwie godziny. Gustavsson popijał piwo w swoim domu i odtwarzał w pamięci rozmowę z profilerką.

Myśl nieustannie uciekała mu do linii jej nóg i do zarozumiiałego wyrazu twarzy. Wstał i na siłę zaczął rozmyślać nad symboliką włosów.

Przypomniał sobie jedną z teczek badaczki: PRAWA MORDERSTW NAD JEZIOREM SKIRESJÖN.

Włosy. Być może to był klucz.

Morderstwo nacechowane mocną symboliką albo nic nieznaczącymi wycinankami z włosów. Jednak zwłoki zamordowanych były w pewnym stopniu zbezczeszczone lub przynajmniej odmienione. To rodzaj morderczej zabawy czy wiadomość? List z przeszłości? Z dalekiej czy całkiem niedawnej, wręcz wczorajszej? Coś, co spowodowało, że przygotował zbyt duże buty, skarpety, ochraniacze i drut kolczasty?

Zarówno z Karin, jak i z Mathilde zabawiał się we fryzjera. A obcięte pasma przykleił do nagiego krocza. Brz. Zohydził te troskliwie wypielegnowane miejsca. Chciał je przywrócić naturze. Ekologiczny potwór. Psychopata walczący o prawa kobiet do owłosienia łonowego... Prawie się zaśmiał i z trudem począpał po drugie piwo.

Okazało się lepsze niż pierwsze. Butelka stała w głębi lodówki, pokryła się szronem, a zawartość była znacznie bardziej schłodzona. Nic dziwnego, że weszła szybciej.

– Włosy... włosy – powtórzył, ocierając wierzchem dłoni piwną piankę z ust. – Wskazówka dla śledczych. Może nie ma w tym żadnego sensu, a może jakiś jest. Kiedyś obcinano włosy kolaborantkom, ulicznicom.

Zamknął oczy i już miał się zdrzemnąć, kiedy przypomniały mu się zdjęcia Larsa. Nie te afrykańskie, ale te z prywatnej podróży po Azji. Pełno było tam portretów ogolonych kobiet.

„To moje znajome – powiedział z przekąsem Olsson. – Palaczki opium”.

„Znajome? Aż tyle...?! Jak je poznałeś?”

„Bardzo prosto. – Uśmiechnął się lekko, jakby do siebie. – To prostytutki”.

„Prostytutki?” – wyrwało się Stefanowi w taki sposób, jakby Lars wyjawiał swój największy grzech.

Przyjaciel zaśmiał się i zapalił papierosa, z lubością wypełniając płuca dymem. Twarz miał rozmarzoną. Pewnie wrócił myślami do chwil spędzonych ze skośnookimi znajomymi.

Istotne było coś innego! Na myśl o tym Stefan otworzył oczy i poderwał się na równe nogi. Nie chciało mu się już spać, senność ustąpiła wewnętrznemu napięciu.

Kobieta leżała na wznak. Była naga. Cała. Nawet na czaszce. Ciało wydawało się porzucone w fałdach brudnej pościeli. Światło sączyło się znad głowy, spod powały, z niewielkiego okratowanego na krzyż okna.

Głowę miała wygiętą do tyłu, usta uchylone, piszczała albo jęczała. Zdjęcie nie przekazywało odgłosów. Stefan pomyślał, że równie dobrze mogła odczuwać przyjemność jak cierpieć.

Wzrok przyciągały rozchylone nogi i płeć. Wygolona, podobna bardziej do brzucha niż do warg sromowych. W połowie zakryta ręką w futrzanej rękawiczce.

– O to ci chodziło? – zapytał Lars Olsson. Głos miał zrelaksowany, swobodny.

Gustavsson zaledwie mógł skinąć głową.

– To Suri – odezwał się Lars. – Już nie żyje. Zbyt duży kop. Zbyt słaby towar. Ale to nawet dobrze, nie była szczęśliwa. Z nikim. Nawet ze mną.

– Nawet z tobą?

– Kiedy się denerwujesz, zawsze za mną powtarzasz – zakpił Lars.

– Nie jestem zdenerwowany.

– Tylko co?

– Może wściekły.

– Wściekły? Na co?! Bo nie zdążyłeś poznać Suri?

– Nie śmieję się.

– Ale to śmieszne, ta twoja przestraszona gęba.

– Dałem ci alibi, Lars. Dałem...

– A może to ja ci dałem...?

– Siedziałem w domu. Nic nie zrobiłem. Nic.

– To tak samo jak ja. Siedziałem w domu i gapiłem się w monitor. Uspokój się. Stefan. Co jest? Już okay?

Gustavsson przez moment milczał, ale w końcu się odezwał:

– Ta twoja Suri wygląda jak Karin. I jak Mathilde.

– Przestań!

– One tak leżały. One takie były.

– Przestań się mazać. – Lars nachylił się na albumem. – Chyba masz rację. Coś w tym jest. Ale ten album każdy mógł widzieć. Świetnie się sprzedawał. Pewnie morderca go widział. I tyle.

Stefan podszedł do zlewu, odkręcił kran z zimną wodą i kilkakrotnie przemył sobie twarz.

– Ktoś chce mnie zrobić – rzucił Lars, podając mu czysty ręcznik.

Gustavsson odmówił. Usiadł na sofie, a krople wody niespiesznie spływały mu po twarzy.

– Wyglądasz jak zdechły pies – zaśmiał się Olsson.

– Lars, jeśli nie jesteś mordercą, to znaczy, że twój przyjazd spowodował te wypadki. Ty jesteś stresorem? – zapytał Stefan, patrząc przed siebie. Nie wiadomo, czy bardziej był smutny, czy wściekły.

– Zaparzę kawy z kardamonem.

Lars zaczął się krzątać przy ekspresie z prawdziwą pasją. Zupełnie jak inni przy sportowych samochodach.

Stefan nie poruszał się. Wytarł tylko twarz rękawem koszuli.

– Mocna symbolika. Włosy – oświadczył cicho, jakby do siebie.

– Ale ty jesteś inteligentny, Stefan. – Lars znowu próbował zażartować.

– Zamknij pysk! – krzyknął Gustavsson. Wstał i schował koszulę do spodni.

– Skąd ta zmiana? Zawsze patrzyłeś we mnie jak w obrazek.

– Byłeś dla mnie jak brat.

– No i nadal jestem – odpowiedział Lars obojętnie. – Musimy się wspierać. My, bachory z Bullerbyn. My, bachory alkoholików. Inni strugali patyczki i bawili się w piratów. My stukaliśmy się szklankami z wodą i bawiliśmy się w chłanie wódki.

Słuchali rytmicznego kapania kawy i wdychali narastający w całym pomieszczeniu aromat.

– Nie poznajesz mnie? To ja, Stefan, tato... to...

Gustavsson przystanął, pochylił się i niespodziewanie dla siebie samego wziął ojca w objęcia. Prawie płakał, przekonując go, że jest jego synem. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy go przytulił.

Nagle zauważył, że ojciec jest ubrany jak kobieta: w obcisłe fioletowe legginsy i bluzkę z karczkiem i małymi cekinami w kształcie naszyjnika.

– Ubrałeś się jak baba – wypalił.

– Nie znasz się na modzie – odpowiedział mu hardo Nils.

Po dłuższej chwili powiedział, że musi mieć yamahe.

– Zamierzam się ożenić.

– Gratuluję – odpowiedział Stefan i pomyślał, że upał fatalnie wpłynął na kondycję umysłową ojca.

– A ty co? Masz jakąś? Chyba nie jesteś pedziem? – zagadnął go ojciec z kpiną w głosie.

– Jak znajdę mordercę, to się ożenię.

– Jakiego mordercę?

– Karin i Mathilde. Nie dotarło do ciebie? Zostały zamordowane.

– A, one... Ale to już dawno, bardzo dawno.

– Tego lata.

– Żartujesz sobie?

– Nie. Nic a nic.

– Myślisz, że matka Mathilde nie pogardzi moim szczerym współczuciem?

– Myślę, że przyda jej się towarzystwo.

– Ale nie zasłaniaj się morderstwami. Pamiętaj: yamaha. Czarna jak noc. Jak noc bez choćby ćwiartki jebanego księżyca. Zrozumiałeś?

– Tak. Aż za dobrze.

– To powtórz.

– Yamaha. Czarna jak noc. Jak noc bez choćby ćwiartki jebanego księżyca – wyrecytował Stefan, a na twarzy Nilsa pojawił się zdrowy, szeroki uśmiech.

Mógłby to być całkiem krzepiący i pozytywnie nastrajający widok, gdyby stary Gustavsson nie miał tak bardzo smolistych dziąseł.

Wychodząc, Stefan obiecał ojcu jeszcze i to, że jak tylko wyremontuje dach jego domu, to zaraz go zabierze z Naszego Brzegu.

– Oczywiście razem z twoją żoną – dodał, siląc się na powagę.

– Stefan, posłuchaj... Posłuchaj choć raz swojego ojca, starego pijaka, który zmarnował ci dzieciństwo. Nie idź w moje ślady. Nie składaj obietnic bez pokrycia – zaskrzeczał cicho Nils, kiedy jego syn był już na korytarzu.

Stefan nie mógł go słyszeć.

Następnego dnia Gustavsson jechał do pracy wolniej niż zazwyczaj. Nocą nie spał dobrze.

Lasse Gunter rozniósł ksero protokołu z sekcji zwłok. Tak jak przypuszczali, syn Mathilde zginął od uderzenia powstałego na skutek upadku z dużej wysokości. Analiza rany głowy oraz odnalezione w niej ślady ciał obcych potwierdziły, że śmierć nastąpiła w momencie zetknięcia z dnem basenu.

Mathilde, podobnie jak Karin, została uduszona. Jednak tym razem sprawca posłużył się nie drutem kolczatym, lecz rodzajem żyłki ogrodniczej fantazyjnie powiązanej w niewielkie supełki. Na szyi widać było tylko jedno cięcie, a kość gnykowa została zmiądzona.

Wszystkich najbardziej zainteresowały uwagi na temat waginy. Jak w przypadku morderstwa Karin, nie odnotowano śladów spermy czy penetracji przedmiotami, ale z pochwy wydobyto dziecięcy smoczek. Wilgotny, z przylepionym włosem łonowym. Badania ustaliły, że nie należał do denatki, a to oznaczało, że mają DNA sprawcy.

Przez moment byli pewni, że wreszcie nastąpił długo wyczekiwany przełom w śledztwie. Lasse otworzył policyjny program identyfikacji sprawców:

– Nie ma chuja w kartotece! Debiutant, kurwa jego mać! – zaklął, przysiadając na biurku Gustavssona.

Lasse był na rok przed emeryturą. Drobny, o siwym zarostcie, zawsze ostry w słowach. Zazwyczaj, również w czasie upałów, chodził w kowbojskich butach. Podwyższały go i pasowały do dzinsów.

– I jeszcze jedno – powiedział, celując w nogę krzesła. – Ona nigdy nie rodziła. Rozumiesz? Mathilde nie mogła być biologiczną matką tego dzieciaka! – prawie krzyknął i kopnął krzesło.

– Ale to było jej dziecko – odezwał się Stefan, przy koledze jeszcze bardziej zdając sobie sprawę ze swego flegmatycznego temperamentu.

– Tego nie kwestionuję. Czy ja mówię, że pożyczyla sobie dzieciaka z supermarketu i pojechała z nim na nieczynny basen?

– Mały musiał być adoptowany – wtrącił Stefan.

– Ale numer, nie? Biała matka, czarne dziecko. Pogięło ją czy co? – zarżał Lasse. – Chyba bardziej czarnego dziecka nie mogła wybrać.

Stefan pokiwał głową, choć miał ochotę dać mu pięścią w pysk.

– Dzwonimy do tej Fogler? – zaproponował Lasse. – W końcu to jakiś trop.

– Jaki trop? Że ktoś adoptował dziecko? – ożywił się Stefan. – Człowieku, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Pomyśli, że jesteśmy wieśniakami – dodał już spokojnie.

Wolał, żeby Lasse się nie domyślił, że chce tę wiadomość sam wykorzystać.

Larissa Edwardsson z uwielbieniem wpatrywała się w młodego dziennikarza stojącego w jeziorze i z tego miejsca mówiącego do kamery. Miał na nogach proste chłopskie kalosze, z których wystawały wełniane skarpety. Woda sięgała mu do połowy łydki. Operatorem był równie dekoracyjny mężczyzna, drobniejszy, o chłopięcym wdzięku. Larissa nie pogardziłaby ani jednym, ani drugim, a najlepiej byłoby mieć takich przystojniaczków obydwu naraz, po jednym na każdy cycek.

Na początku była pewna, że kręcą jakiś materiał związany ze śmiercią Karin i Mathilde do kroniki kryminalnej czy wiadomości. Podeszła bliżej i zaczęła słuchać.

– Widziałem tu żyzne pola uprawne wokół starego miasta Kalmar i tereny kamieniste, jak na wschód od jeziora Wetter – mówił ten stojący po kolana w wodzie, modulując głos na tajemniczy i groźny. – Ale nogi zanosły mnie również w ciemne rozległe lasy, nad ogromne bagna i liczne jeziora i strumienie. – Na moment zaciął się, jakby zgubił wątek, ale zaraz zaczął znowu. – Smalandia jest prowincją pełną kulinarnych doświadczeń. Znajdziemy tu, oprócz kobiecych zwłok... o, przepraszam, to miał być żarcik. – Zakasłał z zadowolenia. – Wykasujemy to, Erik. – Przerwał, zaczerpnął powietrza i powrócił do poważnego tonu dziarskiego gawędziarza. – Odnajdziemy tu małe firmy, gospodarstwa, sklepiki i niewielkie punkty gastronomiczne, które nas nakarmią. Placek ziemniaczany z okolic jeziora Skiresjön smakuje jak królewskie danie. Jadłem też wyborną smażoną rzepę, od której tutejsze kobiety mają bujne i ponętne włosy, w które chcesz się wtulać, a jak ci nie pozwolą, to chcesz je chociaż obciąć, obkleić nimi wygoloną pipkę wybranki i jeszcze zostanie ci całkiem spory pukiel na pamiętkę.

– Ej, kolego gwiazdorze! – krzyknął ten z kamerą, dusząc się ze śmiechu. – Bez takich wstawek, bo nie będziemy mieli materiału.

Przez moment zgodnie się zaśmiewali, a potem szybko wrócili do pracy.

– Pasztet ze szczupaka, filet z sandacza, pudding z łososia, gotowane raki polane masłem koperkowym. Cieknie wam ślinka? Suszone mięso baranie. A dżem z borówki brusznicy... – zgrabnie wymieniał ten stojący w wodzie, ale w pewnej chwili przerwał, spojrzał w kierunku Larissy Edwardsson i zawołał do niej: – A kocia karma? Chyba pani nie powie, że nigdy jej nie próbowała. – Zaczął się tak śmiać, że znowu musieli przerwać nagranie.

Ten z kamerą na ramieniu tylko wykonał półobrót, zerknął na Larisę i parsknął głośno jak nigdy przedtem.

Larissa Edwardsson zrobiła się czerwona. Była pewna, że wygląda, jakby żarła puszki dla zwierząt. Uciekła. Biegła do domu, potykając się o korzenie. W końcu upadła, ale zamiast wstać, znieruchomiała. Leżała tak bardzo długo, z zamkniętymi oczyma i zaciśniętymi pięściami.

Zasnęli zaraz po stosunku i obudzili się kilka minut później, niemal w tym samym momencie.

Stefan po drzemce wydał się Zuzie jeszcze bardziej obrzmiały. A ona, zamiast pachnieć kobietą, wydzielala woń waniliowego proszku do pieczenia.

– Dlaczego jest napisane w aktach, że miała cesarkę? – zapytała Zuza z pupą do góry, szukając pod łóżkiem pozostawionej tam przed harcami butelki wina.

– Bo miała.

– Co?

– Cesarzę. Nie patrz tak...

– Nie patrzę. Skąd to wiecie? W tych aktach...

– Rany, kobieto, nie mów tak! Nie mów, że przyniosłem ci te ksero.

– Nie bój się, pani Hermansson nikomu nic nie powie.

– Miała bliznę po cesarskim cięciu.

Zuza wstała i ze skrytki pod dywanikiem wyjęła zdjęcia owinięte w folię. Podała je wciąż zarumienionemu po seksie Stefanowi.

– Trzy smutne dziewczynki wakacyjną porą. Pamiętasz to zdjęcie?

– No chyba – odpowiedział.

– Tu masz inne. – Podała mu to z doktorem Anderssonem.

– Są więc dwa.

- Mam nadzieję, że jeśli jest ich więcej, wszystkie wpadną w moje ręce.
- Dlaczego?
- Widzisz to?

Pochyliła się, pokazując palcem brzuch Karin oznaczony maleńką, ledwo widoczną blizną. Przy okazji dotknęła piersią policzka Stefana, a on znowu oblał się rumieńcem.

- Już wtedy ją miała.
- Aha.

– Ingrid pamięta to bardzo dobrze. Pewnego roku na święto przesilenia bawiły się w berka. Karin uciekała przez płot i rozdarła sobie skórę. Nie obyło się bez szycia. Na szczęście na festynie był obecny doktor Andersson.

- Jesteś niewiarygodna.
 - Zrobiłaś taką minę, jakbyś mówił: jesteś podejrzana.
 - Nigdy – wyszeptał i niezgrabnie pocałował ją w szyję.
- Miało być romantycznie, wyszło ckliwie.

– Możesz coś dla mnie zrobić? – zapytała, siląc się na kretyński ton słodkiej kobietki, którego szczerze nienawidziła.

- Wszystko.
- Zadzwoń do tego lekarza od sekcji zwłok. Może będzie pamiętał, czy Karin rodziła normalnie...

- Zuza!
- Tak.

- Mathilde nie rodziła. Ona adoptowała...
- Spokojnie... Coś się składa, ale może to być bez znaczenia.

Kiedy Zuza się ubrała, a potem zmieniała pampers pani Hermansson, słyszała, jak Stefan długo rozmawia z lekarzem sądowym.

Wreszcie spotkali się na dole w kuchni.

– Jeżeli Karin urodziła Paris, to tylko przez cesarskie cięcie – oświadczył.

- A ta blizna? Trzeba było...

– Przecież się dopytałem. Była mniejsza niż zazwyczaj, ale mieściła się w rozmiarach szwów po cesarce. Jednak równie dobrze mogła być świadectwem urazu mechanicznego. – Przerwał na moment. – Zuza... – zaczął i zamilkł.

- Tak?

- Blizna na pewno była powypadkowa.
- Skąd ta pewność? Jeszcze nie tak dawno opisał ją jako bliznę po cesarce.
- Zapytał, ile lat ma Paris. Powiedziałem, że kilka miesięcy, a on na to, że to bardzo stara blizna. Nie opisał jej dokładnie w protokole, zrobił błąd, za bardzo skoncentrował się na szyi. Coś go zadziwiło.
- No... Mów szybciej, Stefan!
- Masz może coś do jedzenia?
- Szybko! Mów!
- To był bardzo artystyczny drucik.
- Co? Jak mam to rozumieć? Dlaczego „artystyczny”?
- Pięknie wykonany. Nie taki zwykły drut kolczasty, jak dla rolników. Tylko artystycznie wykonany.
- I dopiero teraz o tym mówi?! Unikatowe wyposażenie wnętrza. Firma Karin. Vintage. Shabby chic. Scandi decor.
- Wszyscy pracownicy firmy mają alibi. Ten wątek już wałkowaliśmy. Zamilkli, jakby chcieli poskładać w myślach sensowną całość, uwzględniając nowy element.
- Mam wrażenie, że wszyscy kręcimy się w kółko – westchnęła Zuza.
- To nie film kryminalny. Prosta dedukcja od punktu do punktu – pocieszył ją Stefan i w tym momencie wydał jej się nawet przystojny.
- Obydwoje byli bardzo głodni. Seks spalił cały zapas glukozy. Usiedli naprzeciwko siebie przy stole i zaczęli jeść czekoladę. Tabliczki trzymali oburącz, posilając się jak gryzonie. W pewnym momencie zadowolony z poczęstunku Stefan wyjął całą tabliczkę ze sreberka i nie przestając jeść, zaczął nią żonglować. Przekładał ją w zabawny sposób z jednej dłoni do drugiej, a palce miał długie i zwinne. Takie dłonie mogły czynić cuda.
- Wgryzła się w cztery kafelki czekolady naraz.
- Tomas?
- Wyjechał. Odwoził lekarzkę Karin... a swoją przyjaciółkę... do domu.
- Żadne alibi nie jest doskonałe – powiedziała, a Stefan znowu poczerwieniał po same uszy.
- Sprawdziliście tę lekarzkę?
- Singrid Petrell? Oczywiście, przesłuchali ją ludzie ze Sztokholmu.
- I co?
- Nic.

- To znaczy?
- Dała Tomasowi alibi.
- Może dali je sobie nawzajem.
- O rany! Wszystkich podejrzewasz – przerwał jej.
- Można mieć wiele partnerek – rzuciła Zuza. – Chociaż Tomas nie wygląda mi na zbyt aktywnego seksualnie.

Żuchwy Gustavssona znieruchomiały na moment, potem znowu podjęły pracę.

– Chyba że to robota jakiegoś niezrównoważonego. Wtedy nic nie można wyszperać.

– A to zdjęcie?

Roześmiał się.

– To rówieśnice z małej miejscowości. Na pewno jest jeszcze mnóstwo podobnych zdjęć na strychach.

– Te dziewczynki wydają się takie smutne.

– Bo nie dostały obiecanych czereśni.

– Są przerażone. – Zuza podniosła głos.

– Bo nie dostały ich od tygodnia – odpowiedział jej spokojnie.

– Dlaczego nie chcesz powęszyć w przeszłości?

– W tym momencie nie rozstrzygniemy, czy ta fotka ma jakiś związek ze sprawą. Co wziąć, co odrzucić. Wszystko może nam pomóc albo i nie. Jeżeli chcesz, nie zamykaj tej furtki i idź nią, może cię dokądś zaprowadzi. Tylko bądź ostrożna – przestrzegł i wstał.

Zwinął opakowanie po czekoladzie w kulkę i zaszedł Zuzę od tyłu.

– Coś jeszcze? – zapytała, odnosząc te słowa do jego dłoni pełzających w kierunku jej sutków.

– Unikaj zabaw, które mogą być niebezpieczne – wycedził powoli i bardzo cicho.

– Już weszłam na ten plac zabaw. Za późno. – Dostosowała się do jego tonu, odchyliła głowę w bok, żeby łatwiej mógł operować palcami.

– Bzdury. Wycofaj się. Po co ci to?

– Tomas coś mi obiecał.

Gustavsson ożywił się natychmiast, cofnął dłonie i odszedł na kilka kroków.

– O czym mówisz?

– Pozwoli mi tu nadal pracować. Bo były plany, żeby przenieść panią Hermansson do Naszego Brzegu. Jeśli znajdę mordercę, Tomas spełni moje największe marzenie. – W jej uszach zabrzmiało to jak kwestia z detektywistycznego filmu retro, ale Gustavsson tak tego nie odebrał.

– Jakie znowu marzenie? – zapytał poirytowany.

Przez moment Zuza zastanawiała się, czy powiedzieć mu o bracie, ale w końcu się rozmyśliła.

– Powiem ci w stosownym momencie.

Dostrzegła, jak się zaniepokoił, prawie rozgniewał. Wiedziała, że musi natychmiast go uspokoić, bo inaczej ucierpi na tym ich znajomość. Musi mu pokazać, że może być z nią bezpieczny, że mąż zamordowanej Karin to tylko strona układu.

Wyciągnęła się na podłodze i rozchyliła nogi w sposób, w jaki ćwiczyłyby nożyce.

Gustavsson patrzył na nią, a oczy wilgotniały mu coraz bardziej. Chyba się zawstydził, bo nawet nie drgnął, chociaż ona podłożyła już dłonie pod pupę i wysunęła biodra.

– Powtarzam: musisz uważać. Dzwon do mnie, kiedy się na coś natkniesz. Wspólnie zdecydujemy, czy to dla nas ważne – wycedził i wreszcie ukląkł pomiędzy jej udami.

Zauważyła, że jest potężny i mógłby zrobić z tego użytek. Gdyby oczywiście chciał i umiał.

– Będę posłuszna – powiedziała na wydechu i stłumiła wewnętrzny chichot.

– O wszystkim mi mów – nakazał jej ostatkiem sił. Miał wzwód i był z tego dumny. – O wszystkim – dodał.

Akurat! Żebyś mi podkradł trop.

Niemniej skinęła posłusznie głową i pomyślała, że on wytryśnie, zanim w nią wejdzie.

Stefan zaczął jeszcze drażnić jej piersi. Udawała, że odczuwa przyjemność, choć pod względem erogennym brodawki i ich okolice miała w gruncie rzeczy nieczynne. Być może chciał się schłodzić, bo w seksie był krótkodystansowcem. Mogłaby się z nim pieprzyć przez cały weekend, byle tylko się wyluzował i nie tryskał po dwóch minutach gry wstępnej.

– Dobrze, że pani Hermansson nie może chodzić – dodał jeszcze bez sensu.

– Myślę, że natknięcie się na taki widok bardzo by urozmaiciło jej starość.

Chyba się uśmiechnął, ale szykował się już do wejścia i wysunął koniuszek języka, by wszystko przebiegło jak należy.

Kiedy w nią wchodził, jak zwykle niezgrabnie i zbyt delikatnie, pomyślała, że musi pokazać to zdjęcie Larsowi Olssonowi. Kto jak kto, ale on zna się na fotografii. Będzie też patrzyła na jego twarz, może zdradzi go przypadkowy grymas. Wtedy będzie wiedziała, czy coś go łączy z tymi dziewczynkami w bikini.

Gustavsson poruszał się już rytmicznie. Przynajmniej tak mu się chyba wydawało.



Sklep na stacji benzynowej był jak zwykle pusty. Tylko Larissa Edwardsson siedziała na podłodze i jakby nigdy nic czytała brukowce.

Lars Olsson ukłonił jej się grzecznie, a ona pokazała mu faka.

– O, Lady Frida na zakupach! – krzyknęła na widok wchodzącej nastolatki.

– Guma do żucia i czekolada.

– Nie dbasz o linię? – zapytał Lars, chcąc nawiązać kontakt.

– O nic nie dbam – odszczeknęła się Frida.

– To przywilej twojego wieku.

– Nie wiesz, ile mam lat – odpowiedziała prawie ze złością.

– Piętnaście? Nie? Czternaście... – Głos Larsa spływał sztuczną słodyczą.

– Nigdy się nie dowiesz, ile lat mam tu. – Wskazała palcem na swoje serce.

Olsson stał tak blisko niej, że czuł jej oddech.

– Dlaczego już mnie nie odwiedzasz? – zapytał.

Nie odpowiedziała, podrapała się w szyję. Podążył wzrokiem za jej dłonią.

Paznokcie miała w kolorze fuksji, ostro zakończone. A palce pełne dziwnych ni to pierścionków, ni harleyowskich obręczy.

– Jaki to styl?

– Styl?

– No, ubierania i w ogóle.

– Mój.

– Podoba mi się.

– Popheavymetalowa burleska. Pasuje ci, stary pierdzielu?

– Nieźle to wymyśliłaś.

– Potrafię dużo rzeczy – odburknęła, patrząc mu prosto w oczy.

Lars spieszył się tak bardzo, że tylko pokiwał głową i wyszedł ze sklepu. Musiał odejść właśnie teraz, wiedział, że już za kilka sekund nie mógłby się uratować. Biegłby za tą małą, za jej rowerem, do utraty tchu.

W dodatku przez cały czas obserwowała ich Larissa Edwardsson. Nawet nie kryła, że są dla niej o wiele bardziej interesujący niż życie intymne gwiazd.

Larissa wyszła ze stacji benzynowej, wskoczyła do nissana i natychmiast ruszyła. Ujechała dobre kilka kilometrów, przekraczając dozwoloną prędkość. Potem, kiedy już sobie wyobrażała, jak podtopi tę małą skośną Andersson w jeziorze, gwałtownie przyhamowała.

Siedziała pochylona, z obiema rękoma na kierownicy. Kiedy puls przestał jej łomotać jak u królika, ruszyła w stronę jeziora, zmieniła bieg, wzięła oddech i pomyślała, że ma jeszcze jedno marzenie. Kupić sobie jakąś płytę Kurta Cobaina. Tę znaną znała już na pamięć.

Zuza udawała, że jest u Larsa po raz pierwszy.

– Masz ładne rzeczy.

– Czy dlatego mnie podglądasz?

Zaczerwieniła się.

– Patrzę na ciebie, nie na gadżety.

– Chyba mi to pochlebia.

– Nie udawaj. Gdybym miała trzynaście lat, brzmiałoby to na pewno szczerzej.

Teraz to on trochę się spieszył.

– Nic na to nie poradzę, że mi się młode podobają.

Nie wytrzymała, wyjęła zdjęcie i podsunęła mu pod nos.

– Tak.

– Co tak?

– To ja je robiłem.

– Gustavsson mówił, że ojciec Anchee, doktor Andersson.

– Bzdura! – ożywił się. – On nie wychodził z gabinetu. Zaglądał w cipy od rana do nocy.

Zaskoczyły ją te brutalne słowa. Nie wiedziała, że Lars potrafi być tak bezceremonialny.

– Co mam ci powiedzieć? Chcesz się czegoś doszukać? Tropisz mordercę? Jesteś za młoda na polską pannę Marple.

– Też czytałeś Agathę Christie.

- Inni w tym czasie czytali *Muminki* i *Karlssona z dachu*.
- Zawsze się wyróżniałeś.
- Na to wygląda.

Lars Olsson był inny w bliższym kontakcie. Nie tak go sobie wyobrażała. Albo stał się taki, kiedy pokazała mu zdjęcie. Szorstki, zarozumiały i niedostępny. Podobał jej się w tej wersji. I nagle coś sobie przypomniała.

– Czy jak dostałeś swój pierwszy aparat, robiłeś portrety matkom i córkom?

- Nie pamiętam.
- Takie pozowane, w plenerze, na krześle na tle płotu.
- Może. Nie pamiętam.
- Masz bardzo słabą pamięć.
- To pomaga.
- W czym?
- W tak zwanym życiu.

Spojrzała na podłogę. Szerokie, doskonale zachowane deski. Chętnie by poćwiczyła na nich nożyce.

– Gustavsson mi mówił, że szukasz tropów, grzebiąc w naszym dzieciństwie, czy tak? Jakaś psychoanaliza domowej produkcji? Powiesz mi coś więcej?

- Gustavsson jest paplą.
- Zakochanym paplą.
- W kim? W kim jest zakochany?
- W tobie.
- Akurat! Mylił penisa z sercem.
- Zakochany chujem. To też dobre.

– Słuchaj, drogi sąsiedzie. Nie wiem, czy to ty je zabijasz, czy nie. Ale jeżeli nie, to powiedz mi, czy te trzy dziewczyny ze zdjęcia miały jakąś wspólną tajemnicę.

– Nie – zaprzeczył zbyt szybko, a dopiero potem wziął zdjęcie i obejrzał je dokładnie. – Wyglądają na nieźle przestraszone.

- No właśnie.
- Ale to nie jest strach przed tym, kto skierował na nie obiektyw.
- Na pewno? Jesteś pewny, że to nie ty je tak wystraszyłeś?

– Droga sąsiadko, to, że podobają mi się świeże dziewczynki, nie oznacza, że kiedy dorosną, tak bardzo mi się już nie podobają, że muszę je udusić.

– Przekonałeś mnie – skłamała, a po chwili rzuciła: – Chociaż bywam łatwowierna.

– Czy w takim samym stopniu jak wygimnastykowana?

– To znaczy?

– Stefan nazywa cię seksgimnastyczką.

Zuza znowu oblała się rumieńcem, ale Lars wyczuł, że jest zadowolona z tego komplementu, mimo że za moment powiedziała:

– Nie wiem, czy mi to pochlebia.

– Powinno.

– Znowu chcesz, żebyśmy razem poćwiczyli? – zaproponowała, bo czuła, że robi się mokra od samej rozmowy z Olssonem.

– Wtedy to był żart. Nie ćwiczę. Wybacz.

– A to dlaczego? Jesteś lojalny wobec przyjaciela? Nie lubisz Polek?

– Lubię.

– To może nie lubisz imigrantek?

– Nie lubię mieć zakwasów.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Dlaczego.? Chore serce? Czy dokuczliwa puchlina kolan panien służących po pozycji na pieska? A może coś z psychoanalizy domowej produkcji, czyli lęk przed bliskością?

– Obciąli mi fiuta.

– Co?

– Właściwie go nacięli.

– Kto?

– Tubylcy.

– Żartujesz.

– Dostawiałem się do tej, co nie trzeba.

– W Afryce?

– Myślałem, że tam mogę być bezkarny. A okazało się, że tam ręka sprawiedliwości jest szybsza.

– Nad jeziorem Skiresjön możesz stracić resztki fiuta.

– Wykastrujesz mnie?

- Jeżeli zbliżysz się do Fridy.
- Ach, Frida. Biorę proszki, żeby mnie nie ciągnęło.
- Możesz je odstawić.
- Nie. Długie miesiące terapii. Skutecznej.
- Miejmy nadzieję.

Kiedy wychodziła, pomyślała, że wstrzemięźliwość seksualna wyrządza większą krzywdę niż rozpusta. Ten ktoś, kto rozebrał Karin i Mathilde, na pewno nie miał możliwości swobodnego uprawiania seksu.

Lars Olsson dogonił ją tuż przed furką i złapał mocno za ramię.

- *Sorry* – przeprosił za zbyt mocny uścisk.
- Czego chcesz?
- Jako młody chłopak robiłem dużo zdjęć – powiedział. – Niektóre były całkiem paskudne.
- Pornofoty?
- Gorzej. Chyba znacznie gorzej.
- To znaczy? No... Nie znam się na grzechach młodocianych fotografów. Zmuszałeś dziewczyny, by robiły coś przed obiektywem? Powiedz mi wreszcie.

- Robiłem zdjęcia ich dzieciom.
- Nic nie rozumiem. Jakim dzieciom?
- Jeszcze nie dzieciom. Wiesz... pstrykałem zawartość kubła po skrobance.

Zuza spojrzała w słońce i dała mu się oślepić. Fizyczny dyskomfort pozwolił jej szybciej uporać się z nowym faktem.

- Szantażowałem je, wymuszałem seks w zamian za to, że nie ujawnię zdjęć ich rodzicom.
- Ile było tych dziewczynek?
- Trochę.
- Nie mów.
- Wystarczyło wejść przez okno do gabinetu doktora, a właściwie do małej służbówki. Tam czekały w wiadrze na wieczorne spalanie.
- Robił skrobanki?
- Taki miał zawód.
- Taki miał zawód – powtórzyła. – Karin i Mathilde miały skrobanki? – zapytała.

Lars pokiwał głową.

– A skoro już mówimy o Karin... Pozwolisz, że i ja cię o coś zapytam?
Popatrzyła na niego wyczekująco.

– Na miejscu zbrodni zauważyłem na przegubie jej ręki taki zielony sznureczek, coś w rodzaju bransoletki. Nie daje mi to spokoju. Nie wiesz przypadkiem, co to mogło być?

– Nie mam pojęcia.

Rzuciła mu kpiące spojrzenie. Dlaczego w oczach mężczyzny każda, najprostsza nawet kobieca ozdoba od razu staje się fetyszem?

Anchee Andersson siedziała tam, gdzie czuła się najlepiej: w swojej sypialni. Właśnie tam przyprowadziła Zuzę. Łóżko było rozbabrane, pościel nieświeża, a na ścianie zamiast obrazu wisiało koło ratunkowe z tabliczką upamiętniającą zajęcie pierwszego miejsca w zawodach pływackich.

– Dobrze pływasz.

– Dawno tego nie robiłam.

– Może powinnaś.

– Zaczęłam się bać wody.

– Odkąd?

– Od lata topielców... – Widząc zaskoczoną twarz Zuzy, dodała: – Kiedy utopiły się Marie i matka Larsa Olssona.

– Nie wiedziałam o tym.

– Kiedy się mieszka nad jeziorem, taka śmierć wcale nie dziwi.

– Dawno to było?

– Miałam wtedy kilkanaście lat. Marie była w depresji i popełniła klasyczne samobójstwo nastolatki, z okropnym listem pożegnalnym. „Jestem zbędna” i takie tam... A pani Olsson chyba za dużo wypija, ale nie wiem, czy rzeczywiście tak było. Ludzie mówili, że za bardzo wzięła sobie do serca ludową mądrość, jakoby alkohol pomagał na złe krążenie. Podobno było jej ciągle zimno. To chyba prawda, pamiętam ją tylko w grubych wełnianych swetrach. No i pewnego dnia skutecznie poprawiła sobie krążenie, wsiadła do samochodu mojego ojca i pojechała nad jezioro.

– Anchee przerwała i na moment pogrążyła się w zadumie. W końcu westchnęła i wyjaśniła: – To znaczy nie wiedzieliśmy, dokąd pojechała. Dopiero następnego dnia znaleziono samochód ojca koło przystani.

– Dlaczego wzięła akurat samochód twojego ojca?

– Byli kochankami – odpowiedziała Anchee krótko i rzeczowo, bez śladu emocji.

– Ach, tak?

– No.

– Pokłócili się?

– Nie wiem... Chyba po prostu wypłała za dużo i zachciało jej się pływać. Pamiętam, że kiedy wsiadała do forda, była cała w pąsach... Jak po seksie.

– To musiało mu być ciężko.

– Mojemu ojcu? No co ty?

– Larsowi.

– Nie wiem... może. Mnie też nie było łatwo. Widziałam, jak ją wyłowili. Szukali jej przez kilka dni. No, ale w końcu... Zjadły ją ryby, ale cały czas to była pani Olsson. Rozumiesz?

Anchee usiadła na szerokim parapecie. Miała piękną sypialnię, narożny pokój z oknami wychodzącymi na dwie strony. Na drogę i na trawnik. Szkoda, że wewnątrz było tak zaniedbane.

– O co chodzi? – zapytała, widząc, jak Zuza rozgląda się po pokoju.

– Przepraszam, że tak zapytam. Ale myślę, że...

– Pytaj.

– Czy twój ojciec robił skrobanki... nieletnim?

– Skąd wiesz?

– Ktoś mi powiedział...

– Ta żałosna pomoc drogowa... jak jej tam... Larissa Edwardsson?

– Nie, a co, ona też miała zabieg?

– Nie. – Anchee roześmiała się sztucznie. – Ona akurat nie. Chociaż pewnie by chciała.

– To znaczy?

– Chyba jest dziewicą.

– Czyli nie potwierdzasz informacji, że twój ojciec...

Anchee przerwała jej spokojnym głosem:

– Zuza, on podobno robił sterylizacje, a nie skrobanki.

– Skąd to wiesz?

– Wiem. Po prostu wiem. Za każdym razem przy kolacji mówił: „Kolejna dziwka. Nie jest godna kiedykolwiek mieć dzieci”. – Spojrzała na Zuzę i dorzuciła: – O mnie też tak powiedział.

– Wyskrobał cię?! Anchee!

Wzruszyła ramionami.

– Własną córkę?!
– Jezu, nie zrobił tego szydełkiem. Był lekarzem.
– A jednak cię nie wysterylizował.
– Nie jestem pewna, czy wyświadczył mi tym przysługę.
– Jak możesz? Frida jest wspaniała.
– Ale ja jestem kiepska. I nie przytaczaj mi tych teorii o wystarczająco dobrych matkach. Ja jestem wystarczająco zła.

– Matki zawsze się obwinia o to, czego nie robią, a nie docenia się ich za to, co robią – zacytowała Zuza.

Anchee Andersson spojrzała na nią i się rozpląkała. Ale zaraz potem wpadła w furję i szybkimi ruchami w okamgnieniu zrobiła sobie koktajl z leków. Była jak w transie, ręce jej się trzęsły.

– *Sorry*, pierwszy raz robię to w towarzystwie. Chcesz? – zaproponowała.

– Dzięki, wolę wódkę – powiedziała Zuza. Starła się zachowywać tak, jakby postępek Anchee nie zrobił na niej żadnego wrażenia. – Chyba mam coś z matki Larsa Olssona. Obym nie skończyła jako wór planktonu dla ryb.

– Każdy coś pije. Tak już tu jest. Nie da się inaczej. – Anchee wzruszyła ramionami. – Powiem ci. Mam romans z Tomasem. Kiepski romans. Bardziej seks i wspólne uzalanie, jak to życie nas potraktowało. Musimy się ukrywać, bo wyjdzie na to, że pozbyliśmy się Karin, żeby ze sobą gruchać.
– Parsknęła śmiechem. – Jezu, nigdy bym przed nim nie zdjęła majtek, gdyby mi się trafił jakiś inny!

– Chyba mam podobne doświadczenia.

– Tu? Nad naszym jeziorkiem?

– No tak.

– Z kim?

– Z naszym dzielnym hodowcą papug.

– Gustavssonem?! Powiesz mi, jakiego ma ptaka?

– Szybko fruwa. Od razu widać, że zbyt długo siedział w klatce.

Roześmiały się.

Zuza postanowiła wykorzystać ten nagły przypływ bliskości.

– Czy Karin miała kiedyś skrobankę, która mogła skończyć się sterylizacją? – zapytała

– To jej osobista sprawa. – Anchee w jednej chwili się usztywniała.

– Ja zakładam, że tak.

Anchee wzruszyła ramionami.

– Paris jest adoptowana. Potwierdzasz?

– To osobista sprawa Tomasa i Karin. Teraz już tylko Tomasa.

– Zapytasz go o to?

– Tomas to bardzo wrażliwy ptak. Bardzo się troszczy o swoją budkę lęgową, a ja nie zamierzam mu jej demolować tylko dlatego, że jakaś *madame from Poland* prowadzi śledztwo, bo jej się znudziło zmienianie pampersów. – Anchee zaczynała odpływać po lekodrinku.

– Mam już wyjść?

– Masz cholernie dobrą intuicję i czytasz w ludzkich umysłach. Miłych snów, madame Columbo.

Zuza wyszła. Kiedy schodziła na dół, zauważyła matkę Anchee siedzącą na najniższym stopniu.

Doktorowa nie odpowiedziała na powitanie. Nawet nie uniosła głowy. Mijając ją, Zuza zauważyła, że przegląda jakąś książkę o ogrodnictwie, otwartą na stronie z instrukcją podwiązywania róż żyłką.

Po tym, co zobaczyła, jeszcze dziwniejszy wydał jej się całkowicie zapuszczony piaszczysty plac wokół domu. Drzew nie było tu dużo, słońce bez problemu docierało do samej ziemi. Mógłby tu być całkiem piękny ogród. Nawet różany.

Głos brata przez telefon brzmiał inaczej. Jakby Oskar nie trzymał słuchawki przy uchu, tylko się nią bawił.

– Wysłałam ci paczkę – powiedziała Zuza

– Ahas.

– Mówi się „aha”. Albo „dziękuję, siostró”.

– Ahas.

– Dostaniesz czekoladę, samochody i kredki. Sześćdziesiąt kredek, wszystkie kolory. Chyba ze dwadzieścia zielonych, lubisz przecież zielony.

– Ahas. A piłkę.

– Chcesz piłkę?

– Ahas.

– Nigdy nie grałeś w piłkę.

– Grałem. Mama gra.

– To kupię ci piłkę i wyślę. Tęsknie za tobą.

– Ahas.

- Całuję cię mocno.
- Ahas.
- Płaczesz? Czasami płaczesz? Za mną czy tak w ogóle?
- Idę wypastować stół.
- Pastą do butów?
- Do stołu, idiotko! – krzyknął i rozłączył się.

Zuza po każdej rozmowie z bratem płakała. Nie chciał jej poświęcać dużo czasu, zawsze miał coś ważniejszego. A to pozamiatać pod lustrem włosy. Wypastować mamie buty. Wyczyścić wannę. Wiedziała, że musi znaleźć tego mordercę i mieć brata przy sobie. Nie chciała, by do końca życia był służącym we własnym domu. Chociaż może tylko to go uszczęśliwiło.

Powstrzymując łzy, wyszła przejść się wokół domu. Przy samym budynku wyrastało pełno mleczy, chyba fundamenty były zawilgocone. Pozostałą część ogródka zajmowała spalona słońcem trawa.

Zuza przypomniała sobie sporą kolekcję starych pocztówek z kwiatami poutykanych w wielu szufladach. Matka Karin chyba też lubiła kwiaty, ale u Hermanssonów nie było inaczej niż u Anderssonów. O różach się tu tylko marzyło.

Pogrzeb Mathilde Rosmussen był znacznie skromniejszy niż pogrzeb Karin. Ale w kościele zjawilo się dużo ludzi, dużo było też kwiatów, wyłącznie białych, i łez. Nie zabrakło mów pożegnalnych, wspomnień i pokazu slajdów ze szczęśliwych chwil.

Nie obyło się bez wzruszającej muzyki. Dla Mathilde puszczono piosenkę Beyoncé, a dla Karin – Kurta Cobaina.

Ingrid pochylała się wtedy do Zuzy i powiedziała, że to ulubiony piosenkarz Tomasa. Sama Karin wolałaby jakiś przebój Whitney Houston. Zawsze płakała przy tym kawałku *I will always love you*.

I wtedy organista zaśpiewał: *I will always love you*.

Nie było wyjścia: popłakały się. Nie one jedyne.

Anchee bawiła się breloczkiem samochodowym. Wciskała mały guziczek, a on wyskakiwał z przeciwnej strony. Te nerwowe ruchy irytowały Zużę, ale jednocześnie była zadowolona, że Anchee przyniosła jej całą torbę szwedzkich kryminałów, które kiedyś namiętnie czytał doktor Andersson.

Postanowiła jeszcze raz się upewnić i zapytała:

– Czy lekarz może być pewny, że kobieta nigdy nie rodziła? Czy może to ustalić, nawet jeśli wiodła bujne życie uczuciowe?

– Myślę, że tak – oceniła Anchee.

– A ten twój znajomy był pewny?

– Oczywiście, to dobry lekarz. Poznałam go w czasie studiów, był strasznym kujonem. Nawet doświadczona położna to rozpozna. Rodziła czy nie rodziła.

– Okay. Muszę jechać do Sztokholmu, do tej kliniki Singrid Petrell, i dorwać się do karty ciąży Karin. Zobaczyć, co tam nawypisywali...

– Zwariowałaś?! Nikt ci jej nie pokaże.

– Gdyby Karin była pierwiastką... – ciągnęła Zuza uparcie.

– Szkoda twojego czasu.

– Już tam dzwoniłam.

– I co?

– Recepcjonistka miała polski akcent. Więc przeszłam na polski.

– Jezu!

– Tomas zrobi mi dodatkowy przelew. Będę miała ekstra wydatki.

– Pójdę już. – Anchee straciła dobry humor.

– Już?! Co ci jest?

– Miałam ciężki dzień. Dwie próby samobójcze pensjonariuszy i jeden zgon. Anoreksja. Musiałam swoje napisać. I te rozmowy z rodzinami... mówię ci, koszmar. A że zwolniło się miejsce, jutro przyjmujemy nową osobę.

– Szybko.

– Na miejsce w Naszym Brzegu czeka się około czterech lat.

– Czyli nic się nie zmieniło.

– Prawie nie rozmawialiśmy, kiedy tam pracowałaś.

– Ani razu. Zwykle nie rozmawiasz z personelem średniego szczebla.

– Taka już jestem i wcale nie zamierzam nosić głowy niżej.

– Jak sądzisz? Skoro Paris jest adoptowana...

– Może tak, a może nie – przerwała jej Anchee. – To żadna sensacja, nie masz się czym ekscytować. Takie rzeczy się zdarzają. Również w naszych lasach. – Próbowała żartować, ale widać było, że jest spięta.

– Nie rozumiesz? Dwie ofiary i obie adoptowały niedawno dzieci.

– Eureka!

– Dobrze, że nad jeziorem nie ma już żadnej innej kobiety z małym dzieckiem.

– Wszystko sprawdziłaś. – W głosie Anchee zabrzmiała udręka.

– Jest tylko jedno dziecko, a właściwie podłotek. Frida.

– Nie boję się. Nie adoptowałam jej. Rodziłam Fridę bez znieczulenia.

– Na pewno?

– Tego się nie da zapomnieć.

– Mam nadzieję, że kiedyś i ja się o tym przekonam.

– A co u twojego brata? – zapytała Anchee bez ciekawości.

– Znowu ma ataki głodu. Bywa, że matka musi go przywiązywać. Jest coraz starsza, nie daje sobie rady. Wszystko będzie dobrze, jak tylko go tu ściągnę. Uspokoi się – powiedziała, ale w swoim głosie nie dosłyszała pewności.

– Niewątpliwie się wyciszy. Mamy tu bardzo zdrowe powietrze – oznajmiła Anchee niezwykle poważnym tonem. – Śpij dobrze.

– Zadzwoń, gdy tylko wrócę. Może dowiemy się czegoś więcej. Zrobimy krok naprzód.

– Może już dziś, już teraz, stoimy nad przepaścią, tylko o tym nie wiemy.

– To znaczy?

– A jutro, jak powiedziałaś, zrobimy krok naprzód.

– Przestań – roześmiała się Zuza. – I uważaj na Fridę.

– Mogłabyś używać lepszego dezodorantu.

– Ten nie był tani.

– Co nie znaczy, że można go używać raz w tygodniu – powiedziała Anchee i na pożegnanie poklepała ją po ramieniu, po czym pospiesznie, niemal histerycznie chwyciła torebkę, skinęła głową i wyszła.

Zuza powąchała się pod pachami. Może przyzwyczaiła się już do swojego zapachu, ale nie wyniuchała niczego przykrego. Dlaczego więc Anchee stała się taka niemila? – pomyślała.

I dlaczego ciągle ją ramię boli, jakby ją uderzyła, a nie poklepała? Jakby w delikatnych, wątlých rękach Anchee zagnieździła się jakaś obca, zła energia.

Zuza zajrzała do pani Agnes Hermansson, a potem poszła do kuchni, otworzyła pudełko czekoladek i powoli gryząc jedną z nich, wykręciła numer Larissy Edwardsson.

Larissa odebrała dopiero po piątym czy szóstym sygnale i szybko zapewniła, że będzie u niej o szóstej rano i że nigdy nigdzie się nie spóźnia. Na pewno, zgodnie z umową, zdąży ją podrzucić na stację.

Przez moment Zuza miała wrażenie, że w tle rozmowy z Larissą słyszy charakterystyczne klikanie breloczka Anchee. Była tego pewna. Klik-klak-klik.

Patrzyła na Gustavssona, próbując na siłę odnaleźć w nim coś, co by jej się podobało. Oprócz uśmiechu i tego, że łatwo dawał się wciągać w rozmowy o śledztwie w sprawie morderstw Karin i Mathilde. A jednak kiedy go długo nie widziała, odczuwała pewien brak.

Wyobrażała sobie jego kanciastą sylwetkę, kaczy chód i brzydką twarz, skłoną do oblewania się kropelkami potu. W oczach miał zawsze pewną bezradność i często się zacinał, kiedy tylko zauważył, że go uważnie słucha.

Zawsze siadał w wysłużonym fotelu stojącym naprzeciwko kominka i patrzył w osmolony sadzą otwór. Nawet kiedy rozmawiali, sprawiał wrażenie, że na coś czeka i myślami jest gdzie indziej, ale nigdy nie złapała go na tym, że jej nie słucha. Wprost przeciwnie, wielokrotnie się przekonała, że pamięta wszystko, co mu mówiła. To była dobra cecha u policjanta, ale byłaby fatalna u męża.

– Wiesz, Tomas obiecał, że jak znajdę mordercę Karin, to pozwoli mi sprowadzić brata.

– Tu nie ma pracy dla mężczyzn. Chyba że jest drwalem – odparł bezmyślnie, jakby z rozpędu, zanim w pełni do niego dotarł sens jej słów. – Jesteś w komitywie z Tomaszem? Kazał ci szukać zabójcy? Chyba kpił, co? – Te trzy pytania zadał niemal jednym tchem i nie czekając na odpowiedź, podniósł się i wyszedł.

Zuza pożałowała swojej szczerości, ale uważała, że skoro z nim sypia i ma do niego słabość, mogą rozmawiać o wszystkim.

Stefan doszedł chyba do tego samego wniosku. Zadzwoił po kwadransie. Był w samochodzie, zatrzymał się, ale nie wyłączył silnika. Zuza słyszała w tle jego szum.

– Może pojedziemy jutro na frytki do Vimmerby?

– Jeżeli mają tam pikantny keczup.

– Pikantny? Diabelski, nie pikantny. Nie musisz się depilować, włosy same ci wyjdą.

– Jeżeli chcesz, żebym się wygołiła na dole, to powiedz wprost – zaśmiała się Zuza.

– Jakbyś mogła... Byłoby miło – wycedził zażenowany, ale i zadowolony.

– Już mi leci ślinka na keczup.

– Mnie też leci ślinka, ale na co innego – zapewnił poważnym tonem. – Będę wieczorem.

– Stefan... – wtrąciła szybko, bo bała się, że się rozłączy. – Mój brat ma na imię Oskar. Ma czterdzieści lat i zespół Downa.

– Okay – powiedział tylko.

Następnego dnia zjedli szczupaka z frytkami. Oboje unikali tematu problemów rodzinnych Zuzy.

Tak było lepiej.

Zdecydowała, że nie powie mu o swojej podróży do Sztokholmu. Ale przecież Stefan, odwiedzając Larsa, mógł zauważyć, że ktoś inny opiekuje się panią Hermansson.

– W środę jadę do Sztokholmu. Moja siostra będzie tam słuźbowo.

– Cała rodzina imigrantów – rzucił. – Na długo?

W jego głosie wyczuła niepokój, który jej pochlebił.

– Na jedną noc.

Wyprostowała się, krzyżując ręce na piersi. Na moment zapatrzyła się w metalową reklamę napoju wiszącą nad głową Stefana. Była w duchu lat pięćdziesiątych. Zuza lubiła ten mało wyrafinowany styl vintage.

– To dobrze. – Pochylił się i rozciął rybę.

Zuza przyjrzała się nożykowi, który podali jej do przekąski, talerza szprotek. Wyraźnie coś jej przypominał.

– Czy twoja siostra jest tak samo ładna jak ty? – zapytał Stefan, nie unosząc wzroku znad talerza. Miał tę swoją nieśmiałą minę.

– Zawsze byłam tą brzydszą siostrą.

– To niemożliwe. Żadna Polka nie jest ładniejsza od ciebie.

Zuza parsknęła i opluła się jedzeniem.

– Dziękuję.

Nigdy mu nie zdradzi, że kłamała i że nie ma siostry. A gdyby Gustavsson zdecydował się ją poślubić, powie mu o tym dopiero po nocy poślubnej.

Kiedy wracali nad jezioro, nagle zapytała:

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że żadna Polka nie jest ode mnie ładniejsza? A jakaś Szwedka jest, tak? No... powiedz.

– To już nie ma znaczenia – odparł.

– Jak to? No, słucham... – ponagliła.

– Bardzo podobała mi się Karin – wyznał.

Nie odzywali się aż do domu Agnes Hermansson, ale ich pożegnanie było wyjątkowo czułe.

– Prawie już nie oglądam telewizji – obwieścił.

– Za gorąco?

Roześmieli się razem jak na komendę.

Zuza poczuła duszny zapach czeremchy. Było to zadziwiające, bo nie było tu tego drzewa.

– Czujesz ten piękny zapach?

– Nie.

– To chyba tylko w mojej głowie.

– Może jesteś ciutkę zakochana?

Wolała nie odpowiadać. Nie chciała go zasmucać, spędziła udany wieczór. Spojrzała na jego ręce bawiące się breloczkiem. Kulką z artystycznie związanego zwykłego druciku.

– Podoba ci się? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Sam to tak związałem. Jeszcze w szkole. Ojciec zrobił z tego breloczek.

– Fajne – powiedziała.

Został u niej na godzinę. Kiedy brał prysznic przed wyjściem, wyznał, przekrzykując strumień wody, że w przyszłym tygodniu wybiera się do Sztokholmu, „do tej Singrid Petrell, wiesz... lekarki Karin”.

Nie podjęła wątku. Udała, że nie słyszy. Wiedziała jedno: teraz musi się ścigać z Gustavssonem. Biegł tylko krok za nią.



Klinika doktor Singrid Petrell miała siedzibę w centrum Sztokholmu, w typowej dla tej części miasta zabytkowej, idealnie zadbanej kamienicy. Na parterze była recepcja utrzymana w klasycznym, nieco sterylnym stylu oraz kilka gabinetów lekarskich. Na trzech pozostałych piętrach znajdowały się sale operacyjne i porodowe, pomieszczenie dla personelu, szatnie i oczywiście pokoje pacjentów. Przeglądając folder reklamowy, Zuza zauważyła, że nie różniły się w zasadzie niczym od pokoi w przyzwoitym hotelu, z wyjątkiem mobilnych łóżeczek dla noworodków ustawionych przy nocnych stolikach. Całość nie zrobiła na niej dobrego wrażenia. Czuło się tu atmosferę szpitalnego chłodu i żadne sztuczki w rodzaju kawiarnianego kącika, wewnętrznej fontanny czy wiklinowych foteli w stylu nadmorskich koszy plażowych nie zdołały tego zamaskować.

Recepcjonistka kliniki New Life miała typowo polską urodę, którą Zuza Wolny nauczyła się rozpoznawać dopiero za granicą. Opadające na ramiona szare cienkie włosy bez żadnej nadanej przez fryzjera linii, blada cera oraz krótkie nogi z obfitymi udami, niefortunnie podkreślone ortopedycznymi kłapkami Scholla i niebieskawym fartuchem kończącym się tuż przed kościstymi kolanami.

Zuza posłała jej swój sztuczny, ale perfekcyjny i skuteczny uśmiech i przywitała się po polsku.

– A więc to ty! – Gosia rozpromieniła się na jej widok i do razu zapytała: – Po czym mnie poznałaś?

Wybiegła zza recepcyjnej lady i uściskała Zuzę spontanicznie i z takim ładunkiem autentycznej radości, jakby zobaczyła siostrę, z którą okrutny los rozdzielił ją po urodzeniu.

Była nieco zaszokowana, że Zuza zaprosiła ją na lunch w luksusowej restauracji, a kiedy już tam były, w ramach wątpliwego rewanzu opowiedziała jej swoje życie. Przyjechała do Szwecji zbierać jabłka.

Wyszła za Szweda, prostaka i pijaka. Skończyła szkołę dla sekretarek, dostała dobrą pracę, urodziła dwójkę niewdzięcznych dzieci, które nawet nie chciały się nauczyć polskiego, więc nie mają kontaktu z jej rodzicami. Od ośmiu lat pracuje w klinice New Life, dobrze zarabia, jest lubiana, ale ciągle nie potrafi odejść od męża. Nie ma przyjaciół, bo Szwedzi nie chcą się z nią przyjaźnić, a Polacy zazdroszczą jej stanowiska.

Zuza nie przerywała, mimo że nudziła się piekielnie. Wiedziała, że Gosia musi się wygadać, przewietrzyć serce. W ten sposób poczuje łączność z nowo poznaną rodaczką i w ramach patriotycznej solidarności będzie skłonna udzielić jej nawet poufnych informacji.

Aby zrealizować plan, Zuza opowiedziała jej swój życiorys, specjalnie rysując go w mrocznych, depresyjnych barwach. W efekcie brat zamienił się w syna urodzonego z wadą genetyczną, a pani Hermansson – w uciążliwą złośliwą staruchę z chorobą Alzheimera. Zmyślone i podkoloryzowane historie wycisnęły niejedną łzę z oczu Gosi, a Zuza również nie czuła się komfortowo. Nie dlatego, że kłamała, ale dlatego, że nie lubiła być postrzegana jako ofiara losu.

Kiedy wyznała, że dwa lata temu miała ciążę pozamaciczną, a lekarz nie tylko dokonał aborcji, ale również ją wysterylizował, Gosia, chcąc dodać jej otuchy, wzięła ją za rękę. I już za moment paplała o swojej kuzynce, która skończyła szkołę pielęgniarstwa, ma niewidomych rodziców, a na dodatek rzucił ją chłopak; chciałyby dziewczynie pomóc, ale mąż, jak to pijak i prostak, nie pozwala jej sprowadzić nikogo do Szwecji.

– Przecież mogę coś z tym zrobić – ożywiła się Zuza. – Tam, gdzie pracuję, jest dom starców, sama w nim zaczynałam, a dyrektor to mój znajomy. Sprowadzi ją do tej placówki, ona tam zamieszka i będzie ci wdzięczna do końca życia.

„Albo i nie. Może tak samo jak ty wyjdzie za prostaka i pijaka” – chciała dodać, ale znowu się ocenzurowała, bo Gosia już całowała ją w policzki.

– Zapiszę ci swój sekretny adres e-mailowy – powiedziała Zuza i sięgnęła do torebki, żeby uniknąć tych wylewnych podziękowań po sałatce z czosnkiem.

– To polska skrzyńska? – zapytała Gosia, rzucając wzrokiem na karteczkę, którą podała jej Zuza.

– Tak będzie lepiej. Musimy być dyskretne. – Zuza teatralnie ściszyła głos.

– I musimy się trzymać razem, moja droga – dodała szeptem Gosia.

Zuza czuła się coraz gorzej, nieautentycznie, nie w swojej skórze, zniżając się do poziomu nowo poznanej. To uświadomione poczucie wyższości budziło w niej moralnego kaca. Ale brnęła dalej i z energią czirliderki w białych botkach ze skaju zawołała z udawaną radością:

– Teraz bierzemy ciasto migdałowe!

– Skąd wiedziałaś, że je lubię?! – wykrzyknęła Gosia, a dystygowana para starszych Szwedów spojrzała na nią pobłaźliwie.

– Przecież jesteśmy Polkami, a na emigracji to jak rodzina – stwierdziła sentencjonalnie Zuza.

Po dwóch kawałkach ciasta migdałowego i jednym czekoladowego Gosia posłodziła kawę dwiema łyżeczkami cukru trzcinowego, uprzednio dokładnie go powąchawszy, i zadała pytanie, na które Zuza czekała od momentu, kiedy ją zobaczyła.

– Jak mogę ci się odwdzięczyć za tą robotę dla kuzynki przy starych wikingach?

Zuza była zmęczona. Odgłosy pociągu, jednostajne i monotonne, tylko potęgowały senność, a ona zamierzała poskładać wszystkie wiadomości na temat sekretnego życia Karin i Mathilde. Nie było ich dużo, właściwie nie miała nic oprócz tego, że skrzętnie ukrywały się ze swoją przyjaźnią. To, co powiedziała Anchee – że zawsze trzymały się razem – wydawało się nieprawdopodobne. Nikt tego nie potwierdził. Mając maleńkie dzieci w tym samym wieku, w sposób naturalny powinny ze sobą przebywać. Nic z tego. Nikt ich nie widywał razem na spacerze czy na zakupach, a Ingrid zeznała, że Mathilde nigdy nie wpadała do Karin na pogaduszki. Na fecie z okazji nocy świętojańskiej, owszem, była jak wszyscy z okolicy, ale nie rozmawiała ani z Karin, ani z Tomaszem.

Musiał być jakiś powód, że oficjalnie trzymały się z dala od siebie. To jest też argument za tym, że Anchee wiedziała coś więcej o sprawie. Chciała ją skierować na fałszywy trop. Kiedy Zuza zapytała ją o przyjaźń tych dwóch, Anchee zmieszała się odrobinę i próbowała to ukryć, ale jej głos brzmiał już zupełnie inaczej niż dotąd.

Anchee, Karin i Mathilde. Trzy dziewczynki ze zdjęcia. I jakaś tajemnica. Coś je połączyło. Coś niezwykłego, ale zapewne okrutnego.

Dwie z nich już nie żyją. Anchee jako jedyna ocalała. Mogła je zabić albo sama jest w niebezpieczeństwie. Jeżeli nie była morderczynią, to łatwo mogła wydedukować, że jej życie jest zagrożone. Może dlatego tak gorliwie się znieczulała tymi koktajlami z prochów. Jednocześnie wcale nie sprawiała wrażenia przerażonej czy zastraszonej. Zresztą lekomanką była podobno na długo przed pierwszym morderstwem.

Jeżeli to Anchee zabija, to co takiego one jej zrobiły? I czy to zdjęcie ma jakikolwiek związek z popełnionymi zbrodniami? Jeżeli tak, to nikt już nie zginie.

Nagle przyszedł Zuzie na myśl fotograf. Racja! Lars również może być mordercą lub zagrożonym. Albo równie dobrze nie mieć nic wspólnego z morderczą zemstą. Po prostu zrobił im zdjęcie. Był świadkiem dziewczęcej przyjaźni, której losy tak osobliwie się potoczyły.

Oparła się wygodnie i przytuliła twarz do szyby. Znowu czuła bulgotanie w jelitach i delikatne skurcze w okolicy pępka. Zespół jelita wrażliwego trochę się wyciszył, odkąd dzień w dzień serwowała sobie ciepłe zmiksowane warzywa, te same, które podawała pani Hermansson.

Ale wystarczył dzień w Sztokholmie, byle jaka kanapka kupiona na dworcu, potem zbyt obfity, ciężkostrawny i bardzo drogi obiad, paczka orzeszków nie wiadomo po co, bo nie była głodna, chyba żeby zabić czymś nudę oczekiwania na pociąg, i do tego kilka kaw ze sztucznym słodzikiem – i znowu czuła się osłabiona i cierpiąca.

Pociąg gwałtownie zahamował, a jej aż pociemniało w oczach i była pewna, że skórka z pomidora niczym wściekły szczur grasuje w jej okrężnicy.

Nagle nastąpiła seria czegoś, co zinterpretowała jako chwilowe braki prądu. W kilkusekundowych odstępach światło w przedziale zapalało się i gasło.

Wyjrzała przez okno. Pociąg niespiesznie toczył się wąskim przesmykiem przez ogromne połacie lasu. Poszycie było tak gęste, jakby na zewnątrz już panowały zimowe ciemności.

Zuza zorientowała się, że wszyscy, którzy wsiedli w Sztokholmie, już zdążyli wysiąść. Siedziała na samym końcu przedziału typu open space i nagle poczuła strach. Było to uczucie silne, skondensowane i paralizujące. Rytmiczne uderzenia metalowych części, słyszane gdzieś w tle od początku podróży, nagle zdawały się przybliżać i zapowiadać coś zagrażającego.

W jednym momencie chwyciła torbę i pobiegła zgodnie z kierunkiem jazdy. Tam przynajmniej musi być maszynista albo inny pracownik kolei.

Pociąg nagle przyspieszył i koła zaczęły łomotać. Miała wrażenie, że spod tego łoskotu przedziera się płacz Paris. Słyszała go całkiem wyraźnie.

Wreszcie zobaczyła elegancką kobietę, sztywno siedzącą z torebką na udach. Oczy miała zamknięte, jakby drzemała.

Zuza uspokoiła oddech i usiadła naprzeciwko.

Nieznajoma otworzyła oczy. Zuza poczuła, jakby ktoś wsadził jej w usta płonąca pochodnię. Kobieta miała oczy kota. Żółte tęczówki i pionowe źrenice. Te nowoczesne soczewki, kupowane zazwyczaj przez nastolatków, robiły niesamowite wrażenie w komplecie z casual dress i mieszczańską formą torebki Longchamp.

Kobieta kot wpatrywała się w nią bez wstydu, lekceważąc nakazy dobrego wychowania.

Po chwili, żeby jakoś ocieplić atmosferę, Zuza się uśmiechnęła. Nieznajoma nie zareagowała, nie zrobiła nawet najmniejszego grymasu i tylko mocno, jak gdyby przesadnie, zaczęła przełykać ślinę. Podobna kocicy, która zaatakuje za sekundę czy dwie, ale na pewno zaatakuje. Jej twarz pozostała nieruchoma, jak maska.

Zuza poczuła, że spociała się pod pachami. Nie wiedziała, czy ma się przesiąść kilka rzędów dalej lub do następnego wagonu, czy może po prostu zbagatelizować fakt, że nieznajoma nie spuszcza z niej wzroku. Zdecydowała się patrzeć w okno, mimo że z powodu panującej za nim ciemności mogła zobaczyć tylko swoje odbicie. Drzew jednak z wolna ubywało, coraz częściej pojawiały się światła mijanych gospodarstw, a pociąg zaczął wyraźnie zwalniać.

Kobieta kot otworzyła torbę, przez moment grzebała w niej po omacku, nie spuszczać wzroku z Zuzy, aż w końcu wyjęła jakiś dziwny metalowy patyczek. Wstała, zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę wyjścia i dopiero wtedy potrzaskała patyczkiem jak termometrem, a ten rozłożył się i w jednej sekundzie przemienił w laskę dla niewidomych.

Zuza obserwowała, jak kobieta czubkiem laski obmacuje fotele i zgrabnie posuwa się w kierunku drzwi. Pociąg wjechał na stację i zatrzymał się przy niewielkim peronie. Zuza wychyliła się, by nie tracić towarzyski podróży z oczu. Ruchy białej laski działały hipnotyzująco.

W pewnym momencie mankiet zakietu kobiety kota odchylił się i na przegubie dłoni ukazał się zielony sznureczek. W umyśle Zuzy jakby zapaliła się iskra. Kto mi o tym...? Ależ tak! To Lars! Pytał ją o ozdobę na rękę zamordowanej Karin.

Poderwała się i pobiegła w kierunku wyjścia. Kobieta była już na peronie. Witaa się z przystojnym, roslým blondynem w letnim lnianym garniturze. Potem przykucnęła i pozwoliła, by kilkuletnia dziewczynka, prawdopodobnie córka, obsypaa ją pocałunkami. Dziecko miało czarną skórę.

Jeżeli tych dwoje było jego rodzicami, to wyłącznie adopcyjnymi.

Pociąg ruszył.

Zuza wróciła na miejsce. Wyjęła telefon i weszła do sieci. Wpisała ZIELONA NITKA ADOPCJE. Nic. Wpisała ZIELONY ŁAŃCUCH RODZICE. Jest! Bingo! ZIELONA MIŁOŚĆ – POMOC PRAWNA I PSYCHOLOGICZNA DLA RODZICÓW ADOPCYJNYCH. Był też adres stowarzyszenia, numery telefonów, grafik z dyżurami prawnika, psychologa, pracownika socjalnego. Wśród sponsorów... Karin Frostenson. Administrator witryny nie zdążył wykreślić jej nazwiska ani ująć go w żałobną ramkę.

Zuza wyłączyła komórkę. Próbowaa się wyciszyć, rozmyślając o Gustavssonie. Przychodziło jej do głowy wiele miłych rzeczy prócz jednej. Że kiedy pociąg wjedzie na stację, na peronie, zamiast umówionej Larissy, będzie czekał Stefan z bukietem w celofanie.

Kwiaty były bladoczerwone, przypominały goździki, których nie cierpiała. Ale i tak było jej miło.

Pani Hermansson nie przeszkadzała im w nocy, spała wyjątkowo mocno i nawet nie pojękiwała. Być może dlatego, że całą poprzednią noc miała nieprzespaną. Powodem była biegunka, a właściwie zbyt szybkie podanie posiłku. Wieczorne karmienie pani Hermansson musiało trwać ponad pół godzinny, żeby organizm mógł przyswoić pokarm. Zuza zapomniaa o tym uprzedzić Agnieszkę, pielęgniarkę, która zgodziła się ją zastąpić.

Rano, po przebudzeniu, Gustavsson wyznał, że mają jakiś trop. Ktoś widział, jak w dniu morderstwa Karin elegancki mężczyzna w wędkarskich kaloszach rzekomo coś kupował w sklepiu zoologicznym.

Ann-Britt początkowo zaprzeczała, ale w końcu odświeżyła sobie w pamięci tamten feralny dzień. Powiedziała, że kompletnie wyleciało jej to z głowy, bo klient wpadł tylko na chwilę i kupił ledwie dwie puszki. Przemilczała wrażenie, jakie wywarł na niej ten mężczyzna.

Zuza się załamała: jeżeli to ktoś nie stąd, ma nikłe szanse na sprowadzenie brata. I właśnie wtedy, kiedy czuła smutek w każdej części ciała, Gustavsson nabrał apetytu na powtórkę z miłości.

W końcu zrobili to w spizarce, pomiędzy charczącą zamrażarką a zgrzewkami wody mineralnej. Policyjny penis był cienki i ostry jak drut. Za każdym razem, kiedy się cofał, Zuza miała wrażenie, że zaczepia o pochwę i ją kaleczy. Być może to z tego powodu było jej z Gustavssonem po raz pierwszy naprawdę dobrze.

Podziękowała mu, biorąc obolałego od ruchów frykcyjnych ptaszka do ust. Kiedy zerknęła na twarz Stefana, dostrzegła, że ma skruszoną minę, jakby nie odbierał rozkoszy, tylko ostrą reprymendę.

Po jego wyjściu wzięła długą kąpiel, starannie natarła ciało kremem i wyszczotkowała włosy.

– Wystawiłeś mój dom na sprzedaż, łachudro?! – zacharczał Nils Gustavsson, patrząc surowo na syna.

– Bzdury – zaprzeczył Stefan zmęczonym głosem.

– Czytać to już nie czytam, ale obrazki jeszcze oglądam.

– To nieprawda – powiedział tylko.

– To, że jestem stary, nie znaczy, że jestem idiotą! – krzyknął ojciec.

– Niczego, co twoje, nie sprzedaję – wyjaśnił niemal przepraszająco, ale zaraz potem, tłumiąc złość, dodał: – Chyba że po twoim trupie.

– Nie kłam! Nie wystarczy ci pieniędzy z pensji? Po co ci kasa?

– Może na życie...

– Życie! – prychnął starzec. – Ty nigdy nie umiałeś żyć. I nie myśl, że teraz się nagle nauczysz. Podobno heblujesz tę Polkę od starej Agnes. Wybredny to ty nie jesteś.

– Kto ci powiedział? – zapytał prawie wesoło Stefan.

– Wszyscy.

– Na przykład?

– Anchee Andersson.

– Jest tu psycholożką czy plotkarą? – Stefan wyraźnie zaczął się niepokoić.

– Każda psycholożka ma ciekawość plotkary, a plotkara dedukcję psycholożki – skomentował sentencjonalnie Nils.

Stefan po raz kolejny zauważył, że jego poziom intelektualny wrócił do dawnej świetności. Przynajmniej na jakiś czas.

– Jak chcesz, możemy go nie sprzedawać.

– Dlaczego mówisz „możemy”? Przecież to ty sprzedajesz, a ja nic o tym nie wiem – wyrzucił z siebie ojciec, aż mu policzki poczerwieniały, a Stefan wyczuł echo dawnych rozmów, manipulacji i poniżeń.

– Nie sprzedam go, okay?

– A położyłeś nowy dach? – Nils nie spuszczał oczu z syna.

– Nie mam czasu, cały czas siedzę w tych morderstwach, ale kupiłem już rynny.

– Rynny. Kupiłeś je, żeby mnie zmylić. Znam cię – zasyczał. – No to sprzedaj ostatnią pamiątkę po ojcu, sprzedaj. Nowy właściciel na pewno lepiej zadba o mój ukochany dom.

– Nie sprzedam go. Powiedziałem. Ustalone.

– Sprzedaj! Masz go sprzedać! Rozkazuje ci, sprzedaj go i po kłopotcie. – Przerwał na moment, wyrównał oddech i znowu zaczął się złościć. – Nic nie umiesz. Nawet sprzedać starej rudery. Sprzedam, nie sprzedam. Masz go sprzedać, rozumiesz? Sprzedaj go i daj mi pieniądze. Wszystko. Co do grosza. Jak przyjedzie tu notariusz, nic nie podpiszę, póki nie dostanę całej kasy. Zrozumiałeś, nieudaczniku?

– A gdzie będę nocował, gdy przyjadę na ryby?

– U tej cioty Larsa. Po co on tu przychodzi?! Zachowuje się zupełnie, jakby był twoją żoneczką – pieklił się Nils, aż łzy pociekły mu z oczu.

– Po prostu jest miły.

– Miły... miły, jak baba. – Zasapał się. – Sprzedaj dom. Jeśli znajdą się chętni, powiedz im, że jak umrę, będę na tyle przyzwoity, by w nim nie straszyć.

– Nie omieszkam.

– Ale nie myśl, że będę tak samo przyzwoity w twoim domu. Na to nie licz.

– Nigdy na ciebie nie liczyłem.

Stefan skierował się do wyjścia. Kiedy nacisnął klamkę, ojciec siedział tyłem do niego. Patrzył w okno.

– Nie mogłeś na mnie liczyć, ale kocham cię jak cholera! – wykrzyczał.

Stefan po raz pierwszy usłyszał ojcowską deklarację miłości. Chciało mu się płakać, dławiono go w gardle.

– Ale jeśli nie kupisz mi yamaha, przestanę cokolwiek do ciebie czuć. Będziesz dla mnie głównie wart, rozumiesz?

– Rozumiem, tato.

– I jeszcze jedno... – zaczął Nils, nie odwracając głowy od sosny za oknem. – Masz się ożenić z tą Polką.

– Przecież mówiłeś, że...

– Mówiłem! – zezłościł się stary Gustavsson. – Mówiłem! Wiadomo, że puszcza się na prawo i lewo, ale zawsze lepsza synowa dziwka niż syn pedzio.

– O czym ty mówisz?! Opanuj się. – Stefan poczuł, że zaczyna się nadmiernie pocić.

– To ty się opanuj! – wykrzyknął Nils i zamilkł, bo zabrakło mu tchu, ale po kilku sekundach dodał spokojniej: – Kup mi yamahę i weź tę kurwę za żonę. Dopiero wtedy będę mógł spokojnie umrzeć.

– Skoro tak mówisz, tato...

– Mówię! Mówię, a ty słuchaj! – Miał jeszcze coś krzyknąć, ale rozkaszał się na dobre.

Stefan zrozumiał, że to dobry moment, by wreszcie wyjść.

Zuza siedziała z laptopem na kolanach i surfowała po sieci. Otrzymała pocztę od Gosi, z jej prywatnym numerem telefonu. Rzuciła okiem na zegarek i pomyślała, że nie jest jeszcze zbyt późno, by dzwonić.

– A więc masz możliwość sprowadzenia mojej kuzynki do Szwecji? – upewniła się Gosia, jak tylko odebrała telefon.

– Jeżeli jest pielęgniarką.

– Ale nie zna szwedzkiego.

– Nauczy się. W domu starców pracuje dużo Polek.

– Zna angielski, tyle że słabo, ale się dogada.

– No i o to chodzi. – pocieszyła ją Zuza zmęczonym głosem.

– Wysłałam ci w mailu jej CV.

– Nie zauważyłam.

– W załączniku.

Zuza podeszła do laptopa:

– A tak, mam. Zaraz prześlę dalej, do dyrektora.

– Masz dobre chody?

- Dostanie również poparcie psycholożki, która tam pracuje.
- Też Polka?
- W połowie Chinka albo Japonka. Może Filipinka...
- O rany! – Gosia wydobyła z siebie jęk podziwu.
- A widzisz? Środowisko wielokulturowe.
- Mam coś dla ciebie...
- To, czego chciałam?
- Powiem tylko: to była adopcja – oznajmiła poufale Gosia.
- Bomba! I ta druga też?
- Żadnych nazwisk.
- Przecież nic nie zdradzam. Tylko pytam. Ta druga też?
- Tak.
- Karty ciąży są?
- Oczywiście. Zero komplikacji, poród o czasie. Całe dziewięć miesięcy wypełnione jednym długopisem.
- Nawet się postarali – skomentowała Zuza ostrożnie.
- Przemazały się przez klinikę jak zwykłe ciężarne. Miały dla siebie pokoje na dwie doby na czas porodu.
- To znaczy?
- Nic nie znaczy. Tylko że porody odbierała osobiście doktor Petrell.
- Bez pomocy?
- Asystowała jej jedna pielęgniarka.
- Rozumiem, że ta sama?
- Bystra jesteś.
- Rodziły w tym samym czasie? – dopytała się Zuza, choć łamigłówka układała się sama.
- Niech no sprawdzę...W odstępie dwumiesięcznym.
- A dzieci?
- Co dzieci?
- Skąd je wzięły?
- U nas ich nie kupiły.

Kwadrans po rozmowie z Gosią Zuza spędziła na oglądaniu w Internecie wizytówek pracowników kliniki doktor Singrid Petrell.

Nagle zarejestrowała fizyczne podobieństwo dwóch osób: doktor Petrell i jednej z pielęgniarek, Dagmar Gyllensten. Ta sama charakterystyczna mocna szczęka, lekko wysunięta do przodu. Nie do zamaskowania nawet na

fotografii en face. Bez wątplenia miały ze sobą więcej wspólnego niż tylko miejsce pracy.

Zadzwoiła ponownie do Gosi w Sztokholmie.

– Śpisz?

– Tak.

– Przepraszam, powiedz tylko „tak” albo „nie”.

– O co chodzi?

– Czy asystentką Singrid Petrell w czasie porodów Karin i Mathilde była pielęgniarka Dagmar Gyllensten?

Po chwili milczenia usłyszała:

– Ona już tu nie pracuje.

– Od dawna?

– Od pół roku.

– Musicie uaktualnić zakładkę personelu.

– Ja się tym nie zajmę.

– Rozumiem.

– Nie dzwoń już do mnie. Kasuję twój numer – powiedziała Gosia i rozłączyła się.

Zorientowała się, że mąż ją podsłuchuje, a jej ściszony głos mógł sugerować, że rozmawia z jakimś polskim kochankiem. Na pewno zaraz będzie kolejna awantura.

I była. Dlatego Gosi kompletnie wyleciało z głowy, że była u nich jeszcze jedna pacjentka z okolic jeziora Skiresjön. Była tylko raz, przyjechała razem z Karin Frostenson, ale Gosia zapamiętała ją bardzo dobrze. Po prostu rzucała się w oczy.

Miała o tym powiedzieć Zuzie, ale zapomniała.

Zuza odetchnęła po rozmowie z podwładną doktor Petrell. Jeszcze raz weszła na stronę Zielonej Miłości. Przeczytała całą filozofię świadomego ekologicznego rodzicielstwa, stek bzdur w stylu new age i kultu pozytywnego myślenia. Przekopła się przez forum wymiany doświadczeń. Dowiedziała się o nowych trikach zapobiegających nocnemu moczeniu się dzieci, dowiedziała się, jakich pieluch używać, kto odda meble rosnące wraz z dzieckiem, i w końcu natknęła się na wpis o Dagmar Gyllensten. Jedna z kobiet wychwalała ją, opisując jej życzliwą wizytę.

Otóż Dagmar Gyllensten, z ramienia stowarzyszenia, sprawdzała i weryfikowała warunki domowe opisane przez rodziny starające się

o adopcję. Jeździła po całej Szwecji i patrzyła ludziom na ręce, czy są dość pocziwe, by można na nich zawiązać zielony sznureczek z charakterystycznymi supełkami.

Nagle Zuza znieruchomiła. Szybko weszła na lokalną stronę plotkarską, która od czasu morderstw miała już setki odwiedzających dziennie. Wnioskując z wpisów, byli to w przeważającej liczbie miłośnicy seryjnych morderców.

Przez dłuższą chwilę przesuwiała kursorem, aż natknęła się na fotografię z sekcji zwłok i opis patologa sądowego. W tym momencie nie zajmowało jej, czy były prawdziwe, wykradzione czy zmyślone. Ważne, że coś się zgadzało. Karin uduszono drutem w supełki, prawdopodobnie symbolicznym odpowiednikiem zielonego sznurka. Na nadgarstku denatki widać go było dokładnie. Zuza miała pewność. Na ręce kobiety kota widziała taką samą fantazyjną bransoletkę, a obie były identyczne z tymi, jakie promuje stowarzyszenie rodziców adopcyjnych Zielona Miłość.

Zabójca był ze stowarzyszenia albo chciał się do niego dostać. Lecz z jakiegoś powodu nie mógł.

Pani Hermansson zaczęła jęczeć. Zuza zaklęła i zamknęła z trzaskiem klapę laptopa.

Kiedy już zmieniła podopiecznej pampers i wypila kilka łyków zimnej kawy, zredagowała e-mail do dyrektora Naszego Brzegu, Jensa Wastberga. W załączniku dodała CV polskiej pielęgniarki. Podobnego maila, z prośbą o poparcie, wysłała do Anchee Andersson.

Pomimo później pory Wastberg oddzwonił od razu. Zuza nabrała przekonania, że to on jest administratorem lokalnej witryny.

– Mój kolega ma matkę z zaawansowanym alzheimerem, szuka profesjonalnej opiekunki. Niestety, na dalekiej północy.

– Może być, ale ona nie mówi po szwedzku – wyjaśniła słodkim głosem.

– Wystarczy, że będzie jej pilnowała, rzucała piłeczkę i zmieniała pampersy. – Zaśmiał się. – Niestety, dyskusje na temat nowej fali w kinie szwedzkim będzie musiała odłożyć na potem.

– Mówi po angielsku.

– To dobrze. Będzie mogła podyskutować o teatrze elżbietańskim w języku Szekspira. – Ton jego głosu zdradzał wielki uśmiech na twarzy. – Przekażę jej dane i niech napiszą do niej po angielsku. To twoja rodzina?

– Przecież napisałam, że to córka siostry.
– Czy jest równie słodka jak ty?
– Jest wyjątkowo kwaśna, ale nie próbujcie sprawdzać. Ani ty, ani kolega.

Roześmiał się w głos, a potem życzliwie dodał:

– Uszanowania dla pani Agnes Hermansson.
– Uszanowania dla małżonki i dzieci – odpowiedziała równie serdecznie.
– Złośliwa! I tylko taką cię uwielbiam.

Erotyczne rozpasanie Jensa Wastberga znane było w okolicy. Jak i to, że kiedy już był w domu, stawał się bardzo potulny i oddany rodzinie.

Zuza wrzuciła w Google **DAGMAR GYLLENSTEN**. W kilkudziesięciu odsłonach nic, aż w końcu relacja z podróży pod tytułem **RUMUNII I BUŁGARII**.

Kliknęła na stronę fundacji. Ani śladu po Dagmar Gyllensten. Ale kiedy kliknęła na jeden z linków, odkryła całą serię zdjęć z wizyty w Rumunii. Na kilku z nich odnalazła Dagmar.

Pominęła grupowe fotografie w szerokich planach. Skupiła się na bardziej kameralnych kadrach. Na jednym z nich Gyllensten trzyma za rączkę chłopca z wyraźnym mongolizmem, na drugim wkłada pluszowa maskotkę w rękę prześlicznej kilkulatki z ciemnymi loczkami. Niemal natychmiast ogarnęły ją myśli o Oskarze. Co teraz robi? Czy czuje się samotny? Wiedziała jedno: musi działać.

Natychmiast jeszcze raz przepuściła przez wyszukiwarkę **DAGMAR GYLLENSTEN**, próbując dopisywać przy nazwisku różne słowa, ale nie pojawiły się żadne nowe odnośniki.

Od czasu wyprawy do Rumunii Gyllensten zapadła się pod ziemię.

Zdesperowana Zuza poszła do kuchni i żeby odpędzić myśli o Oskarze, z gwinta wypila wódkę, która została w butelce. Przeszedł ją dreszcz, szybko przepłukała usta, zjadła kawałek żółtego sera i wróciła do laptopa.

Ułożyła go na kolanach i przez moment zastanawiała się, jak jeszcze może złović panią pielęgniarkę. Kto wie, może wybrała wolność w Rumunii albo Bułgarii. To chyba stamtąd przyjechały dzieci Karin i Mathilde...

Ale chociaż weszła już na ścieżkę adopcji międzynarodowych, legalnych czy nielegalnych, wołała nie obwieszczać swoich tropów i zacierała za sobą wszelkie ślady. Nie chciała krzywdzić dzieci, rozniecać afery. Wołała milczeć. Dotychczas stowarzyszenie rodziców adopcyjnych było poza podejrzeniami.

Nie wiem, gdzie jesteś, Dagmaro Gyllensten, ale na pewno postąpiłaś bardzo dobrze. Masz szlachetne serce, tylko gdzie ono teraz bije? Zuza zaczęła boksować się z myślami w stylu amerykańskich filmów puszcanych w piątkowe wieczory. Od niechcienia wpisała do wyszukiwarki bardziej stwierdzenie niż komunikat: **DAGMAR GYLLENSTEN ZAPADŁA SIĘ POD ZIEMIĘ.**

I wyskoczyła jedna strona:

Nasza kochana Mamusia, Córka i Siostra, Dagmar Gyllensten, opuściła tę pełną łez ziemię i udała się do lepszego świata. Będziemy o Tobie pamiętać.

Nie żyje? Data pogrzebu: czternasty lipca... czyli zmarła najprawdopodobniej około dziesiątego, jedenastego... dwa tygodnie przed zabójstwem Karin. I chyba tydzień przed śmiercią Mathilde.

Zuza ponownie wystukała imię i nazwisko i dopisała słowo NEKROLOG. Pokazały się trzy nekrologi w internetowych wydaniach gazet.

Zmarła, nie żyje, teraz to już wiedziała. Ale w jednym z nekrologów umieszczono adnotację ODESZŁA TRAGICZNIE i podpis REENTOWN ESTATE.

Wrzuciła polecenie do wyszukiwarki. I miała: ZWECJI, NA KLIFIE. BASEN, CAŁODOBOWA OBSŁUGA PORTIERA, TARAS WEGETATYWNY, czyli Dagmar uprawiała sobie pietruszkę na dachu albo wypuszczała tam pieska, kiedy nie miała ochoty na spacer.

Już późno. Nie wypada. Ale chyba wypada. Właśnie o tej porze. W nocy portierzy się nudzą. Kliknęła na kontakt z portiernią, na szczęście był bezpośredni telefon.

Nikt nie odbierał.

Cholera! Kilkanaście sygnałów i nic.

Wstała, zajrzała do pani Hermansson. Staruszce śniło się coś złego, bo usta jej drgały jak fagle u szczekającego psa.

Poszła na taras i wypaliła dwa papierosy. Żałowała, że wódka się skończyła. Podejrzała, że Lars siedzi przy stole i gra sam ze sobą w scrabble. Biedny człowiek. Na pewno chciałby to robić z żeńską częścią klasy trzeciej.

Wróciła do laptopa i jeszcze raz zadzwoniła. Ktoś natychmiast odebrał. Mężczyzna. Przedstawił się jako nocny portier.

– *Excuse me*, przepraszam, późno jest, dzwonię z New York – zaczęła, powstrzymując śmiech.

Ten facet zaraz się rozłączy, pomyślała, ale on zapytał bojaźliwie:

– To pani dzwoniła przed chwilą?

– Ja... – wyznała niepewnie.

– To dobrze. Robiłem obchód. – Westchnął. – Myślałem... szef mnie sprawdza.

– To ja przepraszam, że tak w noc, ale różnica czasu i u nas świt teraz. Godzina pracy.

– A gorąco u was?

– Piekielnie.

– To tak jak u nas – oświadczył z zadowoleniem.

– Ja urodziła się w Szwecji, ale za ojcem do Ameryki – brnęła dalej Zuza, mając akcent szwedzki, angielski i polski i cały czas starając się zachować powagę. – I ja poszukiwam moja najlepsza przyjaciółka ze szkolnej ławy, bo ja mam przyjechać. I ona podobno u was mieszka.

– Kto to taki? Znam wszystkich.

– Dagmar Gyllensten. Mogę z nią rozmawiać?

– To będzie trudne.

– Dlaczego?

– Bo nie żyje.

– Choroba? – zapytała badawczo.

– Wypadek.

– Jaki?

– Napadli ją. Chyba skini, bo ona... jak by to powiedzieć... ona miała bardzo ciemne dziecko... i ten chłopczyk ocalał...

– Jak ją napadli? Udusili ją? – wyrywało jej się.

– Dostała chyba czymś w głowę. U siebie w mieszkaniu. Musieli wejść przez taras. W każdym razie zrzucili ją z balkonu i jeszcze zbeczcili ciało.

- Jak to?
- Obsypali ją całym wiadrem śmieci, zwyrodnialcy. Zmarła w szpitalu. Nie odzyskała przytomności.
- A mąż?
- Leczy się. Zwariował. Niby po pogrzebie wyglądał normalnie, kłaniał się i nawet z uśmiechem, a potem zaczął krzyczeć. Kolega wezwał pogotowie, bo sąsiedzi...
- A dziecko?
- Nie wiem... Chyba jej siostra je wzięła.
- Jej siostra jest lekarka, czy tak?
- Ma swoją klinikę.
- Straszne to, co pan powiedział o Dagmar.
- To byli zboczeńcy. Musieli wracać ze sklepu i wpadli w szal.
- Ze sklepu?
- Miała usta wypchane herbatą.
- Nie rozumiem. Wypchane...
- No, tymi torebeczkami herbaty.
- W każdym razie dziękuję za informacja. *Thank you* – oświadczyła. – *Goodbye*.
- Niech pani uważa, wy tam w Ameryce to dopiero macie zboczeńców
- zakończył portier.



Larissa Edwardsson zobaczyła zjazd w stronę jeziora, skręciła w wąską drogę i wjechała między świerkowe pnie. Zatrzymała samochód, zgasiła silnik i wysiadła. Było upalnie, bezwietrznie.

Dlaczego wszystkie mają lepiej, a ja mam najgorzej? Przecież są faceci, co lubią wielkie tyłki, grube uda i szerokie zęby. Dlaczego żaden z nich nigdy nie szwenda się po tym lesie? A taka Karin, córka pijaka, taka Mathilde, nie wiadomo z kim zrobiona... One mogły mieć każdego. I nigdy nie odmawiały, puszczały się, aż im sok z cipek ściekał, a potem w kościele śpiewały najgłośniej, jak największe świętoszki.

Oparła głowę na ramieniu, poczuła zapach potu spod pachy. Oddech miała krótki. Patrzyła, jak biust jej faluje w równym, przyspieszonym tempie.

Mogłaby tu tak stać i stać, ale w końcu uniosła głowę. Korony drzew tworzyły jedną zwartą masę. Za każdym razem, schodząc ku tafli wody, zadawała sobie to samo pytanie: jak las może być aż tak gęsty? Zanurzyła nogi w jeziorze. Woda była przejrzysta.

Naraz zobaczyła Ingrid idącą drogą w kierunku domu Larsa Olssona. Ta zobaczyła ją i pomachała do niej ręką. Larissa odpowiedziała ruchem dłoni, niechętnie i z przymusu. Dobrze, że Ingrid nie miała ochoty na pogaduszki, bo zawsze wszystko chciała wiedzieć: kto wjeżdżał na drogę nad jezioro, kto z niej wyjeżdżał. Brała ją za jakąś odźwierną. Ale dziś Ingrid szła wolniej i raz czy dwa razy jakby się zachwiała, natychmiast jednak odzyskała równowagę.

Larissa obserwowała ją bardzo długo. Jednak nie poszła sprzątać u Olssona, weszła do starej Hermansson. Podobno zaprzyjaźniła się z tą Polką, która tam pracuje. A ta wczoraj pojechała do Sztokholmu, ciekawe po co? Miała ją przywieźć z dworca, ale zadzwonił Gustavsson i powiedział, że sam się tym zajmie. Odparła, że nawet to jest jej na rękę,

ale w duchu zaklęła siarczyście; te wszystkie Polki nie tylko zabierają nam pracę, ale też chłopów. Jak one to robią, że doją każdego, kogo tylko chcą? – pomyślała i poczuła głód.

Ingrid wymiotowała krwią. Pierwszy raz w kuchni, na stół, a potem, podprowadzona już do łazienki, nad deską klozetową. Zuza stała obok. Przez moment wypytywała ją, co zjadła, a potem, widząc gwałtowność torsji i silne zabarwienie krwią, chciała wezwać karetkę. Ingrid uniosła się i powstrzymała ją uściskiem dłoni. Wyglądała jak wampirzyca. Kredowa skóra, białe włosy, rzęsy, brwi, szyja umazana śliską krwistą mazią. Cuchnęła.

Zuza opowiedziała już wszystko, czego zdołała się dowiedzieć o lekarce i jej siostrze. Myślała, że przy pomocy Ingrid namierzy kogoś, kto w jakiś sposób mógł być powiązany z tą sprawą. Ale zatrucie pokarmowe przerwało wszelkie dyskusje.

A więc dziś nie popracujemy, pomyślała Zuza i zostawiła ją w łazience, by jakoś się ogarnęła.

Po kilku minutach Ingrid pojawiła się w kuchni. Wyglądała jak zjawa.

– Zuza... pójde już. – Głos miała słaby, zbolący.

– Odprowadzę cię – zaproponowała Zuza.

– Nie trzeba – zapewniła Ingrid cicho, prawie na granicy dźwięku. – Ale mam jedną prośbę.

– Tak... Mów śmiało...

– Ugotuj wywar z kurczaka i marchwi, to mi dobrze zrobi. Nie chciałabym cię fatygować, ale nie mam nikogo...

– Oczywiście, żaden problem. To klasyczne menu pani Hermansson.

– Przyniesiesz mi do domu? Jeżeli to nie kłopot...

– Za jakieś dwie, trzy godziny. Umyję się i może trochę zdrzemnę...

A nie lepiej, żebyś została tu, w dawnym pokoju Karin?

Ingrid skrzywiła się.

– Może na sofie? – zaproponowała Zuza. – Albo odstąpię ci swój pokój, będziesz miała blisko do łazienki. No, zgoda?

– Dziękuję, ale nigdy nie śpię w cudzym łóżku.

– Jak chcesz, ale czy dasz radę dojść do domu?

– Już nie mam zawrotów głowy. Spacer dobrze mi robi.

– Zerwał się wiatr, to cię orzeźwi. A mdłości?

– Ustały. Jest lepiej, nie martw się.

– Zapewne jakaś bakteria.
– Chyba ta potrawka u Anniki. Jestem bardzo wrażliwa...
– Mam to samo. Wystarczy jedno surowe jabłko.
– Nawet nie mów, bo zaraz mi gorzej. To co, wpadniesz przed dziesiątą? Nie za późno?

– Coś ty! Będę nawet przed jedenastą. Mięso musi się dłużej gotować, żeby wywar nie był zbyt wodnisty.

– Kochana jesteś. Czasami przypominasz mi Karin. Ona też była zawsze chętna do pomocy. Uścisnęłabym cię, gdybym nie cuchnęła rzygowinami. – Pożegnała się już w lepszym humorze.

Zuza patrzyła, jak Ingrid zmierza ku bramie. W świetle latarni wyglądała jak duch. Bardziej zjawa niż kobieta z krwi i kości. Nie była pewna, ale kiedy Ingrid zamykała za sobą bramę, wydawała się uśmiechnięta i swobodna. Tak jakby osłabienie niestrawnością ustąpiło w ciągu jednej sekundy.

Być może jednak była po prostu szczęśliwa, wiedząc, że ma kogoś, kto przyniesie jej rosół.

Frida Andersson siedziała w swoim pokoju i słuchała Lady Gagi. W domu było duszno, matka spała u siebie, a babka drzemała w fotelu wiklinowym przed domem.

Wiatr szarpał gałęziami drzew. Może wreszcie spadnie deszcz i zrobi się chłodniej, pomyślała. Lubiła tylko zimę, leżenie w śnieżnych zaspach, chodzenie po zamarzniętym jeziorze i ten moment ryzyka, kiedy lód kruszy się pod butami.

Zdjęła słuchawki, Lady Gaga zamilkła, miejsce po muzyce wypełnił szum wolno podchodzącej nad jezioro burzy. Nagle Fridzie przyszło na myśl, że skoro odkopała jedno zdjęcie, może w ziemi będzie więcej znalezisk. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Zbiegła do piwnicy, wyciągnęła szpadel i poszła za dom. Deszcz zaczął padać i kopanie stało się odrobinę łatwiejsze. Po chwili usłyszała głuchy odgłos, końcówka szpadla dotarła do czegoś metalowego.

Nie przypuszczała, że pójdzie jej tak szybko. Plac za domem przestał być ohydny ugorem. Ukłękła i wyciągnęła kilka garści piachu. Potem włożyła rękę w ziemię, głęboko, aż po sam staw barkowy. Palce wyczuły coś zimnego, twardego. Przez moment przebierała palcami i robiła wokół znaleziska niewielkie podkopy. W końcu wydobyła je na powierzchnię.

Była to metalowa puszka po herbacie. Napisy starły się, farba kruszyła, a metal korodował. Taką samą puszkę znalazła na parapecie swojej sypialni. W środku były żabie oczy. Dlatego bała się unieść wieko? Widziała tylko nalepiony na nim plaster lekarski i na wpół rozmazany od wilgoci napis AUGU.

Nakryła plaster dłonią, jakby chciała go uchronić przed deszczem. Po czym drgnęła, bo usłyszała głos babki.

– Jest tego więcej.

– Co to jest? – zapytała, wstając z rozmokłej ziemi.

Babka tylko rzuciła okiem na puszkę.

– Augu. Chyba chodzi o Augusta. Chłopczyk imieniem August. Były takie naiwne, myślały, że jak sobie wymyślą płeć i imię, to szybciej zapomną. A stało się zupełnie inaczej. Zmokniesz.

– Mam kopać dalej?

– Po co pytasz?! – zaskrzeczała babka. – I tak zawsze robisz, co chcesz – powiedziała już spokojniej i poczłapała do domu.

Zanim Frida zaczęła szukać, zobaczyła, że zapaliło się światło w kuchni, a babka usiadła przy stole i podparła rękami głowę. Wyglądało, jakby płakała, ale oczy miała suche i twarz spokojną. Usiedziała tylko minutę czy dwie, podniosła się, podeszła do okna i zapatrzyła na wnuczkę. Nie była smutna, jej mina wyrażała raczej cierpliwe oczekiwanie na najgorsze.

Zuza nalała bulion do termosu kupionego od rosyjskich handlarzy na bazarze w Gdyni. Wrzuciła też do torebki opakowanie węgla leczniczego, który na pewno pomoże Ingrid. Szła właśnie drogą w kształcie podkowy na dół, gdy zerwał się przedburzowy wiatr i spadł deszcz. Nie wzięła ze sobą nic, czym mogłaby się okryć, ale po tylu tygodniach spiekoty zmoknięcie wydawało jej się czystą przyjemnością.

Osada wyglądała jak wyludniona. Pnie drzew trzeszczały pod naporem wiatru. W obawie przed burzą ludzie pozamykali okna i okiennice. Jak zwykle przed burzą wyłączono światło. Kiedyś było spięcie i ludziom spaliły się telewizory i lodówki.

Mijając dom Anderssonów, zobaczyła dwie latarenki ustawione w ogrodzie. Frida chyba zdecydowała się zadbać o dom i odkryła w sobie

pasję do ogrodnictwa. Zuza zagwizdała głośno, w stylu Fridy. Ta odwróciła się; wyglądała, jakby ktoś przerwał jej nie relaks, ale pilną pracę.

– Idę do Ingrid. Niosę jej bulion. Struła się. Wpadnij jutro!

– Znowu pierogi? – zajęczała.

Pomachały sobie. Zuza zauważyła, że matka Anchee stoi w jednym z okien na parterze i z nieruchomą twarzą obserwuje drogę przed domem.

Deszcz nie przestawał padać i dały się słyszeć pierwsze grzmoty. Zuza przyspieszyła. Dom Ingrid był coraz bliżej.

Lars spał mocno. Jak zwykle przed burzą. Kiedy inni odczuwali dziwny niepokój, jego morzyła senność. W pewnym momencie do jego snu wtargnął jakiś dźwięk. Ledwo wyczuwalne drgania fal. Nagle ktoś go chwycił, czyjeś dłonie zacisnęły się wokół jego twarzy. Przestał oddychać, dławił się językiem. Bolące gardło wydało krzyk, krótki, jakby ptasi, nierealny. Po chwili mógł ponownie zaczerpnąć powietrza.

Nad sobą zobaczył wściekłą twarz Gustavssona. Nigdy go takim nie widział.

– Gdzie jest Zuza?! – wrzeszczał na niego Stefan. – Zuza!

– Nie wiem. – Podrażnione gardło powodowało kaszel. Lars musiał odchrząknąć, żeby poczuć się lepiej.

– Dlaczego mi to zrobiłeś?! Dlaczego mi to zrobiłeś?! – powtarzał z krzykiem Stefan.

– Co? Co znowu? – Zaspany Lars próbował ogarnąć całą sytuację.

– Zabrałeś ją. – Gustavsson utracił siłę, skapitulował, usiadł na swoim miejscu na sofie i zaczął płakać.

– O co chodzi? – Lars wydawał się już nieco spokojniejszy. Przyjaciel chyba trochę wypił.

– Jeszcze ginu?

– Niech będzie. – Stefan skinął głową.

– Ja też chętnie się całkowicie znieczulę – oznajmił Lars. – A potem pójde popływać i niech piekło mnie pochłonie.

Na małym stoliku między sofą a fotelem postawił sporą butelkę ginu. Usiadł naprzeciwko Gustavssona, nalał alkoholu do dwóch szerokich, niskich szklanek, jedną podał przyjacielowi, a sam pociągnął spory łyk ze swojej. Mieli tak wielką ochotę na gin, że zapomnieli schłodzić go lodem, ale i tak im smakował. Gustavsson duszkiem opróżnił swoją szklankę.

– Chcesz jeszcze? – zapytał Lars, lecz Stefan pokręcił głową. – Lepiej? Podobno gin jest najlepszym przyjacielem perfekcyjnej pani domu. Tak mówią w Ameryce. Ale pomaga też policjantom i fotografom w stanie spoczynku.

– Lubię cię. Jestem policjantem, a lubię mordercę kobiet i nic nie mogę na to poradzić – zajęczał Stefan. – Mam tylko nadzieję, że Zuza żyje.

– Chyba coś przespałem. Dlaczego mam być mordercą kobiet i dlaczego w moje paskudne łapska ma wpaść Zuza?

– Dlatego! Rozumiesz? Dlatego! Co mogło być stresorem dla mordercy? Twój powrót po latach. Impotentą zakochanego w nieletnich. Mordercy też nie staje.

– Ależ to melodramatycznie zabrzmiało! W tym seksualnym rajku tylko ja mam problemy z erekcją? Słońce już chyba nigdy nie wzejdzie nad tą ziemią.

– Mam ochotę cię zastrzelić.

– Ale chyba nie u mnie w salonie. Sofa jest zbyt biała.

– Zamilcz! – krzyknął Gustavsson, a potem powtórzył, tylko już bardzo cicho: – Gdzie ona jest?

– Zuza? Cudowne cycki *made in Poland*?

– Gdzie?! – wydarł się niczym zwierzę, które wpadło we wnyki.

– Nie wiem, pewnie wsadza nos w nie swoje sprawy.

– Gdzie ją udusiłeś?

– Przeceniasz poziom mojej życiowej frustracji.

– Dlaczego? Zabijałeś, bo bałeś się, że polecą do tabloidów. I zaczęło się masowe szczekanie, że sława szwedzkiej fotografii prasowej robiła zdjęcia wyskrobanych płodów i szantażowała nieletnie po aborcji.

– Robiłem tak? – zapytał niemal życzliwie. – Ledwo to pamiętam.

– Łżesz! – wrzasnął Stefan i nalał sobie dzinu.

– Przyznaję, robiłem mnóstwo większych i mniejszych świństw.

– Mówimy o Karin i Mathilde. Mówimy o nich!

– Nigdy mnie nie interesowały. Co innego Anchee, ale ta mogła ze mną tylko dyskutować o literaturze iberoamerykańskiej, a do swojego łóżka wpuściła brudnego hipisa, który był tak biedny, że nawet nie miał co na chuja włożyć, i tak została poczęta zadziwiająca Frida.

– Na nią też masz ochotę, co?!

– Też – przyznał łagodnie i z uśmiechem.

– Zboczeniec.

– Ale przynajmniej szczerzy. – Pociągnął łyk ginu.

– A Karin i Mathilde, co ci zawiniły?

– Nie moja wina, że się skrobały u pocziwego doktora Anderssona. Zresztą dowiedziałem się o tym od samej Anchee, mimochodem, w czasie rozmowy o Borgesie. Papa ją przestrzegał, że skończy jak jej przyjaciółeczki, u niego na fotelu. W ramach prewencji dał jej wtedy dwa razy w twarz. Zapytałem o ten siniak i tak mi wszystko wyznała. Kiedy wychodziłem, widziałem, jak pielęgniarka, stara Hermansson, upycha nieczystości w dziwnym stalowym pojemniku. Odczekałem, uchyliłem wieko i zrobiłem zdjęcie. I pomyśleć, że to wykonane dwadzieścia lat później w Strefie Gazy, to moje kultowe, tak naprawdę niewiele się różni od tamtego ze służbówki doktorostwa Andersson, jak słusznie zauważyła nasza pani psycholog od pacjentów geriatrycznych.

– Przestań.

– Tylko łączę fakty.

– I co jeszcze?

– Nie tylko zrobiłem zdjęcie niedoszęłego dzidziusia Karin, ale także zabrałem go z kubła.

– Nie uśmiechaj się.

– Wywołałem zdjęcie, podrzuciłem je Karin i zapytałem Anchee, czy może namówi przyjaciółkę na jakiś pochówek. Z Mathilde było tak samo. I z Ingrid. I z tą, która utopiła się w jeziorze na swoje osiemnaste urodziny.

– Z Marie.

– Tak, z Marie. Jej najbardziej mi było żal. Cięła się. Nosiła w torebce małą lalczkę na pamiątkę swojego dzieciątka.

– Chodziłeś z nią. Teraz pamiętam.

– Spotkaliśmy się tylko kilka razy. Obsesyjnie marzyłem o Anchee. Tak jak ty teraz o niej marzysz, kiedy śpisz z Zużą.

– To nieprawda.

– Ależ tak!

– Mam nadzieję, że Zuza poszła gdzieś pogadać. Może jest u Ingrid? Nie... Ingrid nikogo nie wpuszcza do domu. Słuchaj... mówisz, że ona też się skrobała?

– To żałosne, ale prawdziwe. Życie dziewcząt z prowincji zawsze przebiega według tego samego scenariusza.

– Słyszysz, o co pytam, Lars? – Stefan podniósł głos i przechylił się w stronę gospodarza. – Ingrid? Ona też miała aborcję w gabinecie Anderssona?

– Tak. Dostała chłopaka z second-handu, po Karin.

– Tego bruneta, co dobrze skakał na główkę.

– Rozbieg z połowy molo.

– Kolej na Ingrid.

– Z czym?

– Myślę, że teraz ona zginie.

– Karin, Mathilde, Marie, Ingrid, cztery aborcje. Cztery zdjęcia, cztery pochówki płodów. Zawsze się dziwię, że nikt z nimi nie rozmawiał, jak się robi dzieci. A właściwie jak się robi, żeby ich nie zrobić.

Gustavsson nie słuchał, próbował się skoncentrować na własnym procesie myślowym. Nie przychodziło mu to łatwo, brak Zuzy przy Agnes Hermansson o tak późnej porze podszył go niepokojem. I nie wzięła telefonu komórkowego.

Poczuł na sobie wzrok Larsa.

– Morderca musi je karać za odebranie życia – powiedział.

– Odwieczna zasada. Oko za oko. Dobrze, że pastor zmarł dwa lata temu, bo poleciałbyś go aresztować.

– Nie śmiej się.

– Próbuje tylko przerwać twój chory łańcuch dedukcji.

– Jestem potwornie zmęczony.

– No właśnie.

Skończył się gin, a zaczęło porządnie padać. Nie wiadomo, który z nich wpadł na pomysł, by popływać w jeziorze. Jak kiedyś, gdy nurkowali w momencie grzmotu, uciekając przed piorunami. Gustavsson wiedział, że powinien wziąć prysznic i przyjąć dużą dawkę kofeiny, a potem przesłuchać Ingrid. Ale po co ma ją budzić, jutro też jest dzień.

Kiedy Lars szukał w przedpokoju jakichś szturmówek, nagle wyprostował się i patrząc Stefanowi prosto w oczy, powiedział:

– Czasem myślę, że one wcale nie były w ciąży. Może jedna... Karin... pierwsza poszła do gabinetu... A on je oszukiwał, wmawiał im, że są w ciąży, i straszył.

– Bzdury. Był lekarzem. Dlaczego miałby to robić? Żeby wyciągnąć więcej forsy? Sam nie wiesz, o czym mówisz, Lars.

– Okaleczał je, bo był nieszczęśliwy. Tak po ludzku.

– Do tego stopnia po ludzku był nieszczęśliwy, że robił coś nieludzkiego?

– „Nieludzkiego”. Nie znam takiej kategorii – rzucił Lars, wydobywając spod sterty swetrów starą kurtkę przeciwdeszczową. Musiała należeć do jego ojca.

Ominąwszy kuchnię, z babką, która zastygła przy parapecie, Frida poszła do swojego pokoju i ustawiła na biurku odkopane rzeczy. Były to pokryte rdzą stare puszki po herbacie. Kiedy patrzyła na nie ustawione w szeregu, jedna przy drugiej, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przypominają urny.

I wcale się nie myliła.

W każdej była fotografia. Nieostra, robiona w złym świetle.

Wzięła lupę i nachyliła się nad jedną. Na samym początku nie mogła się zorientować, co przedstawiają wyjęte z puszek zdjęcia. Z pewnością były do siebie bliźniaczo podobne, różniły się detalami, niewielkimi szczegółami.

Potem przywiodły jej na myśl żabie oczy. Te tutaj nie były jednak zasuszone, z pewnością zawierały więcej wilgoci. Była pewna, że jest w nich dużo wody, śluzu i... życia. Kiedy to sobie uzmysłowiła, odrzuciła je wszystkie gwałtownym ruchem. I jakby pragnąc o nich jak najszybciej zapomnieć, sięgnęła po laptop.

Po kilku próbach w sieci wiedziała, co jest na tych fotografiach.

Zwymiotowała na koc, brudząc przy tym róg klawiatury. I jeszcze długo siedziała nieruchomo.

Potem poszła do łazienki, obmyła twarz i przepłukała usta zimną wodą z płynem mentolowym. Zgarnęła fotografie i zaniósła je do kuchni.

Wykopaliska musiały być częścią rodzinnej archeologii. Wiedziała, że sama nie zdoła odtworzyć prawdy o przeszłości.

Kiedy Zuza weszła na podwórze przed domem Ingrid, deszcz się wzmógł i zaczął zacinać. Nic dziwnego, że nie dostrzegła gospodyni zamkniętej w samochodzie zaparkowanym po lewej stronie za bramą, tuż przy szopie pomalowanej na biało.

Dom wydawał się wielki, okiennice były zamknięte, na schodkach na werandę stało mnóstwo ukruszonych glinianych donic, starych ogrodowych trolli z odłupanymi nosami i rączkami. Przy samych drzwiach Zuza

zauważyła skrzynkę po coca-coli; w otwory na butelki wepchnięte były stare męskie buciory, powykrzywiane i zdeformowane od wieloletniego stania na dworze.

– Halo, tu jestem! – zawołała Ingrid, otwierając drzwi od strony pasażera.

Zuza szybko wskoczyła do samochodu i dopiero wtedy ze śmiechem zapytała:

– Dokądś jedziemy?

– No co ty? – Ingrid była kredowo biała.

– To dlaczego tu siedzisz?

Nie odpowiedziała, ale kurczowo zacisnęła dłonie na kierownicy.

– Źle się czujesz? To przez to zatrucie. Może powinniśmy jechać do lekarza.

– Nie – zaprzeczyła zbyt głośno.

– To może zadzwonimy po kogoś? – zaproponowała Zuza życzliwie. – Na pewno masz swojego lekarza.

– Nie trzeba.

– Przyniosłam rosół. Podgrzejesz go i od razu poczujesz się lepiej. Chodź, pomogę ci. – Zuza zasygnalizowała gestem, że w drodze do domu będzie mogła się o nią oprzeć.

– Ja tu mieszkam.

– Przecież wiem, że tu mieszkasz. Zawsze podobał mi się kolor dachówki. Jest taki siny, inny niż w pozostałych domach. Anglicy nazywają go *duck egg*. Za każdym razem, kiedy tędy przechodziłam, zastanawiałam się, czy to efekt korozji, czy już taka była.

– Mieszkam w samochodzie.

– Co takiego...? – zdziwiła się Zuza, ścisząc głos, i rozejrzała się po wnętrzu.

Było zagracone. Ręczniki, poduszka, mydło, koc, kilka par butów związanych sznurowadłami, żeby łatwiej można było je znaleźć, kubeczek i szczoteczka do zębów, nie licząc opakowań po jedzeniu.

– Ale dlaczego?

– Tak jest lepiej.

– Boisz się czegoś?

Ingrid pokiwała głową.

– Rozumiem, że tu śpisz, tak?

- Za kierownicą.
- Daje ci to pewność, że możesz w każdej chwili odjechać.
- Uciec.
- Czy ma to związek z morderstwami?
- Tak.

Przez moment siedziały w milczeniu i słuchały łomotu kropel deszczu o karoserię.

– Czujesz się zagrożona? – zapytała Zuza i zatęskniła za Gustavssonem. Nie za policjantem, ale za facetem. – Myślisz, że jesteś następna na liście?

Ingrid pokręciła głową, a Zuza zauważyła, że dłonie zbielały jej na kierownicy.

– Anchee. – Głos miała bezbarwny, wyprany z emocji.

– Ona też ma zginąć?! – Zuza niemal krzyknęła, a Ingrid aż przeszedł dreszcz od jej piskiu. – Dlaczego?

– To sprawa uregulowania rachunku, rozumiesz? Nie można samemu coś sobie załatwić, a innym pokazać figę.

– Jakiego rachunku? Co sobie załatwiły? Karin i Mathilde...

– Trudno tak to opowiedzieć. Może powinnyśmy pojechać na policję. Do Vimmerby.

– Okay. Masz rację, powiesz, co wiesz, a oni już będą wiedzieli, co robić. Nie lubię tej zarozumiałej pindy Anchee, ale nie aż tak, żebym jej życzyła podciętego gardła.

– Ja też jej nie lubię. – Ingrid po raz pierwszy się uśmiechnęła. Był to smutny uśmiech, nieśmiały i skąpy.

– Dasz radę prowadzić? Czy może zadzwonimy po kogoś z posterunku?

– Nie, nie. Poradzimy sobie. W takim deszczu ci z Vimmerby nie dają sobie rady na naszych drogach.

– Fakt. Wokół jeziora jest wata, nie powietrze.

– Możesz coś dla mnie zrobić?

– Oczywiście.

– Masz latarkę. Idź do domu, na samym końcu korytarza jest kuchnia. Podgrzej mi tę zupę. Nie mogę w takim stanie prowadzić.

– Może zrobię ci też kawę.

– Nie, nie, mam ją tu, w termosie. Trzęsie mnie od kofeiny. Za dużo jej było od samego świtu. Chyba to kawa podrażniła mi żołądek.

– Uważam, że czymś się strułaś, ale rosół postawi cię na nogi. Nie na darmo nazywają go żydowską penicyliną. – Uśmiechnęła się i nałożyła kaptur anoraka.

– Masz. – Ingrid podała jej wielką żółtą latarkę. – Idź już. I nigdy nie myśl o mnie źle.

– Lubię cię.

– Kochasz swojego brata?

– Dlaczego o to pytasz?

– Polubiłam cię jeszcze bardziej, jak znalazłam to twoje zdjęcie z bratem.

– Jakie zdjęcie?

– W zoo, z małpką.

– Grzebałaś w moich rzeczach?!

– Jak się u kogoś sprząta, na wiele rzeczy się można natknąć.

– Zaraz wrócę – rzuciła Zuza, chwyciła torbę i wy dostała się z samochodu.

But chlapnął w breję świeżego błota. Drobnymi krokami, tak by się nie przewrócić, pobiegła do werandy.

Schody przed domem były śliskie. Drewno, zapewne źle konserwowane, namokło od wilgoci. Na szczęście klamka łatwo ustąpiła pod naporem dłoni i Zuza znalazła się w środku.

Zapaliła latarkę i zobaczyła wewnątrz. Sień była odpychająca; sprawiała wrażenie nie tylko zagraconej, ale i przesiąkniętej wilgocią. Wydawało się niewiarygodne, że to dom Ingrid. W głębi były pojedyncze drzwi. Ustąpiły gładko pod naporem ręki, ale zatrzymały się pod kątem czterdziestu stopni i żeby przejść dalej, musiała wślizgnąć się bokiem. Ledwie tam weszła, zrozumiała dlaczego. Całe wnętrze było zagracone, od podłogi do sufitu. Rzeczy zalegały byle jak – stare lodówki, telewizory, zdeformowane leżaki, fragmenty krzesel, wazonów, metalowe sprężyny z łóżek, niekompletne ekspresy do kawy – wszystko przesypane warstwami zużytych ubrań, zasłon i ścierek. Było też sporo świątecznych świecidełek i uschniętych choinek.

Między tymi stertami wiodła zygzakowate dróżka na szerokość ludzkiej stopy. Zuza poruszała się nią powoli. Nie opuszczał jej lęk, że za chwilę zostanie pogrzebana na zawsze pod lawiną gratów. Jednocześnie musiała patrzeć pod nogi, kilka razy bowiem o coś zawadziła i o mało nie upadła.

Chodzenie po domu Ingrid przypominało balansowanie na linie: jeden nieprzemysłany ruch i będzie po tobie.

W pewnym momencie dostrzegła tekturowe pudło po polskiej wódce Żubrówce, którą podarowała Ingrid. Wzrok wyłowił też lalkę w stroju ludowym, którą kazała przysłać do Szwecji, kiedy Ingrid jej wyznała, że zbiera, jak to określiła, „lalki świata”. I teraz blondynka w stroju góralskim z południa Polski leżała głową do dołu z rozwartymi plastikowymi nogami. Zuza zauważyła, że nie ma już majtek, a jeden z warkoczy został obcięty tuż przy nasadzie gumowej głowy. Wtedy poczuła strach, a dopiero potem zrozumiała, że ta lalka bardzo przypomina Karin na jej ostatnim zdjęciu z placu Dzieci z Bullerbyn.

Powinna była zawrócić, ale usłyszała szcęk samochodowych drzwi i wiedziała, że Ingrid zaprosiła ją do domu pułapki. To były dobrze podłożone wnyki, w które bez obawy i z radosną ekscytacją sama weszła.

Dotarła do pomieszczenia na samym końcu długiej amfilady. Weszła i od razu zrobiła krok w tył. Jednocześnie miała pewność, że nie może już się cofnąć, że nie ma dla niej drogi odwrotu. Patrzyła przed siebie, intensywnie, bez mrugnięcia powieką. Osłupiała ze strachu. Jakby stała oko w oko z przeciwnikiem, którego nie można pokonać. Można tylko znieruchomieć i mieć nadzieję, że uwaga agresora skupi się na czymś innym. Czuła się jak mysz, z którą zaraz zabawi się kocur.

Siedział na wózku. Przerobionym z dziecinnego maclarena, identycznego z tym, w którym Karin wozila swoją Paris. Zresztą tych wózków miała kilka, nie mogła zdecydować się na kolor, zamówiła więc wszystkie, które jej się podobały. Widocznie jeden trafił tutaj.

Mężczyzna musiał mieć około czterdziestki. Jego ciało było szczupłe, ale muskularne, zapewne codziennie poddawane heroicznemu fizycznemu treningowi. Ręce, blade i pokryte siecią sinych żył, wydawały się zadziwiająco długie. Nogi też miał długie i chude jak patyki. Tuż koło wózka stały kule. Budził w Zuzie zwierzęcy, instynktowny strach, mimo że był kaleką, a ona miała silne zdrowe nogi i mogła uciec. Ale kiedy patrzyła na jego wydłużone, patykowate palce, sprawnie zaplatające sierp z drutu kolczastego, coś w niej mówiło, że uciec nie zdoła. Tym bardziej że posłyszała hałas za plecami. Ktoś się przedzierał przez śmieciowy labirynt. Bardzo szybko, sprawnie, widać znał go na pamięć. To mogła być tylko Ingrid.

– Poznaj mojego brata – powiedziała, zatrzymując się tuż za plecami Zuzy i kładąc dłonie na jej ramionach. Uścisk nie był mocny czy bolesny, ale stanowczy. Nie sposób było się wywinąć.

– Gunnar? – zapytała cicho Zuza, sama zdziwiona, że zapamiętała to imię, chociaż słyszała je tylko raz.

Na twarzy Gunnara pojawił się dziwny uśmiech. Ani serdeczny, ani radosny. Raczej grymas ulgi. Jakby coś, co zaplanował, miało się wreszcie zakończyć z sukcesem.

– To jest ta Polka.

– Widzę – odpowiedział i już ta krótka, powściągliwa wymiana zdań między rodzeństwem pozwoliła się zorientować, kto tu rządzi.

– To ty zabiłeś Karin? – spytała Zuza, choć znała już odpowiedź

Pokazał zęby. Były wielkie i białe.

– Nie był tam sam.

Ton głosu, który usłyszała z za pleców, sugerował, że Ingrid jest dumna ze swego udziału w morderstwie.

– A przecież sprzątałaś u Karin. Co zrobiłaś, że Annika dała ci doskonałe alibi?

– Nic. Wystarczyło jej nie przeszkadzać w nalewaniu sobie ginu od ósmej rano – wyjaśniła Ingrid tak gładko i śpiewnie jak zła uczennica, której właśnie zadano jedyne pytanie, na jakie umiała odpowiedzieć.

Zuza zauważyła, że nie jest już osowiała i zmęczona jak przed chwilą w samochodzie, tylko wręcz tryska dobrym humorem i energią. To był nastrój kogoś, kto już wie, że wygra.

– Nie zauważyła, jak wychodziłaś?

– Kiedy jest upał, nikt nie wchodzi do pralni. Piwnica paruje, zamienia się w piekło – poinformowała rzeczowo i nadal z dumą.

– Dokładnie tak jak zaraz ten dom. – powiedział Gunnar i znowu zademonstrował zęby.

– Ale dlaczego?

– To długa historia.

– Co ci zrobiły Karin i Mathilde?

– Wyszły z tego, z czego ja wyjść nie mogę. I nie chciały podać mi ręki. Tyle mogę powiedzieć.

– Czyli dostało im się za swoje. Wreszcie. – Zuza wyrzuciła z siebie te słowa, wiedząc, że spodoba ją się one rodzeństwu.

– Ano właśnie! – usłyszała głos Ingrid i zauważyła szeroki uśmiech Gunnara. Jego język, niewielki, ale silnie bordowy, gąbczasty, przypominał płat surowej kurzej wątróbki.



Frida z babką stały w kuchni i patrzyły na stół zastawiony metalowymi pudełkami po herbacie. Na każdym nalepiony był plaster z jakimś imieniem.

– Co to za imiona? – zapytała Frida.

– Imiona dzieci.

– Jakich dzieci?

– To były dzieci, których nikt nie kochał. Twój dziadek to zrobił, lubił pomagać kobietom. Kiedyś było gorzej, musiałyśmy jeździć do Polski i tam spędzać płody. Kiedy spłonął szpital, przeżył załamanie. Nie dokonywał już aborcji, tylko sterylizacji.

– To chore.

– Taki był. Odkąd jego syn zginął w tym pożarze.

– Nie wiedziałam, że straciłaś dziecko.

– To nie było moje dziecko, ale mojego męża.

– Nie chcę być w takiej rodzinie.

– Każda ma swoje sekrety. Ta kobieta myślała, że ją poślubi, ale on nie chciał zostawić mnie i Anchee, więc podpaliła szpital.

– Zrobiła to z miłości?

– Była bardzo młoda. Młodziutka.

– Jak młoda?

– Za bardzo.

– To znaczy?

– Siedemnaście lat. W tym wieku wszystko jest czarno-białe.

– W tym wieku wszystko jest czarne.

Do kuchni weszła Anchee. Jej twarz stężała na widok puszek.

– Idzie burza. Trzeba zamknąć okna – powiedziała oschłym tonem.

Potem usiadła na krześle przy stole, rozwarła ramiona, objęła znaleźiska i zaczęła płakać. Nigdy wcześniej Frida nie widziała swojej matki tak

niewinnej. Znow pomyślała o ojcu. Im była starsza, tym bardziej był jej potrzebny.

Może dlatego zapytała:

– Kim byli ojcowie tych dzieci?

Anchee odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

– Nie wiem... Nie pamiętam... Dziwne... ale wszystkich wykasowałam z pamięci. Jakiś Lasse, Bosse... Peter. Nie ma znaczenia. Ten ogródek za domem to był tylko plac dla dziewczynek.

Frida patrzyła na nią i po raz pierwszy miała ochotę ją przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Nie zrobiła tego jednak. Głównie dlatego, że płacz matki przerodził się w szal. Zaczęła demolować kuchnię. Babka zamknęła się w łazience, a Frida wybiegła z domu, schyliła się i wyciągnęła spod schodów plastikową torebkę, w której schowała kupiony drut. Nie było tego dużo, tylko metr artystycznych supłów, ostrych jak brzytwa. Wystarczy, żeby dostać głowę Larsa.

Tylko kto zajmie się babką, kiedy mnie zamkną i poddadzą kretyńskiej resocjalizacji, pomyślała i od razu znalazła taką osobę. Tylko Ingrid umiała zadbać o wszystkich.

Było około jedenastej wieczorem, kiedy Stefan z Larsem doszli wreszcie do domku rybackiego. Po drodze, osłabieni alkoholem, niewiele rozmawiali. Deszcz się wzmógł, ale postanowili, że trochę popływają jak za chłopięcych lat.

Niczego nie słyszeli ani nie zauważyli. Żadnego szmeru, żadnej zmiany przed domkiem. Dopiero kiedy podeszli do schodków, zobaczyli ich. Siedzieli na wyszczerbionym stopniu, wtuleni jedno w drugie. Wydawali się dziećmi, tak bardzo byli mizerni i skuleni.

Pani Rosmussen podniosła się pierwsza. Przez twarz przeszedł jej grymas bólu. Zrobiła pierwszy krok w ich kierunku i wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale ma problemy z koncentracją czy doбором słów. Miała taką minę, jakby wszystkie wyrazy, których używała przez całe życie, wymieszały się w przepastnym worku pamięci, a ona szukała, szukała i za każdym razem wyciągała nie ten, co trzeba.

Poruszała się ostrożnie, jakby cała w środku była pogruchotana. Głowa niebezpiecznie podskakiwała, nie pasowała do korpusu. Wyglądała jak nasadzona siłą na sflaczałą szyję.

– Tato... – wydusił Stefan. Nie wiadomo, czy był bardziej przerażony, czy zagniewany.

– Co znowu?

Stary Gustavsson zrobił niezadowoloną minę. Krzaczaste brwi opierały się na oprawkach okularów, sterczały ponad szklami. Niektóre włoski, szorstkie i wybijające, muskały sklepienie nosa. Twarz miał opuchniętą, czerwoną. Niby odcisniętą czymś z jednej strony. W opadające szare spodnie niechlujnie wepchnął koszulę. Niegdyś białą, teraz żółtawą.

– Co państwo tu robią? – zapytał Lars, maskując śmiech.

– Nie prowadzę konwersacji z osobami po alkoholu – zawyrokowała pani Rosmussen.

– Uciekliście z Naszego Brzegu? – Miną i tonem głosu Stefan doskonale wcielił się w postać niezadowolonego ojca, który nakrył dziecko na wagarowaniu.

– Przyszliśmy tam, gdzie nasze miejsce. – Pani Rosmussen, zmęczona, usiadła na schodach. – Mój dom jest zabezpieczony przez policję.

– No właśnie! – Nils podniósł głos. – A mieszkańców o tym nie powiadomiono.

– Jakich mieszkańców, tato? Dwóm pielęgniarce, które wynajmowały dom od Mathilde, użyczono pokoi gościnnych Naszego Brzegu.

– A my to co? Teraz będziemy tam mieszkać.

– Wy?

– Mamy w planie małżeństwo i podróż poślubną.

– Co więc robicie tutaj? – Stefan był coraz bardziej zagubiony. Zupełnie jak dziecko, któremu tatuś przedstawił właśnie nową mamusię.

– Pomyślałem, że dopóki nie wyjaśnimy sprawy z domem, przenocujemy tutaj.

– Możecie tu mieszkać, ale chyba należałoby poprosić Ingrid, żeby wpierw posprzątała.

– Znając jej możliwości, będą państwo mieli tu jutro czysty cottage – zaśmiał się Lars.

– Nie mogłabym Ingrid o nic prosić. Nie po tym, jak się wobec niej zachowała moja córka.

– O czym pani mówi? – Gustavsson momentalnie wytrzeźwiał.

– O tym, że zawsze uczyłam Mathilde, iż należy pomagać ludziom.

– Może jaśniej.

– Ingrid tak bardzo chciała dziecka, a Mathilde namówiła Karin, by zeznały, że ona jest brudaską i nie panuje nad rzeczami...

– Przecież to kłamstwo. Nie widziałem większej czyściochy niż Ingrid. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że popija płyn do wybielania – zaśmiał się Lars.

– Dlatego jest taka biała – zawtórował mu stary Gustavsson.

Usłyszeli daleki grzmot. Zaczął padać rześisty deszcz i Stefan pospiesznie otworzył drzwi. Buchnęło stęchlizną, ale cała czwórka weszła do środka. Kiedy zapalił świeczkę i wstawił ją w latarenkę, zrobiło się naprawdę miło.

– Może herbaty? – zaproponował, a kiedy wszyscy zareagowali entuzjastycznie jak Anglicy na *five o'clock*, sięgnął do swojego magazynu wody mineralnej, rozstawił tealighty i sprawdził, czy ma wystarczającą liczbę kubków.

Coś jednak nie dawało mu spokoju.

– Czy Ingrid starała się o adopcję?

– Myślę, że tak. I w przeciwieństwie do swojej córki uważam, że byłaby cudowną matką.

– Dostała odmowę?

– Tego nie wiem. Ale skoro ciągle nie ma dziecka...

– I chodzi z oczami zaczerwienionymi od płaczu...

– Od kurzu... powtarza... że od kurzu – wtrącił się stary Gustavsson.

– Pani Rosmussen... – zaczął niepewnie Stefan. Właściwie przemawiał bardziej do siebie, porządkując w ten sposób myśli. – Czy możliwe, że negatywna opinia środowiskowa, uzyskana od Karin i Mathilde, zaważyła na tym, że Ingrid odmówiono prawa do adopcji?

Przez moment stał niepewnie pośrodku izby, jakby zapomniał, co ma robić. W końcu postawił kubek na zniszczonym blacie i wyszedł bez słowa.

Po chwili biegł już w stronę domu Ingrid. Deszcz mocno zacinał go w twarz, koszula i spodnie nasiąkły wodą, ale cieszył się, bo chłodna wilgoć pozbawiła go alkoholowego rauszu.

Nie słyszał, jak Lars woła za nim, żeby wrócił.

Spełniło się marzenie Zuzy. Siedziała na fotelu Byk Hansa J. Wegnera. Miała głupią nadzieję, że nie jest to replika. Kiedyś napisała o nim artykuł, teraz miała na nim umrzeć. Na resztę myśli w stylu, jak ten drogi i poszukiwany przez kolekcjonerów mebel znalazł się nad jeziorem

Skiresjön, nie miała siły. Jej umysłem owładnął zwierzęcy strach przed śmiercią. Chciało jej się wymiotować i czuła ostre parcie na pęcherz.

Poruszyła się, żeby zminimalizować dyskomfort, bo nawet nie myślała, że zdoła stąd uciec. Jej przeznaczeniem była designerska gilotyna. Katem miał być Gunnar, brat Ingrid. Ona sama wdrapała się na górę śmieci, usiadła na kredensie i obserwowała wszystko z góry. Wyglądała jak biała dama w teatralnej łoży.

– Podoba ci się? – zapytał Gunnar.

Zobaczyła makietę okolic jeziora zrobioną z drutu kolczastego. Domki, drogę w kształcie podkowy, ludzi, nawet psy w budach i koty na płotach. Zapadnięty dach w domu Anderssonów i Bodill opalającą się na leżaku. Wszystko doskonałe, piękne.

– Jesteś artystą – wyznała szczerze.

Gunnar nie spodziewał się komplementu. Speszył się i próbował ukryć radość, jaką mu sprawiła.

– Artystą to jest Lars Olsson. – powiedziała Ingrid.

Jej głos dochodził spod powały. Zuza miała wrażenie, że przemawia do niej wszechmocna bogini.

– Ma tak samo silne ręce jak ja. – Gunnar podsunął Zuzie pod nos swoje dłonie. Wielkie, o długich palcach owalnie zakończonych brudnymi paznokciami. Pośrodku dłoni leżała obroza kolczatka. Wykonał ją z niezwykłą starannością, podobnie jak makietę.

– Dlaczego chcecie mi to zrobić? – zapytała Zuza

– Bo robimy to naprawdę dobrze – odpalił bystro Gunnar i zaśmiał się, a jego wątróbkowaty język podrygiwał między zębami.

– Nie będziesz ostatnia – wtrąciła się Ingrid. – Mamy jeszcze w planie Anchee, a na koniec Larsa.

– Przeżywałem go „synek pijaka” – zarechotał Gunnar i zaczął obklejać obrozę plasterkami. – Bolało go to, że hej! Raz nie wytrzymał, wsadził mnie w sam środek kosza na śmieci i obciął mi włosy. Dziewczyny się śmiały. Wkładały je za gumki kostiumu. Ale już wtedy miałem silne ręce, sam się uratowałem – zakończył dumnie i pokazał siostrze, że plastry są nalepione. – Schył głowę! – rozkazał.

Zuza posłusznie wykonała jego polecenie, myśląc, że zaraz ją zgilotynuje, ale ten obciął jej włosy na potylicy.

– Ale ona jest inna! – zaprotestowała słabo Ingrid i zaczęła schodzić na dół.

– Niech będzie tak samo.

Jakiś mężczyzna na wózku inwalidzkim czy dziecięcym przyklejał Zuzie włosy na kroczu. Obok stała Ingrid. Miała zaciętą twarz, ale płakała. W dłoni trzymała obrożę z drutu kolczastego z naklejonymi plastrami. Taką samą miała na szyi Karin.

Ujrzawszy to, Frida rozbiła koturnem szybę.

Myślała, że niczego nie pamięta z tamtych wydarzeń w parku, kiedy znalazła zwłoki, ale w tej chwili była pewna, że dobrze to wszystko ukryła i teraz pod wpływem silnego stresu rzekomo zapomniane detale wypłynęły z jej podświadomości.

Ingrid i Gunnar znieruchomieli. Nie spodziewali się tej małej. Tym bardziej że w ręku też miała pętlę z drutu kolczastego.

– Kim jesteś?! – krzyknęła, zarzucając ją Gunnarowi na szyję.

– Kaleką z Bullerbyn – zaśmiał się złośliwie i osunął na ziemię.

Frida była pewna, że go zabiła. Oglądała w Internecie tyle martwych ciał, ale żadne z nich nie było tak dziecięco naiwne jak ciało tego mężczyzny leżącego twarzą na jej wielgaśnych butach.

Zuza poderwała się. Przywiązane do krzesła nogi utrudniały jej ruchy, mimo to zdołała wyrwać Ingrid drut i związać jej dłonie na kości krzyżowej. Z przegubów pociekła krew i zamiast cieszyć się z niespodziewanej wizyty Fridy wybawicielki, Zuza uległa panice, że Ingrid się wykrwawi, zanim przyjedzie karetka.

Albinoska stała pośród swoich śmieci blada i nieziemska, kredowa. Było w niej jakieś piękno i zagubienie.

– Byłabym dobrą mamusią – powiedziała. – One miały swoje śliczne dzieci, a ja miałam tylko to. – Popatrzyła na zagracony kredens.

Frida podążyła za jej spojrzeniem. Wspięła się i zdjęła przedmiot, który Ingrid wskazywała wzrokiem. Była to stara zardzewiała puszka po herbacie. Na szerszym boku nalepiony był plaster z napisem **DAGMAR/SVEN**.

– Dagmar? Sven? – przeczytała cicho.

– Nigdy się nie dowiem, za kim tęsknię i kogo oplakuję: synka czy córeczkę.

– Co jest w środku?

– To, co Lars Olsson wygrzebał ze śmietnika doktora Anderssona. Zaraz potem, jak wyszłam z jego gabinetu. Agnes Hermansson zawsze wkładała je do blaszanego wiadra, a wieczorem paliła w piecu.

– Co paliła?

– Dzieci. Dzieci, które on z nas wyciągał.

– Lars Olsson brał odpady po skrobaniach, a potem je fotografował? – zapytała Zuza.

– To nie były odpady! – krzyknęła Ingrid, mocno poruszając rękoma, żeby krew nie zakrzepła i nadal z niej wypływała.

– Okay, okay, to były dzieci.

– Dagmar albo Sven, takie same jak one.

– Tak, Dagmar i... Lars was szantażował? Czego chciał w zamian? Seksu? Pieniędzy? Powiedz...

– Niczego. On po prostu zawsze lubił robić zdjęcia – odpowiedziała Ingrid.

Najpierw wszedł Gustavsson. Już wcześniej usłyszały, jak przedziera się przez zarośnięty przedmiotami dom Ingrid i jej brata.

Kiedy zobaczył ich wszystkich, powiedział coś, ale nikt go nie usłyszał. Wycie wozów policyjnych i karetek pogotowia okazało się silniejsze.

Zuza spojrzała na Stefana. Patrzył na Fridę, ale potem odwrócił głowę i ich spojrzenia się skrzyżowały. Uśmiechnął się do niej i mrugnął okiem. Był zmęczony i lekko podpity, mimo to wydał jej się całkiem przystojny. Ponieważ jeszcze wczoraj oceniła go jako obleśnego pijaka znad jeziora Skiresjön, doszła do wniosku, że po prostu jest tajemniczy.

– Stefan – powiedziała. Chciała krzyknąć, ale dobyteła z siebie tylko głośny szept.

– To ja już sobie pójdę – oznajmiła Frida i wyskoczyła przez okno.

Stefan uklęknął przy bracie Ingrid.

– Żyje.

– Frida! – krzyknęła Zuza za małą lokalną supermenką. Zawsze się pojawiała, kiedy ona była w opresji. – Frida, on żyje! Żyje!

– Zemdlął ze strachu – powiedział Gustavsson, ale po jego twarzy było widać, że nie ogarnia sytuacji, w jakiej się znalazł.

Zuza znowu wymówiła jego imię, a Stefan zrobił niezgrabny krok w jej kierunku. Dzieliło ich tylko kilka metrów, ale jednocześnie tysiąc

niepotrzebnych przedmiotów, które miały zastąpić Ingrid to, co kiedyś straciła, i to, czego nie mogła mieć i kochać.

Burza szybko odeszła znad jeziora Skiresjön. Wiatr się uciszył i noc wydawała się nawet jaśniejsza niż świętojańska.

– Dokąd państwo planują podróż poślubną? – zapytał Lars, gasząc papierosa.

– Do parku rozrywki Astrid Lindgren – odpowiedział Nils Gustavsson.

– To wstyd mieszkać tak blisko i nigdy tam nie być – dodała pani Rosmussen.

– Znakomity pomysł – rozpromienił się Lars, nastawiając w komórce opcje aparatu. – Podobno można tam zobaczyć Pippi, która podnosi konia w kropki.

– No właśnie, właśnie – przytaknęli razem jak stare dobre małżeństwo.

– Ale czy to ukoi mój ból po śmierci Mathilde... – Oczy pani Rosmussen się zaszkliły.

Nils Gustavsson objął ją ramieniem i mocno uściskał. Wydawało się, że pogruchota delikatne kosteczki swojej wybranki. Ale ta, wzmocniona tym gestem, wyprostowała się i poprawiła włosy nad czołem.

– Już dobrze, dobrze – powiedziała cicho, tylko do siebie.

– Nie można przecenić chwili zapomnienia. – Olsson oddalił się od nich na kilka metrów i sprawdził, jak wyglądają w kadrze.

– Racja, Lars. Nie można – przytaknął stary Gustavsson.

Olsson pochylił się i zrobił zdjęcie.

– Wyjdzie dobrze? – zapytała z lękiem pani Rosmussen.

– Będzie niezapomniane – zapewnił Lars i uśmiechnął się do nich.

Nigdy wcześniej tak mocno nie żałował, że jego matka się utopiła, a ojciec nie żyje. To właśnie ich, starych i wtulonych w siebie, chciał teraz uwiecznić.

– Będzie niezapomniane. – Nils Gustavsson odezwał się zbyt głośno, jak każdy niedosłyszający. – Jak wszystkie fotografie Larsa Olssona, naszego chłopaka znad jeziora Skiresjön. – Uśmiechnął się. Wyglądał promiennie. Nie przeszkadzało nawet to, że zapomniał włożyć do ust protezy.

Epilog



Anchee stała w centrum placu Dzieci z Bullerbyn. Patrzyła, jak Frida kopie dół, w którym zamierzały pogrzebać puszki z plastrami.

Kilka godzin temu na starych zniszczonych plastrach odświeżyły napisy z imionami dzieci. Miały pomysł, by włożyć puszki do sosnowej skrzyni, którą znalazły na strychu, ale zdecydowały się nic nie zmieniać.

– Może powinniśmy pochować je na cmentarzu? – zapytała Anchee i zaraz zrozumiała, że to zły pomysł.

– Tu wszędzie jest cmentarz – odkrzyknęła Frida, nie przerywając kopania. Jak zwykle, kiedy miała na jednym uchu słuchawkę z muzyką, mówiła zbyt głośno.

– Tak, masz rację. Cmentarze są dobrym miejscem dla dzieci – zgodziła się Anchee.

Miała jeszcze coś dodać, gdy zauważyła, że zbliża się do nich Lars Olsson.

– Cześć – powiedział.

Obrzuciły go spojrzeniem. Zauważyły, że jest zaniedbany i smutny. Sprawiał wrażenie, jakby te kilka dni od aresztowania Ingrid i jej brata nie spał, nie jadł, tylko chodził wzdłuż jeziora Skiresjön.

– Cześć – odpowiedziała Frida.

Anchee tylko skinęła głową.

Stanął w bezpiecznej odległości.

Po chwili ciszy Anchee zdecydowała się zapytać:

– Czy wiedziałeś, że on je sterylizował?

– Nie. Jedynie tyle, iż wmawiał im, że są w ciąży, straszył złamanym życiem i w ramach lekarskiego prawa do nieodmawiania pomocy dokonywał aborcji.

– Fikcyjnej.

Lars nic nie powiedział, tylko wymienili się spojrzeniami.

Patrzyli, jak Frida kończy kopanie dołu i przenosi tam puszki. Potem, wszyscy troje, całkiem spontanicznie, bez uzgadniania, podeszli i sypnęli na nie po garści piachu.

Frida przykryła wszystko sprawnymi ruchami łopaty. Płaską stroną szpadla uformowała kopiec, a po krótkiej chwili namysłu wyrównała go z ziemią. Odeszła na kilka kroków, podważyła łopatą kępy trawy i posadziła je na grobie.

– Dobrze sobie dajesz radę – pochwaliła ją Anchee.

– Mam wprawę. Sama grzebałam wszystkie swoje chomiki. No i zakopałam swój dziecienny rower. Bardzo go lubiłam.

– Mimo że był różowy – dodała Anchee, a Frida się do niej uśmiechnęła.

Potem wyprostowała się, pogłośniła muzykę i patrzyła na efekt swojej pracy.

– Jestem kimś innym, Anchee, zmieniłem się na dobre – odezwał się Lars.

– Ale nadal z tym łazisz – odparowała Anchee, pokazując wzrokiem aparat fotograficzny zawieszony na jego szyi.

– Tylko błagam, nie mów, że naciśnięcie migawki niewiele się różni od naciśnięcia spustu.

– Wyceluj spust w siebie. Chociaż raz. Wtedy może poczujesz, co właściwie chcesz utrwalić.

– Nie wybaczysz mi?

– Nie bardziej niż sobie – odpowiedziała i zapięła sweter. – Wydaje się, że burza zakończyła lato – oznajmiła spokojnym tonem. – Idziemy? – zapytała córkę, ale ta nie usłyszała.

Frida stała kilka kroków dalej ze słuchawkami na uszach. Głowę miała odchylną do tyłu. Patrzyła na chmury sunące po niebie z zawrotną szybkością. Od dziecka lubiła obłoki, a tak dawno ich nie było. Poruszała ustami, jakby śpiewała w duecie z Lady Gagą.

She's not broken. She's just a baby. But her boyfriend's like a dad, just like a dad. Draw those flames that burn before him.

Kiedy przeniosła wzrok z nieba na plac Dzieci z Bullerbyn, zauważyła, że stoi tu całkiem sama. Matka z Larsem byli już daleko, nie widziała ich, ale kiedy zdjęła słuchawki, usłyszała, jak się przekrzykują. Nigdy nie słyszała u tych dwojga tak radosnych głosów.

Założyła słuchawki akurat w momencie refrenu.

Poprawiła zsuwający się suwak w szortach i poszła w kierunku jeziora Skiresjön, podśpiewując na cały głos.

Za cztery minuty przyklęła tuż przy linii wody. Była ciemna, prawie czarna.

– *I just love it* – zamruczała i uśmiechnęła się, zanurzając w niej dłoń.